

Niedźwiedź

i

słowik

Katherine Arden

Uważaj na zło, które czai się w lesie

Katherine Arden

Niedźwiedź
i
słowik



przełożyła Katarzyna Bieńkowska



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: ***The Bear and the Nightingale***

Projekt okładki: www.headdesign.co.uk

Redaktor prowadzący: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

Redakcja: *Beata Słama*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Ewa Rudnicka*

© 2016 by Katherine Arden. All rights reserved

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2018

© for the Polish translation by Katarzyna Bieńkowska

ISBN 978-83-287-0883-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2018

Dla mojej matki,
z miłością

*Jest nad zatoką dąb zielony,
Na dębie złoty łańcuch lśni;
I całe noce, całe dni*

*Wędruje po nim kot uczony;
Zwróci się w prawo – śpiewa pieśni,
A w lewo – bajki opowiada.*

A.S. Puszkina

przekład Jana Brzechwy

Spis treści

Część pierwsza

1. Mróz
2. Wnuczka czarownicy
3. Żebrak i nieznajomy
4. Wielki Książę Moskiewski
5. Święty starzec ze Wzgórza Makowieckiego
6. Demony
7. Spotkanie na targu
8. Przysięga Piotra Władimirowicza
9. Wariatka w cerkwi
10. Księżna sierpuchowska
11. Domowik

Część druga

12. Pop o złotych włosach
13. Wilki
14. Mysz i dziewczyna
15. Oni przychodzą tylko po nieposłuszne dziewczęta
16. Diabeł przy świecy
17. Koń zwany Ogniem
18. Gość na koniec roku
19. Koszmary

20. Podarunek od nieznajomego

21. Nieczułe dziecko

22. Przebiśniewi

Część trzecia

23. Dom, którego nie było

24. Widzę, czego pragnie twoje serce

25. Ptak, który kochał dziewczynę

26. Odwilż

27. Zimowy niedźwiedź

28. Na końcu i na początku

Słowniczek

Podziękowania



Część pierwsza





1.

Mróz

W północnej Rusi był koniec zimy, powietrze wydawało się ciężkie od wilgoci, której nie można nazwać ani deszczem, ani śniegiem. Promienny lutowy pejzaż przeszedł w szarą marcową ponurość, a w domostwie Piotra Władimirowicza wszyscy byli zakatarzeni i chudzi po sześciu tygodniach życia o ciemnym chlebie i kiszonej kapuście. Nikt jednak nie myślał o odmrożeniach, o ciekących nosach ani nawet nie tęsknił za kaszą i pieczonym mięsiwem, ponieważ Dunia właśnie miała opowiedzieć bajkę. Tego wieczoru staruszka siedziała w miejscu najlepszym do snucia opowieści: w kuchni, na drewnianej ławie przy piecu. Piec był ogromny, gliniany, wyższy od człowieka i tak pojemny, że w środku z łatwością zmieściłoby się czworo dzieci Piotra Władimirowicza. Na górze można było spać, a we wnętrzu gotować. Ogrzewał kuchnię, a chorym służył jako łaźnia parowa.

– Której bajki chcecie dziś posłuchać? – spytała Dunia, rozkoszując się ogniem grzejącym jej plecy.

Dzieci Piotra przycupnęły na stołkach naprzeciwko niej. Wszystkie uwielbiały opowieści Duni, nawet drugi syn, Sasza, dziecko bardzo pobożne. Gdyby ktoś go spytał, stwierdziłby pewnie, że woli spędzić wieczór na modlitwie, lecz w cerkwi było zimno, a na dworze padał deszcz ze śniegiem. Sasza wystawił nawet głowę za drzwi, lecz wycofał się pokonany z mokrą

buzią. Usiadł na stołku, nieco z boku, z miną mającą zapewne wyrażać pobożną obojętność.

Pozostałe dzieci, słysząc pytanie Duni, zaczęły wykrzykiwać:

- Finist, dzielny sokół!
- Iwan carewicz i szary wilk!
- Żar-Ptak!

Mały Alosza stanął na stołku i wymachiwał rączkami, żeby przekrzyczeć starsze rodzeństwo, aż myśliwski pies Piotra podniósł wielki, pokryty bliznami łeb.

Zanim jednak Dunia zdążyła coś powiedzieć, drzwi wejściowe otworzyły się ze stukotem i do izby wtargnął ryk wichury. W progu stanęła kobieta strząsająca wodę z włosów. Twarz miała zarumienioną od chłodu, była jeszcze chudsza niż dzieci. Ogień rzucał cienie na jej zapadnięte policzki, szyję i skronie. W głęboko osadzonych oczach odbijał się blask płomieni. Pochyliła się i wzięła Aloszę na ręce, a on aż zapiszczał z radości.

- Mama! – wykrzyknął. – *Matuszka!*

Marina Iwanowna przysunęła stołek bliżej ognia i usiadła. Alosza zacisnął piąstki na warkoczu mamy. Zadrżała, choć pod grubym ubraniem nie było tego widać.

– Oby ta nieszczęsna owca dzisiaj urodziła – odezwała się. – W przeciwnym razie boję się, że już nigdy nie ujrzymy waszego ojca. Opowiadasz bajki, Duniu?

– Jeśli zamilkniecie choć na chwilę, to może opowiem – odrzekła staruszka.

– Chętnie posłucham bajki – zapewniła Marina. Kiedyś Dunia była także jej nianią. Powiedziała to lekkim tonem, lecz w jej oczach czaił się mrok. Dunia rzuciła jej ostre spojrzenie. Za oknem szlochał wiatr. – Opowiedz nam, Duniaszka, o Mrozie, o królu Karachunie, demonie zimy. Szaleje dziś na dworze i złości się na odwilż.

Dunia się zawahała. Starsze dzieci popatrywały na siebie niepewnie.

Na Mroza, demona zimy, mówiono czasem Morozko, jednak dawno temu ludzie nazywali go Karachun, bóg śmierci. Był królem najostrzejszej zimy, samego jej środka, przychodził po niegrzeczne dzieci i sprawiał, że zamarzały nocą. To było złowróżbne imię, nie należało wypowiadać go głośno, zwłaszcza gdy Mróz trzymał jeszcze ziemię w swym uścisku.

Marina mocno przytuliła synka, a on wiercił się i ciągnął ją za warkocz.

– Dobrze – powiedziała Dunia po chwili wahania. – Opowiem wam o Morozce, o jego dobroci i okrucieństwie.

Bezpieczne imię demona zimy, to, którego nie trzeba było się lękać, wymówiła z naciskiem.

Marina uśmiechnęła się drwiąco i wyplątała ze swoich włosów rączki synka. Nikt nie protestował, chociaż bajka o Mrozie była bardzo stara i wszyscy słyszeli ją już wiele razy. Dunia jednak opowiadała tak ciekawie i barwnie, że nigdy nie mieli dość.

– W pewnym księstwie... – zaczęła, lecz urwała i spojrzała karcąco na Aloszę, który popiskiwał jak nietoperz i wiercił się w objęciach mamy.

– Ciii – szepnęła Marina i znów podała mu koniec warkocza do zabawy.

– W pewnym księstwie – powtórzyła staruszka z godnością – żył sobie wieśniak, który miał piękną córkę...

– Jak śś... nazywała? – wymamrotał sennie Alosza. Był dociekliwy, zawsze domagał się szczegółów potwierdzających, że to wszystko prawda.

– Nazywała się Marfa – odparła staruszka. – Mała Marfa. I była piękna niczym czerwcowe słoneczko, a przy tym dzielna i dobra. Nie miała mamy, jej prawdziwa mama umarła, kiedy dziewczynka była jeszcze malutka. A choć ojciec ożenił się powtórnie, Marfa nadal nie miała matki i żyła jak sierota. Mimo że macocha Marfy była, jak mówiono, niebrzydką kobietą, piekła pyszne ciasta, pięknie tkła i potrafiła przygotować aromatyczny kwas chlebowy, serce miała zimne i nieczułe. Nienawidziła Marfy za jej urodę i dobroć, a faworyzowała własną córkę, brzydką i leniwą. Najpierw chciała sprawić, żeby Marfa zbrzydła, zlecała jej więc najcięższe prace domowe, by dłonie dziewczyny powykręcały się, plecy zgarbiły, a twarz pomarszczyła.

Marfa była jednak silna, być może obdarzona odrobiną magicznej mocy, gdyż wykonywała wszystkie prace bez narzekania, a w miarę upływu lat stawała się coraz piękniejsza. Kiedy więc macocha... – widząc, że Alosza zamierza jej przerwać, Dunia dodała: – która nazywała się Daria Nikołajewna, stwierdziła, że nie zdoła sprawić, by Marfa zrobiła się brzydka i zgorzkniała, postanowiła pozbyć się jej raz na zawsze. Pewnego dnia w środku zimy Daria zwróciła się do małżonka: „Mój drogi, sądzę, że już pora, by nasza Marfa wyszła za mąż”.

Marfa była akurat w izbie i smażyła placki. Spojrzała na macochę z radosnym zdziwieniem, bo przecież tamta nigdy się nią nie interesowała, chyba że chciała coś jej wytknąć, jednak radość szybko przemieniła się w trwogę.

„Już wybrałam dla niej odpowiedniego męża. Wsadź ją na sanie i zawieź do lasu. Wydamy ją za Morozkę, pana zimy. Czy któraś panna mogłaby sobie życzyć wspanialszego i bogatszego oblubieńca? Toż on jest władcą białego śniegu, czarnych jodeł i srebrnego szronu!”

Małżonek, a nazywał się Borys Borysowicz, spojrzał przerażony na żonę. Kochał córkę i dobrze wiedział, że lodowate objęcia boga zimy nie są przeznaczone dla śmiertelnych panien. Może jednak Daria również dysponowała odrobiną magii, ponieważ mąż nie potrafił niczego jej odmówić. Z płaczem usadowił córkę na saniach, zawiózł w głąb lasu i zostawił pod jodłą.

Dziewczyna długo siedziała sama, drżała i dygotała, bo było jej coraz zimniej i zimniej. Wreszcie usłyszała głośnie stukoty i trzaski. Podniosła głowę i ujrzała samego Morozkę, który szedł ku niej, skacząc wśród drzew i dziarsko pstrykając palcami.

– A jak on wyglądał? – chciała wiedzieć Olga.

Dunia wzruszyła ramionami.

– Co do tego, każdy ma swoją wersję. Niektórzy twierdzą, że jest jedynie lodowatym powiewem szmerzącym wśród jodeł. Inni widzą w nim starca o przejrzystych oczach i zimnych dłoniach jeżdżącego saniami. A jeszcze

inni mówią, że jest wojownikiem w kwiecie wieku odzianym na biało i dzierżącym w dłoniach broń zrobioną z lodu. Nikt nie wie tego na pewno. Tak czy inaczej, Mróz podszedł do Marfy. Jej twarz owionął lodowaty podmuch i poczuła jeszcze większy ziąb. A wtedy Mróz przemówił do niej głosem zimowego wiatru i syjącego śniegu: „Ciepło ci, moja śliczna?”.

Marfa była dziewczyną dobrze wychowaną, bez narzekania znoszącą wszelkie trudy, odparła więc: „Ciepło, dziękuję, drogi panie Mrozie”. Słyszając to, demon zaśmiał się, a gdy to zrobił, zadął porywisty wiatr. Drzewa jęknęły nad ich głowami. Mróz znowu zapytał: „A teraz? Ciepło ci, kochanie?”. Marfa zaś, chociaż z zimna ledwie mogła mówić, zapewniła go: „Ciepło, tak, ciepło, dziękuję”.

Nagle rozszalała się śnieżycą, wiatr wył i szczyrzył kły, a biedna Marfa była pewna, że oderwie jej skórę od kości. Mróz już się nie śmiał, a kiedy spytał po raz trzeci: „Ciepło ci, najdroższa?”, dziewczyna miała przed oczami czarne plamy i odpowiedziała, z trudem wydobywając głos przez zamarzające usta: „Tak... ciepło. Ciepło, mój panie Mrozie”.

Mróz poczuł podziw dla odwagi Marfy i ulitował się nad nią: otulił ją swoją peleryną z błękitnego brokatu i ułożył w saniach. Kiedy wyjechał z lasu i zostawił dziewczynę pod drzwiami chaty jej ojca i macochy, nadal była spowita we wspaniałą pelerynę i trzymała w rękach skrzynkę pełną klejnotów oraz złotych i srebrnych ozdób. Ojciec Marfy zapłakał z radości, widząc ją całą i zdrową, lecz Daria i jej córka były wściekłe, gdy zobaczyły, że Marfa jest bogato odziana, promienna i tak hojnie obdarowana.

Daria zwróciła się do męża tymi słowami: „Mój drogi, prędko! Bierz sanie i zawieź tam moją córkę Lizę. Podarunki, które Mróz dał Marfie, to nic z porównaniu z tymi, które wręczy mojej córeczce!”.

Chociaż w głębi serca Borys uważał polecenie żony za szaleństwo, zabrał dziewczynę na sanie i pojechali. Liza miała na sobie swoją najpiękniejszą suknię i była otulona grubym kożuchem. Ojciec zawiózł ją w głąb lasu i zostawił pod tą samą jodłą co przedtem Marfę.

Liza siedziała tam bardzo długo. Pomimo ciepłego okrycia było jej coraz

zimniej. Wreszcie pomiędzy drzew wyłonił się Mróz, pstrykając dziarsko palcami i śmiejąc się do siebie. Podszedł do Lizy tanecznym krokiem i dmuchnął jej w twarz, a jego oddech był niczym wiatr z północy, od którego przemarza się na kość. Uśmiechnął się i spytał: „Ciepło ci, kochanie?”. Liza wzdrygnęła się i wrzasnęła: „Oczywiście, że nie, ty głupcze! Nie widzisz, że prawie umieram z zimna?!”.

Wtedy zerwał się jeszcze silniejszy wiatr, a jego podmuchy boleśnie smagały dziewczynę. Przekrzykując zawieruchę, Mróz spytał: „A teraz?! Ciepło?!”. Dziewczyna krzyknęła w odpowiedzi: „Ależ nie, durniu! Przemarzałam do szpiku kości! Nigdy w życiu nie było mi tak zimno! Czekam na mojego oblubieńca Mroza, ale ten gbur nie przychodzi!”. Na te słowa spojrzenie Mroza stało się twarde niczym diament. Położył palce na szyi dziewczyny, pochylił się nad nią i szepnął jej do ucha: „A teraz ci ciepło, moja gołąbeczko?”. Dziewczyna jednak nie mogła odpowiedzieć, bowiem kiedy jej dotknął, umarła, i teraz leżała zamrożona na śniegu.

Daria czekała w domu, chodząc po izbie tam i z powrotem. „Dwie skrzynie złota przynajmniej – mówiła, zacierając ręce. – Suknia ślubna z jedwabnego aksamitu i narzuta na łożo małżeńskie z najlepszej wełny”. Mąż milczał. Cienie zaczęły się wydłużać, a Lizy wciąż nie było. Wreszcie Daria posłała męża po córkę, przestrzegając go, żeby uważał na skrzynię ze skarbami. Kiedy jednak Borys dotarł pod drzewo, gdzie rano zostawił Lizę, nie było tam ani śladu skarbu. Była tylko leżąca na śniegu martwa dziewczyna.

Mężczyzna z ciężkim sercem wziął ją na ręce i zabrał do domu. Daria wybiegła im na spotkanie. „Liza! – zawołała. – Moje kochanie!”.

A wtedy zobaczyła w saniach ciało córki. W tym samym momencie palec Mroza dotknął serca Darii i ona także w jednej chwili była martwa.

Zapadła cisza, pełna uznania dla opowieści Duni, po czym Olga spytała tęsknym głosem:

– A co stało się z Marfą? Wyszła za niego? Za króla Mroza?

– Dotyk mrozący krew w żyłach... – mruknął Kola z uśmiechem, nie

zwracając się do nikogo w szczególności.

Dunia posłała mu surowe spojrzenie, lecz nie zaszczyciła go odpowiedzią.

– Raczej nie, Olu – zwróciła się do dziewczynki. – Nie wydaje mi się. Na co zdałby się król zimy śmiertelnej pannie? Bardziej prawdopodobne jest to, że wyszła za bogatego wieśniaka, wnosząc największy posąg w całej Rusi.

Olga miała taką minę, jakby chciała zaprotestować wobec tak mało romantycznego zakończenia, jednak Dunia, której strzykało w kościach, już wstała, chcąc udać się na spoczynek. Góra pieca była wielkości sporego łóżka, więc starzy, mali i chorzy sypiali właśnie tam. Dunia przygotowała posłanie dla siebie i Aloszy.

Pozostałe dzieci pocałowały matkę na dobranoc i wymknęły się z kuchni. W końcu także Marina wstała ze stołka. Pomimo zimowych ubrań Dunia dobrze widziała, jak bardzo wychudła, i ścisnęło się jej serce.

Wkrótce nadejdzie wiosna, pocieszała się. Lasy się zazielenią, bydłota będą dawać pożywne mleko. Upiekę jej placek z jajkami, twarogiem i mięsem bażanta, a słońce sprawi, że wydobrzeje.

Patrząc w oczy Mariny, stara niania miała jednak złe przeczucia.



2.

Wnuczka czarownicy

Jagnię wydostało się wreszcie na świat, śliskie, wiotkie i czarne niczym martwe drzewo w deszczu. Owca zaczęła lizać energicznie swoje małeństwo i już po chwili jagniątko stanęło, chwiejąc się, na drobniutkich kopytkach.

– *Mołodiec* – pochwalił Piotr Władimirowicz owcę i wstał. Kiedy się wyprostował, poczuł ból w plecach. – Mogłaś jednak wybrać lepszą noc.

Na zewnątrz wiatr zgrzytał zębami. Owca machnęła nonszalancko ogonem, a Piotr uśmiechnął się i zostawił ją z synkiem. Zdrowy baranek urodzony podczas śnieżycy pod koniec zimy to dobry znak.

Piotr Władimirowicz był wielkim panem: bojarem, posiadaczem żyznej ziemi, na jego rozkazy było mnóstwo ludzi. Towarzyszył rodzącym zwierzętom, bo tak chciał. Zawsze starał się być obecny, kiedy nowe stworzenie miało zasilić jego trzodę, a często bywało, że wyciągał je na świat własnymi zakrwawionymi rękami.

Deszcz ze śniegiem przestał padać, rozpogodziło się. Kiedy Piotr wyszedł na podwórze i zamknął za sobą wrota obory, między chmurami błysnęło kilka dzielnych gwiazd. Mimo odwilży jego dom wciąż był prawie po okap zasypany śniegiem. Widać było tylko spadzisty dach i kominy, a także przestrzeń wokół drzwi, którą parobkowie pracownicy odśnieżali.

W letniej części wielkiego domu były duże okna i kominek z otwartym paleniskiem. To skrzydło zamykano jednak na zimę i teraz, zagrzebane

w śniegu i zapieczętowane mrozem, wyglądało na opuszczone. Zimowa część domu mogła się poszczycić ogromnymi piecami i małymi, umieszczonymi wysoko oknami. Z kominów nieustająco unosił się dym, a przy pierwszym silnym mrozie Piotr wstawił w ramy okien kawałki lodu, żeby nie wpuszczać zimna, ale pozwolić wpadać światłu. Teraz blask bijący z kominka w izbie jego żony tworzył na śniegu migoczącą sztabkę złota.

Piotr pomyślał o Marinie i przyspieszył kroku. Ucieszy się z narodzin jagniątka.

Przejścia między budynkami gospodarczymi były zadaszone i wyłożone balami drewna do ochrony przed deszczem, śniegiem i błotem. Wciąż zacinający mokry śnieg sprawiał, że drewno nasiąkało wodą, która natychmiast zamarzała. Na takiej zdradzieckiej powierzchni łatwo było się poślizgnąć. Wokół piętrzyły się wilgotne zasy wysokości człowieka, dziobate od śniegu z deszczem. Piotr stąpał jednak pewnie w butach z filcu i futra. Zatrzymał się w sennej kuchni, by umyć ręce. Na górze pieca Alosza przekreślił się na drugi bok i zakwilił przez sen.

Sypialnia jego żony była mała – ze względu na mróz – lecz jasna, wygodna i przytulna. Drewniane ściany pokrywały połacie tkanin. Piękny dywan – część posagu Mariny – przybył tu krętymi drogami z samego Carogrodu. Drewniane stołki zdobiły fantastyczne rzeźbienia, wszędzie leżały sterty kap z puszystych wilczych i króliczych skór.

Mały piecyk w rogu rzucał przyjemny blask. Marina jeszcze się nie położyła. Siedziała przy ogniu otulona pledem z białej wełny i czesała włosy. Mimo że urodziła czworo dzieci, jej włosy wciąż były gęste, ciemne i sięgały kolan. W łagodnym świetle ognia wyglądała jak panna młoda, którą Piotr przywiózł do domu dawno, dawno temu.

– Urodziło się? – spytała. Odłożyła grzebień i zaczęła splatać włosy w warkocz, cały czas wpatrując się w ogień.

– Tak – odparł Piotr z roztargnieniem, zdejmując kaftan w przyjemnym cieple sypialni. – Ładny baranek. Jego mama także ma się dobrze, to dobry znak.

Marina się uśmiechnęła.

– Cieszy mnie to, bo potrzebujemy dobrych znaków – powiedziała. – Spodziewam się dziecka.

Piotr zamarł z na wpół zdjętą koszulą. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz po chwili je zamknął. To oczywiście możliwe, lecz Marina nie jest już młoda, a tej zimy tak bardzo schudła...

– Jeszcze jedno? – mruknął. Wyprostował się, zdjął koszulę i odłożył ją na bok.

Marina usłyszała w jego głosie troskę i na jej wargach pojawił się smutny uśmiech. Przewiązała koniec warkocza skórzanym rzemieniem i dopiero po chwili rzekła:

– Tak. – Odrzuciła warkocz na plecy. – Dziewczynka. Urodzi się jesienią.

– Marino... – zaczął Piotr.

Jego żona usłyszała nieme pytanie.

– Chciałam jej – powiedziała. – I nadal jej chcę. – Po czym dodała ciszej: – Pragnę córki, która będzie taka jak moja matka.

Piotr ściągnął brwi. Marina nigdy nie mówiła o swojej matce. Dunia, która towarzyszyła jej w Moskwie, również bardzo rzadko o niej wspominała.

Za panowania Iwana I, tak w każdym razie opowiadano, przez bramę Kremla wjechała obdarta dziewczyna, zupełnie sama, nie licząc oczywiście jej wysokiego siwego konia. Mimo że była brudna, głodna i zmęczona, natychmiast zaczęły krążyć o niej rozmaite plotki. Mówiono, że ma niezwykle wdzięk, a oczy niczym dziewczyna z bajki zamieniona w łabędzia. Wreszcie te fantastyczne pogłoski dotarły do uszu Wielkiego Księcia Iwana. „Sprowadźcie ją do mnie – zażądał. – Jeszcze nigdy nie widziałem dziewczyny łabędzia” – dodał nieco rozbawiony.

Iwan Kalita był surowym władcą, ambitnym, zimnym, przebiegłym i zachłannym. Inaczej by nie przetrwał, bo Moskwa szybko wykańczała swoich panujących. A jednak, opowiadali później bojarzy, że kiedy Iwan po raz pierwszy ujrzał tę dziewczynę, przez bite dziesięć minut siedział bez

ruchu. Obdarzeni bardziej bujną wyobraźnią przysięgali, że kiedy podszedł do niej i wziął ją za rękę, w jego oczach błyszczały łzy.

Iwan pochował dwie żony, miał pierworodnego syna starszego od młodej ukochanej, mimo to rok później poślubił tajemniczą dziewczynę. Nawet jednak Wielki Książę Moskiewski nie potrafił uciszyć plotek, a księżna nie chciała zdradzić, skąd pochodzi: ani wtedy, ani nigdy potem. Służące szeptały, że potrafi oswajać zwierzęta, przewidywać przyszłość i sprowadzać deszcz.

Piotr zebrał swoje wierzchnie odzienie i powiesił je koło pieca. Jako mężczyzna praktyczny nie słuchał plotek, a przesady zbywał wzruszeniem ramion. Teraz jednak jego żona siedziała nieruchomo, patrząc w ogień, tak że i on poczuł się nieswojo. Płomienie migotały, złocąc jej dłonie i szyję. Zaczął chodzić tam i z powrotem po drewnianej podłodze.

Ruś stała się chrześcijańska, odkąd Włodzimierz I ochrzcił Kijów w wodach Dniepru i strącił z piedestału starych bogów. Kraj był jednak ogromny i zmieniał się powoli. Pięćset lat po przybyciu mnichów do Kijowa na Rusi nadal żywe były dawne wierzenia i niektórzy odnosili wrażenie, że odbijają się one w zagadkowym spojrzeniu dziwnej księżnej. Cerkwi się to nie podobało. Na skutek nalegań biskupów jej jedyne dziecko, Marina, zostało wydane za bojara gospodarującego na odległych ziemiach, wiele dni drogi od Moskwy.

Piotr często błogosławił swoje szczęście. Jego żona była równie mądra, jak urodziwa, kochała go, a on kochał ją. Nigdy nie mówiła o swojej matce, a on nigdy o nią nie pytał. Ich córka Olga była zwyczajną dziewczyną, ładną i miłą. Nie potrzebowali kolejnej córki, a już na pewno nie dziedziczki domniemanych mocy dziwacznej babki.

– Jesteś pewna, że masz na to siłę? – zapytał wreszcie Piotr. – Już przyjdzie na świat Aloszy nas zaskoczyło, a to było trzy lata temu.

– Tak. – Marina odwróciła się do niego. Jej dłoń zacisnęła się wolno

w pięść, lecz Piotr tego nie zauważył. – Urodzę ją.

Zapadła cisza.

– Marino, twoja matka była... – zaczął.

Marina ujęła jego dłoń i wstała, a on objął ją w pasie i poczuł, że sztywnieje pod jego dotknięciem.

– Nie wiem – odrzekła Marina. – Miała moc, którą ja nie zostałam obdarzona. Pamiętam, jak w Moskwie szeptały o tym szlachetnie urodzone panie. Ta moc przysługuje jednak z urodzenia kobietom z jej rodu. Olga jest bardziej twoją córką niż moją, lecz ta... – uniosła rękę i wykonała taki gest, jakby kołysała niemowlę – ta będzie inna.

Piotr przytulił żonę, a ona przywarła do niego, nagle pełna napiętości. Czuł bicie jej serca przy swojej piersi. Czuł jej ciepło. Wdychał zapach jej włosów umytych starannie w łaźni.

Już późno, pomyślał. Po co szukać kłopotów? Rolą kobiet jest rodzenie dzieci. Żona dała mu ich już czworo, z pewnością jednak zdoła urodzić jeszcze jedno. Jeśli dziecko okaże się pod jakimś względem dziwne, cóż, będą się martwić potem.

– Wydadź ją zatem zdrową na świat, Marino Iwanowno – powiedział, a żona się uśmiechnęła. Stała tyłem do ognia, więc nie dostrzegł jej mokrych od łez rzęs. Podeszedł do niej, ujął ją pod brodę i pocałował. Na jej szyi pulsowało tętno. Pod ciężkim wełnianym odzieniem była chuda i krucha jak ptaszek.

– Chodź do łóżka – powiedział. – Jutro będzie mleko. Mama jagnięcia da nam go trochę, a Dunia coś ci z niego upiecze. Musisz teraz myśleć o dziecku.

Marina przywarła do niego całym ciałem. Wziął ją na ręce, jak za czasów narzeczeństwa, i okręcił się z nią, a ona wybuchnęła śmiechem i objęła go za szyję. Na chwilę jednak jej spojrzenie padło na ogień, jakby z płomieni mogła wyczytać przyszłość.

– Pozbądź się go – powiedziała Dunia nazajutrz. – Nie obchodzi mnie, czy nosisz dziewczynkę, czy księcia albo proroka. – Od świtu padał deszcz ze śniegiem, a za oknami dął wiatr. Kobiety przycupnęły przy piecu, by się ogrzać i mieć światło potrzebne do cerowania. Dunia energicznie wbiła igłę w materiał. – Im szybciej, tym lepiej. Nie masz ani wystarczającej wagi, ani siły, by mieć dziecko, a gdybyś jakimś cudem zdołała je donosić, poród cię zabije. Dałaś już mężowi trzech synów, masz też córkę, po co ci kolejne dziecko? – Dunia była nianią Mariny w Moskwie, przyjechała wraz z nią do domu jej męża i niańczyła czworo jej dzieci. Nie bała się mówić tego, co myśli.

– Ładna mi rada, Duniaszko – powiedziała Marina, uśmiechając się drwiąco. – Co by powiedział ojciec Siemion?

– Ojciec Siemion nie musi się obawiać, że umrze w połogu, prawda? Podczas gdy ty, Maruszeko...

Marina opuściła wzrok na robótkę i nic nie odrzekła. Kiedy jednak spojrzała w zmrużone oczy starej niani, twarz miała bladą i przezroczystą niczym woda, i Dunia wyobraziła sobie, że widzi krew krążącą w jej żyłach. Przeszył ją dreszcz.

– Dziecko, co ty zobaczyłaś?

– Nieważne – szepnęła Marina.

– Pozbądź się go – powtórzyła Dunia niemal błagalnie.

– Duniu, muszę ją urodzić. Ona będzie taka jak moja matka.

– Twoja matka! Obdarta dziewczyna, która przybyła samotnie z lasu? I stała się bladym cieniem samej siebie, bo nie mogła znieść życia za bizantyjskimi parawanami! Czyżbyś zapomniała tę siwą wiedźmę o tępym spojrzeniu, w którą się przemieniła? Kuśtykającą w welonie do cerkwi? Ukrywającą się w swoich komnatach, objadającą się, aż zrobiła się tłusta? Twoja matka! Czy takiego losu pragniesz dla któregośkolwiek ze swoich dzieci?

Głos Duni przypominał krakanie kruka, ponieważ ku swej rozpaczce dobrze pamiętała dziewczynę, która zjawiła się na dworze Iwana Kality,

zagubioną, kruchą i przejmująco piękną, potrafiącą czynić cuda. Iwan był nią zauroczony.

Księżna... cóż, może odnalazła przy nim spokój, przynajmniej na jakiś czas, lecz umieszczono ją w kobiecym skrzydle pałacu, ubierano w ciężkie brokaty, dano ikony, służące i karmiono tłustym mięsiwem, a olśniewający blask, który z niej bił i wszystkim zapierał dech, stopniowo bladł. Dunia opłakiwała jej odejście na długo przed tym, nim złożono ją do grobu.

Marina uśmiechnęła się gorzko i pokręciła głową.

– Nie. Ale pamiętasz, co było przedtem? Opowiadałaś mi przecież.

– I jaki pożytek miała z magii czy cudów? – mruknęła Dunia.

– Odziedziczyłam tylko trochę jej mocy. – Marina zignorowała słowa starej niani, a Dunia знаła swoją panią na tyle dobrze, by usłyszeć w jej głosie żal. – Moja córka jednak dostanie jej więcej.

– I to wystarczający powód, żeby osierocić pozostałą czwórkę?

Marina spuściła wzrok na podolek.

– Ja... nie... Tak. Jeśli będzie trzeba. – Jej głos był ledwie słyszalny. – Ale mogę przeżyć. – Podniosła głowę. – Dasz mi słowo, że się nimi zaopiekujesz?

– Maruszko, jestem stara. Mogę ci to obiecać, lecz jeśli umrę...

– Dadzą sobie radę. Oni... będą musieli. Duniu, nie potrafię przewidzieć przyszłości, ale zdążę jeszcze wydać ją na świat.

Dunia przeżegnała się i nic już więcej nie dodała.



3.

Żebrak i nieznajomy

W dniu, w którym Marina poczuła bóle porodowe, nagimi drzewami targały pierwsze listopadowe wichury i pierwszy krzyk dziecka zlał się z wyciem wiatru. Na widok córeczki Marina roześmiała się radośnie.

– Będzie miała na imię Wasilisa – oznajmiła Piotrowi. – Moja Wasia...

O świcie wiatr ustał. Marina w ciszy wydała ostatnie łagodne tchnienie i umarła.

Śnieg sypał się z nieba niczym łzy, kiedy Piotr z kamienną twarzą składał ciało żony w ziemi. Jego mała córeczka krzyczała przez cały pogrzeb, zawodziła niczym milczący akurat wiatr.

Płacz dziewczynki rozbrzmiewał w domu przez całą zimę. Dunia i Olga załamywały ręce nad tym wątłym i bladym dzieckiem o wielkich oczach i młójących powietrze rączkach i nóżkach. Kola nieraz groził, trochę żartem, a trochę na poważnie, że wyrzuci małą krzykaczkę z domu.

Zima minęła, a dziewczynka wciąż żyła. Przestała krzyczeć i rosła na mleku wieśniaczek.

Kolejne lata ulatywały niczym suche liście na wietrze.

Pewnego dnia, przypominającego ten, w którym przyszła na świat, na samym początku ostrej zimy, czarnowłosa córeczka Mariny wślizgnęła się do zimowej kuchni. Oparła rączki o kamienne palenisko i wyciągnęła szyję,

żeby zajrzeć nad jego krawędź. Oczy jej błyszczały. Dunia wygarniała ciastka z popiołu. W całym domu pachniało miodem.

– Czy ciastka gotowe, Duniaszka? – spytała dziewczynka, niemal wkładając głowę do pieca.

– Prawie – odparła Dunia, chcąc odciągnąć małą, zanim podpali sobie włosy. – Jeśli usiądziesz na stołku, Wasoczka, i zajmiesz się grzecznie cerowaniem bluzki, dostaniesz jedno tylko dla siebie.

Wasia, myśląc o ciastkach, usiadła potulnie na stołku. Sterta ciastek, brązowych z zewnątrz i przyprószonych popiołem, już stygła na stole. Brzeg jednego się ukruszył, w środku było złote niczym pełnia lata, a nad nim unosiła się kręta smużka pary. Wasia przełknęła ślinę. Miała wrażenie, że od kiedy zjadła poranną kaszę, upłynął rok.

Dunia rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie, więc Wasia zacisnęła usta i posłusznie zabrała się do szycia. Dziura w bluzce była ogromna, jej głód potężny, a cierpliwość ograniczona nawet w bardziej sprzyjających okolicznościach. Ścieg stawał się coraz mniej staranny, przypominał szczerbaty uśmiech staruszka. Wasia nie mogła dłużej wytrzymać. Odłożyła bluzkę i podkraśla się bliżej talerza z gorącymi ciastkami, będącego na wyciągnięcie ręki. Dunia stała do niej tyłem, pochylona nad piecem.

Dziewczynka podeszła jeszcze bliżej, skradała się niczym kociak polujący na koniki polne, aż wreszcie rzuciła się na zdobycz i trzy ciastka zniknęły w płóciennym rękawie. Dunia odwróciła się gwałtownie, ale mignęła jej tylko buzia Wasi.

– Wasiu... – zaczęła surowym tonem, Wasia jednak, przestraszona i roześmiana jednocześnie, była już za progiem i nurkowała w ponurość dnia.

Pora roku właśnie się zmieniała, na szarych polach widać było przysypane śniegiem ścierniska. Wasia, chrupiąc miodowe ciastko i przepatrując w myślach najlepsze kryjówki, przebiegła przez podwórze, minęła chaty wieśniaków i wypadła przez bramę. Panował chłód, lecz Wasia, dziecko zimy, na to nie zważała.

Wasilisa Pietrowna była brzydką dziewczynką, chudą jak trzcina,

z dłońmi o długich palcach i ogromnymi stopami. Jej oczy i usta były zbyt duże w stosunku do twarzy, więc Olga nazywała ją żabą. Lecz te oczy przypominały kolorem las podczas letniej burzy, a szerokie usta miały słodki wyraz. Kiedy chciała, Wasia potrafiła być tak rozsądna i bystra, że ilekroć zapominała o zdrowym rozsądku i wpadała na jakiś szalony pomysł, członkowie jej rodziny popatrywali na siebie zaskoczeni.

Na samym skraju skoszonego pola żyta kopiec świeżej ziemi kontrastował ostro z łąkami śniegu. Poprzedniego dnia jeszcze go tam nie było, więc Wasia postanowiła przyjrzeć mu się z bliska. Biegając w podskokach, powąchała wiatr i wiedziała już, że w nocy spadnie śnieg. Chmury wisiały nad drzewami niczym mokra wełna.

Na dnie sporego dołu stał mały chłopiec, dziewięcioletnia miniaturka Piotra Władimirowicza, i wbijał łopatę w zmrożoną ziemię. Wasia stanęła na skraju dołu i zajrzała do środka.

– Co to jest, Lioszka? – spytała z ciastkiem w buzi.

Jej brat oparł się na łopacie i spojrzał na nią, mrużąc oczy.

– A co cię to obchodzi?

Alosza nawet lubił Wasię, bo była gotowa na wszystko – prawie jak młodszy brat – był jednak trzy lata starszy od niej i musiał trzymać ją w ryzach.

– Nie wiem – odparła Wasia, chrupiąc. – Ciastko? – Z żalem wyciągnęła do brata rękę z połówką ostatniego. Było najgrubsze i najmniej pokryte popiołem.

– Daj. – Alosza odrzucił łopatę i wyciągnął brudną rękę, lecz Wasia zwinnie odskoczyła.

– Powiedz mi, co robisz – zażądała. Alosza spiorunował ją wzrokiem, lecz Wasia zmrużyła oczy i wykonała taki gest, jakby chciała zjeść ciastko. Brat się poddał.

– To fort, w którym będzie można mieszkać – wyjaśnił. – Jak przyjdą Tatarzy. Żebym mógł się tu schować i strzelać do nich z łuku.

Wasia nigdy nie widziała żadnego Tataru i nie miała wyobrażenia o tym, jak duży powinien być fort, by się przed nimi bronić. Spojrzała z powątpiewaniem w dół.

– Nie jest zbyt duży – stwierdziła.

Alosza przewrócił oczami.

– Dlatego właśnie kopię, gapo. Żeby go powiększyć. Dasz mi je teraz?

Wasia już miała podać bratu ciastko, lecz się zawahała.

– Ja też chcę kopać dół i strzelać do Tatarów.

– No, ale nie możesz. Nie masz łuku ani łopaty.

Dziewczynka się naburmuszyła. Alosza dostał nóż i łuk na siódmą rocznicę chrztu, lecz jeśli chodziło o broń dla niej, cały rok błagań na nic się zdał.

– Nie szkodzi. Mogę kopać patykiem, a łuk ojciec da mi później.

– Wcale ci nie da.

Alosza nie protestował jednak, kiedy Wasia podała mu pół ciastka i poszła szukać patyka. Przez kilka minut pracowali w przyjaznym milczeniu.

Kopanie za pomocą patyka szybko się przykrzy, nawet jeśli ktoś co chwila podskakuje i wypatruje wrogich Tatarów. Wasia zaczęła się zastanawiać, czy nie uda jej się przekonać Aloszy, żeby dali sobie spokój z budowaniem fortu i zamiast tego połazili po drzewach, gdy nagle padł na nich jakiś cień: to ich siostra Olga opuściła swoje miejsce przy ogniu, żeby odszukać małych uciekinierów. Zdyszana i wściekła przeszływała ich wzrokiem.

– W błocie po uszy! Co powie Dunia? A ojciec...

Rzuciła się, by złapać bardziej niezdarnego Aloszę za kubrak, gdy dzieci wyskoczyły z dołu niczym parka spłoszonych przepiórek.

Wasilisa, jak na dziewczynę, miała długie nogi i była szybka, zresztą dojedzenie w spokoju ostatnich okruszków ciastka warte było bury. Nie oglądając się za siebie, pędziła jak zając przez pole, z piskiem omijając pniaki, aż połknął ją popołudniowy las. Olga została z tyłu, dysząc ciężko i wciąż trzymając Aloszę za kołnierz.

– Dlaczego nigdy jej nie złapiesz? – jęknął Alosza z urazą, gdy Olga wlekła go do domu. – Ma dopiero sześć lat.

– Bo nie jestem Kościej Nieśmiertelny – odparła Olga szorstko. – Nie mam konia, żeby prześcignąć wiatr.

Weszli do kuchni i Olga posadziła Aloszę przy piecu.

– Nie udało mi się złapać Wasi – powiedziała do Duni.

Staruszka wzniosła oczy do nieba. Wasię, jeśli tego nie chciała, bardzo trudno było schwytać i tylko Saszy od czasu do czasu się to udawało. Dunia skierowała swój gniew na skulonego Aloszę. Rozebrała chłopca przy piecu, namydliła szmatką, która musiała być chyba zrobiona z pokrzyw – tak przynajmniej wydawało się Aloszy – i ubrała go w czystą koszulę.

– Co to za wybryki – mamrotała, szorując chłopca. – Następnym razem powiem waszemu ojcu i na resztę zimy zapędzi cię do dźwigania, rąbania i sprzątania obory. Co to za wybryki. Grzebanie w ziemi i kopanie dołów...

Jej tyrada została przerwana, ponieważ do kuchni weszli duzi bracia Aloszy, otrzepując buty ze śniegu. Cuchnęli dymem i stajnią. W przeciwieństwie do Wasi nie uciekali się do podstępów, tylko od razu podeszli do stołu i włożyli do ust po ciastku.

– Wiatr z południa – zwrócił się do siostry najstarszy brat, Nikołaj Pietrowicz, zwany Kolą. Mówił niewyraźnie, bo przeżuwał ciastko. – W nocy będzie padał śnieg. Dobrze, że zwierzęta są w środku i dach został skończony.

Postawił przy ogniu mokre buty i klapnął na stołek, biorąc kolejne ciastko.

Olga i Dunia zmierzyły jego buciory wzrokiem pełnym dezaprobaty. Zmrożone błoto zachlapało czyste palenisko. Olga się przeżegnała.

– Jeśli pogoda się zmieni, jutro połowa wioski będzie chora – oznajmiła. – Mam nadzieję, że ojciec wróci, zanim zacznie padać. – Ściągnęła brwi, licząc oczka robótki.

Drugi młodzieniec się nie odzywał. Położył przy piecu naręcze drewna na opał, przełknął ciastko i uklęknął przed ikonami wiszącymi w kącie

naprzeciwko drzwi. Przeżegnał się, wstał i pocałował wizerunek Najświętszej Marii Panny.

– Znowu się modlisz, Sasza? – zagadnął go Kola wesoło. – Pomódl się, żeby śnieg nie sypał zbyt obficie i żeby ojciec się nie przeziębził – dodał nie bez złośliwości.

Brat wzruszył szczupłymi ramionami. Miał duże poważne oczy o rzęsach gęstych jak u dziewczyny.

– Owszem, Kola, modłę się. Też mógłbyś spróbować.

Podszedł do pieca i zdjął wilgotne skarpetki. Do fetoru błota, kapusty i zwierząt dołączył ostry zapach mokrej wełny. Sasza cały dzień spędził z końmi. Olga zmarszczyła nos.

Kola nie podjął rzuconego mu wyzwania. Oglądał jeden ze swoich przemoczonych butów w miejscu, gdzie futro pękło na szwie. Mruknął z niechęcią i postawił but obok drugiego. Obydwa zaczęły parować. Nad całą czwórką górował piec. Dunia nastawiła już potrawkę na obiad i Alosza wpatrywał się w garnek jak kot w mysia dziurę.

– O jakie wybryki chodziło, Duniu? – zainteresował się Sasza. Wchodząc do kuchni, usłyszał gderanie staruszki.

– Wasia – odparła Olga i przez cały czas dziergając, opowiedziała o ciasteczkach i ucieczce dziewczynki do lasu. Gdy skończyła opowiadać, uśmiechnęła się zrezygnowana, a na jej policzku pojawił się maleńki dołeczek. Wciąż była pulchna po letniej obfитоści, twarz miała okrągłą i śliczną.

Sasza się roześmiał.

– No cóż, Wasia wróci, kiedy zgłodnieje – stwierdził i przeszedł do ważniejszych spraw: – Czy w tej potrawce jest szczupak, Duniu?

– Lin. Oleg przyniósł cztery o świcie. Ale przecież ta wasza dziwna siostra jest za mała, żeby samotnie włóczyć się po lesie.

Sasza i Olga spojrzeli na siebie i bez słowa wzruszyli ramionami. Wasia znikająca w lesie, odkąd nauczyła się chodzić. Wracająca w samą porę na obiad,

zarumieniona i skruszona, stąpając niczym kot, i zawsze przynosiła na przeprosiny garść nasion sosny.

Tym razem jednak się mylili. Kruche słońce przewędrowało po niebie i cienie drzew zrobiły się bardzo długie. Wreszcie do domu wrócił sam Piotr Władimirowicz, niosąc bażanta ze skreconą szyją. A Wasi wciąż nie było.

Wczesnozimowy las był cichy, między drzewami zalegała gruba warstwa śniegu. Wasilisa Pietrowna, na wpół zawstydzona, na wpół zadowolona ze zdobytej wolności, zjadła ostatnią połówkę miodowego ciastka, siedząc na zimnym konarze drzewa, wsłuchana w ciche odgłosy sennego lasu.

– Wiem, że śpisz, kiedy nadchodzi śnieg – powiedziała na głos. – Ale może mógłbyś się jednak obudzić? Patrz, mam ciastka.

Na dowód wyciągnęła dłoń, na której leżały same okruchy, i odczekała chwilę, jakby naprawdę spodziewała się odpowiedzi. Ta jednak nie nadeszła, jeśli nie liczyć delikatnego szumu wiatru kołyszącego koronami drzew.

Dziewczynka wzruszyła ramionami, zjadła okruszki i przez chwilę biegała po lesie, szukając nasion sosny. Niestety, wszystkie zjadły wiewiórki, a las był zimny nawet dla niej, nawykłej do chłodu. Wreszcie otrzepała ubranie z lodu i kory, po czym ruszyła w stronę domu, bo ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Las był gęsty od cienia, coraz krótsze dni prędko przechodziły w noc, więc Wasia przyspieszyła kroku. Dostanie straszliwą burę, ale Dunia na pewno zostawiła dla niej obiad.

Szła i szła, aż wreszcie zatrzymała się, marszcząc czoło. W lewo, przy szarej olszy, naokoło wielkiego starego wiązu i już powinna zobaczyć ojcowskie pola. Wędrowała tędy tysiące razy. Teraz jednak nie było ani olszy, ani wiązu, jedynie kępa świerków o czarnych igłach i mała zaśnieżona łączka. Wasia odwróciła się gwałtownie i spróbowała iść w inną stronę. Nie, tam rosły smukłe buki, białe niczym dziewczęta, nagie zimą i drżące. Dziewczynka poczuła się nieswojo. Niemożliwe, żeby zabłądziła, jeszcze nigdy jej się to nie zdarzyło. Równie dobrze mogłaby zabłądzić we własnym

domu. Wiatr przybrał na sile, potrząsając drzewami, teraz jednak były to drzewa, których nie znała.

Zabłądziłam, pomyślała. Zabłądziła o zmierzchu na początku zimy, a zaraz zacznie padać śnieg. Ruszyła w inną stronę, lecz w tym rozdygotanym lesie nie było ani jednego znanego drzewa. Łzy napłynęły jej do oczu. Zabłądziłam, zgubiłam się! Zatęskniła za Olą i Dunią, zatęskniła za ojcem i Saszą. Tęskniła za zupą, swoim kocem, a nawet za bluzką do zacerowania.

Nagle ujrzała przed sobą dąb i przystanęła. To drzewo było niepodobne do innych, większe, czarniejsze i powykręcane niby złowroga starucha. Wiatr kołysał potężnymi czarnymi konarami.

Wasia, która zaczynała dygotać z zimna, podeszła ostrożnie do dębu i położyła dłoń na jego korze. Była jak na każdym innym drzewie, szorstka i zimna nawet przez futerko rękawiczki. Obeszła dąb, z zadartą głową przepatrując jego gałęzie, po czym spojrzała w dół i omal nie upadła jak długa.

U stóp drzewa, zwinięty w kłębek jak zwierzę, leżał mężczyzna pogrążony w głębokim śnie. Wasia nie widziała jego twarzy, bo zakrywał ją ramionami. Przez dziury w ubraniu przebierała zimna biała skóra. Nie poruszył się, mimo że stała tuż obok niego.

Nie może tak tu spać, gdy z południa idzie śnieg, pomyślała Wasia. Przecież umrze. No i może wie, jak trafić do domu jej ojca. Już wyciągała rączkę, żeby potrząsnąć śpiącym, jednak powstrzymała się i zamiast tego wykrzyknęła:

– Dziadku, obudź się! Przed wschodem księżyca zacznie padać śnieg. Obudź się!

Przez długą chwilę mężczyzna nawet nie drgnął, lecz gdy Wasia zbierała się na odwagę, żeby położyć rączkę na jego ramieniu, rozległo się nosowe mruknięcie, mężczyzna uniósł głowę i zamrugał jednym okiem.

Dziewczynka się cofnęła. Jedna połowa jego twarzy była zwyczajna, choć nieco toporna, oko szare. Drugiego oka nie było, a ta połowa twarzy

stanowiła kłębowisko sinawych blizn.

Zdrowe oko mrugało posepnie, mężczyzna przysiadł na piętach, żeby lepiej przyjrzeć się dziewczynce. Był chudy, obdarty i brudny, przez dziury w jego koszuli Wasia widziała sterczące żebra, lecz kiedy przemówił, jego głos był silny i głęboki:

– No, dawno nie widziałem rosyjskiej dziewczynki.

– Wiesz, gdzie jesteśmy, dziadku? – spytała, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. – Zabłądziłam. Moim ojcem jest Piotr Władimirowicz. Jeśli zaprowadzisz mnie do domu, każe cię nakarmić i da ci miejsce przy piecu. Będzie padać śnieg.

Jednooki nagle się uśmiechnął. Jego wargę wykrzywiały dwa kły dłuższe od reszty zębów. Wstał, a Wasia zobaczyła, że jest wysoki i grubokościsty.

– Czy wiem, gdzie jesteśmy? Ależ oczywiście, *diewoczka*. Zaprowadzę cię do domu, ale musisz tu podejść i mi pomóc.

Wasia, rozpieszczana od urodzenia, nie miała szczególnych powodów, by być nieufna, a jednak nie ruszyła się z miejsca.

Szare oko się zmrużyło.

– Co to za dziewczynka, która przychodzi tutaj zupełnie sama? Te oczy...
– ściszył głos. – Prawie pamiętam... No, podejdz tutaj – poprosił przymilnie.
– Twój ojciec będzie się martwił.

Wbił w nią spojrzenie szarego oka. Wasia ściągnęła brwi i zrobiła mały krok w jego stronę. Potem jeszcze jeden. Mężczyzna wyciągnął do niej rękę.

Nagle dał się słyszeć chrzęst kopyt na śniegu i parskanie konia. Jednooki drgnął, upadł na ziemię i się skulił, a dziewczynka zatoczyła się do tyłu. Na polanę wjechał jeździec na koniu. Koń był biały i silny, a kiedy jeździec zeskoczył z jego grzbietu, Wasia zobaczyła, że jest smukły i kościsty, skóra na jego policzkach i szyi napięta, a oczy pałają niebieskim światłem. Miał na sobie płaszcz z grubego futra.

– Co tu się dzieje? – spytał.

Obdarty mężczyzna skulił się jeszcze bardziej.

– Nie twój interes – warknął. – Ona przyszła do mnie, jest moja.

Przybysz wbił w niego przejrzyste zimne spojrzenie. Jego głos wypełnił całą polanę:

– Czyżby? Śpij, *miedwied'*, już zima.

I jakby mimo woli mężczyzna nazwany „niedźwiedziem” ułożył się na powrót między korzeniami dębu, a jego szare oko zaszło mgłą.

Jeździec odwrócił się w stronę Wasi. Dziewczynka wycofywała się powoli, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

– Skąd się tu wzięłaś, *diewoczka*? – spytał mężczyzna władcym tonem.

Wasia była tak zdezorientowana, że po jej policzkach popłynęły łzy. Zachłanna twarz jednookiego napawała ją przerażeniem, lecz zawzięta natarczywość tego przybysza również budziła jej strach. W jego spojrzeniu było jednak coś takiego, że przestała płakać i podniosła wzrok ku jego twarzy.

– Jestem Wasilisa Pietrowna – przedstawiła się. – A mój ojciec to pan Leśnej Ziemi.

Patrzyli na siebie przez chwilę, jednak odwaga Wasi szybko zniknęła. Dziewczynka obróciła się na pięcie i puściła biegiem. Nieznajomy nie próbował jej ścigać. Gdy podeszła do niego jego klacz, stwierdził:

– Staje się coraz silniejszy.

Klacz zastrzygła uchem.

Nie powiedział nic więcej, tylko raz jeszcze popatrzył za uciekającą dziewczynką.

Gdy Wasia wyszła z cienia dębu, zdumiała się, jak szybko zapadła noc. Pod drzewem panował dziwny mrok, teraz jednak była już ciemna noc, wełnista i ponura przed nadejściem śniegu. Las przeszywały światła

poходni i rozpaczliwe nawoływania. Wasia nie zważała na nie, bo znów rozpoznawała drzewa i pragnęła jak najszybciej znaleźć się w ramionach Olgi i Duni.

Nagle z ciemności wyłonił się galopujący koń. Jeździec nie miał pochodni. Klacz dostrzegła dziewczynkę chwilę wcześniej niż on i zatrzymała się gwałtownie, stając dęba. Wasia przewróciła się i obtarła sobie rękę. Włożyła piastkę do ust, żeby stłumić płacz, a jeździec wymamrotał wiązanek przekleństw. Wasia знаła ten głos i po chwili znalazła się w objęciach brata.

– Saszka – szlochała, wtulając twarz w jego szyję – zabłądziłam. W lesie był mężczyzna. Dwóch mężczyzn. I biały koń, i czarne drzewo. Tak się bałam.

– Jacy mężczyźni? Gdzie, dziecino? Nic ci się nie stało? – dopytywał się Sasza. Odsunął ją od siebie i zaczął ostrożnie sprawdzać, czy nic jej nie jest.

– Nie – odrzekła Wasia drżącym głosem. – Nie, tylko mi zimno.

Sasza nic nie powiedział. Widziała, że jest zły, chociaż delikatnie posadził ją na koniu. Sam wskoczył na siodło za nią i otulił ją połą peleryny. Wasia, bezpieczna, z policzkiem przytulonym do skóry jego pasa, przestała płakać.

Zazwyczaj Sasza pozwalał młodszej siostrzyczce wszędzie za sobą łązić, uśmiechał się pobłaźliwie, gdy próbowała podnieść jego miecz czy szarpała cięciwę łuku. Rozpieszczał ją, dając chociażby ogarek świecy czy garść orzechów laskowych. Teraz jednak strach o nią zamienił się we wściekłość i podczas jazdy nie odezwał się do siostry ani słowem.

Wykrzykiwał za to na prawo i lewo, by wieść o uratowaniu Wasi rozeszła się wśród szukających jej mężczyzn. Gdyby nie została odnaleziona przed nadejściem śniegu, umarłaby w nocy, a jej szczątki odkryto by, dopiero gdy wiosna rozpuściłaby śnieżny całun – o ile w ogóle by na nie natrafiono.

– *Dura* – mruknął Sasza, kiedy skończył nawoływać. – Głuptasie, co cię napadło? Żeby uciekać przed Olgą, ukrywać się w lesie? Uważasz się za leśnego chochlika czy może zapomniałaś, jaką mamy porę roku?

Wasia pokręciła głową. Dygotała tak, że dzwoniły jej zęby.

– Chciałam zjeść ciastko – wyjąkała. – Ale zabłądziłam. Nie mogłam znaleźć tego pnia wiązu. Koło dębu spotkałam mężczyznę. Dwóch mężczyzn. I konia. A potem zrobiło się ciemno.

Sasza ściągnął brwi nad główką siostry.

– Opowiedz mi o tym dębie – poprosił.

– Był stary. Miał sterczące korzenie. I jedno oko. Mężczyzna, nie dąb.

Wasia dygotała coraz bardziej.

– No już, nie myśl o tym teraz – powiedział Sasza, poganiając zmęczonego konia.

Olga i Dunia wyszły za próg. Po twarzy starej niani płynęły łzy, a Olga była biała niczym Śnieżynka, śnieżna dziewczyna z bajki. Wygarnęły z pieca wszystkie węgle i zalały wodą gorące kamienie, aby unosiła się z nich para. Wasia została bezceremonialnie rozebrana i wepchnięta w otwór pieca, żeby się rozgrzała.

Gdy tylko ją wyciągnięto, rozpoczęło się łajanie.

– Żeby kraść ciastka – utyskiwała Dunia. – Uciekać siostrze. Jak mogłaś tak nas wystraszyć, Wasoczka? – Staruszka się rozpłakała.

– Przepraszam, Duniu. Przepraszam, przepraszam – szepnęła zmęczona i skruszona Wasia.

Została natarta okropnymi ziarnami gorczycy i wysmagana ostrymi gałązkami brzozy, żeby jej krew żwawiej krążyła. Dunia i Olga owinęły ją w wełnę, zabandażowały otartą dłoń i wlały do gardła zupę.

– To było bardzo złe, Wasiu – powiedziała Olga. Przyglądała siostrze włosy, kołysząc ją na kolanach. Wasia szybko zasnęła. – Dostyc na dzisiaj, Duniu – dodała Olga. – Zdamy nagadać się jutro.

Przeniosły Wasię na piec, a Dunia położyła się obok niej.

Teraz, kiedy siostra wreszcie spała, Olga opadła zmęczona na stołek przy ogniu. Ojciec i bracia jedli w kącie potrawkę, wszyscy trzej z marsowymi minami.

– Nic jej nie będzie – rzekła do nich. – Nie wydaje mi się, żeby była

przeziębiona.

– Za to każdy, kto został wyciągnięty z domowego ciepła, żeby jej szukać, mógł się przeziębic – zachnął się Piotr.

– Ja też mogłem – włączył się Kola. – Po całym dniu naprawiania ojcowskiego dachu człowiek chce zjeść spokojnie kolację, a nie jeździć po nocy z pochodnią. Jutro złożę jej skórę.

– I co to da? – spytał Sasza chłodno. – Nieraz dostała już pasem. Wychowanie dziewczynek to nie zadanie dla mężczyzn. Tu trzeba kobiety. Dunia jest stara. Ola wkrótce wyjdzie za mąż, a wtedy cały ciężar opieki nad małą spadnie na staruszkę.

Piotr milczał. Odkąd pochował żonę, minęło sześć lat, a on nawet nie pomyślał o innej kobiecie, chociaż niejedna przyjęłaby jego oświadczenia. Ale najmłodsza córka go przerażała.

Kiedy Kola poszedł się położyć, a on i Sasza siedzieli w ciemności, patrząc, jak przed ikoną dopala się świeczka, Piotr zapytał:

– Uważasz, że powinienem zapomnieć o waszej matce?

– Wasia nigdy jej nie poznała – odrzekł Sasza – a obecność rozsądnej kobiety, nie siostry ani dobrotliwej starej niani, dobrze by jej zrobiła. Wkrótce trudno będzie nad nią zapanować, ojczu.

Długo milczeli, wreszcie Sasza powiedział cicho:

– To nie wina Wasi, że mama umarła.

Piotr nic nie odpowiedział, więc Sasza wstał, skłonił się ojcu i zdmuchnął świeczkę.



Wielki Książę Moskiewski

Następnego dnia Piotr spuścił córce lanie, a ona płakała, choć nie bił jej zbyt mocno. Dostała zakaz opuszczania wioski, ale akurat tym razem nie uznała tego za karę. Była przeziębiona i miała koszmary, w których powracał jednooki mężczyzna, koń i tajemniczy jeździec, których spotkała na leśnej polanie.

Sasza, nic nikomu nie mówiąc, przemierzał las na wschód, wypatrując jednookiego mężczyzny i dębu o wystających korzeniach. Nie znalazł jednak ani jednego, ani drugiego, a potem przez trzy dni padał śnieg, obficie i nieprzerwanie, więc nikt nie wychodził z domu.

Ich życie, jak zawsze zimą, ograniczało się teraz do jedzenia, spania i drobnych prac domowych wykonywanych jakby w półśnie. Cały świat zdawał się trwać uśpiony pod zaspami. Pewnego mroźnego wieczoru Piotr siedział na stołku i wyglądał prosty jesionowy kij, by zrobić z niego trzonek siekiery. Twarz miał ściągniętą, a minę posepną, bo przypominał sobie to, o czym starał się zapomnieć. „Opiekuj się nią”, powiedziała Marina przed tyłu już lata, gdy śmiertelna słabość wysysała wszelki kolor z jej prześlicznej twarzy. „Wybrałam ją, ona jest ważna. Pietia, obiecuj mi”.

Pogrążony w żalu Piotr złożył obietnicę, a wtedy żona puściła jego dłoń, opadła na poduszkę i spojrzała w przestrzeń gdzieś poza nim. Uśmiechnęła się łagodnie i radośnie, jednak Piotr odniósł wrażenie, że ten uśmiech nie był

przeznaczony dla niego. Nie odezwała się już więcej i umarła o szarej godzinie przed świtem.

A potem, wspominał Piotr, wykopali dół, by ją w nim pochować, a ja nawrzeszczałem na kobiety, które nie chciały mnie wpuścić do jej pokoju. Sam owinąłem zimne ciało Mariny, wciąż cuchnące krwią, i własnymi rękami złożyłem je do grobu.

Przez całą zimę Wasia krzyczała przeraźliwie, a on nie mógł spojrzeć maleństwu w twarz, ponieważ Marina wybrała ją, a nie jego.

No cóż, teraz musi to naprawić.

Zmierzył niechętnym wzrokiem trzonek siekiery.

– Wybieram się do Moskwy, kiedy zamarzną rzeki – oznajmił, przerywając ciszę.

Wywołał tym burzę okrzyków. Wasia, która drzemała otumaniona gorączką i gorącym miodem pitnym, pisnęła i wystawiła głowę nad krawędzi pieca.

– Do Moskwy, ojczyzna? – zdziwił się Kola. – Znowu?

Piotr zacisnął usta. Iwan Iwanowicz, przyrodni brat Mariny, był Wielkim Księciem i przez wzgląd na rodzinę Piotr starał się utrzymywać z nim dobre stosunki. Poprzednio wyprawił się do Moskwy w pierwszą straszną zimę po śmierci żony. Nie zdecydował się jednak powtórnie ożenić ani wtedy, ani później.

– To znaczy tym razem, żeby znaleźć żonę? – domyślił się Sasza.

Bojar przytaknął krótko, czując na sobie ciężar spojrzeń swoich dzieci. Na prowincji było dość kobiet, lecz moskiewska dama oznaczała koneksje i pieniądze. Przychylność Iwana dla męża zmarłej siostry nie będzie przecież trwać wiecznie, a ze względu na małą córeczkę Piotr potrzebował nowej żony. Tylko... Marino, głupiec ze mnie, ale trudno mi to sobie nawet wyobrazić...

– Sasza i Kola pojedą ze mną – dodał.

W jednej chwili potępienie malujące się na twarzach synów zamieniło się

radość.

– Do Moskwy, ojczyzna? – zdumiał się Kola.

– To dwa tygodnie jazdy, jeśli wszystko pójdzie dobrze – odparł Piotr. – Będę was potrzebował po drodze, a wy nigdy nie byliście na książęcym dworze. Wielki Książę powinien was poznać.

W kuchni zapanował chaos. Chłopcy wydawali radosne okrzyki, a Wasia i Alosza domagali się, by ojciec zabrał również ich. Olga błagała o klejnoty i piękne tkaniny, a starsi chłopcy odcinali się chętnie i wieczór upłynął na kłótniach, prośbach i domysłach.

Po zimowym przesileniu śnieg padał trzy razy, tworząc na ziemi grubą zbitą warstwę, a po ostatnich opadach przyszedł mróz tak potężny, że mężczyznom oddech zatrzymywał się w nosie, a wszystko, co słabe, zwykle w nocy umierało. Dużo śniegu oznaczało bezpieczną sanne, szlaki biegnące pokrytymi śniegiem i skutymi lodem rzekami były gładkie jak szkło, a drogi zrobiły się przejezdne – latem pełne były kolein, na których łamały się ośki kół. Chłopcy obserwowali niebo, kręcili się po domu, nacierali buty tłuszczem i czyścili cienkie jak włos krawędzie włóczni.

Wreszcie nadszedł wielki dzień. Piotr i jego synowie wstali, gdy było jeszcze ciemno, a kiedy tylko zaczęło świtać, wyszli na podwórze. Ludzie Piotra już się tam zebrali. Mroźny brzask zaczerwienił im twarze, konie przestępowały z nogi na nogę i parskały, wydychając kłęby pary. Jeden z mężczyzn osiodłał Wichra, pełnego temperamentu mongolskiego ogiera Piotra, i teraz z całej siły trzymał kantar, aż zbieleły mu knykcie. Piotr klepnął wierzchowca, zręcznie uniknął jego kłapiących zębów i wskoczył na siodło. Służący wycofał się z ulgą, sapiąc z wysiłku.

Piotr poświęcał swojemu nieprzewidywalnemu ogierowi tylko część uwagi, resztę skierował na chaos panujący na podwórzu.

Przed stajnią roило się od ludzi, zwierząt i sań. Obok skrzyń z pszczelim woskiem i świecami piętrzyły się futra. Słoje z miodem pitnym i zwykłym

walczyły o miejsce z pakunkami z suchym prowiantem. Kola, z nosem czerwonym od porannego zimna, pilnował załadunku ostatnich sań. Miał czarne oczy matki. Młode służące chichotały, kiedy przechodził obok nich.

Jeden z koszy spadł z łomotem, wzbijając tuman suchego śniegu niemal pod nogami zaprzęzonego do sań konia. Spłoszone zwierzę szarpnęło się do przodu i w bok, Kola uskokzył mu z drogi, a Piotr ruszył w tamtą stronę, lecz Sasza go wyprzedził. Zeskoczył z klaczy lekko jak kot i już po chwili trzymał konia za kantar, szepcząc mu coś do ucha. Koń natychmiast się uspokoił i był wyraźnie zawstydzony. Piotr patrzył, jak Sasza wyciąga rękę i wydaje jakieś polecenie. Przywołani ludzie chwycili cugle konia i podnieśli nieszczęsny kosz. Sasza dodał coś jeszcze, uśmiechając się, i wszyscy wybuchnęli śmiechem, po czym wsiadł na swoją klacz. Trzymał się w siodle lepiej niż brat, lubił konie i z gracją nosił miecz. Urodzony wojownik, pomyślał Piotr, a także przywódca. Udali nam się synowie, Marino.

Przez kuchenne drzwi wybiegła Olga, a za nią truchtała Wasia. Haftowany sarafan[1] dziewczynki kontrastował z bielą śniegu. Olga niosła w fartuchu, trzymanym obiema rękami, ciemne kruche bochenki chleba prosto z pieca. Kola i Sasza natychmiast do niej podeszli. Gdy drugi brat zajadał chleb, Wasia pociągnęła go za pelerynę.

– Dlaczego nie mogę jechać z wami, Saszka? – spytała. – Będę wam gotowała kolacje. Dunia pokazała mi, jak to się robi. Mogę jechać z tobą na koniu. Jestem dość mała. – Obiema rączkami uchwyciła się jego peleryny.

– Nie w tym roku, żabko – odparł Sasza. – To prawda, jesteś mała, zbyt mała. – Widząc jej smutne spojrzenie, uklęknął na śniegu i włożył jej w dłoń resztkę chleba. – Jedz i rośnij silna, siostrzyczko – powiedział – żebyś też mogła kiedyś podróżować. Niech Bóg ma cię w opiece. – Położył dłoń na jej główce, po czym znów wskoczył na swoją gniadą Mysz.

– Saszka! – zawołała Wasia, lecz on już odjechał i wydawał pospieszne polecenia ludziom ładującym ostatnie sanie.

Olga wzięła siostrzyczkę za rękę.

– Chodź, Wasoczka – szepnęła łagodnie, gdy dziewczynka się ociągała.

Podbiegły do Piotra. W dłoni Olgi stygł ostatni bochenek chleba.

– Szczęśliwej podróży, ojciec – powiedziała.

Jakże mało moja Ola przypomina matkę, pomyślał Piotr. Nie licząc urody. I dobrze – Marina była niczym jastrząb w klatce. Olga jest spokojniejsza. Dobrze wydam ją za męża.

– Niech Bóg ma was w opiece. – Uśmiechnął się do córek. – Może przywiozę ci męża, Olu.

Wasia wydała dźwięk przypominający stłumione warknięcie. Olga zaczerwieniła się, zaśmiała i omal nie upuściła chleba. Piotr pochylił się w porę, żeby go złapać, zadowolony, że nie pozwolił mu upaść na ziemię. Olga nacięła skórkę i nałożyła do środka miodu, który roztopił się od gorąca. Piotr oderwał spory kawałek – wciąż miał mocne zęby – i żuł błogo w milczeniu.

– A ty, Wasiu – dodał po chwili surowym tonem – słuchaj siostry i trzymaj się blisko domu.

– Tak, ojciec – odparła Wasia, spoglądając tęsknie na konie.

Piotr otarł usta wierzchem dłoni. Kłębiący się tłum uformował coś na kształt szyku

– Żegnajcie, córeczki – powiedział Piotr. – Jedziemy! Uważajcie na sanie!

Olga smętnie kiwnęła głową, a Wasia stała ze zbuntowaną miną. Rozległ się chór okrzyków, trzaskanie z biczów i wszyscy odjechali.

Olga i Wasilisa zostały same na podwórzu, wsłuchane w dzwonki sań, aż ucichły w oddali.

Dwa tygodnie po tym, gdy wyruszyli, z dużym opóźnieniem, lecz bez przygód, Piotr i jego synowie minęli rubieżę Moskwy, tej gniewnej, napuszonej faktorii na brzegach rzeki o tej samej nazwie. Poczuli zapach miasta, zanim je zobaczyli, gdyż zasnuwały je dymy dziesięciu tysięcy pieców, a przez mgłę przezierały niewyraźnie jedynie lśniąca kopuły. Aż

wreszcie ujrzeli samo miasto, krzepkie i nędzne, niczym piękna kobieta o stopach oblepionych brudem. Nad głowami nędzarzy wznosiły się dumnie złote wieże, a postacie na zdobionych złotem ikonach patrzyły z nieodgadnionymi minami, jak księżęta i żony rolników całują ich surowe twarze i modlą się do nich.

Ulice pokrywała śnieżna breja deptana niezliczonymi stopami. Żebracy o nosach szerniałych z zimna czepiali się strzemion chłopców. Kola odganiał ich kopniakami, a Sasza ścisnął ich brudne dłonie. Ulice skręcały to w jedną, to w drugą stronę. To była długa i powolna jazda. Gdy dotarli wreszcie, zmęczeni i zbryzgani błotem, pod ogromną drewnianą bramę łączoną brązem i zwieńczoną wieżami, czerwone słońce chyliło się ku zachodowi. Drogę obserwowały dziesiątki włóczyków, na murach czuwali łucznicy.

Strażnicy przeszywali zimnym wzrokiem Piotra, jego sanie i synów, lecz on wręczył dowódcy słój dobrego miodu pitnego i ich zacięte twarze natychmiast złagodniały. Piotr najpierw pokłonił się dowódcy, a następnie jego podwładnym, i strażnicy przepuścili ich przy akompaniamencie chóralnych wyrazów uszanowania.

Kreml stanowił osobne miasto: były tam pałace, chaty, stajnie, kuźnie i niezliczone cerkwie w ciągłej przebudowie. Chociaż oryginalne ściany wzniesiono z podwójnej warstwy dębu, przez lata drewno przegniło na wióry. Przyrodni brat Mariny, Wielki Książę Iwan Iwanowicz, zlecił zastąpienie ich mocniejszym budulcem. W powietrzu unosiła się woń gliny, którą oblepiano drewno, co miało być ochroną przed pożarem, lecz raczej marną. Cieśle nawoływali się, strąsając z bród trociny. Służący, popi, bojarzy, strażnicy i kupcy tłoczyli się i sprzeczali. Tatarzy dosiadający wspaniałych koni mijali się z rosyjskimi kupcami powożącymi wyładowanymi saniami. Wszyscy krzyczeli na siebie pod byle pretekstem. Kola gapił się na to z wytrzeszczonymi oczami, unosząc wysoko głowę, by ukryć zdenerwowanie. Nagle jego koń przystanął, reagując na ściągnięcie wodzy.

Piotr, który był już w Moskwie, w kilku stanowczych słowach wynajął

stajnię dla koni, a także miejsce dla sań.

– Pilnuj koni – przykazał Olegowi, najsolidniejszemu z parobków. – Nie zostawiaj ich bez opieki.

Ponieważ wszędzie kręcili się beczynni słudzy, podstępni kupcy i bojarzy odziani w barbarzyńsko wytworne stroje, koń mógł zniknąć w jednej chwili i zostać stracony na zawsze. Oleg skinął głową i szorstkim koniuszkiem palca musnął rękojeść długiego noża, który miał przy pasie.

Wysłali przodem kogoś z wiadomością, że nadjeżdżają, więc pod stajnią czekał na nich posłaniec.

– Wzywają cię, mój panie – zwrócił się do Piotra. – Wielki Książę siedzi przy stole i wita swego brata z północy.

Długo jechali z Leśnej Ziemi. Piotr był brudny, posiniaczony, zmarznięty i wyczerpany.

– Bardzo dobrze – odparł krótko. – Idziemy. Zostaw to. – Ostatnie słowa skierował do Saszy, który wydłubywał grudki lodu z kopyt swojego konia.

Ochlapali brudne twarze zimną wodą, wyciągnęli z tobołków kaftany z grubej wełny i lśniące sobolowe czapy, miecze odłożyli na bok.

Miasto-forteca było skupiskiem cerkwi i drewnianych pałaców, przypominało labirynt. Nogi grzęzły w rozdeptanej śniegowo-błotnej brei, powietrze było ostre od dymu. Piotr szybkim krokiem ruszył za posłańcem. Tuż za nim Sasza zmrużonymi oczami popatrywał na złocone kopuły i malowane wieże. Kola też wodził uważnym wzrokiem, chociaż on przyglądał się raczej pięknym koniom i broni mężczyzn, którzy ich dosiadali.

Wreszcie dotarli do podwójnych dębowych wrót, które otworzyły się, ukazując salę pełną ludzi i psów. Długie stoły ugięły się od jadła. W odległym końcu sali, w wysokim rzeźbionym fotelu siedział jasnowłosy mężczyzna i jadł kawałki ociekającego sosem mięsa.

Iwan II zyskał przydomek Piękny. Nie był już młody, miał około trzydziestu lat. Przed nim rządził jego starszy brat Siemion, lecz on i jego potomstwo pewnego strasznego lata zmarli z powodu zarazy.

Wielki Książę Moskiewski istotnie był niezwykle urodziwy. Jego włosy lśniły niczym najjaśniejszy miód, a złocista uroda przyciągała kobiety. Był także wytrawnym myśliwym, miał mnóstwo psów i koni i był ich prawdziwym znawcą.

Na stole stał półmisek z dzikiem pieczonym w ziołach.

Synowie Piotra przełknęli ślinę. Po dwóch tygodniach zimowej podróży wszyscy byli wygłodzeni.

Piotr przemierzył ogromną salę, a synowie szli za nim. Książę nawet nie podniósł głowy znad posiłku, chociaż ze wszystkich stron padały na nich oceniające lub po prostu zaciekawione spojrzenia. Za fotelem księcia, w kominku dość dużym, by upiec w nim wołu, płonął ogień, rozświetlając oblicza gości, a twarz Iwana spowijając cieniem.

Iwan czubkiem noża nakłuł kawałek mięsa i na jego złotą brodę trysnęła krew.

– Piotr Iwanowicz, nieprawdaż? – spytał powoli, żując mięso, i omiół ich od czapek aż po buty oceniającym spojrzeniem. – Ten, który poślubił moją przyrodną siostrę? – Upił łyk miodu i dodał: – Niech spoczywa w pokoju.

– Tak, Iwanie Iwanowiczu – odparł Piotr.

– Witaj, bracie – powiedział książę i rzucił kość psu czającemu się za jego fotelem. – Co cię tu sprowadza z tak dalekich stron?

– Chciałem przedstawić ci moich synów, *gosudar*. Twoich siostrzeńców. To mężczyźni, którzy wkrótce będą gotowi do ożenku. Ja także pragnę znaleźć dla siebie kobietę, żeby moje najmłodsze dzieci nie musiały dłużej obywać się bez matki.

– Szlachetny zamiar – pochwalił Iwan. – To twoi synowie? – Przeniósł wzrok na chłopców stojących za Piotrem.

– Tak, Nikołaj Pietrowicz, mój najstarszy syn, oraz mój drugi syn, Aleksander. – Kola i Sasza wyłonili się zza pleców ojca.

Wielki Książę omiół ich spojrzeniem, podobnie jak wcześniej Piotra, i zatrzymał wzrok na Saszy. Chłopiec miał zaledwie ślady zarostu i wystające

kości młokosa, lecz stąpał lekko, a jego szare oczy śmiało patrzyły w oczy księcia.

– Miło mi was widzieć, krewniacy – rzekł Iwan, nie odrywając wzroku od młodszego syna Piotra. – Ty, chłopcze, jesteś jak twoja matka. – Zaskoczony Sasza skłonił się i nic nie odpowiedział. Wszyscy milczeli przez chwilę, po czym Iwan dodał głośniejszym głosem: – Piotrze Władimirowiczu, jesteś mile widziany w moim domu i przy moim stole, możesz u mnie zostać, dopóki nie załatwisz swoich spraw.

To powiedziawszy, książę pochylił głowę i bez ceregieli wrócił do zajadania pieczeni. Trzem przybyszom, odprawionym w taki sposób, nie pozostawało nic innego, jak zająć przygotowane pośpiesznie miejsca przy stole. Kola nie potrzebował zachęty, bo po bokach pieczonego dzika spływały gorące soki, a placek ociekał serem i pełny był suszonych grzybów. Pośrodku stołu leżał okrągły powitalny bochen chleba, tuż obok dobrej, książęcej, szarej soli. Kola natychmiast zabrał się do jedzenia, lecz Sasza się powstrzymał.

– Ojczy, Wielki Książę patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby lepiej ode mnie znał moje myśli – powiedział.

– Oni, ci książęta, już tacy są – odrzekł Piotr i nałożył sobie na talerz kawałek gorącego placka. – Wszyscy mają zbyt wielu braci i wszyscy chcą zdobyć kolejne miasta i jeszcze większe zaszczyty. Jeśli nie znają się na ludziach, giną. Strzeż się książąt, synok, bo są niebezpieczni – zakończył, po czym całą uwagę skupił na jedzeniu.

Sasza zmarszczył czoło, pozwolił jednak, by nałożono mu jadło na talerz. Po drodze posilali się dziwnymi potrawkami i twardymi płaskimi podpłomykami i tylko parę razy mieszkańcy mijanych domów poczęstowali ich czymś lepszym. Wielki Książę nikomu nie szczędził jadła, więc wszyscy najedli się do syta.

Po kolacji gościom przydzielono trzy komnaty, zimne i rojące się od robactwa, byli jednak zbyt zmęczeni, żeby na to zważać. Piotr zadbał o miejsce dla sań i nocleg dla swoich ludzi, po czym zwałił się na wysokie

łóże i zapadł w sen bez snów.



5.

Święty starzec ze Wzgórza Makowieckiego

– Ojcie – Sasza aż drżał z podniecenia. – Pop mówi, że na północ od Moskwy, na Wzgórzu Makowieckim, żyje święty starzec. Założył klasztor i zebrał już jedenastu uczniów. Podobno rozmawia z aniołami. Codziennie wielu ludzi jeździ tam po jego błogosławieństwo.

Piotr mruknął coś pod nosem. Siedział już w Moskwie od tygodnia, pochłonięty zabieganiem o względy różnych ważnych osób. Ostatnio odwiedził baskaka, emisariusza Mongołów. Nikt z Saraju, tego miastaskarbca wybudowanego przez najeźdźczą orde, nie raczył wpadać w zachwyty nad nędznymi podarunkami bojara z północy, Piotr jednak uparcie obdarowywał go futrami. Przed baskakiem pojawiały się stopy lisów, gronostajów, królików i soboli, aż wreszcie jego mina stała się mniej protekcyjna i podziękował Piotrowi z wszelkimi oznakami dobrej woli. Takie futra można będzie na dworze chana wymienić na przeróżne towary, a dalej na południe zainteresują się nimi na pewno bizantyjscy możnowładcy. Warto było, myślał Piotr. Pewnego dnia może się ucieszyć, że mam takich sprzymierzeńców.

Piotr był zmęczony i spocony w wytwornym, przetykanym złotem stroju. Nie mógł jednak odpocząć, bo oto jego drugi syn, rozgorączkowany, opowiadał mu o świętych starcach i cudach.

– Zawsze są jacyś święci starcy – zbył Saszę. Nagle zatęsknił za spokojem i prostym jadłem. Moskwianie upodobali sobie bizantyjską kuchnię, która w połączeniu z rosyjskimi składnikami bynajmniej nie służyła jego żołądkowi. Wieczorem czekało go dalsze ucztowanie. I dalsze intrygi. Nadal szukał żony dla siebie oraz męża dla Olgi.

– Ojcze, chciałbym wybrać się do tego klasztoru, jeśli pozwolisz – rzekł Sasza.

– Saszka, w tym mieście nie sposób rzucić kamieniem, by nie trafić w cerkiew – zauważył Piotr. – Po co tracić trzy dni na wyprawę do jeszcze jednej?

Sasza wykrzywił usta i rzekł:

– W Moskwie popi upajają się swoją pozycją. Jedzą tłuste mięsiva, a nędzarzom głoszą w kazaniach pochwałę ubóstwa.

To była prawda. Piotr jednak, chociaż dobry dla swoich ludzi, nie miał abstrakcyjnego poczucia sprawiedliwości. Wzruszył ramionami.

– Twój święty starzec może okazać się taki sam.

– Chciałbym jednak przekonać się o tym na własne oczy. Proszę, ojcze.

Sasza, choć szarooki, miał kruczoczarne brwi i długie, dziwnie delikatne rzęsy matki. Gdy mrugał, rzucały cień na jego szczupłą twarz.

Piotr zaczął się zastanawiać. Drogi były niebezpieczne, lecz ta biegnąca na północ od Moskwy, prowadząca do klasztoru, nie aż tak bardzo, ponieważ jeździło nią dużo ludzi. Nie zamierzał wychować bojaźliwego syna.

– Weź pięciu ludzi i dwa tuziny świec, to powinno zapewnić ci życzliwe przyjęcie.

Twarz chłopca się rozpromieniła. Piotr zacisnął usta. Marina była szkieletem w twardej ziemi, lecz kiedyś widział ją dokładnie taką samą, kiedy radość rozświetlała jej twarz niczym blask ognia.

– Dziękuję, ojcze!

Chłopak wypadł z komnaty gibki jak łasica. Piotr usłyszał, jak woła na dziedzińcu przed pałacem, żądając, by przyprowadzono mu konia.

– Marino, dziękuję ci za takich synów – szepnął Piotr.

Ławra Troicka została zbudowana na pustkowiu. Chociaż stopy pielgrzymów wydeptały ścieżkę w ośnieżonym lesie, drzewa wciąż rosły gęsto po obu jej stronach, dusząc dzwonnicej prostej drewnianej cerkwi. Saszy przypominała się rodzinna wioska w Leśnej Ziemi. Klasztor, złożony głównie z małych drewnianych domków, otaczała solidna palisada. W powietrzu unosił się zapach dymu i świeżo pieczonego chleba.

Saszy towarzyszył Oleg, główny służący.

– Nie możemy wejść tam wszyscy – powiedział Sasza, zatrzymując konia.

Oleg skinął głową. Zsiedli z koni, zadzwoniły wędzidła.

– Ty i ty pilnujcie drogi – rozkazał Oleg dwóm sługom.

Mężczyźni poluźnili koniom popręgi i zaczęli szukać drewna na ognisko. Pozostali przeszli między słupkami wąskiej niezaryglowanej bramy. Potężne drzewa rzucały czarne jak sadza cienie na surowe drewno cerkiewki.

Z jednego z budynków wyłonił się szczupły mężczyzna i otrzepał dłonie z mąki. Nie był zbyt wysoki ani bardzo stary. Szeroki nos miał osadzony między wielkimi przejrzystymi oczami, zielonobrązowymi niczym leśny staw. Odziany był w prosty habit mnicha, teraz obsypany mąką.

Sasza natychmiast go rozpoznał. Mnich mógłby mieć na sobie łańchmany żebraka albo biskupie szaty, a Sasza i tak wiedziałby, że to on. Padł przed nim na kolana.

Mnich przystanął.

– Co cię tu sprowadza, mój synu?

Sasza nie śmiał podnieść na niego wzroku.

– Chciałbym cię prosić o błogosławieństwo, *batiuszka* – zdołał wykrztusić.

Mnich uniósł brew.

– Nie ma potrzeby tak mnie nazywać, nie jestem wyświęcony. Wszyscyśmy boże dzieci.

– Przywieźliśmy świece na ołtarz – wyjąkał Sasza, wciąż klęcząc.

Chuda, brązowa, stwardniała od pracy dłoń ujęła go za łokieć i dźwignęła na nogi. Byli niemal tego samego wzrostu, chociaż chłopiec, mimo iż patykowaty jak żreback, był szerszy w ramionach i jeszcze rósł.

– Tutaj klękamy tylko przed Bogiem – powiedział mnich. Przez chwilę przyglądał się twarzy Saszy. – Piekę dziś chleby na nabożeństwa – dodał nagle. – Chodź mi pomóc.

Chłopak bez słowa kiwnął głową i machnięciem ręki odprawił swoich ludzi.

Kuchnia była surowa i gorąca od płonącego w piecu ognia. Mąka, woda i sól leżały pod ręką, gotowe do wymieszania, wyrobienia i upieczenia w popiele. Przez pewien czas pracowali w milczeniu, lecz było to milczenie swobodne. W tym przysypanym śniegiem miejscu spokój rozpościerał się równie grubą warstwą. Pytania mnicha były tak łagodne, że Sasza właściwie nie zdawał sobie sprawy, że zostały zadane, tylko nieco niezdarnie, bo nie miał w tym wprawy, wałkował ciasto i opowiadał swoją historię: o ojcu, o śmierci matki, o ich podróży do Moskwy.

– A teraz przyjechałeś tutaj – dokończył za niego mnich. – Czego szukasz, mój synu?

Sasza otworzył usta, lecz zaraz je zamknął.

– Ja... sam nie wiem – przyznał wreszcie zawstydzony. – Czegoś.

Ku jego zaskoczeniu mnich się roześmiał.

– Chcesz zatem tu zostać?

Sasza tylko się w niego wpatrywał.

– Życie tu jest ciężkie – rzekł mnich poważnie. – Musiałbyś wybudować sobie własną celę, uprawiać własny ogród, piec sobie chleb, a w razie potrzeby pomagać braciom. Panuje tu jednak taki spokój, jakiego nie znajdziesz nigdzie indziej. Wydaje mi się, że już to poczułeś. – A widząc, że

Sasza stoi oniemiały, dodał: – Tak, tak, przyjeżdża tu wielu pielgrzymów i wielu z nich pyta, czy mogliby zostać, ale my przyjmujemy tylko tych, którzy nie wiedzą, czego szukają.

– Tak – powiedział Sasza powoli. – Tak, bardzo chciałbym zostać.

– Doskonale – odparł Sergiusz z Radoneża i wrócił do pieczenia chleba.

W drodze powrotnej do Moskwy ostro popędzali konie. Oleg nieufnie patrzył na twarz swego młodego pana, na której malował się płomienny zapal. Trzymał się blisko jego strzemienia i postanowił porozmawiać z Piotrem, jednak chłopak zrobił to pierwszy.

Wjechali do miasta podczas krótkiego ognistego zachodu słońca. Na tle fioletowego nieba rysowały się kontury cerkiewnych i pałacowych wież. Sasza zostawił na dworze konia, z którego boków unosiła się para, i wbiegł po schodach do komnat ojca. On i brat właśnie się ubierali.

– Witaj, braciszku – odezwał się Kola na widok Saszy. – Skończyłeś już z klasztorami? – Rzucił Saszy pobłażliwe spojrzenie, po czym znów skierował uwagę na swoje ubrania. Wysuwając czubek języka, założył czapkę z czarnych soboli i przekrzywił ją zawadiacko na czarnych włosach. –

No cóż, wróciłeś w samą porę. Zmyj z siebie brud. Dziś wieczorem ucztujemy i być może rodzina przedstawi nam kobietę, którą ojciec poślubi. Ma wszystkie zęby, wiem to z pewnego źródła, i miły... co powiedziałaś, Sasza?!

– Sergiusz z Radoneża poprosił mnie, żebym dołączył do jego klasztoru na Wzgórzu Makowieckim – powtórzył Sasza głośniej.

Kola patrzył na brata nierozumiejącym wzrokiem.

– Pragnę zostać mnichem – oznajmił Sasza.

To przykuło ich uwagę. Piotr, który wciągał właśnie paradne czerwone buty, odwrócił się gwałtownie, by spojrzeć na syna, i omal nie upadł.

– Po co?! – wykrzyknął Kola, nie kryjąc zdumienia. Sasza zacisnął zęby,

by powstrzymać serię kąśliwych uwag, jakie cisnęły mu się na usta – jego brat złamał już serca wielu pałacowych służących.

– Żeby poświęcić życie Bogu – poinformował Kolę z nutą wyższości.

– Widzę, że ten twój święty starzec wywarł na tobie spore wrażenie – stwierdził Piotr, zanim jego zdumiony starszy syn zdążył dojsć do siebie. Odzyskał równowagę i wciągał właśnie drugi but, z nieco większym być może animuszem, niż to było konieczne.

– Ja... tak, ojcze, to prawda.

– Proszę bardzo, możesz to zrobić.

Kola rozdziawił usta. Piotr postawił stopę na podłodze i wstał. Jego kaftan był w odcieniu ochry, złote pierścienie na jego palcach odbijały blask świecy. Włosy i brodę natarł pachnącym olejkiem, wyglądał zarazem imponująco i obco.

Sasza, który spodziewał się długiej zaciętej walki, wpatrywał się w ojca niepewnie.

– Pod dwoma warunkami – dodał Piotr.

– Jakie to za warunki?

– Pierwszy: nie możesz ponownie odwiedzić tego świętego starca, dopóki nie pojedziesz tam, by wstąpić do zakonu. To zaś nastąpi dopiero po przyszlórocznych żniwach, będziesz więc miał rok, by się namyślić. Drugi: musisz pamiętać, że jako mnich stracisz swoje dziedzictwo, które przypadnie twoim braciom, i nie będziesz miał w życiu nic poza modlitwami.

Sasza przełknął z wysiłkiem ślinę.

– Ale, ojcze, gdybym tylko mógł znów się z nim zobaczyć...

– Nie – przerwał mu Piotr tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Możesz zostać mnichem, jeśli chcesz, musisz jednak to zrobić na trzeźwo, a nie zauroczony słowami tego eremity.

Sasza niechętnie skinął głową.

– Dobrze, ojcze.

Piotr, z twarzą nieco bardziej posępną niż zazwyczaj, odwrócił się, nie dodając już ani słowa, i zamaszystym krokiem zszedł po schodach na dziedziniec, gdzie czekały konie, drzemiąc w gasnącym świetle wieczoru.



6.

Demony

Iwan Piękny miał tylko jednego syna, małego jasnowłosego łobuziaka, Dymitra Iwanowicza. Nauczenie chłopca liter i umiejętności rządzenia państwem powierzono Aleksemu, metropolicie Moskwy, najwyższemu dostojnikowi kościelnemu Rusi, wyświęconemu przez samego patriarchę Konstantynopola. Zdarzały się dni, kiedy Aleksy dochodził do wniosku, że to zadanie przerasta każdego, kto nie jest cudotwórcą.

Chłopcy już od trzech godzin ślęczeli nad brzoźową korą, służącą do pisania: Dymitr i jego starszy kuzyn, Włodzimierz Andriejewicz, młody książę sierpuchowski. Wiercili się i ciągle coś rozlewali. Równie dobrze mógłbym prosić pałacowe koty, żeby siedziały spokojnie i uważały na lekcji, myślał zrozpaczony Aleksy.

– Ojczy! – wykrzyknął Dymitr. – Ojczy!

Do komnaty wszedł Iwan Iwanowicz. Chłopcy zerwali się ze stołków i ukłonili, popychając się nawzajem.

– Zmykajcie, synkowie – rozkazał im Iwan. – Chcę porozmawiać z Jego Świątobliwością.

Chłopcy zniknęli w jednej chwili. Aleksy usiadł na krześle przy piecu i nalał sobie i księciu solidne porcje miodu.

– Jak się sprawuje mój syn? – zapytał Iwan, przysuwając sobie krzesło.

Książę i metropolita znali się od dawna. Aleksy był wobec niego lojalny, zanim jeszcze śmierć Siemiona zapewniła Iwanowi tron.

– Jest śmiały, uczciwy, pełen uroku i zmienny jak motylek – odparł Aleksy. – Będzie dobrym księciem, jeśli pożyje wystarczająco długo. Co cię do mnie sprowadza, Iwanie Iwanowiczu?

– Anna – odrzekł Iwan krótko.

Metropolita ściągnął brwi.

– Pogorszyło jej się?

– Nie. Ale też nigdy jej się nie polepszy. Jest za stara, żeby snuć się po pałacu i niepokoić lud.

Anna Iwanowna była jedynym dzieckiem Iwana z pierwszego małżeństwa. Jej matka zmarła, a macocha nie mogła na nią patrzeć. Kiedy Anna ich mijiała, ludzie szeptali i żegnali się znakiem krzyża.

– Jest wystarczająco dużo klasztorów – zauważył Aleksy. – To prosta sprawa.

– To nie może być klasztor w Moskwie. Moja żona się nie zgodzi. Twierdzi, że jeśli dziewczyna zamieszka w pobliżu dworu, wciąż będą o niej plotkować. Szaleństwo to wstydliva sprawa w książęcym rodzie. Trzeba ją wysłać gdzieś daleko.

– Zajmę się tym, jeśli sobie życzysz. – Aleksy wyglądał na znużonego. Zajmował się już wieloma sprawami księcia. – Może pojechać na południe. Ofiaruj matce przełożonej wystarczająco dużo złota, a przyjmie Annę i ukryje jej pochodzenie.

– Dziękuję, ojcze.

Iwan dolał sobie wina.

– Sądzę jednakże, że masz większy kłopot – dodał Aleksy.

– Mam mnóstwo kłopotów – powiedział Wielki Książę, wychylając kielich. Otarł usta wierzchem dłoni. – Który masz na myśli?

Metropolita wskazał głową drzwi, za którymi zniknęli dwaj książęta.

– Młody Włodzimierz Andriejewicz, ksiązę sierpuchowski. Rodzina chce go ożenić.

Na Iwanie nie zrobiło to wrażenia.

– Jest jeszcze na to mnóstwo czasu. Ma zaledwie trzynaście lat.

Aleksy pokręcił głową.

– Mają na uwadze księżniczkę litewską, drugą córkę Wielkiego Księcia. Pamiętaj, Włodzimierz to także wnuk Iwana Kality, a jest starszy niż twój Dymitr. Dobrze ożeniony i dorosły miałby większe prawo do moskiewskiego tronu niż twój własny syn, gdyby przyszło ci umrzeć przedwcześnie.

Iwan poblądł z wściekłości.

– Nie ośmielą się. To ja jestem Wielkim Księciem, a Dymitr to mój syn.

– I co z tego? – Na Aleksym nie zrobiło to wrażenia. – Chan bierze pod uwagę roszczenia książąt tylko wtedy, gdy są zgodne z jego celami. Prawo do tronu otrzymuje najsilniejszy ksiązę, tak właśnie Orda zapewnia pokój na swoich terytoriach.

Iwan się zamyślił.

– Cóż zatem robić?

– Doprowadzić do ożenku Włodzimierza z inną kobietą – odrzekł Aleksy.
– Nie księżniczką, ale też nie tak podłego rodu, by wywołać obrazę. Jeśli będzie piękna, chłopak jest na tyle młody, by na to przystać.

Iwan pogrążył się w zadumie, sącząc wino i wyłamując palce.

– Piotr Władimirowicz to pan żyznych ziem – odezwał się wreszcie. – Jego córka jest moją siostrzenicą i będzie miała ogromny posag. Bez wątpienia jest urodziwa. Moja siostra była bardzo piękna, a jej matka zauroczyła mego ojca tak bardzo, że się z nią ożenił, chociaż przybyła do Moskwy jako żebraczka.

Aleksemu błyszczwały oczy.

– Tak – rzekł, pociągając brunatną brodę. – Słyszałem, że Piotr Władimirowicz jest w Moskwie i szuka żony również dla siebie.

– Owszem – potwierdził Iwan. – Zaskoczył wszystkich. Od śmierci mojej siostry minęło siedem lat, nikt nie przypuszczał, że powtórnie się ożeni.

– Dobrze zatem. Skoro szuka żony, może oddałbyś mu swoją córkę?

Zdziwiony Iwan odstawił kielich.

– Anna będzie ukryta w północnych lasach – tłumaczył Aleksy. – A Włodzimierz Aleksiejewicz nie ośmieli się odrzucić córki Piotra. Dziewczyny tak blisko związanej z książęcym dworem? To byłaby zniewaga wobec ciebie.

Iwan ściągnął brwi.

– Anna bardzo chce wstąpić do klasztoru.

Aleksy wzruszył ramionami.

– I co z tego? Piotr Władimirowicz nie jest okrutnikiem. Będzie wystarczająco szczęśliwa. Pomyśl o swoim synu, Iwanie Iwanowiczu.

Demon siedział w kącie i szył, lecz widziała go tylko ona. Anna Iwanowna zacisnęła dłoń na krzyżu wiszącym między jej piersiami, zamknęła oczy i wyszeptała:

– Odejdź, odejdź, proszę, odejdź.

Otworzyła oczy. Demon wciąż tam był. Dwie dwórki uważnie jej się przyglądały, pozostałe z przesadnym zainteresowaniem wpatrywały się w robótki na swoich kolanach. Anna starała się powstrzymać przed ponownym zerknięciem w kąt pokoju, jednak nie zdołała. Demon siedział na stołku, na nic nie zważając. Anna się wzdrygnęła. Ciężka płócienna koszula leżała na jej kolanach niczym martwe zwierzę. Wsunęła dłonie pod grube fałdy, żeby ukryć ich drzenie.

Do pokoju wślizgnęła się służąca. Anna pośpiesznie wzięła igłę i zdziwiła się, gdy znoszone łapcie zatrzymały się tuż przed nią.

– Anno Iwanowno, ojciec cię wzywa.

Anna wytrzeszczyła oczy. Ojciec nie wzywał jej przez większą część roku. Siedziała przez chwilę oszołomiona, po czym zerwała się na nogi. Prędko zmieniła zwykły sarafan na ozdobny, w odcieniach karmazynu i ochry, wciągając go na niemyte ciało i starając się nie zważać na smród swojego długiego kasztanowego warkocza.

Ruś lubiła być czysta. Zimą rzadko się zdarzało, by mijał tydzień, a jej przyrodnie siostry nie odwiedziły łaźni. Tam siedział jednak mały brzuchaty diabeł i szczyrzył do nich zęby w kłębach pary. Anna próbowała pokazać go siostronom, lecz one niczego nie widziały. Z początku uważały go za wytwór jej wyobraźni, potem uznały, że to głupota, aż w końcu popatrywały na nią koso i nic nie mówiły. Anna nauczyła się nie wspominać o oczach śledzących je w łaźni, tak jak nigdy nie wspominała o łysej istocie szyjącej w kącie. Sama jednak czasem tam spoglądała, nie mogła się powstrzymać, i nigdy nie chodziła do łaźni, o ile macocha nie zaciągnęła jej tam siłą lub nie zmusiła szyderstwem.

Anna rozplotła i zaplotła na nowo tłuste włosy, po czym dotknęła krzyża między piersiami. Była najbardziej pobożna z sióstr. Wszyscy tak mówili. Nie wiedzieli natomiast, że w cerkwi są tylko nieziemskie twarze z ikon. Nie prześladowały jej tam żadne demony i gdyby mogła, zamieszkałaby w cerkwi, chroniona przez kadzidła i malowane oczy.

W pokoju macochy piec był gorący, Wielki Książę stał obok niego, spocony w wytwornym zimowym stroju. Jak zwykle miał zgryźliwą minę, chociaż oczy mu błyszcząły. Jego żona siedziała przy ogniu, spod kokosznika wymykał się cienki warkocz. Na jej kolanach leżała zapomniana robótka. Anna zatrzymała się kilka kroków przed księżęcą parą i skłoniła głowę. Mąż i żona przyglądali jej się w milczeniu. Wreszcie ojciec rzekł do macochy z irytacją:

– Na miłość boską, kobieto, nie możesz skłonić tej dziewczyny, żeby się wykąpała? Wygląda, jakby żyła ze świniami.

– To bez znaczenia, skoro już została przyrzeczona – odparła macocha.

Anna wpatrywała się w czubki swoich butów jak dobrze wychowana

panna, teraz jednak gwałtownie podniosła głowę.

– Przyrzeczona? – wyszeptała, zażenowana, że jej głos przeszedł w pisk.

– Wyjdiesz za mąż – oznajmił ojciec. – Za Piotra Władimirowicza, jednego z tych północnych bojarów. Jest bogaty i będzie dla ciebie dobry.

– Za mąż? Ale sądziłam... miałam nadzieję... zamierzałam iść do klasztoru. Będę... będę się modliła za twoją duszę, ojcze. Pragnę tego ponad wszystko – powiedziała, wykręcając dłonie.

– Bzdura – rzucił Iwan ostro. – Będiesz szczęśliwa, mając synów, a Piotr Władimirowicz to dobry człowiek. Klasztor to dla dziewczyny zimne miejsce.

Zimne? Nie, klasztor oznacza bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo, błogość, wytchnienie od szaleństwa. Odkąd sięgała pamięcią, Anna pragnęła złożyć śluby zakonne. Teraz pobladła ze strachu i rzuciła się do stóp ojca.

– Nie, ojcze! – krzyczała. – Proszę, nie! Nie chcę wychodzić za mąż!

Iwan podniósł ją delikatnie z podłogi.

– Dosyć tego – powiedział. – Już podjąłem decyzję. Tak będzie najlepiej. Otrzymasz oczywiście duży posag i dasz mi silnych wnuków.

Anna była drobna i wątła, więc macocha popatrzyła na nią sceptycznie.

– Ale... proszę – wyszeptała Anna. – Jaki on jest?

– Spytaj swoich dworek, na pewno słyszały jakieś plotki – odparł Iwan łagodnie. – Żono, dopilnuj, by przygotowano jej rzeczy, i, na miłość boską, każ jej się wykąpać przed ślubem.

Anna wracała do swojego szycia, powłócząc nogami i tłumiąc szloch. Ma wyjść za mąż! Zamiast znaleźć schronienie w klasztorze, zostanie panią na włościach, zamiast bezpieczeństwa w zakonie czeka ją życie maciory rozplodowej jakiegoś bojara. A ci bojarzy z północy są pełni wigoru – tak mówią służące – ubierają się w skóry i mają setki dzieci. Są nieokrzesani i wojowniczy, a nawet – jak powiadają niektórzy – odrzucają Chrystusa i czczą szatana.

Anna, dygocząc, zdjęła przez głowę odświętny sarafan. Jeśli jej grzeszna

wyobrażenia wywołuje demony we względnie bezpiecznej Moskwie, co będzie, gdy znajdzie się sama w majątku dzikiego bojara? Dworki opowiadały, że północne lasy są nawiedzone, a zima trwa tam osiem miesięcy. Nie mogła nawet o tym myśleć. Kiedy usiadła do szycia, ręce trzęsły jej się tak, że nie potrafiła prowadzić prostego ściegu, i mimo najszczerszych wysiłków zraszała płótno cichymi łzami.



7.

Spotkanie na targu

Nazajutrz rano Piotr Władimirowicz nieświadomy tego, że Wielki Książę i metropolita moskiewski dogadali się co do jego przyszłości, wstał wcześniej i wybrał się na targ na głównym placu Moskwy. W ustach czuł smak starych grzybów, w głowie huczało mu od rozmów i picia. W dodatku – stary głupiec ze mnie, że pozwoliłem mojemu chłopakowi na taką swobodę – jego syn chce zostać mnichem. Piotr wiązał z Saszą wielkie nadzieje. Był bardziej zrównoważony i bystrzejszy od starszego brata, lepiej radził sobie z końmi, z ręcznie władął bronią. A teraz ma zniknąć w jakiejś nędznej chałupie i uprawiać ogródek na chwałę Bożą – Piotr nie wyobrażał sobie większej straty.

Cóż, pocieszał się, piętnaście lat to bardzo młody wiek. Sasza się opamięta. Pobożność to jedno, a porzucenie rodziny i dziedzictwa dla nędzy i zimnego łóżka to zupełnie co innego.

Jego rozmyślenia przerwał gwar wielu głosów. Piotr otrząsnął się z zamyślenia. Zimne powietrze cuchnęło końmi i dymem, sadzą i miodem. Mężczyźni z kubkami dyndającymi u pasków zachwalali zalety tego trunku, stojąc przy lepkich beczułkach. Byli tam również sprzedawcy z tacami pełnymi gorących kulebiaków, kupcy handlujący tkaninami i klejnotami, woskiem i rzadkimi gatunkami drewna, miodem i miedzią. Na straganach o miejsce walczyły bibeloty z brązu i złota. Głosy handlarzy huczały, strasząc

poranne słońce.

A Moskwa ma tylko ten mały targ, pomyślał Piotr.

Siedzibą chana był Saraj. To tam jeździli bogaci kupcy, by sprzedawać cuda na dworze zepsutym trzema wiekami grabieży. Nawet targi znajdujące się dalej na południu, we Włodzimierzu, albo na zachodzie, w Nowogrodzie, są większe od tego moskiewskiego. Jednak handlarze nadal napływali na północ z Bizancjum i dalszego wschodu, skuszeni sumami, jakie barbarzyńcy chcieli płacić za ich towary, a jeszcze bardziej pieniędzmi, jakie książęta z Carogrodu oferowali za futra z północy.

Piotr nie mógł wrócić do domu z pustymi rękami. Z prezentem dla Olgi sprawa była dość prosta – kupił jej kokosznik z jedwabiu ozdobiony perłami, które będą lśniły na tle jej ciemnych włosów. Dla trzech synów wybrał sztylety, krótkie, acz ciężkie, z inkrustowanymi rękojeściami. Natomiast mimo usilnych starań nie mógł znaleźć niczego dla Wasilisy. Nie była dziewczynką lubiącą błyskotki, korale czy ozdoby na głowę. Nie mógł jednak podarować jej sztyletu. Piotr, ściągając brwi, nie ustawał w wysiłkach i właśnie sprawdzał ciężar złotych broszy, gdy zauważył dziwnego mężczyznę.

Nie potrafiłby powiedzieć, co było w nim dziwnego, poza tym, że cechował go pewien... bezruch, rzucający się w oczy w ogólnym zamieszaniu. Odzienie miał godne księcia, buty bogato haftowane. U jego pasa wisiał nóż, na którego rękojeści połyskiwały białe klejnoty. Nie miał nakrycia głowy, co było osobliwe u mężczyzny, a już szczególnie w środku zimy – niebo było czyste, lecz pod nogami skrzypiał śnieg. Był gładko ogolony – rzecz właściwie niesłychana na Rusi – miał ciemne loki, a Piotr z oddali nie potrafił stwierdzić, czy jest stary, czy młody.

Uświadomił sobie, że się na niego gapi, więc odwrócił głowę. Był jednak ciekaw, kto to taki.

– Zaciekawiał cię tamten człowiek, panie? – zagadnął go konfidencyjnie mężczyzna handlujący klejnotami. – Nie ciebie jednego. Zjawia się czasem na targu, nikt jednak nie wie, skąd pochodzi.

Mina Piotra wyrażała powątpiewanie. Handlarz uśmiechnął się ironicznie.

– Naprawdę, *gospodin*. Nigdy nie bywa w cerkwi, a biskup chce go ukamienować za bałwochwalstwo. Jest jednak bogaty i zawsze przynosi na targ cudowne rzeczy, więc ksiązę ucisza duchownych, a on pojawia się i znowu znika. Może to diabeł? – To ostatnie handlarz rzucił półzartem, potem jednak zmarszczył czoło. – Ani razu nie widziałem go wiosną. Zawsze, zawsze zjawia się zimą, pod koniec roku.

Piotr mruknął coś pod nosem. Dopuszczał możliwość, że diabły istnieją, nie sądził jednak, że paradują po targach – czy to latem, czy zimą – odziane jak księżęta. Pokręcił głową, wskazał bransoletkę i zauważył:

– Całkiem zaśniedziała, srebro już zielone na brzegach.

Handlarz zaprotestował i obaj przystąpili do poważnych negocjacji, zapominając o czarnowłosym nieznajomym.

Nieznajomy zatrzymał się przed straganem, nie dalej niż dziesięć kroków od miejsca, w którym stał Piotr. Chudymi palcami przeciągnął po kuponie jedwabnego brokatu. Jego dłonie potrafiły rozpoznać jakość towarów, prawie nie patrzył na leżący przed nim materiał. Spojrzenie jego bladych oczu padało to tu, to tam, na zatłoczony targ.

Sprzedawca tkanin obserwował nieznajomego ze służalczą ostrożnością. Kupcy znali tego człowieka, niektórzy sądzili, że jest jednym z nich. Już wcześniej przywoził do Moskwy różne cuda: broń z Bizancjum czy porcelanę delikatną jak powietrze o poranku. Kupcy pamiętali. Tym razem nieznajomy miał inny plan, w przeciwnym razie za nic nie wyprawiłby się na południe. Nie lubił miast, a przekroczenie Wołgi było ryzykowne.

Barwy, połysk i zmysłowy ciężar tkaniny nagle wydały mu się nużące i po chwili porzucił materiał i przeszedł na drugą stronę placu. Jego klacz czekała z południowej strony, skubiąc wiechcie siana. Koło niej stał starzec o kaprawych oczach, blady, chudy i dziwnie bezcielesny, chociaż sama klacz była okazała niczym strzelista góra, a uprząż miała wytłaczaną i zdobioną

srebrem. Ludzie, którzy ją mijali, spoglądali na nią z podziwem, ona zaś strzygła kokieteryjnie uszami, wywołując tym nieznaczny uśmiech na twarzy jeźdźca.

Nagle jednak z tłumu wyłonił się potężny mężczyzna o popękanych paznokciach i chwycił wodze klaczy. Twarz tajemniczego przybysza pociemniała, nie przyspieszył jednak kroku. Nagle zerwał się zimny wiatr. Mężczyźni łapali się za czapki i poły kaftanów. Rzezimieszek wskoczył na siodło i uderzył piętami boki klaczy, ona jednak ani drgnęła. Co dziwne, nie poruszył się także jej opiekun, nie krzyknął ani nie podniósł ręki. Patrzył tylko z nieodgadnionym wyrazem zażawionych oczu.

Złodziej smagnął pejczem łopatkę klaczy. Nie ruszyła kopytem, tylko raz machnęła ogonem. Zdezorientowany złodziej zawahał się przez moment, a potem było już za późno. Prawowity właściciel klaczy podszedł i ściągnął go z siodła. Złodziej pewnie by krzyknął, stwierdził jednak, że głos zamarł mu w zlodowaciałym nagle gardle. Z trudem łapał oddech, przerażony sięgnął do drewnianego krzyżyka na szyi.

Właściciel klaczy uśmiechnął się, lecz nie był to wesoły uśmiech.

– Chciałeś przywłaszczyć sobie coś, co należy do mnie. Myślisz, że wiara cię ocali? – wycedził.

– *Gosudar*... nie wiedziałem... myślałem, że... – wyjąkał złodziej.

– Że tacy jak ja nie pojawiają się w miejscach przeznaczonych dla ludzi? Cóż, chodzę tam, gdzie chcę.

– Proszę – jęknął złodziej. – *Gosudar*, błagam...

– Nie jęcz, a pozwolę ci jeszcze przez jakiś czas chodzić swobodnie w słońcu – rzucił nieznajomy z chłodnym rozbawieniem. – Jednak – ściszył głos i śmiech wyciekł z niego niczym woda z rozbitego kubka – zostałeś naznaczony, jesteś mój i pewnego dnia znowu cię dotknę, a wtedy umrzesz.

Złodziej z wysiłkiem wypuścił powietrze, co zabrzmiało jak szloch, po czym nagle znalazł się sam, tylko w ręce i gardle czuł palący ból.

Nikt nie widział, jak nieznajomy dosiada konia. Nagle znalazł się jednak

w siodle, zawrócił klacz i wjechał w tłum na placu. Stajenny uklonił mu się i wmieszał w ciżbę.

Klacz stąpała lekko i pewnie. Gniew jeźdźca się ulotnił.

– Do tego cuchnącego miasta sprowadziły mnie znaki – powiedział do klaczy. – A nie powinienem był opuszczać moich włości. – Przebywał w Moskwie już od miesiąca, przepatrując nieustrudzenie kolejne twarze. – Cóż, znaki nie są niezawodne – dodał. – Zresztą to był zaledwie błysk. Możliwe, że ta godzina minęła. Możliwe też, że nigdy nie nadejdzie.

Klacz zastrzygła uchem. Jeździec zacisnął wargi.

– Nie. Czyżby tak łatwo było mnie pokonać? – mruknął.

Koń ruszył równym galopem. Mężczyzna pokręcił głową. Nie został jeszcze pokonany. Trzymał w gotowości magiczne drzenie w krtani, w zagłębieniu dłoni. Odpowiedź znajduje się gdzieś w tym żalonym drewnianym mieście i w końcu ją znajdzie.

Skierował się na zachód, popędzając klacz, by wydłużyła krok w galopie. Chłód między drzewami rozjaśnił mu umysł. Nie został pokonany.

Jeszcze nie.

Kiedy nieznajomy przybył na ucztę do Wielkiego Księcia, powitała go woń miodu pitnego i psów, kurzu i ludzi. Bojarzy Iwana byli roslymi chłopami przywykłymi do wojowania i do walki o życie w krainie mrozu. Najmniejsi z nich byli wyżsi od przybysza. Wielu wyciągało szyje, żeby na niego spojrzeć, kiedy wślizgnął się do sali. Nikt jednak – nawet ci najodważniejsi czy najbardziej pijani – nie patrzył mu w oczy, nikt nie chciał go sprowokować. Nieznajomy usiadł za stołem i nie niepokojony przez nikogo sączył miód. Srebrny haft na jego kaftanie lśnił w świetle pochodni. Jedna z dam dworu usiadła obok niego i zerknęła nań spod długich rzęs.

Iwan przyjął jego dary, mrużąc podejrzliwie oczy, po czym zaproponował mu gościnę na dworze. Zbliżał się wielki post i ucztowali zapamiętale. Tutaj

jest tak samo, pomyślał nieznajomy. Te wszystkie tępe, ruchliwe twarze. Siedząc wśród wrzawy i smrodu, po raz pierwszy poczuł może nie rozpacz, ale początki rezygnacji.

Wtedy właśnie do sali wszedł mężczyzna z dwoma dorastającymi chłopcami. Wszyscy trzej usiedli przy stole. Mężczyzna wyglądał przeciętnie, ubranie miał dobrej jakości. Jego starszy syn kroczył dumnie, młodszy zaś stąpał miękko, spojrzenie miał chłodne i poważne. Byli zupełnie zwyczajni, a jednak...

Nieznajomy sięgnął wzrokiem nieco dalej. Wraz z tymi trzema do środka wpadł wirujący powiew wiatru, wiatru z północy. Pomiedzy jednym powiewem a drugim wiatr opowiedział mu historię: o życiu i o śmierci, o dziecku narodzone w złym roku. Później, nieco słabiej, niczym echo, nieznajomy usłyszał huk i łoskot, jak odgłos fali rozbijającej się o skałę. Przez ulotną chwilę w tej cuchnącej sali czuł zapach słońca, soli i mokrego kamienia.

– Krew wciąż krąży, bracie – wyszeptał. – Ona żyje, nie myliłem się.

Na jego twarzy malował się triumf. Wrócił do stołu (choć tak naprawdę wcale się nie poruszył) i uśmiechnął się z zachwytem do siedzącej obok niego dziewczyny.

Piotr właściwie zapomniał o nieznajomym z targu. Kiedy jednak tamtego wieczoru podszedł do książęcego stołu, wspomnienie wróciło, bo ten sam człowiek siedział wśród bojarów, obok jednej z dam dworu. Dziewczyna wpatrywała się w niego, przechylając kokieteryjnie głowę, a jej umalowane powieki drżały niczym zranione ptaki.

Piotr, Sasza i Kola zajęli miejsca po jej lewej stronie. Chociaż wcześniej Kola się do niej zalecał, teraz nawet na niego nie zerknęła. Rozżalony młodzieniec zrezygnował z jedzenia na rzecz patrzenia wilkiem (co zostało zignorowane), dotykania noża przy pasie (również) i wychwalania przed bratem urody córki pewnego kupca (czego oczarowana swoim drugim

sąsiadem dama wcale nie słyszała). Sasza starał się nie reagować, mając minę bez wyrazu, jakby udawanie głuchoty mogło sprawić, że ta bezbożna gadanina ustanie.

Tuż za nimi rozległo się kasznięcie. Piotr oderwał wzrok od tej interesującej sceny i zobaczył, że obok niego stoi służący.

– Wielki Książę chce z tobą mówić.

Piotr ściągnął brwi i skinął głową. Od pierwszego wieczoru po przybyciu prawie nie widywał byłego szwagra. Rozmawiał z niezliczonymi dworzanami, hojnie rozdawał łapówki, w zamian zaś otrzymał zapewnienie, że – o ile będzie płacił daninę – nikt nie zażąda od niego podatków. Ponadto prowadził pertraktacje, starając się o rękę skromnej przyzwoitej kobiety, która doglądałaby gospodarstwa i zastąpiła matkę jego dzieciom. Wszystko przebiegało jak należy, czego mógł więc chcieć książę?

Przeszedł wzdłuż stołu, w świetle kominka dostrzegając błysk zębów psów leżących przy nogach Iwana. Książę od razu przeszedł do rzeczy.

– Mój młody bratanek, Włodzimierz Andriejewicz, książę sierpuchowski, chciałby pojąć za żonę twoją córkę.

Piotr nie mógłby zdziwić się bardziej, gdyby książę poinformował go, że jego bratanek pragnie zostać minstrelem i wędrować ulicami, grając na gęślach. Zerknął w bok na rzeczzonego księcia, który siedział kilka krzeseł dalej i pił. Bratanek Iwana miał trzynaście lat, był chłopcem na progu męskości, gibkim i przyszczatym. Był także wnukiem Iwana Kality, dawnego Wielkiego Księcia. Z pewnością może starać się o korzystniejszy ożenek. Wszystkie ambitne rodziny na dworze pchały mu w ramiona swoje córki, zakładając z nadzieją, że któraś zostanie jego żoną. Dlaczego ktoś z taką pozycją miałby wziąć za żonę córkę człowieka co prawda bogatego, lecz mającego skromny rodowód, dziewczynę, której nigdy nie widział i która mieszka daleko od Moskwy?

Nagle Piotr otrząsnął się ze zdumienia. Olga pochodzi z daleka. Iwan nie ufałby dziewczętom, które zjawyłyby się na dworze z całą armią krewnych. Alianse pomiędzy wielkimi rodami z reguły skutkowały królewskimi

ambicjami ich potomków. Roszczenia młodego Dymitra do tronu nie są o wiele większe niż jego kuzyna, a Włodzimierz jest trzy lata starszy od książęcego dziedzica. Księżęta dziedziczą wedle uznania chana. Córka Piotra wniesie duży posąg, i tyle. Iwan ze wszystkich sił starał się ukrócić zakusy moskiewskich bojarów, to zaś działało na korzyść Piotra.

Był zadowolony.

– Iwanie Iwanowiczu... – zaczął.

Księżę jednak jeszcze nie skończył.

– Jeśli oddasz swoją córkę memu krewniakowi, gotowy jestem dać ci za żonę moją córkę, Annę Iwanownę. To ładna dziewczyna, potulna jak gołąbek, i z pewnością może urodzić ci kolejnych synów.

Piotr znów był zaskoczony, tym razem mniej przyjemnie. Ma już trzech synów, między których musi podzielić swoje włości, nie potrzebuje kolejnych. Po co księżę miałby oddać córkę mężczyźnie bez większego znaczenia, szukającego rozsądnej kobiety, która poprowadzi mu dom?

Księżę uniósł brew. Piotr się wahał.

Cóż, dziewczyna jest bratanicą Mariny, córką Wielkiego Księcia, kuzynką jego dzieci, nie może więc spytać, co jest z nią nie tak. Nawet jeśli choruje, jest pijaczką lub ladacznicą albo... nawet wówczas korzyści płynące z takiego małżeństwa i tak będą spore.

– Jak mógłbym odmówić, Iwanie Iwanowiczu? – rzekł wreszcie.

Księżę z powagą skinął głową.

– Jutro przyślę do ciebie człowieka, który będzie negocjował kontrakt małżeński – powiedział, odwracając się do kielicha i swoich psów.

Piotr, odprawiony w ten sposób, nie miał innego wyjścia, jak tylko wrócić na swoje miejsce przy długim stole i przekazać synom nowiny. Zastał Kole nadąsanego nad kubkiem. Ciemnowłosy nieznamy wyszedł, a dama dworu patrzyła za nim z wyrazem takiej trwogi i bolesnej tęsknoty na bladej twarzy, że Piotr, mimo tylu własnych problemów, złapał się na tym, że niemal bezwiednie sięga po miecz, którego nie ma przy sobie.



8.

Przysięga Piotra Władimirowicza

Piotr Władimirowicz ujął zimną dłoń panny młodej, zerknął na jej drobną, zmartwiałą twarz i zastanawiał się, czy popełnił błąd. Przez cały tydzień gorączkowo negocjowano szczegóły umowy małżeńskiej (żeby ślub mógł się odbyć przed rozpoczęciem Wielkiego Postu). Kola w tym czasie flirtował z poławą służących na Kremlu, chcąc się czegoś dowiedzieć o przyszłej żonie ojca, jednak trudno mu było ustalić coś pewnego. Niektóre twierdziły, że jest ładna. Inne, że ma brodawkę na brodzie i tylko połowę zębów. Opowiadały, że ojciec trzyma ją pod kluczem, albo z kolei, że to ona sama ukrywa się w swoich komnatach i nigdy z nich nie wychodzi. Twierdziły, że jest chora, szalona, pogrążona w smutku albo po prostu nieśmiała, aż w końcu Piotr doszedł do wniosku, że na czymkolwiek polega problem, na pewno jest gorzej, niż się obawiał.

Zastanawiał się nad tym, patrząc na twarz panny młodej. Była bardzo drobna, mniej więcej w tym wieku co Kola, chociaż jej zachowanie sprawiało, że wydawała się jeszcze młodsza. Mówiła cicho i jakby wstrzymując oddech, sprawiała wrażenie uległej i miała przyjemnie pełne wargi. Mimo wspólnego przodka w niczym nie przypominała Mariny i Piotr dziękował za to Bogu. Jej okrągłą twarz okalał warkocz w ciepłym kasztanowym odcieniu. Z bliska widać też było, że pod oczami skóra jest bardziej napięta, jakby z wiekiem jej twarz miała się pomarszczyć niczym zaciśnięta pięść. Na szyi nosiła krzyż, którego bez przerwy dotykała, oczy

miała spuszczone, nawet wtedy, gdy Piotr próbował spojrzeć jej w twarz. Mimo usilnych starań nie mógł dostrzec w nowo poślubionej małżonce niczego złego, nie licząc skłonności do wpadania w zły humor. Z całą pewnością nie wydawała się pijana, trędowata czy obłąkana. Być może jest po prostu nieśmiała i wstydliva. Być może ksiązę istotnie zaproponował to małżeństwo na znak swej łaskawości.

Piotr dotknął rozkosznie wypukłych ust małżonki, bardzo pragnąc w to wierzyć.

Po ślubie ucztowali w sali jadalnej jej ojca. Stół uginał się pod ciężarem ryb i chleba, ciast i sera. Ludzie Piotra pokrzykiwali, śpiewali i pili zdrowie swego pana. Wielki Ksiązę i jego rodzina uśmiechali się, mniej lub bardziej szczerze, i życzyli im mnóstwa dzieci. Kola i Sasza niewiele mówili i z niechęcią popatrywali na nową macochę, krewniaczkę niewiele starszą od nich.

Piotr poił żonę miodem, chcąc, by poczuła się nieco swobodniej. Starał się nie myśleć o Marinie, która, gdy ją poślubił, miała szesnaście lat. Wypowiadając przysięgę małżeńską, patrzyła mu prosto w oczy, śmiała się, podczas uczyty weselnej śpiewała i jadła z apetytem, zerkając na niego z ukosa, jakby chciała rzucić mu wyzwanie, żeby ją przestraszył. Piotr zabrał ją do łóżka na wpół oszalały z pożądania i całował, aż jej opór przemienił się w namiętność. Następnego ranka wstali przyjemnie ociężali i upojeni rozkoszą.

Ta dziewczyna nie wydawała się zdolna do stawiania oporu, a być może również do namiętności. Spuściła ozdobioną kokosznikiem głowę, na pytania odpowiadała monosylabami i kruszyła w palcach kawałek chleba. Piotr westchnął i odwrócił się od niej, pozwalając myślom popędzić krętymi drogami przez ciemny zimowy las do śniegów Leśnej Ziemi i do prostoty polowania i prac gospodarskich, jak najdalej od tego miasta uśmiechniętych wrogów i najeżonych kolcami łask.

Sześć tygodni później Piotr i jego świta szykowali się do wyjazdu. Dni były coraz dłuższe, a śnieg w stolicy zaczynał topnieć. Piotr i jego synowie spojrzeli na śnieg i przyspieszyli przygotowania. Jeśli lód zrobi się cieńszy, zanim przeprawią się przez Wołgę, będą musieli zmienić sanie na wozy i czekać całe wieki, aż zdołają przepłynąć tratwą.

Piotr martwił się o swoje ziemie i śpieszno mu było wracać do polowań i gospodarzenia. Sądził także, że czyste północne powietrze ukoi tajemnicze lęki jego żony. Anna, chociaż cicha i uległa, nie przestawała się rozglądać, wytrzeszczając oczy i dotykając krzyża między piersiami. Czasami mamrotała coś do pustych kątów. Od dnia ślubu Piotr brał ją co noc do łóżka, bardziej jednak z obowiązku niż dla przyjemności, a ona ani razu nie popatrzyła mu w twarz. Słyszał, jak płacze, kiedy sądziła, że zasnął.

Liczba członków wyprawy zdecydowanie się zwiększyła, gdy dołączyły do nich świta i dobytek Anny Iwanowny. Sanie zapełniły cały dziedziniec, a wielu służących prowadziło za lejce juczne konie.

Obaj synowie Piotra jechali wierzchem. Klacz Saszy podnosiła to jedną, to drugą nogę i machała ciemną głową. Koń Koli stał bez ruchu, a chłopak garbił się w siodle, mrużąc przekrwione oczy w porannym słońcu. Kola odniósł wielkie sukcesy: pokonał w zapasach wszystkich synów moskiewskich bojarów, a wielu także w łucznictwie, przepił też prawie wszystkich, aż powpadali pod stół, i flirtował z ogromną liczbą pałacowych kobiet. Krótko mówiąc, dobrze się bawił i nie zachwycała go perspektywa długiej podróży, u której kresu nie czekało go nic poza ciężką pracą.

Piotr natomiast był zadowolony z wyprawy. Olga zaręczyła się z mężczyzną – no, chłopcem – o znacznie wyższej pozycji, niż Piotr mógłby marzyć. On sam ożenił się powtórnie, a nawet jeśli dama wydawała się dziwna, przynajmniej nie była rozwiązła ani chora, no i znowu trafiła mu się córka Wielkiego Księcia, tak więc w doskonałym humorze nadzorował ostatnie przygotowania do wyjazdu. Rozejrzał się za swoim siwym ogierem, żeby dosiąść go i wreszcie ruszyć w drogę.

Przy głowie jego konia stał nieznajomy: mężczyzna z targu, który był też na kolacji u Wielkiego Księcia. Piotr zapomniał o nim w zamieszaniu

towarzyszącym zaślubinom, lecz oto stał teraz, głaszcząc nos Wichra i spoglądając na niego z uznaniem. Piotr czekał – nie bez pewnej niecierpliwej satysfakcji – aż nieznajomy straci dłoń, gdyż Wicher nie cierpiał poufałości, po chwili jednak uświadomił sobie ze zdumieniem, że koń stoi spokojnie, z opuszczonymi uszami, zupełnie jak stary wiejski osioł.

Zaskoczony i rozdrażniony Piotr zrobił jeden długi krok w ich stronę, lecz Kola go wyprzedził. Chłopak znalazł cel, na którym mógł wyładować swój gniew, odreagować ból głowy i niezadowolenie. Spiął ostrogami swojego wałacha i zatrzymał się nie dalej niż o długi krok od nieznajomego, na tyle blisko, by kopyta konia zachlapały brudnym śniegiem jego błękitną pelerynę. Koń stanął dęba, przewracając oczami, brunatne boki pociemniały od potu.

– Co tutaj robisz? – zapytał Kola, przytrzymując wałacha twardą dłonią. – Jak śmiesz dotykać konia mego ojca?

Nieznajomy stał z policzka śnieg i błoto.

– To bardzo piękny koń – odrzekł spokojnie. – Myślałem o tym, żeby go kupić.

– No cóż, nie możesz.

Kola zeskoczył na ziemię. Był szeroki w barach i zbudowany potężnie niczym syberyjski wół. Obcy, niższy i szczuplejszy, powinien wydawać się przy nim wąty, tak jednak nie było. Może z powodu wyrazu jego oczu... Piotr przyspieszył kroku, czując nieprzyjemny dreszcz. Kola może wciąż był pijany, a może po prostu nieświadomy, bo wziął spokój tamtego za ustępliwość.

– I jak zamierzasz sobie radzić z takim koniem, mały człowieczku? – spytał pogardliwie. – Wracaj do swojej ukochanej i zostaw jazdę na rumakach silnym walecznym mężczyznom! – Zbliżył się do obcego tak, że stali nos w nos, i położył dłoń na swoim sztylcie.

Nieznajomy uśmiechnął się nieco drwiąco i jakby z żalem. Piotr chciał krzyknąć ostrzegawczo, jednak słowa uwięzły mu w gardle. Przez chwilę obcy stał nieruchomo.

A potem się poruszył.

W każdym razie tak wydawało się Piotrowi, lecz właściwie tego nie widział. Dostrzegł jedynie mignięcie, niczym błysk światła na skrzydle ptaka. Kola krzyknął, chwycił się za nadgarstek, a po chwili tamten stał za nim, ramieniem obejmował go za szyję i przyciskał mu sztylet do gardła. Wszystko odbyło się tak szybko, że nawet konie nie zdążyły się przestraszyć. Piotr skoczył do przodu, trzymając dłoń na rękojeści sztyletu, kiedy jednak nieznajomy podniósł wzrok, zatrzymał się. Miał najdziwniejsze oczy, jakie Piotr kiedykolwiek widział, jasne, bladoniebieskie, niczym przejrzyste niebo w zimny dzień. A dłonie giętkie i mocne.

– Twój syn mnie obraził, Piotrze Władimirowiczu – odezwał się. – Czy mam zażądać jego życia? – Nóż się poruszył i na szyi Koli wykwitła cienka czerwona kreska, barwiąc jego brodę. Chłopak gwałtownie wciągnął powietrze, był na granicy szloch. Piotr nawet na niego nie spojrzał.

– Masz do tego prawo – odparł. – Błagam cię jednak, pozwól memu synowi jakoś to naprawić.

Nieznajomy rzucił Koli pogardliwe spojrzenie.

– Pijany chłopak – stwierdził i znów zacisnął dłoń na nożu.

– Nie! – wychrypiał Piotr. – Może ja mogę ci zadośćuczynić? Mamy trochę złota. Albo, jeśli zechcesz, weź mojego konia. – Piotr ze wszystkich sił starał się nie patrzeć na swojego pięknego siwego ogiera. W zimnych oczach nieznajomego pojawiło się lekkie rozbawienie.

– Cóż za wspaniałomyślność – rzekł sucho. – Ale nie. Daruję życie twojemu synowi, Piotrze Władimirowiczu, w zamian za przysługę.

– Jaka to przysługa?

– Masz córki?

Piotr nie spodziewał się takiego pytania.

– Tak – odparł ostrożnie. – Ale...

Rozbawienie w oczach nieznajomego było teraz jeszcze większe.

– Nie, nie wezmę żadnej na konkubinę ani nie zgwałcę jej w zaspie. Wiesz prezenty dla swoich dzieci, nieprawdaż? No więc ja mam prezent

dla twojej młodszej córki. Każ jej przyrzec, że zawsze będzie nosiła go przy sobie. A ty musisz przysiąc, że nigdy nikomu nie opowiesz o okolicznościach naszego spotkania. Pod tymi i tylko tymi warunkami daruję twojemu synowi życie.

Piotr zastanawiał się chwilę. Prezent? Jaki prezent trzeba dawać pod groźbą śmierci mego syna?

– Nie narażę córki na niebezpieczeństwo – odpowiedział. – Nawet dla mego syna. Wasia jest jeszcze małą dziewczynką, ostatnim dzieckiem mojej zmarłej żony.

Z trudem przełknął ślinę. Krew Koli sączyła się powolną szkarłatną strużką.

Mężczyzna spojrział na Piotra zmrużonymi oczami i na długą chwilę zapadła cisza. Wreszcie nieznajomy przemówił:

– Nic złego jej się nie stanie. Przysięgam. Na lód i śnieg, i życie tysiąca ludzi.

– Cóż to zatem za prezent? – chciał wiedzieć Piotr.

Nieznajomy puścił Kołę, który stał niczym lunatyk, a spojrzenie miał dziwnie pozbawione wyrazu. Mężczyzna podszedł do Piotra i z sakiewki przy pasie wyjął jakiś przedmiot.

W najśmielszych wyobrażeniach Piotr nie wymarzyłby sobie błyskotki, którą mu wręczył: pojedynczy klejnot w błyszczącym srebrzystoniebieskim odcieniu, w misternej oprawie z jasnego metalu zawieszony na łańcuszku cieniutkim jak jedwabna nić. Przypominał gwiazdę albo płatek śniegu.

Piotr podniósł wzrok, na usta cisnęło mu się pytanie, jednak nieznajomy go ubiegł:

– Oto on. Świecełko, nic więcej. A teraz twoja przysięga. Dasz to córce i nie powiesz nikomu o naszym spotkaniu. Jeśli złamiesz słowo, przyjdę i zabiję twojego syna.

Piotr obejrzał się na swoich ludzi. Stali z tępych minami. Nawet siedzącemu na koniu Saszy opadała sennie głowa. Piotrowi zmroziło krew

w żyłach. Nie bał się nikogo, lecz ten niesamowity człowiek zaczarował wszystkich, nawet jego dzielni synowie stali bezradnie. Lodowato zimny naszyjnik ciążył mu w dłoni.

– Przysięgam – powiedział.

Mężczyzna skinął głową, odwrócił się i odszedł przez błotnisty dziedziniec. Gdy tylko zniknął, ludzie Piotra podjęli krzątanie. Piotr pośpiesznie schował lśniący klejnot do sakiewki przy pasie.

– Ojczy? – odezwał się Kola. – Ojczy, co się stało? Wszystko gotowe, wystarczy twoje słowo i możemy ruszać.

Piotr milczał, patrząc z niedowierzaniem na syna. Krew zniknęła, Kola łąpał na niego przekrwionymi oczami, nic nie mąciło jego spokojnego spojrzenia.

– Ale przecież... – zaczął, lecz zawahał się, przypominając sobie swoją przysięgę.

– Ojczy, co się stało?

– Nic – uciął Piotr.

Podszedł do Wichra, dosiadł go i spiął ostrogami, postanawiając wymazać z pamięci to dziwne spotkanie. Nie mógł. Po pierwsze, dlatego że kiedy wieczorem rozbili obozowisko, Kola odkrył na swojej szyi pięć podłużnych białych śladów, jakby od odmrożenia, chociaż gęsta broda dobrze chroniła szyję. Po drugie, chociaż nastawiał ucha, Piotr nie usłyszał od służby ani słowa na temat dziwnych wydarzeń na dziedzińcu i był zmuszony niechętnie pogodzić się z tym, że tylko on wie, co się stało.



9.

Wariatka w cerkwi

Droga powrotna wydawała się dłuższa niż droga do Moskwy. Anna nie nawykła do podróży i jechali niewiele szybciej, niż gdyby szli piechotą, często zatrzymując się na odpoczynek. Pomimo wolnego tempa podróż nie była jednak tak nużąca, jak mogłoby się wydawać. Wyjechali z Moskwy obładowani wiktuałami, ponadto po drodze korzystali z gościnności wiosek i domów bojarów.

Kiedy wyjechali z miasta, Piotr przychodził do łóżka żony z nowym zapalem, pamiętając jej miękkie usta i jedwabisty dotyk młodego ciała. Za każdym razem jednak reagowała nie złością czy lamentami, z czym mógłby sobie poradzić, lecz deprymującym cichym płaczem, a po jej okrągłych policzkach przez cały czas płynęły łzy. Po tygodniu Piotr dał za wygraną, na wpół wściekły, na wpół skonsternowany. Za dnia zaczął chodzić na polowania lub zabierał Wichra w głąb lasu, po czym zarówno człowiek, jak i koń wracali podrapani i zmęczeni, a Piotr był tak wykończony, że myślał wyłącznie o tym, by położyć się spać. Sen nie przynosił mu jednak wytchnienia, gdyż w nawracających koszmarach widział naszyjnik z szafirem i białe pajęczce palce zaciskające się na szyi jego pierworodnego syna. Budził się w ciemności i krzyczał, by Kola uciekał.

Marzył, by być już w domu, lecz nie mogli się śpieszyć. Mimo wszystkich jego starań Anna robiła się coraz bledsza i słabsza i błagała, żeby

zatrzymywali się coraz wcześniej, by rozstawić namioty i piecyki, na których służba gotowała jej gorącą zupę, a ona mogła ogrzać zgrabiące dłonie.

W końcu jednak przemierzili rzekę. Kiedy Piotr stwierdził, że od Leśnej Ziemi dzieli ich niecały dzień drogi, wyprowadził Wichra na śnieżny trakt i puścił luźno wodze. On i Kola popędzili do domu niczym gnane wiatrem zjawy. Jego ludzie mieli ruszyć za nimi saniami. Z niewymowną ulgą Piotr wyłonił się spomiędzy drzew i w przejrzystym zimowym świetle ujrzął swój dom, srebrzysty i bezpieczny.

Każdego dnia, odkąd Piotr, Sasza i Kola wyjechali, Wasia, kiedy tylko zdołała, wymykała się z domu i wdrapywała na swoje ulubione drzewo, to, którego gruby konar sterczał nad drogą wiodącą na południe od Leśnej Ziemi. Czasami towarzyszył jej Alosza, był jednak cięższy od Wasi i gorzej się wspinał. Tak więc kiedy Wasia dostrzegła błysk kopyt i ogłowania, była sama. Zsunęła się z drzewa jak kot i puściła biegiem w stronę domu. Gdy dotarła do bramy, zaczęła wołać:

– Ojciec, ojciec, to ojciec!

Nie była to wielka nowina, gdyż dwóch jeźdźców, pędzących znacznie szybciej niż mała dziewczynka, galopowało już przez pola i mieszkańcy wioski z niewielkiego wzniesienia dobrze ich widzieli. Wieśniacy popatrywali na siebie, zastanawiając się, gdzie są pozostali, martwiąc się o swoich bliskich.

Piotr i Kola (Sasza został z saniami) wpadli do wioski i powściągnęli przytupujące konie. Dunia próbowała złapać Wasię, która ukradła ubrania Aloszy, żeby łatwiej jej było wspinać się na drzewo, i była strasznie brudna, lecz dziewczynka wyrwała jej się i wybiegła na dziedziniec.

– Ojczy! – krzyknęła. – Kola! – Śmiała się, kiedy obaj po kolei brali ją w objęcia. – Ojczy, wróciłeś!

– Przywiozłem ci matkę, Wasoczka – oznajmił Piotr, z uniesioną brwią przyglądając się córce. Była cała w okruchach kory. – Chociaż nie

uprzedziłem jej, że w domu, zamiast małej dziewczynki, czeka na nią leśny chochlik. – Pocałował ją w brudny policzek, a ona zachichotała.

– Och, a gdzie jest Sasza?! – wykrzyknęła, rozglądając się z nagłym przestraszaniem. – Gdzie sanie?

– Bez obaw, jadą za nami – odrzekł Piotr i dodał głośniejszym głosem, żeby wszyscy zgromadzeni wokół ludzie mogli go usłyszeć: – Będą tutaj przed zapadnięciem nocy, musimy być gotowi, żeby ich przyjąć. A ty – znowu ściszył głos, zwracając się do Wasi – leć do kuchni i powiedz Duni, żeby cię ubrała. Bez względu na wszystko wolałbym przedstawić macosze córkę, a nie chochlika. – Postawił ją na ziemi i lekko popchnął, Olga zaś zaciągnęła siostrę do kuchni.

Sanie przyjechały przed zachodem słońca. Zakończyły męczącą podróż, sunąc przez pola i przejeżdżając przez bramę wioski. Ludzie wiwatowali na widok wspaniałych zamkniętych sań wiozących nową żonę Piotra Władimirowicza. Większość mieszkańców wioski przyszła tylko po to, by ją zobaczyć.

Anna Iwanowna wysiadła z sań chwiejnym krokiem, sztywna i blada jak lód. Wasia stwierdziła, że wygląda na niewiele starszą do Oli i nie tak starą jak ich ojciec. Cóż, tym lepiej, pomyślała dziewczynka. Może będzie się ze mną bawiła. Posłała macosze najpiękniejszy uśmiech, Anna jednak nie zareagowała, ani słowem, ani najmniejszym gestem. Kulila się pod spojrzeniami gapiów, a Piotr przypomniał sobie poniewczasie, że w Moskwie kobiety żyją osobno i na co dzień nie stykają się z mężczyznami.

– Jestem zmęczona – wyszeptała i wślizgnęła się do domu uczepona ramienia Olgi.

Wieśnicy popatrywali po sobie zakłopotani.

– No cóż, to była długa podróż – stwierdzili w końcu. – Z czasem poczuje się lepiej. To córka Wielkiego Księcia, tak jak Marina Iwanowna.

Byli dumni, że taka niewiasta przyjechała, by zamieszkać wśród nich. Wrócili do swoich chat, by rozpaścić ogień dla rozjaśnienia ciemności i zjeść wodnistą zupę.

Tymczasem w domu Piotra Władimirowicza wszyscy ucztowali, bo nadciągał Wielki Post, a zima zrobiła się stara i koścista. Szybko uporali się z rybą i kaszą, a potem Piotr i jego dwaj synowie opowiadali o swojej wyprawie, podczas gdy Alosza skakał po izbie, wymachując swoim nowym wspaniałym sztyletem.

Piotr własnoręcznie umieścił kokosznik na czarnych włosach Olgi i powiedział:

– Mam nadzieję, że włożysz go w dniu ślubu, Olu.

Olga zarumieniła się, lecz zaraz pobladła, a Wasia bez słowa skierowała na ojca spojrzenie ogromnych oczu.

– Zostanie księżną sierpuchowską – oznajmił Piotr głośno, żeby wszyscy w izbie mogli go usłyszeć. – Sam Wielki Książę wybrał jej męża. – Pocałował córkę.

Olga przyjęła te słowa z uśmiechem, była uszczęśliwiona, ale i zalękniona. W zamęcie wiwatów i powinszowań nikt nie usłyszał cienkiego i żalosego krzyku Wasi.

Uczta dobiegła końca i Anna postanowiła wcześniej się położyć. Olga poszła jej pomóc przygotować się do snu, a Wasia potruchtała za nimi. Kuchnia powoli pustoszała.

Zmierzch przeszedł w noc. Ogień się wypalił, pozostawiając dogasający żar, w kuchni zrobiło się zimno. Zostali w niej tylko Piotr i Dunia. Staruszka siedziała na stołku przy ogniu i płakała.

– Wiedziałam, że ten dzień musi nadejść, Piotrze Władimirowiczu. I jeśli w ogóle jakakolwiek dziewczyna zasługuje na to, by zostać księżną, to na pewno moja Ola, choć ciężko mi się z tym pogodzić. Zamieszka w pałacu w Moskwie, jak babka, i już nigdy jej nie zobaczę. Jestem za stara na podróże.

Piotr siedział naprzeciwko pieca i obracał w palcach klejnot, który miał w kieszeni.

– Ten dzień nadchodzi dla wszystkich kobiet – zauważył.

Dunia milczała.

– Proszę, Duniaszka – powiedział głosem tak dziwnym, że stara niania odwróciła się, by na niego popatrzeć. – Mam prezent dla Wasi.

Podarował jej już sztukę pięknego zielonego materiału na nowy sarafan. Dunia ściągnęła brwi.

– Jeszcze jeden, Piotrze Władimirowiczu? – zdziwiła się. – Nie za dużo?

– Być może – odrzekł Piotr.

Dunia zmrużyła oczy, patrząc na Piotra w ciemności, zaskoczona wyrazem jego twarzy. Podał jej naszyjnik, jakby chciał się go jak najszybciej pozbyć.

– Ty jej go daj. Musisz dopilnować, żeby zawsze miała go przy sobie. Każ jej to obiecać, Duniu.

Zdziwienie Duni wzrosło, wzięła jednak zimny niebieski przedmiot i przyjrzała mu się podejrzliwie.

Piotr skrzywił się boleśnie i wyciągnął rękę, jakby chciał odebrać jej naszyjnik, po chwili jednak zacisnął pustą pięść i gest zamarł niedokończony. Poderwał się gwałtownie i poszedł się położyć. Dunia, siedząc samotnie w ciemnej kuchni, wpatrywała się w wisiołek. Obracała go na wszystkie strony i mamrotała:

– No cóż, Piotrze Władimirowiczu, a gdzież to w Moskwie można znaleźć taki klejnot?

Kręcąc głową, wsunęła go do kieszeni i postanowiła przechować bezpiecznie, dopóki dziewczynka nie będzie wystarczająco duża, by powierzyć jej tak cenną błyskotkę.

Trzy noce później starej niani przyśnił się dziwny sen.

Znowu była młodą dziewczyną i szła sama przez zimowy las. Nagle na drodze rozległo się radosne dzwonienie sań. Dunia uwielbiała sanne, odwróciła się więc szybko i ujrzała białego konia kłusującego w jej stronę. Saniami powoził mężczyzna o czarnych włosach. Kiedy się z nią zrównał, nie zwolnił, tylko chwycił ją za ramię i wciągnął brutalnie do sań, nie

spuszczając przy tym wzroku z białej drogi. Pomimo zimowego słońca wokół niego wirowało lodowate powietrze, niczym najmroźniejsze styczniowe wichury.

Dunia się przestraszyła.

„Wzięłaś coś, co nie było przeznaczone dla ciebie”, powiedział. Dunia zadrżała, słysząc wycie wiatru w jego głosie. „Dlaczego to zrobiłaś?” Zęby szczękały jej tak, że nie mogła wydusić słowa. Mężczyzna odwrócił się nagle w jej stronę w nikłym blasku zimowego światła. „Ten naszyjnik nie był dla ciebie”, wysyczał. „Dlaczego go zabrałaś?” „Ojciec kupił go dla Wasilisy, ale to jeszcze dziecko. Zobaczyłam go i zrozumiałam, że to talizman”, wyjąkała Dunia. „Nie ukradłam go, nie... Boję się jednak o tę dziewczynkę. Proszę, ona jest za mała... Za mała na magię czy na łaskawość dawnych bogów”.

Mężczyzna się zaśmiał. Dunia usłyszała w tym śmiechu zgrzyt rozgoryczenia. „Bogów? Teraz istnieje tylko jeden Bóg, a ja jestem tylko wiatrem wiejącym w nagich gałęziach”. Umilkł, a rozdygotana Dunia poczuła smak krwi, bo ugryzła się w wargę.

Wreszcie mężczyzna skinął głową. „Dobrze, przechowaj go dla niej, dopóki nie dorośnie, ale nie dłużej. Chyba nie muszę ci mówić, co się stanie, jeśli mnie oszukasz”.

Dunia zaczęła energicznie potakiwać, jeszcze bardziej dygocząc. Mężczyzna trzasnął z bicia. Koń popędził przed siebie, galopując coraz szybciej po śniegu. Dunia poczuła, że zsuwa się z siedzenia. Próbowwała się przytrzymać, ale spadała i spadała...

Obudziła się, z trudem łapiąc oddech, na sienniku w kuchni. Leżała w ciemności, trzęsąc się z zimna, i długo nie mogła się rozgrzać.

Anna obudziła się niechętnie i zamrugała, by otrząsnąć się ze snów. Ten ostatni był bardzo przyjemny: był w nim ciepły chleb i ktoś o łagodnym głosie, lecz chociaż usiłowała go przywołać, rozwiązał się i została z pustką, więc naciągnęła na siebie koce, by ochronić się przed chłodem świtu.

Usłyszała szelest i odwróciła głowę. Na jej stołku siedział demon i latał jedną z koszul Piotra. Szare światło zimowego poranka rzucało smugi cienia na nieforemną istotę. Wzdrygnęła się. Mąż chrapał obok niej, niczego nieświadomy. Anna usiłowała zignorować zjawę, tak jak czyniła to codziennie przez siedem dni, odkąd po raz pierwszy obudziła się w tym okropnym miejscu. Odwróciła się i wtuliła w pościel, jednak nie mogła się rozgrzać. Mąż odrzucił przykrycie, ale jej zawsze było zimno. Kiedy prosiła, żeby rozpalić w piecu, służąca tylko na nią patrzyła, uprzejmie zakłopotana. Myślała, żeby przysunąć się do męża i ogrzać w jego ciepłe, lecz on mógłby dojść do wniosku, że go pragnie. Chociaż starał się być delikatny, był natarczywy, a ona najczęściej chciała, by zostawiono ją w spokoju.

Odważyła się spojrzeć na stołek. Stwór gapił się prosto na nią.

Nie mogła dłużej tego wytrzymać. Wyślizgnęła się z łóżka, ubrała szybko, chwytając przypadkowe części garderoby, i owinęła szalem na wpół rozplecione warkocze. Kiedy pędziła przez kuchnię do drzwi, Dunia, która zawsze wstawiała wcześniej, żeby upiec chleb, rzuciła jej spłoszone spojrzenie. Szarość poranka przechodziła w róż, przysypana śniegiem ziemia lśniła jak wysadzana drogimi kamieniami, jednak Anna nie zwracała na to uwagi. Widziała jedynie małą drewnianą cerkiewkę, nie dalej niż dwadzieścia kroków od domu. Nie zważając na nic, pobiegła w jej stronę, szarpnięciem otworzyła drzwi i wpadła do środka. Chciało jej się płakać, ale zacisnęła zęby i pięści i powstrzymała łzy. Za dużo już płakała.

Tu, na północy, jej szaleństwo jeszcze się pogłębiło, bo w domu Piotra roiło się od diabłów. W piecu siedział stwór z oczami jak węgle. W łaźni mały człowieczek mrugał do niej przez kłęby pary. Tuż przed drzwiami do domu snuł się demon, który wyglądał jak sterta patyków.

W Moskwie diabły nigdy na nią nie patrzyły, nie zdarzało im się choćby rzucić okiem w jej stronę, ale tutaj zawsze się gapiły. Niektóre nawet podchodziły całkiem blisko, jakby chciały do niej przemówić, i Anna za każdym razem musiała uciekać, ścigana zdziwionymi spojrzeniami męża i pasierbów. Widziała je ciągle i wszędzie, oprócz cerkiewki.

Cudowna cicha cerkiewka. Nic takiego, prawdę powiedziawszy,

w porównaniu z cerkwiami Moskwy. Nie było w niej złota, mszę odprawiał tylko jeden pop. Ikony małe i źle namalowane. Ona jednak nie widziała nic oprócz podłogi, ścian, ikon i świec. Żadnych twarzy kryjących się w cieniu.

Siedziała i siedziała, na przemian modląc się i patrząc przed siebie. Kiedy wślizgnęła się do domu, słońce dawno już wstało. Kuchnia była zatłoczona, ogień buzował. Pieczenie, gotowanie, sprzątanie i suszenie trwało bez ustanku, od brzasku do zmierzchu. Kiedy Anna weszła do izby, kobiety nie zareagowały, nikt nawet nie odwrócił głowy. Anna uznała to za wypominanie jej słabości.

Pierwsza podniosła wzrok Olga.

– Masz ochotę na kawałek chleba, Anno Iwanowno? – spytała. Olga nie potrafiła polubić nieszczęsnej istoty, która zajęła miejsce jej matki, ale była dobrą dziewczyną i jej współczuła.

Anna była głodna, lecz w otworze pieca siedział maleńki posiwiwały stworek. Broda żarzyła mu się od gorąca, gdy obgryzał poczerniałą skórkę.

Usta Anny Iwanowny poruszyły się, nie była jednak w stanie odpowiedzieć. Stworek spojrzał na nią znad chleba i przekrzywił głowę. W jego bystrych oczkach zobaczyła zaciekawienie.

– Nie – wyszeptwała. – Nie... nie chcę chleba.

Odwróciła się i uciekła, wybierając wątpliwe bezpieczeństwo swojego pokoju, podczas gdy kobiety w kuchni popatrzyły na siebie i powoli pokręciły głowami.



10.

Księżna sierpuchowska

Następnej jesieni Kola ożenił się z córką bojara z sąsiedztwa, grubą, postawną dziewczyną o żółtych włosach. Piotr zbudował im niewielki dom z porządnym glinianym piecem.

Wszyscy czekali na wielkie wesele, kiedy to Olga Pietrowna zostanie księżną sierpuchowską. Negocjacje trwały prawie rok. Podarki zaczęły przybywać z Moskwy, zanim błoto pokryło drogi, ustalanie szczegółów się przeciągało. Droga z Leśnej Ziemi do Moskwy była ciężka, posłańcy się spóźniali albo ginęli, rozbijali sobie czaszki, padali ofiarą rabusiów albo ich konie zaczynały kuleć. Wreszcie jednak wszystko zostało załatwione. Młody książę sierpuchowski miał przyjechać wraz ze świtą, by poślubić Olę i zabrać ją do swego moskiewskiego domu.

– Będzie dla niej lepiej, jeśli weźmie ślub, zanim wyruszy w podróż – powiedział posłaniec. – Nie będzie taka przestraszona.

Poza tym Aleksy, metropolita Moskwy, chciał, aby małżeństwo zostało zawarte i skonsumowane, zanim Olga przybędzie do miasta. Tego jednak posłaniec nie powiedział.

Książę przyjechał, gdy blada wiosna przemieniła się w olśniewające lato, z delikatnym, kapryśnym niebem i wędnącymi kwiatami ukrytymi w falującej trawie. W ciągu minionego roku dojrzał. Pryszcze zniknęły, chociaż nadal nie był zbyt urodziwy i ukrywał nieśmiałość pod hałaśliwą

wesołością.

Wraz z nim przybył jego kuzyn, jasnowłosy Dymitr Iwanowicz, głośno wykrzykujący słowa powitania. Książęta przywieźli sokoły, psy myśliwskie, konie, kobiety w rzeźbionych drewnianych wozach, a także mnóstwo podarków. Towarzyszył im opiekun, mnich o jasnym spojrzeniu, niezbyt stary, który częściej milczał, niż zabierał głos. Kawalkada wywołała ogromny zgiełk, kurz i zamęt. Cała wioska zebrała się, żeby popatrzeć, wiele osób proponowało przybyszom gościnę w swoich chatach i pastwiska dla zmęczonych koni. Młodziutki książę Włodzimierz nieśmiało wsunął błyszczący zielony beryl na palec Olgi i cały dom się weselił, co nie zdarzyło się, odkąd Marina wydała ostatnie tchnienie.

– Ten chłopiec jest przynajmniej miły – powiedziała Dunia do Olgi w rzadkim momencie spokoju. Siedziały razem przy dużym oknie w letniej kuchni. Wasia przycupnęła u stóp Olgi, przysłuchując się rozmowie i dłubiąc przy cerowanym odzieniu.

– Tak – przyznała Olga. – I Sasza pojedzie ze mną do Moskwy. Odwiezie mnie do domu mojego męża, zanim wstąpi do klasztoru. Obiecał mi to.

Na jej palcu lśnił pierścionek z berylem. Narzeczony zawiesił jej także na szyi sznur nieoszlifowanych bursztynów i podarował zwój cudownej tkaniny, ognistej niby maki. Dunia obrębiała ją właśnie na sarafan. Wasia tylko udawała, że szyje, zaciśnięte w pięści rączki złożyła na kolanach.

– Wszystko będzie dobrze – rzekła Dunia stanowczo, śliniąc koniec nitki. – Włodzimierz Andriejewicz jest bogaty i na tyle młody, by korzystać z rad połowicy. To wspaniałomyślne z jego strony, że przyjechał poślubić cię tutaj, w twoim domu.

– Przyjechał, bo metropolita mu kazał – przypomniała Olga.

– Ponadto cieszy się dużą przychylnością Wielkiego Księcia – ciągnęła niezrażona Dunia. – Jest najlepszym przyjacielem młodego Dymitra, to oczywiste. Będzie miał wysoką pozycję, kiedy Iwan Piękny umrze.

Zostaniesz wielką damą. Nie mogłaś lepiej trafić, moja Olu.

– Ta-ak – odparła Olga wolno. U jej stóp Wasia spuściła ciemną główkę. Olga pochyliła się i pogłaskała siostrę po włosach. – Chyba rzeczywiście jest miły, ale ja...

Dunia uśmiechnęła się drwiąco.

– Miałaś nadzieję, że zjawi się książę-kruk, jak tamten w bajce, który przyleciał po siostrę księcia Iwana?

Olga zarumieniła się i roześmiała, jednak nic nie odpowiedziała. Wzięła tylko Wasilię na kolana, chociaż dziewczynka była już za duża, by tulić ją jak dziecko, i zaczęła kołysać. Wasia zeszywniała w objęciach siostry i próbowała się wyrwać.

– Cichajże, żabko. – Olga przemówiła do niej jak do małego dziecka. – Wszystko będzie dobrze.

– Olgo Pietrowno – odezwała się Dunia – moja Olu, bajki są dla dzieci, a ty jesteś kobietą i wkrótce zostaniesz żoną. Wyjść za mąż za przyzwoitego człowieka i żyć bezpiecznie w jego domu, oddawać cześć Bogu i rodić zdrowych synów, to jest prawdziwe i słuszne. Pora odłożyć marzenia na bok. Bajki uprzyjemniają zimowe wieczory, nic więcej. – Dunia przypomniała sobie nagle o bladych zimnych oczach i jeszcze zimniejszych dłoniach. „Dobrze, dopóki nie dorośnie, ale nie dłużej”. Wzdrygnęła się i dodała ciszej, spoglądając na Wasię: – Nawet dziewczęta z bajek nie zawsze dobrze kończą. Aleniuszka została przemieniona w kaczkę i patrzyła, jak zła czarownica zabija i zjada jej kacze dzieci. – Widząc, że Olga wciąż jest przybita, pogładziła Wasię po włosach i rzuciła trochę zbyt surowo: – Dziecko, taki jest los kobiet. Nie sądzę, byś chciała zostać zakonnica. Może z czasem go pokochasz. Twoja mama nie знаła przed ślubem Piotra Władimirowicza i pamiętam, że się bała, chociaż była na tyle odważna, że stawiałaby czoło samej Babie Jadze, ale kochali się od pierwszej nocy.

– Mama nie żyje – odrzekła Olga bezbarwnym głosem. – Jej miejsce zajęła inna kobieta. A ja wyjadę stąd na zawsze.

Znad jej ramienia dał się słyszeć stłumiony szloch Wasi.

– Ona nigdy nie umrze – zapewniła Dunia stanowczo. – Bo ty żyjesz i jesteś równie piękna jak ona, i zostaniesz matką książąt. Bądź dzielna. Moskwa to piękne miasto, a twoi bracia będą przyjeżdżać do ciebie w odwiedziny.

Tamtej nocy Wasia przysła spać do łóżka Olgi i poprosiła żarliwie:

– Nie jedź, Olu. Już nigdy nie będę niedobra. Nie będę nawet wspinąca się na drzewa. – Popatrzyła na siostrę wielkimi oczami, cała drżąca.

Olga nie mogła powstrzymać się od śmiechu, chociaż gdy przemówiła do siostry, jej głos trochę się łamał:

– Muszę jechać, żabko. To książę, jest bogaty i miły, tak jak mówi Dunia. Muszę za niego wyjść albo wstąpić do klasztoru. Chcę mieć dzieci, dziesięć małych żabek takich jak ty.

– Przecież masz mnie, Olu. – Wasia się nadała.

Ola przytuliła ją mocniej.

– Przecież pewnego dnia ty też dorośniesz i nie będziesz już dzieckiem. I co ci wtedy przyjdzie ze starej trzęsącej się siostry?

– Razem! Zawsze razem! – wybuchnęła Wasia. – Ucieknijmy i zamieszkajmy w lesie.

– Nie jestem pewna, czy chciałabyś mieszkać w lesie. – Olga się uśmiechnęła. – Mogłaby nas zjeść Baba Jaga.

– Nie! Tam jest tylko jednooki mężczyzna – W głosie dziewczynki brzmiała pewność. – Jeśli będziemy trzymały się z dala od starego dębu, nigdy nas nie znajdzie. – Ola nie wiedziała, co o tym myśleć. – Urządzimy sobie izbę między drzewami – ciągnęła Wasia. – A ja będę ci przynosiła orzechy i grzyby.

– Mam lepszy pomysł. Jesteś już dużą dziewczynką, nie minie wiele lat, a staniesz się kobietą. Kiedy już będziesz dorosła, przyślę po ciebie kogoś z Moskwy. Będziemy dwiema księżnymi w jednym pałacu, ty też dostaniesz

swojego księcia. I co ty na to?

– Ale ja już jestem dorosła, Olu! – wykrzyknęła dziewczynka, połykając łzy i siadając na łóżku. – Spójrz, jaka jestem duża!

– Chyba jeszcze nie, siostrzyczko – odparła Olga łagodnie. – Ale bądź cierpliwa, słuchaj się Duni i jedz dużo kaszy. Kiedy ojciec uzna, że jesteś dorosła, pošlę po ciebie.

– Zapytam ojca. – Wasia się rozpogodziła. – Może powie, że już jestem dorosła.

Sasza rozpoznał mnicha w chwili, gdy ten wszedł na podwórze. W zamieszaniu powitań i wręczania podarunków dla panny młodej, podczas przygotowań do uczyty wśród zielonych letnich brzoź podbiegł do niego, chwycił jego dłoń i ją ucałował.

– Ojczy, przyjechałeś!

– Jak widzisz, mój synu – odrzekł mnich z uśmiechem.

– Ale to tak daleko.

– Nie aż tak. Kiedy byłem młodszy, przemierzałem całą Ruś wzdłuż i wszerz, a słowo Boże było moją ścieżką i moją tarczą, moim chlebem i moją solą. Teraz jestem stary i siedzę w Ławrze, lecz świat wciąż jest dla mnie piękny, zwłaszcza jego północna część latem. Cieszę się, że cię widzę.

Mnich nie powiedział – w każdym razie nie wtedy – że Wielki Książę jest chory i że sprawa małżeństwa Włodzimierza Andriejewicza stała się przez to jeszcze pilniejsza. Syn księcia, Dymitr, miał zaledwie jedenaście lat, był piegowaty i rozpuszczony. Matka trzymała go przy sobie i sypiała z nim w jednym łóżku. Zdarzało się, że nieletni dziedzice książąt znikali bez śladu, kiedy ich ojcowie umierali przedwcześnie.

Tamtej wiosny Aleksy wezwał świętego męża Sergiusza z Radoneża do swojego pałacu na Kremlu. Sergiusz i Aleksy znali się od dawna.

– Wysyłam Włodzimierza Adriejewicza na północ, żeby się ożenił –

oznajmił Aleksy. – Najszybciej, jak się da. Musi być żonaty, zanim Iwan umrze. Młody Dymitr pojedzie z orszakiem weselnym, dzięki czemu będzie bezpieczny. Jego matka obawia się, że jeśli zostanie w Moskwie, jego życie będzie zagrożone.

Pustelnik i metropolita sączyli rozcieńczony miód, siedząc na ławie w ogrodzie warzywnym.

– Czyżby Iwan Iwanowicz był aż tak bardzo chory? – zapytał Sergiusz.

– Jest jednocześnie szary i żółty, poci się i cuchnie, oczy ma zamglone – odparł metropolita. – Jeśli Bóg zechce, przeżyje, muszę jednak być gotowy na jego śmierć. Nie mogę wyjechać z miasta. Dymitr jest bardzo młody. Chciałbym cię prosić, żebyś dołączył do orszaku weselnego, czuwał nad nim i dopilnował, by Włodzimierz się ożenił.

– Włodzimierz ma się ożenić z córką Piotra Władimirowicza, tak? – upewnił się Sergiusz. – Poznałem syna Piotra. Mówią na niego Sasza. Przyjechał do mnie do Ławry. Nigdy nie widziałem takich oczu. Zostanie mnichem albo świętym lub bohaterem. Rok temu pragnął złożyć śluby i sądzę, że nadal tego pragnie. W Ławrze przydałby nam się taki braciszek.

– No cóż, jedź tam i sam zobacz. Przekonaj syna Piotra, żeby pojechał z tobą do Ławry. Dymitr, jako niepełnoletni, musi zamieszkać w twoim klasztorze. Tym lepiej, jeśli będzie miał za towarzysza Aleksandra Pietrowicza, swojego krewniaka, człowieka oddanego Bogu. Jeśli Dymitr zostanie koronowany, będzie potrzebował każdego sprzymierzeńca, jakiego tylko zdoła pozyskać.

– Tak zatem zrobię – odparł Sergiusz. Wokół nich bzyczały pszczoły. Północne kwiaty nadrabiały odurzającym zapachem krótkie, skazane na rychłe zwiędnięcie dni. – A więc zostaniesz jego regentem? – spytał Sergiusz z wahaniem. – Regenci także nie żyją długo, jeśli książęta, ich podopieczni, zostaną zgładzeni.

– Czyż jestem tak bojaźliwy, że nie osłonię chłopca przed zabójcami? – odpowiedział pytaniem Aleksy. – Zrobiłbym to, choćby miało mnie to kosztować życie. Bóg jest z nami. A po mojej śmierci ty musisz zostać

metropolitą.

Sergiusz się roześmiał.

– Prędzej ujrzę twarz Pana i oślepi mnie jego chwałą, niż przyjadę do Moskwy i spróbuję dogadać się z twoimi biskupami, bracie. Wyprawię się natomiast na północ z księciem sierpuchowskim. Dawno nie podróżowałem i z radością znów ujrzę tamtejsze ogromne lasy.

Piotr dostrzegł wśród jeźdźców mnicha i natychmiast sposepniał. Do wieczora wymieniali jedynie zdawkowe uprzejmości. Wszyscy uctowali razem w półmroku, a kiedy śmiech i pochodnie najedzonych wieśniaków oddaliły się w stronę wioski, Piotr podszedł w ciemności do Sergiusza i chwycił go za ramię. Patrzyli na siebie nad szemrzącym strumieniem.

– A więc przyjechałeś, boży człowieku, żeby ukraść mi syna? – odezwał się Piotr.

– Twój syn nie jest koniem, by ktokolwiek mógł go ukraść.

– Nie! Tym gorzej. Koń posłuchałby głosu rozsądku.

– To urodzony wojownik i człowiek boży – odrzekł łagodnie Sergiusz, co jeszcze bardziej rozgniewało Piotra. Zdusił jednak słowa cisnące mu się do gardła i nic nie odpowiedział.

Mnich ściągnął brwi, jakby podejmował ważną decyzję, po czym przemówił:

– Posłuchaj, Piotrze Władimirowiczu. Iwan Iwanowicz umiera. Być może już nie żyje. – Tego Piotr nie wiedział. Wzdrygnął się i cofnął. – Jego syn Dymitr gości w twoim domu – ciągnął Sergiusz. – Po wyjeździe stąd chłopiec uda się prosto do mojego klasztoru, by się tam ukryć. Są pretendenci do tronu, dla których życie jednego małego chłopca nic nie znaczy. Książę potrzebuje mężczyzn ze swego rodu, by go uczyli i strzegli. Twój syn jest jego kuzynem.

Piotr milczał zaskoczony. Zaczęły się pojawiać pierwsze nietoperze.

W młodości Piotr przywykł do nocy wypełnionych ich krzykami, teraz jednak trzepotały cicho w gęstniejącym zmierzchu.

– Z moimi mnichami nie pieczemy wyłącznie prosfory[2] i nie śpiewamy – mówił Sergiusz. – Tutaj jesteście bezpieczni, w tym lesie, który mógłby pochłonąć całą armię, nie wszędzie jest jednak tak samo. Pieczemy chleb dla głodnych i sięgamy po miecze w ich obronie. To szlachetne powołanie.

– Mój syn sięgnie po miecz w obronie własnej rodziny, ty zmij – wycedził Piotr bez namysłu, coraz bardziej zły z powodu narastającej niepewności.

– Z całą pewnością. I kuzyna, chłopca, który pewnego dnia będzie władał całą Moskwą.

Piotr milczał, jego gniew gdzieś się ulotnił.

Sergiusz dostrzegł smutek na jego twarzy i skłonił głowę.

– Przykro mi – powiedział. – To trudna sprawa. Będę się za ciebie modlił.

Wślizgnął się między drzewa, a strumień zagłuszył odgłos jego kroków.

Piotr stał nieruchomo. Była pełnia księżyca, nad wierzchołkami drzew ukazała się krawędź srebrnej tarczy.

– Ty wiedziałabyś, co powiedzieć – wyszeptał. – Ja tego nie potrafię. Pomóż mi, Marino. Nie poświęcę syna nawet dla dziedzica Wielkiego Księcia.

– Byłem zły, kiedy się dowiedziałem, że sprzedałeś moją siostrę w tak dalekie strony – zwrócił się Sasza do ojca. Mówił nerwowo, bo właśnie szkolił młodego konia. Piotr jechał na Wichrze. Szary ogier, księżę wśród zwierząt gospodarskich, popatrywał ze zdziwieniem na brykające obok niego młode stworzenie. – Włodzimierz wydaje się jednak dość przyzwoity, choć jest taki młody. Dobrze traktuje swoje konie.

– Cieszę się ze względu na Olgę, jednak nawet gdyby był pijakiem i rozpustnikiem, i do tego starcem, nie mógłbym postąpić inaczej – odparł

Piotr. – Wielki Książę nie dał mi wyboru.

Sasza pomyślał o swojej macosze, kobiecie, której ojciec nigdy sam by nie wybrał, o jej skłonności do płaczu, ciągłych modłach, lękach i o tym, że jest wiecznie spłoszona.

– Ty też nie miałeś wyboru, ojciec – zauważył.

Muszę być już stary, skoro mój syn jest dla mnie taki miły, pomyślał Piotr.

– To bez znaczenia – uciął.

Słońce rzucało skośne sztaby złota między smukłe buki, a wszystkie srebrne liście drżały. Koniowi Saszy nie spodobało się ich migotanie i stanął dęba. Sasza przytrzymał go w pół skoku i osadził na ziemi. Wicher zbliżył się do nich, jakby chciał pokazać żrebackowi, jak powinien się zachowywać prawdziwy koń.

– Słyszałeś, co mówił ten mnich – powiedział Piotr powoli. – Wielki Książę i jego syn są naszymi krewnymi. Ale proszę, żebyś to jeszcze przemyślał, Sasza. Życie mnicha jest surowe: ciągła samotność, bieda, modlitwy i zimne łóżko. Jesteś potrzebny tutaj.

Chłopak spojrział z ukosa na ojca. Jego spalona słońcem twarz nagle wydała się znacznie młodsza.

– Są przecież moi bracia – odparł. – Ja muszę jechać i spróbować swoich sił w walce ze światem. Tutaj ograniczają mnie drzewa. Muszę wyruszyć w drogę i walczyć po stronie Boga. Urodziłem się do tego, ojciec. Poza tym książę, mój kuzyn Dymitr, mnie potrzebuje.

– Ciężki to los być ojcem, którego opuszczają synowie. – Piotr westchnął. – Tak jak być mężczyzną bez synów, którzy opłakiwaliby jego odejście.

– Będę miał braci w Chrystusie, oni będą mnie opłakiwali – odpowiedział Sasza. – A ty masz Kolę i Aloszę.

– Jeśli wyjedziesz, niczego ze sobą nie zabierzesz – warknął Piotr. – Weźmiesz tylko ubranie, które masz na sobie, miecz i tego szalonego konia, na którym uparłeś się jeździć. I nie będziesz już moim synem.

Sasza wyglądał w tej chwili młodziej niż kiedykolwiek. Jego twarz

zbielała pod opalenizną.

– Muszę jechać, ojcze. Nie miej mi tego za złe.

Piotr nie odpowiedział. Popędził Wichra w stronę domu z taką zawziętością, że źrebak Saszy został daleko w tyle.

Tamtego wieczoru, kiedy Sasza doglądał wysokiego młodego wałacha, Wasia zakradła się o stajni.

– Mysz jest smutna – powiedziała. – Chce jechać z tobą.

Gniada klacz stała w swojej przegrodzie ze zwieszoną głową.

Sasza uśmiechnął się do siostry.

– Jest za stara na podróże. – Pogłaskał klacz po szyi. – Poza tym w klasztorze niewielki będzie pożytek z klaczy zarodowej. Ten mały spisze się doskonale. – Poklepał wałacha, który zastrzygł szpiczastymi uszami.

– Ja też mogę zostać mnichem – oznajmiła Wasia, a Sasza spostrzegł, że znów podkradła ubrania Aloszy i stoi przez nim z małą skórzaną torbą w ręku.

– Nie wątpię, ale mnisi na ogół są więksi.

– Zawsze jestem za mała! – wykrzyknęła dziewczynka ze złością. – Ale urosnę. Nie jedź jeszcze, Saszka. Poczekaj chociaż rok.

– Zapomniałaś o Oli? Obiecałem, że odwiozę ją do domu jej męża. Poza tym Bóg mnie wzywa, Wasoczka. Nie mogę go nie posłuchać.

Wasia zastanawiała się chwilę.

– A gdybym obiecała, że odwiozę Olę do domu jej męża, też mogłabym jechać? – Sasza nie odpowiedział. Wasia patrzyła na swoje stopy, grzebiąc w ziemi dużym palcem. – Anna Iwanowna pozwoliłaby mi jechać – dodała pospiesznie. – Chce, żebym wyjechała. Nienawidzi mnie. Jestem zbyt mała i zbyt brudna.

– Daj jej trochę czasu – poprosił Sasza. – Wychowywała się w mieście,

nie przywykła do lasu.

Wasia się skrzywiła.

– Jest tu już całe wieki. Szkoda, że ona nie może wrócić do Moskwy.

– Chodź, siostrzyczko – powiedział Sasza, spoglądając na jej bladą twarzyczkę. – Przejedziemy się trochę.

Kiedy Wasia była mniejsza, niczego nie uwielbiała bardziej niż jechać na przednim łąku jego siodła, z twarzą wystawioną na wiatr, w bezpiecznych objęciach brata. Rozpromieniła się, a Sasza wsadził ją na wałacha. Kiedy wyprowadził go na dwór, wskoczył na siodło za siostrą. Wasia pochyliła się do przodu, oddychając szybciej, i pogalopowali z szybkim stukotem kopyt.

Zachwycona dziewczynka pochyliła się jeszcze bardziej.

– Jeszcze, jeszcze! – krzyknęła, kiedy Sasza wstrzymał konia i zawrócił go w stronę domu. – Jedźmy do Saraju, Saszka! – Odwróciła się do niego. – Albo do Carogrodu, albo na wyspę Bujan, gdzie mieszka król mórz ze swoją córką, księżniczką-łabędzicą. To nie tak daleko. Na wschód od słońca, na zachód od księżyca. – Zmrużyła oczy, jakby chciała ustalić właściwy kierunek.

– Trochę jednak za daleko, jak na nocną galopadę – stwierdził Sasza. – Musisz być dzielna, żabko, i słuchać Duni. Kiedyś tu wrócę.

– Ale niedługo, Sasza? – wyszeptała Wasia. – Niedługo?

Sasza nie odpowiedział, nie musiał. Podjechali pod dom. Zatrzymał wałacha i postawił siostrę na ziemi przed stajnią.



11.

Domowik

Po wyjeździe Saszy i Olgi Dunia dostrzegła, że Wasia się zmieniła. Po pierwsze, znikąca teraz częściej niż kiedykolwiek. Po drugie, o wiele mniej mówiła. Czasem, kiedy już się odzywała, ludzi zdejmował lęk. Dziewczynka była za duża na dziecinne bajdurzenie, a przecież...

– Duniu, co mieszka w rzece? – spytała Wasia pewnego dnia, niedługo po ślubie Olgi, kiedy upał leżał nad lasem i polami niczym ciężka dłoń. Upiła wielki łyk soku i spojrzała wyczekująco na nianię.

– Ryby, Wasoczka, a jeśli do jutra będziesz grzeczna, zjemy świeżo złowioną rybę z młodymi ziołami i śmietaną.

Wasia uwielbiała ryby, pokręciła jednak głową.

– Nie, Duniu. Co jeszcze mieszka w rzece? Coś, co ma oczy jak żaba, włosy jak wodorosty, a z nosa kapie mu błoto.

Dunia posłała dziewczynce ostre spojrzenie, lecz Wasia wyjadała właśnie resztki kapusty z miski i tego nie zauważyła.

– Słuchałaś opowieści wieśniaków? – spytała Dunia. – To *wodianoj*, wodnik, król rzeki, który zawsze wypatruje małych dziewczynek, by zabrać je do swojego zamku przy brzegu.

Wasia z roztargnioną miną wyskrobywała miskę.

– To nie zamek, tylko dziura w brzegu rzeki – oznajmiła, zlizując bulion

z palców. – Ale dotąd nie wiedziałam, jak się nazywa.

– Wasiu... – zaczęła Dunia, patrząc w błyszczące oczy dziewczynki.

– Mmm? – mruknęła Wasia, odstawiając pustą miskę i wstając od stołu. Dunia miała na końcu języka ostrzeżenie jej przed... Przed czym właściwie? Przed rozmowami o bajkach? Powstrzymała cisnące jej się na usta słowa i podała Wasi nakryty ściereczką koszyk.

– Proszę. Zanieś to ojcu Siemionowi. Jest chory.

Wasia kiwnęła głową. Izba popa stanowiła część domu, miała jednak oddzielne wejście od południowej strony. Wasia chwyciła jedną pyżę, włożyła ją do ust, zanim Dunia zdążyła zaprotestować, i wymknęła się z kuchni, nucąc głośno i okropnie fałszując, jak swego czasu miał w zwyczaju jej ojciec.

Powoli, jakby wbrew jej woli, ręka Duni zagłębiła się w kieszeni wszytej od wewnętrznej strony spódnicy. Gwiazdka wokół niebieskiego klejnotu lśniła, idealna niczym śnieżynka, kamień zaś był lodowato zimny, chociaż Dunia harowała przy piecu przez cały parny ranek.

– Jeszcze nie – szepnęła. – Ona wciąż jest małą dziewczynką... Och, proszę, jeszcze nie.

Naszyjnik leżał i błyszczał na jej zniszczonej dłoni. Dunia ze złością schowała go do kieszeni i zaczęła mieszać zupę z zawziętością zupełnie do niej niepodobną, tak że bulion wylewał się z garnka i syczał na rozgrzanych kamieniach pieca.

Jakiś czas później Kola dostrzegł siostrę wychylającą się z kępy wysokiej trawy. Zacisnął usta. Nikt w dziesięciu wioskach, był tego pewny, nie potrafiłby tak plątać się bez przerwy pod nogami jak Wasia.

– Nie powinnaś być w kuchni? – spytał ostro. Dzień był upalny, a jego żona spocona i rozdrażniona. Ich maleńki synek ząbkował i bez przerwy wrzeszczał i w końcu Kola, zacisnąwszy zęby, wziął linkę i koszyk i poszedł

nad rzekę. Ale oto jego mała siostrzyczka postanowiła zakłócić mu spokój.

Wasia wystawiła głowę z zarośli, nie opuściła jednak swojej kryjówki.

– Nie mogłam nic na to poradzić, braciszku – powiedziała przymilnie. – Anna Iwanowna i Dunia fukały na siebie, a Irina płakała. – Irina była ich małą przyrodnią siostrzyczką, która urodziła się nieco wcześniej niż synek Koli. – I tak nie mogę szyć, kiedy Anna Iwanowna jest w pobliżu. Zapominam, jak to się robi.

Kola parsknął.

Wasia zaczęła się wiercić w swojej kryjówce.

– Mogę pomóc ci łowić? – spytała z nadzieją.

– Nie.

– A mogę chociaż popatrzeć, jak łowisz?

Kola już otwierał usta, by odmówić, przemyślał to jednak. Jeśli Wasia będzie siedziała na brzegu rzeki, nie wpakuje się w kłopoty gdzie indziej.

– Dobrze – zgodził się. – Jeśli usiądziesz tam. I będziesz siedziała spokojnie. Nie rzucaj cienia na wodę.

Wasia przyszła potulnie we wskazane miejsce. Kola nie zwracał już na nią uwagi, skupiając się na wodzie i trzymanej w ręku lince.

Godzinę później Wasia wciąż siedziała tak, jak kazał jej brat, Kola zaś miał w koszyku sześć ryb. Może żona wybaczy mi, że zniknąłem, myślał, zerkając na siostrę i dziwiąc się, że tyle czasu wytrzymała, siedząc bez ruchu. Patrzyła na wodę z takim napięciem, że wydało mu się to niepokojące. Co ona tam widzi? W co się tak wpatruje? Woda szemrała w korycie jak zawsze, przy obu brzegach kołysały się poruszane prądem kępy rukwi wodnej.

Czując gwałtowne szarpnięcie linki, zapomniał o Wasi i zaczął wyciągać rybę. Zanim jednak wydobył ją na brzeg, drewniany haczyk pękł. Kola zaklął. Niecierpliwie zwinął linkę i założył nowy haczyk. Szykując się do ponownego zarzucenia linki, rozejrzał się. Kosza nie było tam, gdzie go postawił. Znowu zaklął, tym razem głośniej, i spojrzał na Wasię. Ona jednak siedziała na kamieniu w odległości dziesięciu kroków od niego.

– Co się stało? – spytała.

– Moje ryby zniknęły! Jakiś *durak* ze wsi musiał przyjść i...

Wasia go jednak nie słuchała. Podbiegła tuż nad brzeg rzeki.

– To nie twoje! – krzyknęła. – Oddawaj! – Koli zdawało się, że słyszy w plusku wody dziwny odgłos, jakby odpowiedź. Wasia tupnęła. – Teraz! Łap sobie własne ryby!

Z rzecznych głębin dobiegł basowy pomruk, jakby kamienie ocierały się o siebie, a potem ni stąd, ni zowąd kosz Koli podleciał do góry, uderzył Wasię w pierś i ją przewrócił. Dziewczynka złapała kosz i z szerokim uśmiechem odwróciła się do brata.

– Są tutaj! – wykrzyknęła. – Ten stary żarłok chciał tylko... – Urwała nagle na widok jego miny i bez słowa podała mu koszyk.

Kola miał ochotę wrócić do wioski, zostawiając zarówno koszyk, jak i tę swoją dziwną siostrę. Był jednak mężczyzną i synem bojara, więc ruszył na sztywnych nogach, by odebrać swój połów. Może chciał nawet coś powiedzieć, jego usta poruszyły się raz czy dwa – trochę jak u ryby, pomyślała Wasia – odwrócił się jednak na pięcie i odszedł bez słowa.

Wreszcie nadeszła jesień, by położyć chłodne palce na suchej po lecie trawie. Światło ze złotego stało się szare, chmury płynęły wilgotne i miękkie. Jeśli Wasia nadal płakała za bratem i siostrą, robiła to po kryjomu, by nie zobaczył jej nikt z rodziny, przestała też pytać codziennie ojca, czy jest już wystarczająco duża, by jechać do Moskwy. Jadła natomiast kaszę z wilczą łapczywością i często pytała Dunię, czy choć trochę urosła. Unikała zarówno szycia, jak i macochy. Anna tupała nogą i wydawała piskliwe polecenia, lecz Wasia stawała okoniem.

Tamtego lata wędrowała po lesie w dzień i po zmroku. Nie było Saszy, który by jej szukał, więc często uciekała, nie zważając na gderanie Duni. Dnia jednak ubywało, pogoda się psuła, więc w krótkie wietrzne popołudnia Wasia siadywała w izbie na stołku, jadła chleb i rozmawiała z domowikiem.

Domowik był mały, przysadzisty i brązowy, miał długą brodę i błyszczące oczka. W nocy wypełzał z pieca, by wycierać talerze i szorować sadze. Kiedyś zajmował się również szyciem pozostawionym przez ludzi, lecz Anna wrzeszczała, ilekroć zobaczyła porzuconą koszulę, a niewiele służących chciało ryzykować jej gniew. Zanim nastąpiła macocha Wasi, wykładały podarki dla domowika: miseczkę mleka czy kawałek chleba. Teraz, żeby uniknąć wrzasków Anny, Dunia i służące ukrywały swoje dary w ciemnych kątach, gdzie ona rzadko zaglądała.

Wasia mówiła w przerwach między kęsami, kopiąc przy tym nogi stołka. Domowik szył – dziewczynka ukradkiem podała mu powierzone jej do łątania rzeczy. Maleńkie paluszki śmigały szybko niczym komary w letni dzień. Rozmowa, jak zwykle, była raczej jednostronna.

– Skąd jesteś? – spytała Wasia z pełnymi ustami. Już wcześniej zadawała to pytanie, czasem jednak odpowiedź była inna.

– Stąd – odrzekł domowik, nie podnosząc głowy ani nie przerywając pracy.

– A więc jest was tu więcej? – dopytywała się dziewczynka.

Ten domysł wprowadził domowika w zakłopotanie.

– Nie.

– Ale skoro jesteś tylko ty, to skąd się tu wzięłeś?

Filozoficzne dysputy nie były mocną stroną domowika. Zmarszczył pobrużdżone czoło, jego dłonie też jakby się zawahały.

– Jestem tu, bo tu jest dom. Gdyby domu nie było, mnie też by nie było.

Wasilisa nic nie zrozumiała z tej odpowiedzi.

– Gdyby Tatarzy spalili dom, tobyś umarł?

Domowik miał taką minę, jakby zmagał się z jakimś trudnym zagadnieniem.

– Nie.

– Ale właśnie powiedziałeś...

Teraz domowik gestem dał do zrozumienia, że nie ma ochoty ciągnąć tej rozmowy. Zresztą Wasia i tak skończyła jeść. Zadumana, zsunęła się ze stołka, rozsypując okruchy. Domowik przeszył ją wzrokiem, zaciskając usta. W poczuciu winy próbowała zmieść okruszki, ale tylko rozsypała je jeszcze bardziej. Wreszcie dała za wygraną i uciekła, lecz potknęła się o obłuzowaną deskę i wpadła na Annę Iwanownę, która stała w drzwiach i wpatrywała się w nią zmrużonymi oczami.

Na jej obronę trzeba powiedzieć, że Wasia nie zamierzała popchnąć macochy na framugę drzwi, była jednak silna i koścista jak na swój wiek i potrafiła szybko biegać. Podniosła głowę, by przeprosić macochę, jednak słowa uwięzły jej w gardle. Anna była biała jak sól, natomiast jej policzki płonęły rumieńcem, a pierś falowała. Dziewczynka cofnęła się o krok.

– Wasiu, z kim rozmawiałaś? – przemówiła Anna zduszonym głosem.

Wasia milczała zaskoczona.

– Odpowiedz mi, dziecko! Z kim rozmawiałaś?

Zmieszana Wasia wybrała najbezpieczniejszą odpowiedź:

– Z nikim.

Anna przeniosła wzrok z Wasi na izbę za jej plecami, po czym gwałtownym ruchem wyciągnęła rękę i uderzyła Wasię w twarz.

Dziewczynka przyłożyła dłoń do policzka, blada z wściekłości i zdumienia. Po chwili łzy napłynęły jej do oczu. Ojciec bił ją dość często, zawsze jednak z powagą, wymierzając sprawiedliwość. Nigdy w życiu nie została uderzona w furii.

– Kolejny raz nie zapytam – ostrzegła Anna.

– To tylko domowik – wyszeptała Wasia. Oczy miała ogromne. – Tylko domowik.

– A jakimż to rodzajem diabła jest domowik? – zapytała Anna piskliwie.

Zdezorientowana Wasia, powstrzymując płacz, nie odpowiedziała.

Anna uniosła rękę, by znów ją uderzyć.

– Pomaga sprzątać w domu – wyjąkała Wasia. – Nie robi nic złego.

Anna patrzyła w głąb izby, jej twarz jeszcze bardziej poczerwieniała.

– Wynoś się stąd! – zaskrzeczała. Domowik podniósł wzrok, rozżalony i zmieszany. Anna znów odwróciła się do Wasilisy: – Domowik? – syknęła, robiąc krok w jej stronę. – Domowik? Nie ma czegoś takiego jak domowik!

Wasia, wściekła i oszołomiona, otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, widząc jednak wyraz twarzy macochy, gwałtownie je zamknęła. Nigdy jeszcze nie widziała kogoś tak przerażonego.

– Wynoś się stąd! – wrzasnęła Anna. – Wynoś się, wynoś! – Jej głos przeszedł w pisk, a Wasia odwróciła się i uciekła.

Z dołu, od zwierząt, biło ciepło i ogrzewało pachnący słodko stryszek. Wasia zakopała się w stercie siana, zmarznięta, posiniaczona i skołowana.

Nie ma czegoś takiego jak domowik? Oczywiście, że jest. Widują go codziennie. Siedzi tam cały czas.

Czy rzeczywiście wszyscy go widzą? Wasia nie przypominała sobie, by ktokolwiek oprócz niej rozmawiał z domowikiem. Ale oczywiście Anna Iwanowna go widziała: „Wynoś się stąd”, powiedziała, prawda? A może... może naprawdę nie ma czegoś takiego jak domowik? Może jest szalona? Może przeznaczono jej los prostaczka bożego, włączącego się po wsiach i żebrzącego? Ale nie, świętych głupców strzeże Chrystus i nie psocą tak jak ona.

Od tych rozmyślań Wasię rozboleła głowa. Jeśli domowik nie istnieje, to co z innymi? Z wodnikiem w rzece, z bugajem w lesie? Co z rusałką, polewikiem i dwornikiem? Czyżby sobie ich wszystkich wyobraziła? Czy jest szalona? A Anna Iwanowna? Żałowała, że nie może zapytać o to Oli albo Saszy. Oni by wiedzieli i żadne z nich nigdy by jej nie uderzyło. Ale są daleko stąd.

Wasia ukryła twarz w ramionach. Nie była pewna, jak długo leży na stryszku. Po ciemnej stajni przesuwwały się cienie. Zdrzemnęła się trochę, jak

mają w zwyczaju zmęczone dzieci, a kiedy się zbudziła, światło było szare, a ona piekielnie głodna.

Przeciągnęła się, bo cała zdrętwiała, uniosła powieki i stwierdziła, że patrzy prosto w oczy dziwnej małej osóbki. Jęknęła przestraszona i znów zwinęła się w kłębek, przecierając oczy piąstkami.

Ale kiedy znów spojrzała w tamtą stronę, te oczy wciąż tam były, nadal wielkie, brązowe i spokojne, osadzone w szerokiej twarzy z czerwonym nosem i powiewającą białą brodą. Stwór był dość mały, nie większy od Wasi, i siedział na stercie siana, przyglądając jej się z przyjaznym zaciekawieniem. W przeciwieństwie do domowika, który ubierał się schludnie, stworek miał na sobie łachmany i był boso.

Tyle dostrzegła Wasia, zanim znów zaciśnęła powieki. Nie mogła jednak w nieskończoność siedzieć zagrzebana w sianie. Wreszcie zdobyła się na odwagę, raz jeszcze otworzyła oczy i spytała drżącym głosem:

– Jesteś diabłem?

Cisza.

– Nie wiem – odpowiedział wreszcie mały stworek. – Może. A co to jest diabeł? – Jego głos przypominał ciche rzenie łagodnego konia.

Wasia się zastanowiła.

– Wielki czarny potwór z brodą z płomieni i widlastym ogonem, który chce osiąść moją duszę i torturować mnie w ogniu piekielnym.

Znowu spojrzała na małego człowieczka. Czymkolwiek był, nie pasował do tego opisu. Brodę miał uspokajająco białą i trwałą, i właśnie wykręcał się, żeby obejrzeć tył swoich spodni, jakby chciał sprawdzić, czy ma ogon.

– Nie, nie sędzę, żebym był diabłem.

– Naprawdę tu jesteś? – upewniła się Wasia.

– Czasami – odparł człowieczek spokojnie.

Ta odpowiedź nie do końca zadowoliła Wasię, po chwili namysłu uznała jednak, że „czasami” jest lepsze niż „nigdy”.

– Och – szepnęła, udobruchana. – Czym zatem jesteś?

– Opiekuję się końmi.

Wasia kiwnęła ze zrozumieniem głową. Skoro istnieje stworek opiekujący się domem, to cóż, powinien istnieć również opiekun stajni. Życie jednak nauczyło ją ostrożności.

– Czy... czy wszyscy mogą cię zobaczyć? Wiedzą, że tu jesteś?

– Stajenni wiedzą. W każdym razie w zimne noce zostawiają mi podarunki. Ale nie, nikt nie może mnie zobaczyć. Oprócz ciebie. I jeszcze tamtej drugiej, ale ona nigdy tu nie przychodzi. – Skłonił się lekko w stronę Wasi.

Wasia obserwowała go z narastającą konsternacją.

– A domowik? Jego też nikt nie może zobaczyć, prawda?

– Nie wiem, co to domowik. Jestem od stajni i mieszkających tu zwierząt. Nie zapuszczam się na zewnątrz, chyba że wyprowadzam konie.

Wasia otworzyła usta, żeby zapytać, w jaki sposób to robi. Nie był wyższy od niej, a grzbiety koni sięgały kilka dłoni ponad jej głowę. W tym momencie jednak uświadomiła sobie, że słyszy łamiący się głos Duni. Staruszka ją wołała. Wasia poderwała się na nogi.

– Muszę iść. Zobaczę cię jeszcze?

– Jeśli chcesz. Nigdy przedtem z nikim nie rozmawiałem.

– Jestem Wasilisa Pietrowna. A ty jak się nazywasz?

Stworek zastanawiał się chwilę.

– Do tej pory nie musiałem się nazywać – wyznał. Znów popadł w zadumę. – Jestem... waziła, duch stajni – powiedział w końcu. – Myślę, że możesz się tak do mnie zwracać.

Wasia z szacunkiem skłoniła głowę.

– Dziękuję – powiedziała, po czym odwróciła się i popędziła do drabiny, by zejść ze stryszku. Z jej włosów sypało się siano.

Mijały dni i pory roku. Wasia była coraz starsza i coraz bardziej ostrożna. Pilnowała się, by rozmawiać wyłącznie z ludźmi, chyba że była sama. Postanowiła mniej krzyczeć, mniej biegać, mniej denerwować Dunię, a przede wszystkim unikać Anny Iwanowny.

I nawet jakoś jej się to udawało, gdyż prawie siedem lat upłynęło w spokoju. Jeśli Wasia słyszała głosy w wyciu wiatru albo widziała twarze wśród liści, ignorowała je. Na ogół. Wyjątek stanowił wazila.

Był bardzo prostą istotką. Twierdził, że podobnie jak inne gospodarskie duchy, pojawił się wraz z wybudowaniem stajni i nie pamiętał nic z tego, co było wcześniej. Cechowała go jednak prostota typowa dla koni. Wasilisa pod psotnością skrywała wewnętrzny spokój, który – chociaż dziewczyna nie zdawała sobie z tego sprawy – podobał się duchowi stajni.

Kiedy tylko mogła, znikwała w stajni. Potrafiła obserwować wazilę godzinami. Ruchy miał nieludzko lekkie i zwinne, wspinał się na końskie grzbiety jak wiewiórka. Nawet Wicher stał wtedy nieruchomo niczym skała. Po jakimś czasie wydało się całkiem naturalne, że Wasia weźmie kopystkę i grzebień i będzie mu pomagała.

Z początku lekcje wazily ograniczały się do praktycznych umiejętności: oporządzania, pielęgnowania i leczenia, Wasia jednak odznaczała się gorliwością i wkrótce zaczął uczyć ją dziwniejszych rzeczy.

Na przykład jak rozmawiać z końmi.

To był język oka i ciała, dźwięków i gestów. Wasia była młoda i szybko się uczyła. Wkrótce zakradała się do stajni nie tylko dla miękkiego siana i bijącego od zwierząt ciepła, lecz również po to, by rozmawiać z końmi. Godzinami przesiadywała w ich przegrodach i słuchała, co mówią...

Stajenni pewnie by ją przegonili, jednak natykali się na nią zadziwiająco rzadko. Czasami Wasię nawet to martwiło. Wystarczyło, by przywarła do ściany, a potem schowała się za konia i uciekła, a stajenny nawet nie podnosił głowy.



Część druga





12.

Pop o złotych włosach

W tym samym roku, w którym Wasilisa Pietrowna skończyła czternaście lat, metropolita Aleksy poczynił plany co do objęcia tronu przez księcia Dymitra Iwanowicza. Przez siedem lat metropolita był regentem księcia w Moskwie, knuł intrygi i wdawał się w utarczki, zawierał przymierza i je zrywał, wzywał ludzi do walki i odsyłał z powrotem do domu. Kiedy jednak Dymitr osiągnął wiek męski, Aleksy, widząc, że młodzieniec jest śmiały, bystry i stały w poglądach, oznajmił: „Cóż, dobry żreback nie może tkwić na pastwisku”, i zaczął planować koronację. Uszyto książęce stroje, kupiono futra i klejnoty, a do Saraju wysłano posłańców z błaganiem o zgodę chana.

Aleksy zaś, jak zawsze, po cichu wypatrywał tych, którzy mogliby się sprzeciwić sukcesji księcia. W ten sposób trafił na popa Konstantego Nikonowicza.

Konstanty był człowiekiem dość młodym, a przy tym szczęśliwym (bądź nieszczęśliwym) posiadaczem niezwyklej urody: miał włosy w kolorze starego złota i oczy niczym błękitna woda. W całej Moskwie słynął z pobożności, a mimo młodego wieku podróżował daleko na południe, nawet do Carogrodu, i na zachód, do Hellasu. Czytał po grecku i potrafił roztrząsać zawilości teologiczne. Co więcej, śpiewał anielskim głosem, tak że słuchając go, ludzie płakali i wznosili oczy do Boga.

Przede wszystkim jednak Konstanty Nikonowicz był malarzem lub też,

jak mówiono, pisarzem ikon[3]. Takich ikon, powiadali ludzie, nigdy przedtem w Moskwie nie widziano. Musiał je musnąć palec Boga, który w swej łaskawości zechciał pobłogosławić nędzny świat. Kopiowano już te ikony we wszystkich klasztorach północnej Rusi, szpiedzy Aleksego przynosili mu opowieści o oszalałych, rozentuzjasmowanych tłumach i kobietach, które płakały, całując malowane twarze.

Pogłoski te niepokoiły metropolitę.

– No to w takim razie uwolnię Moskwę od tego złotowłosego popa – postanowił. – Skoro jest tak uwielbiany, gdyby zechciał, mógłby zwrócić ludzi przeciwko księciu.

Zaczął się zastanawiać, jak to osiągnąć.

Gdy tak rozmyślał, przybył posłaniec z domu Piotra Władimirowicza.

Metropolita kazał go przyjąć natychmiast. Posłaniec zjawił się we właściwym momencie. Chociaż wciąż brudny, zmęczony po podróży i oszołomiony wspaniałością otoczenia, stał w miarę pewnie na nogach i zająknął się tylko odrobinę, gdy poprosił:

– Pobłogosław mnie, ojcze.

– Bóg z tobą – powiedział Aleksy, kreśląc w powietrzu znak krzyża. – Powiedz, co cię sprowadza z tak daleka, mój synu.

– Umarł pop z Leśnej Ziemi – wyjaśnił posłaniec, przełykając ślinę. Spodziewał się, że przekaze tę wiadomość mniej dostojnej osobistości. –

Dobry gruby ojciec Siemion odszedł do Boga i pani powiedziała, że jesteśmy zostawieni na pastwę losu. Błaga o przysłanie nowego popa, by wspierał nas tam na odludziu.

– Cóż, podziękuj Bogu, bo wasze wybawienie jest bliskie.

Metropolita Aleksy odprawił posłańca i posłał po Konstantego Nikonowicza.

Młody człowiek stawiał się przed obliczem prałata wysoki, blady, o pałającym spojrzeniu. Ciemna szata podkreślała piękno jego włosów i oczu.

– Ojciec Konstanty, Bóg wyznaczył ci zadanie – oznajmił Aleksy. Ojciec Konstanty milczał. – Pewna kobieta – ciągnął – rodzona siostra Wielkiego Księcia, przysłała posłańca z błaganiem o pomoc. Owczarnia w jej wiosce została bez pasterza. – Wyraz twarzy młodego duchownego nie uległ zmianie. – Jesteś odpowiednim człowiekiem, by być kapłanem tej damy i jej rodziny – zakończył Aleksy, uśmiechając się z wystudiowaną dobrotliwością.

– *Batiuszka* – odezwał się ojciec Konstanty. Głos miał porażająco głęboki. Służący, który stał u boku Aleksego, aż pisnął ze strachu, a metropolita zmrużył oczy. – Jestem zaszczycony. Mam już jednak pracę wśród moskiewskiego ludu. A także ikony, które tworzę na chwałę Bożą.

Jego głos był kojący i irytujący zarazem. Aleksy uważnie mu się przyglądał.

– Wielu z nas służy moskiewskiemu ludowi, a tamte biedne zagubione duszyczki na odludziu nie mają nikogo – odparł. – To naprawdę musisz być ty. Wyjedziesz za trzy tygodnie.

Piotr Władimirowicz jest rozsądnym człowiekiem, myślał Aleksy. Trzy sezony na północy stłumią ambicje tego młodzieńca, a przynajmniej sprawią, że jego jakże groźna uroda zblednie. To lepsze niż zabić go od razu, bo lud mógłby zrobić z jego zwłok relikwie i uczynić go męczennikiem.

Ojciec Konstanty otworzył usta, by coś powiedzieć, napotkał jednak twardy jak krzemień wzrok metropolity. Po obu jego stronach stali strażnicy, przed wejściem było ich jeszcze więcej, wszyscy trzymali szkarłatne piki. Konstanty zdusił słowa cisnące mu się na usta.

– Jestem pewny, że masz przed wyjazdem dużo do zrobienia. Bóg z tobą, mój synu – dodał Aleksy cicho.

Konstanty, biały jak ściana, przygryzł czerwoną wargę, skłonił sztywno głowę i odwrócił się na pięcie. Jego ciężka szata zafalowała z szelestem, gdy wychodził z pokoju.

– Krzyżyk na drogę – mruknął Aleksy, chociaż nadal był niespokojny. Nalał do kubka kwasu chlebowego i wypił duszkiem.

W środku lata drogi były porośnięte trawą i suche. Łagodne słońce uwielbiało słodki zapach ziemi, a lekkie deszcze obsypały las kwieciami. Ojciec Konstanty jednak tego nie dostrzegał. Jechał obok posłańca Anny, zaciskając pobladłe z wściekłości wargi. Jego palce tęskniły za pędzlami, za pigmentami i deskami, a on za swoją cichą chłodną celą. Przede wszystkim jednak tęsknił za ludźmi, za ich miłością, oddaniem i podszytym strachem uniesieniem, za ich wyciągającymi się do niego rękami. Niech diabli wezmą tego mąciciela metropolite. Został oto skazany na wygnanie, tylko dlatego że ludzie wolą jego.

Cóż, wyszkoli jakiegoś wiejskiego chłopca, doprowadzi do jego wyświęcenia i będzie mógł wrócić do Moskwy. Albo może wyprawi się dalej na południe, do Kijowa, lub na zachód, do Nowogrodu. Świat jest szeroki, a Konstanty Nikonowicz nie zamierza wiecznie gnić w jakiejś wsi wśród lasów.

Przez tydzień aż gotował się ze złości, potem jednak górę wzięła wrodzona ciekawość. W miarę jak zapuszczali się dalej i dalej na dzikie tereny, drzewa były coraz większe: dęby o gigantycznym obwodzie i sosny wyższe niż cerkiewne wieże. Coraz rzadziej pojawiały się jasne łąki, otaczał ich las. Światło było zielone, szare i fioletowe, a cienie grube jak aksamit.

– Jaka jest ta ziemia Piotra Władimirowicza? – zapytał Konstanty swego towarzysza pewnego ranka. Posłaniec się wzdrygnął. Jechali od tygodnia, a przystojny pop otwierał dotąd usta tylko po to, by zjeść posiłek.

– Bardzo piękna, *batiuszka* – odparł z szacunkiem. – Drzewa wspaniałe jak katedry i bystre strumienie. Latem kwiaty, jesienią owoce. Tyle że zimą zimno.

– A twój pan i pani? – Konstanty, chcąc nie chcąc, był ciekaw.

– Piotr Władimirowicz to dobry człowiek. – Gdy posłaniec to mówił, jego głos zrobił się ciepły. – Czasem surowy, lecz sprawiedliwy, a jego ludziom nigdy niczego nie brakuje.

– A twoja pani?

– Och, dobra kobieta, dobra kobieta. Nie taka, jak poprzednia pani, ale też dobra. Nie mogę powiedzieć o niej nic złego.

Rzucił Konstantemu ukradkowe spojrzenie, a pop zastanawiał się, co też posłaniec przemilczał.

W dniu przyjazdu popa Wasia siedziała na drzewie i rozmawiała z rusałką. Kiedyś w takiej sytuacji czuła zakłopotanie, przyzwyczaiła się jednak do zielonej nagości swojej rozmówczynie i do tego, że z jej jasnych, przypominających wodorosty włosów ciągle kapała woda. Rusałka z kocim wdziękiem siedziała na grubym konarze i czesała starannie długie pukle. Grzebień był największym skarbem boginki, bo gdyby jej włosy wyschły, umarłaby, a grzebień mógł wyczarować wodę zawsze i wszędzie. Jeśli przyjrzała się uważnie, Wasia widziała wodę wypływającą z jego zębów. Rusałka lubiła mięso, więc chwytła sarny pijące z jej jeziora o świcie, a czasem młodych mężczyzn, którzy pływali tam latem. Wasilisę jednak lubiła.

Było późne popołudnie, światło długich północnych dni opromieniało je obie, wydobywając blask włosów Wasi i sprawiając, że rusałka blakła i wyglądała jak zielonkawy duch o kobiecych kształtach. Wodna boginka była wiekowa jak samo jezioro i czasami ze zdziwieniem patrzyła na Wasię, zuchwałę dziecko nowszego świata.

Zaprzyjaźniły się w osobliwych okolicznościach. Rusałka porwała chłopca z wioski, a Wasia, widząc, że młodzieniec tonie, a w bulgoczącej wodzie błyskają zielone palce, rzuciła mu się na ratunek, nurkując w jeziorze. Chociaż była dzieckiem, odwagi jej nie brakło i mogła się mierzyć z każdą rusałką. Chwyciła chłopca i wyciągnęła go na światło dnia. Dopłynęli bezpiecznie do brzegu, chłopak był posiniaczony, wypluwał wodę i wpatrywał się w Wasię zarówno z wdzięcznością, jak i z przerażeniem. Gdy tylko poczuł grunt pod nogami, wyrwał jej się i popędził do wsi.

Wasia wzruszyła ramionami i poszła za nim, wyzymając wodę z warkocza. Chciała dostać swoją porcję zupy. Później, podczas długiego wiosennego zmierzchu, kiedy każdy liść i źdźbło trawy rysowały się czarno na tle zabarwionego błękitem powietrza, Wasia wróciła nad jezioro i usiadła na brzegu, zanurzając palce w wodzie.

– Chciałaś go zjeść? – zagadnęła. – Nie możesz znaleźć innego mięsa?

Odpowiedziała jej krótka, przepełniona szelestem liści cisza.

A potem...

– Nie – odrzekł szemrzący głos. Wasia zerwała się na równe nogi, gorączkowo przepatrując listowie. To była bardziej kwestia szczęścia niż czegokolwiek innego, że jej wzrok padł na faliste kontury nagiej kobiety. Rusałka przycupnęła na konarze, w ręku trzymała coś białego i migoczącego.

– Nie chodzi o mięso – odparła, wzruszając ramionami, a jej włosy zdrzały, zupełnie jak drobne fale marszczące wodę – lecz o strach, pragnienie, sprawy, o których ty nie masz pojęcia. One nadają smak wodzie i mnie karmią. Umierając, rozpoznają mnie taką, jaka jestem. W przeciwnym razie byłabym jedynie jeziorem, drzewem i wodorostem.

– Ale ich zabijasz! – wykrzyknęła Wasia.

– Wszystko umiera.

– Nie pozwolę ci uśmiercać mieszkańców mojej wioski.

– Wtedy zniknę – odparła rusałka beznamiętnym tonem.

Wasia zastanawiała się przez chwilę.

– Ja wiem, że tu jesteś. Widzę cię. Nie umieram i się nie boję... ale... cię widzę. Mogę być twoją przyjaciółką. Czy to wystarczy?

Rusałka przypatrywała jej się z zaciekawieniem.

– Może...

Zgodnie z danym słowem Wasia przychodziła do wodnej boginki, wiosną zaś wrzucała do jeziora kwiaty, by rusałka żyła.

W zamian rusałka nauczyła Wasię pływać, jak potrafi bardzo niewielu,

i wspinać się na drzewa niczym kot, i tak się akurat złożyło, że kiedy ojciec Konstanty zbliżał się do Leśnej Ziemi, siedziały rozparte na konarze sterczącym nad drogą.

Rusałka pierwsza dostrzegła popa i jej oczy rozbłysły.

– Oto nadjeżdża ktoś, kogo chętnie bym zjadła.

Wasia spojrzała na drogę i zobaczyła mężczyznę o przykurzonych złocistych włosach, w ciemnych szatach popa.

– Dlaczego?

– Jest pełen pragnień. Pragnień i strachu. Sam nie wie, czego chce, i sam przed sobą ukrywa swój strach. Ale czuje jedno i drugie tak mocno, że go to dusi.

Mężczyzna podjechał bliżej. Istotnie miał wygłodniałą twarz. Wydatne kości policzkowe rzucały szare cienie na zapadnięte policzki. Miał też głęboko osadzone niebieskie oczy i pełne, miękkie wargi o surowym wyrazie, jakby dla ukrycia ich delikatności. Obok niego jechał jeden z ludzi jej ojca, obydwa konie były pokryte kurzem i zmęczone.

Twarcz Wasi się rozjaśniła.

– Idę do domu – oznajmiła. – Jeśli przyjechał z Moskwy, będzie miał wieści o moim bracie i siostrze.

Rusałka nie patrzyła na Wasilisę, lecz w ślad za przybyszem, a jej oczy płonęły wygłodniałym blaskiem.

– Obiecałaś, że nie będziesz – rzuciła Wasia szorstko.

Rusałka uśmiechnęła się, między zielonkawymi wargami błysnęły ostre zęby.

– Może on pragnie śmierci? Jeśli tak, potrafię mu pomóc.

Na pozłacanym popołudniowym świetle podwórzu było rojno jak w mrowisku. Jeden z parobków rozkulbaczał zmęczone konie, lecz popa

nigdzie nie było widać. Wasia pobiegła do kuchennych drzwi. Dunia, z którą spotkała się w progu, syknęła na widok gałązek w jej włosach i plam na przykrótkiej sukience.

– Wasiu, gdzie... – zaczęła, lecz nie dokończyła zdania i rzuciła tylko: – Nieważne. Chodź, pośpiesz się.

Wypchnęła dziewczynkę z kuchni, każąc jej się uczesać i zmienić brudne ubranie na odświeżoną bluzkę i haftowany sarafan.

Zarumieniona i zawstydzona, ale wyglądając jako tako, Wasia wyłoniła się z izby, którą dzieliła z Iriną. Alosza już na nią czekał. Na jej widok uśmiechnął się szeroko.

– Może jednak uda im się wydać cię za męża, Wasoczka.

– Anna Iwanowna twierdzi, że nie – odparła Wasia spokojnie. – Za wysoka, chuda niczym łasica, stopy i twarz jak u żaby. – Splotła dłonie i przewróciła oczami. – Niestety tylko księżęta w bajkach mają żabie żony. Ale one potrafią czarować i mogą stać się piękne na zawołanie. Obawiam się, że ja nie zdobędę księcia, Lioszka.

Alosza prychnął.

– Biedny księżę. Ale nie bierz sobie do serca słów Anny Iwanowny, ona nie chce, żebyś była piękna.

Wasia nic nie odpowiedziała, a przez jej twarz przemknął nagły cień.

– A więc mamy nowego popa – dodał Alosza pośpiesznie. – Jesteś ciekawa, co, siostrzyczko?

Oboje wymknęli się na podwórze, by okrążyć dom.

Spojrzenie, które Wasia rzuciła bratu, było po dziecięcemu czyste.

– A ty nie? – spytała. – Przyjechał z Moskwy, może będzie miał jakieś wieści.

Piotr i nowy pop siedzieli na chłodnej trawie lata i pili kwas chlebowy.

Piotr usłyszał kroki zbliżających się dzieci, odwrócił się i zmrużył oczy, widząc córkę.

To prawie kobieta, pomyślał. Minęło zbyt dużo czasu, odkąd patrzyłem na nią naprawdę. Jest tak podobna i zarazem tak niepodobna do matki.

Prawdę powiedziawszy, Wasia nadal była niezgrabna, ale jej twarz zaczęła nabierać kobiecego wyrazu. Wciąż była grubokoścista i toporna, usta nadal miała za szerokie, a wargi zbyt pełne w stosunku do reszty twarzy, a jednak robiła wrażenie: po przejrzystej zielonej wodzie jej spojrzenia nastroje przepływały niczym chmury, coś w jej ruchach, w linii szyi i zaplecionych włosach przykuwało wzrok. Kiedy na jej czarne włosy padało światło, nie lśniły brązowo, jak włosy Mariny, lecz ciemnoczerwono, jakby w jedwabistych puklach ukrywała drogocenne granaty.

Ojciec Konstanty przyglądał się Wasi, unosząc brwi i krzywiąc lekko usta. Nic dziwnego, pomyślał Piotr. Mimo iż strój miała schludny, a warkocz starannie zapleciony, było w niej coś dzikiego. Wyglądała jak niedawno schwytane zwierzę, które dopiero zaczęło uczyć uległości.

– Mój syn, Aleksy Pietrowicz – odezwał się Piotr. – A to moja córka, Wasilisa Pietrowna.

Alosza skłonił głowę przed popem i przed ojcem, Wasia natomiast patrzyła wyczekująco na Konstantego. Alosza wymierzył jej łokciem mocnego kuksańca.

– Och! – wykrzyknęła Wasia. – Serdecznie witamy, *batiuszka*. – Po czym dodała na jednym oddechu: – Ma ojciec wieści o naszym bracie i siostrze? Mój brat wyjechał siedem lat temu, by złożyć śluby w Ławrze Troickiej, a moja siostra jest księżną sierpuchowską. Niech ojciec powie, czy ich widział!

Matka powinna wziąć ją w karby, pomyślał Konstanty ponuro. Kiedy kobieta zwraca się do popa, bardziej odpowiednie są cichy głos i pochyłona głowa. Ta dziewczyna patrzyła mu bezwstydnie w twarz niesamowitymi zielonymi oczami.

– Dosyć już, Wasiu – rzucił Piotr surowo. – Ojciec Konstanty ma za sobą

długą drogę.

Oszczędził tym Konstantemu konieczności udzielenia odpowiedzi. Rozległ się szelest stóp w letniej trawie. Nadbiegła Anna Iwanowna, bez tchu, odziana w najlepsze stroje, a za nią dreptała jej mała córeczka Irina, nieskazitelna jak zawsze i śliczna jak laleczka. Anna skłoniła głowę. Irina ssła palec, wpatrując się w nieznanego okrągłymi oczami.

– *Batiuszka* – odezwała się Anna – witamy najserdeczniej.

Pop skinął głową. Przynajmniej te dwie były prawdziwymi kobietami. Matka miała włosy zasłonięte chustą, a dziewczynka była schludna, mała i pełna szacunku. Jednak, wbrew sobie, Konstanty zerknął w bok i napotkał zaciekawione spojrzenie drugiej córki Piotra.

– Farby? – Zdumiony Piotr zmarszczył czoło.

– Farby, Piotrze Władimirowiczu – potwierdził ojciec Konstanty, starając się nie zdradzić, jak bardzo jest przejęty.

Piotr nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

Uroczystemu obiadowi w letniej kuchni towarzyszyła radosna wrzawa. W tych złotych miesiącach las był przyjazny, a warzywniak pełny. Dunia przeszła samą siebie, przyrządzając delikatne potrawy.

– A potem zmykaliśmy jak zające – opowiadał Alosza siedzący po drugiej stronie paleniska. Wasia, która przycupnęła obok niego, zarumieniła się i zakryła rękami twarz. Kuchnia rozbrzmiała śmiechem.

– Chodzi ojcu o barwniki? – Twarz Piotra się rozjaśniła. – Cóż, nie musi się ojciec o nic martwić, kobiety ufarbują, co tylko ojciec będzie chciał.

Uśmiechnął się, dumny, że jest tak uczynny. Piotr był zadowolony z życia. Jego zboża rosły wysokie i zielone pod pięknym jasnym słońcem, a odkąd zjawiał się złotowłosy pop, jego żona rzadziej płakała i piszczała i nie chowała się po kątach.

– Oczywiście – wtrąciła się Anna. Z przejęcia zapomniała o jedzeniu. –

Cokolwiek ojciec zechce. Jeszcze głodny, *batiuszka*?

– Farby – powtórzył Konstanty. – Nie barwniki do farbowania. Chodzi mi o farby do malowania.

Piotr poczuł się urażony. Dom był malowany pod okapem na czerwono i niebiesko, a farba jasna, nie odpadała, więc jeśli ten człowiek uważa, że musi się wtrącać...

Konstanty wskazał ikonę wiszącą w kącie naprzeciwko drzwi.

– Do pisania ikon – wyjaśnił. – Na chwałę Boga. Wiem, czego mi trzeba, ale nie wiem, gdzie znaleźć to tutaj, w waszym lesie.

Do pisania ikon... Piotr spojrział na Konstantego z jeszcze większym szacunkiem.

– Jak te nasze? – upewnił się. Zerknął w kąt izby na przydymioną, nieudolnie namalowaną Najświętszą Marię Pannę, przed którą stał ogarek świecy. Przywiózł rodzinne ikony z Moskwy, nigdy jednak nie widział twórcy ikon. To mnisi pisali ikony.

Konstanty otworzył usta, zamknął je i z wysiłkiem nadał twarzy łagodny wyraz.

– Tak, trochę podobne – powiedział po chwili. – Ale muszę mieć farby. Barwniki. Część przywiozłem, lecz...

Ikony są święte, pomyślał Piotr. Kiedy ludzie się dowiedzą, że gości malarza ikon, będą czcili jego dom.

– Oczywiście, *batiuszka* – odrzekł. – Ikony... pisanie ikon... cóż, zdobędziemy ojcu farby. – Piotr podniósł głos. – Wasia!

Po drugiej stronie paleniska Alosza opowiadał coś ze śmiechem. Wasia też się śmiała. Słońce nadawało blask jej włosom i podkreślało piegi zdobiące grzbiet nosa.

Gamoniowata, pomyślał Konstanty. Niezgrabna, niedorosła, ale pół domu uważnie śledzi każdy jej ruch.

– Wasia! – zawołał znowu Piotr, tym razem ostrzej.

Dziewczynka przestała szeptać i podeszła do nich. Miała na sobie zieloną

sukienkę. Włosy wymknęły się spod czerwono-żółtej chustki i kręciły się trochę przy skroniach. Jest brzydka, pomyślał Konstanty i zaraz się skarcił. Co go obchodzi jej brzydota?

– Ojczy? – odezwała się Wasia.

– Ojciec Konstanty życzy sobie wybrać się do lasu – oznajmił Piotr. – Szuka barwników. Pójdiesz razem z nim. Pokażesz mu, gdzie rosną rośliny barwiące.

Spojrzeniu, które rzuciła popowi, nie towarzyszył głupi uśmiech czy nieśmiałe spojrzenie panienci, było ono jasne jak słońce, przejrzyste i zaciekawione.

– Tak, ojczy – odparła, po czym zwróciła się do Konstantego: – Jutro o świcie, *batiuszka*, tak myślę. Rośliny najlepiej zbierać, zanim wzejdzie słońce.

Anna Iwanowna wykorzystała tę chwilę, by nałożyć więcej potrawki do miski Konstantego.

– Ojciec pozwoli – szepnęła.

A pop nie odrywał oczu od Wasi. Dlaczego w szukaniu barwników nie może mu pomóc jakiś chłopak z wioski? Dlaczego ta zielonooka wiedźma? Nagle zdał sobie sprawę, że przeszywa ją wzrokiem. Z twarzy dziewczyny zniknęło światło. Konstanty się opamiętał.

– Dziękuję, *diewuszka*. – W dzielącym ich powietrzu nakreślił znak krzyża.

Wasia uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

– A zatem do jutra – rzuciła.

– Zmykaj, Wasiu – poleciła Anna nieco piskliwie. – Nie jesteś już potrzebna Jego Świątobliwości.

Nazajutrz rano nad ziemią unosiła się mgła. Światło wschodzącego słońca przemieniało ją w ogień i dym, pasiasty od cieni drzew. Dziewczynka

przywitała Konstantego z czujną zarumienioną twarzą. Była w tej mglicy niczym duch.

Las w Leśnej Ziemi był inny niż ten wokół Moskwy. Dzikszy, bardziej bezwzględny i piękniejszy. Ogromne drzewa szeptały między sobą, a Konstantemu wydawało się, że wszędzie widzi oczy. Oczy... nonsens.

– Wiem, gdzie rośnie mięta – oznajmiła Wasia, kiedy ruszyli wąską piaszczystą dróżką. Drzewa tworzyły strzeliste sklepienie nad ich głowami. Dziewczynka miała bose stopy, delikatnie stąpała w pył drogi. Przez plecy przewiesiła skórzany worek. – A jeśli będziemy mieli szczęście, znajdziemy też czarny bez i jeżyny. Olchę na żółć. Ale to nie wystarczy na twarz świętego. Namalujesz nam ikony, *batiuszka*?

– Mam czerwoną ziemię, sproszkowane kamienie, czarny metal. Mam nawet pył lapis lazuli, żeby zrobić maforion[4] Najświętszej Marii Panny. Nie mam jednak zieleni, żółci ani fioletu – odrzekł Konstanty. Zbyt późno usłyszał niecierpliwość w swoim głosie.

– Te możemy znaleźć. – Wasia podskoczyła jak dziecko. – Nigdy nie widziałam, jak się maluje ikonę. Zresztą nikt tu nie widział. Wszyscy przyjdziemy i będziemy błagali o modlitwę, żeby móc popatrzeć, jak ojciec pracuje.

Znał ludzi, którzy właśnie tak robili. W Moskwie jego ikony przyciągały tłumy.

– A więc jednak jest ojciec człowiekiem – stwierdziła Wasia, patrząc na jego twarz, na której malowały się różne myśli. – Zastanawiałam się... Czasami ojciec sam jest jak ikona.

Nie wiedział, co takiego dostrzegła w jego twarzy, i był na siebie zły.

– Za dużo się zastanawiasz, Wasiliso Pietrowno. Lepiej siedzieć cicho w domu z młodszą siostrzyczką.

– Nie ojciec pierwszy mi to mówi – odparła Wasia bez urazy. – Gdybym jednak tak zrobiła, kto by się z ojcem wybrał o świcie, żeby znaleźć kawałki liści? Proszę...

Zatrzymali się przy brzozie, a potem przy gorczycy. Wasia zręcznie posługiwała się małym nożem. Słońce wschodziło coraz wyżej, wypalając mgły.

– Wczoraj zadałam ojcu pytanie, choć nie powinnam – odezwała się Wasia, kiedy schowała do worka koronkową zielen gorczycy. – Dziś zadam je znowu i proszę mi wybaczyć dziewczęcą niecierpliwość, *batiuszka*. Kocham mojego brata i siostrę. Dawno nie mieliśmy wieści od żadnego z nich. Mój brat nazywa się teraz brat Aleksander.

Pop zacisnął usta.

– Znam go – powiedział po chwili. – Kiedy złożył śluby pod własnym imieniem, wybuchł skandal.

Wasia uśmiechnęła się lekko.

– To imię wybrała mu nasza mama, a on zawsze był uparty.

Pogłoski o bezbożnej zawziętości brata Aleksandra w tej kwestii rozeszły się po całej Moskwie. Konstanty przypomniał sobie jednak, że śluby zakonne to nie jest temat dla młodych pańienek. Dziewczyna wbiła w niego spojrzenie ogromnych oczu. Konstanty poczuł się nieswojo.

– Brat Aleksander przybył do Moskwy na koronację Dymitra Iwanowicza. Podobno zyskał pewną sławę dzięki pracy duszpasterskiej w wioskach – dodał sztywno.

– A moja siostra?

– Księżna sierpuchowska jest szanowana z powodu pobożności oraz silnych dzieci – odparł Konstanty, chcąc zakończyć tę rozmowę.

Wasia okręciła się wkoło z cichym okrzykiem satysfakcji.

– Martwię się o nich – wyznała. – Ojciec też, chociaż to ukrywa. Dziękuję, *batiuszka*. – Zwróciła ku niemu rozświetloną wewnętrznym blaskiem twarz. Konstanty przeląkł się, lecz jednocześnie był zafascynowany. Po chwili wyraz jego twarzy zrobił się chłodniejszy. Zapadła cisza. Droga była teraz szersza, więc szli obok siebie.

– Ojciec twierdzi, że *batiuszka* był na krańcach ziemi – odezwała się

Wasia. – W Carogrodzie i w pałacu tysiąca królów. W kościele Mądrości Bożej.

– Tak – mruknął Konstanty.

– Opowie mi ojciec o tym? Ojciec mówi, że o zmierzchu śpiewają anioły. I że księżę rządzi wszystkimi ludźmi bożymi, jakby sam był Bogiem. Że ma komnaty pełne klejnotów i tysiąc służących.

Jej słowa go zaskoczyły.

– Nie anioły, lecz ludzie obdarzeni głosami, których nie powstydzilyby się anioły – odrzekł powoli. – O zmroku zapalają tysiąc świec i wszędzie jest złoto i muzyka... – Urwał gwałtownie.

– Tam musi być jak w niebie. – Wasia westchnęła.

– Tak – zgodził się Konstanty. Wspomnienia chwyciły go za gardło: złoto i srebro, muzyka, uczeni i wolność. Miał wrażenie, że las go dusi. – To nie jest temat stosowny dla dziewcząt – dodał.

Wasia uniosła brew. Dotarli do krzaka jeżyn. Dziewczyna zerwała garść owoców.

– Nie chciał ojciec tu przyjeżdżać, prawda? – zagadnęła z ustami pełnymi jeżyn. – Nie mamy tu muzyki ani świateł, i bardzo niewielu ludzi. Nie może ojciec wyjechać?

– Jadę tam, dokąd wysyła mnie Bóg – powiedział Konstanty zimno. – Skoro wyznaczono mi pracę tutaj, tutaj zostanę.

– A na czym ta praca polega, *batuszka*? – chciała wiedzieć Wasia. Przestała jeść jeżyny. Na chwilę jej spojrzenie pobiegło ku koronom drzew.

Konstanty również tam zerknął, lecz niczego nie dostrzegł. Po kręgosłupie przebiegł mu jednak dziwny dreszcz.

– Na ratowaniu dusz.

Mógłby policzyć piegi na jej nosie. Jeśli jakakolwiek dziewczyna potrzebuje ratunku, to właśnie ona. Jeżyny poplamiały jej wargi i dłonie.

Wasia się uśmiechnęła.

– A więc ojciec nas uratuje?

– Jeśli Bóg da mi siłę, tak, uratuję.

– Jestem tylko wiejską dziewczyną. – Wasia znów sięgnęła po jeżyny, uważając na kolce. – Nigdy nie widziałam Carogrodu i aniołów ani nie słyszałam głosu Boga. Ale myślę, że powinieneś uważać, *batiuszka*, żeby Bóg nie przemawiał głosem twoich pragnień. Nigdy wcześniej nie potrzebowaliśmy ratunku.

Konstanty wpatrywał się w nią. Uśmiechnęła się do niego, bardziej dziecko niż kobieta, wysoka, chuda i poplamiona sokiem jeżyn.

– Pośpieszmy się – powiedziała. – Wkrótce wzejdzie słońce.

Tamtej nocy ojciec Konstanty leżał na wąskim łóżku i dygotał. Nie mógł zasnąć. Na północy wiatr miał zęby, które gryzły po zachodzie słońca, nawet latem.

Umieścił ikony, jak należało, w rogu naprzeciwko drzwi. Matka Boska wisiała pośrodku, a pod nią Święta Trójca. Przed zmierzchem pani domu, nieśmiała i natrętna, dała mu grubą świecę z pszczelego wosku, by umieścić ją przed ikonami. O zmroku Konstanty zapalił świecę i rozkoszował się jej złocistym blaskiem, lecz w świetle księżycy rzucała na twarz Najświętszej Marii Panny złowrogie cienie i sprawiała, że między trzema osobami Boga Wszechmogącego tańczyły dziko dziwaczne postacie. W tym domu nocą było coś wrogiego. Coś, czego oddech niemal czuł...

Co za głupota, pomyślał Konstanty. Zły na siebie wstał, zamierzając zdmuchnąć świecę, kiedy jednak szedł przez izbę, usłyszał wyraźny trzask zamykanych drzwi. Bez namysłu podszedł do okna.

Przez podwórze biegła kobieta otulona grubym szalem. Pod tym przykryciem wydawała się pulchna i bezkształtna. Ojciec Konstanty nie potrafił powiedzieć, kto to może być. Tajemnicza postać podeszła do drzwi cerkwi i się zawahała. Położyła dłoń na brązowym kółku, pociągnęła do siebie drzwi i znikła w środku.

Konstanty wpatrywał się w drzwi cerkwi. Oczywiście nic nie stoi na przeszkodzie, by modlić się w środku nocy, ale przecież w domu też są ikony. Można spokojnie modlić się przed nimi, bez konieczności wychodzenia w ciemność i chłód nocy. Poza tym w zachowaniu tej kobiety była pewna ukradkowość, przywołująca na myśl poczucie winy.

Coraz bardziej zaniepokojony, rozdrażniony i rozbudzony Konstanty odwrócił się od okna i włożył ciemną szatę. Jego izba miała oddzielne wejście, wymknął się więc cicho, nie zwracając sobie głowy zakładaniem butów, i ruszył po trawie do cerkwi.

Anna Iwanowna klęczała w ciemności przed ikonostasem i starała się o niczym nie myśleć. Zapach kurzu i farby, pszczelego wosku i starego drewna spowijał ją niczym balsam, a pot kolejnego koszmaru wysychał w chłodzie. Tym razem śniło jej się, że idzie nocą przez las, a ze wszystkich stron otaczają ją czarne cienie i dziwne głosy. „O, pani! – wołały. O, pani, prosimy, zobacz nas! Poznaj nas, bo inaczej twoje ognisko domowe nie będzie chronione. Prosimy, o pani!” Ona jednak nie patrzyła w tamtą stronę. Szła dalej i dalej, podczas gdy głosy nękały ją zewsząd. Wreszcie, w rozpacz, zaczęła biec, kalecząc stopy o skały i korzenie. Wokół niej podniósł się lament. Nagle droga się skończyła. Wbiegła w nicość i zapadła się w siebie, z trudem łapiąc oddech i ociekając potem.

Zły sen, nic więcej, lecz twarz ją piekła, stopy miała obolałe i nawet po przebudzeniu wciąż słyszała głosy. W końcu uciekła do cerkwi i skuliła się pod ikonostasem. Może tu zostać i o brzasku przemknąć do domu. Robiła tak już wcześniej. Jej mąż jest wyrozumiały, chociaż znikanie na całą noc trudno wytłumaczyć.

Do jej uszu, niczym złodziej, zakradło się ciche skrzypnięcie zawiasów. Anna wyprostowała się gwałtownie i odwróciła. Do cerkwi weszła cicho postać w czarnej szacie, podświetlona światłem księżyca, i zbliżyła się do niej. Anna była zbyt przerażona, by się poruszyć. Stała jak zaklęta w kamień, aż mroczna postać podeszła na tyle blisko, że dostrzegła błysk złocistych

włosów.

– Anno Iwanowno – odezwał się Konstanty. – Czy wszystko z tobą dobrze?

Wpatrywała się w popa. Przez całe jej życie słyszała pytania pełne złości i rozdrażnienia: „Co ty wyprawiasz?”. „Co z tobą nie tak?”. Nikt nigdy nie zapytał, jak się czuje, tonem tak łagodnym i zatroskanym. Blask księżyca podkreślał zagłębienia w jego twarzy.

Anna zaczęła się jąkać:

– Ja... oczywiście, *batiuszka*, wszystko dobrze, ja tylko... proszę mi wybaczyć... ja... – Szloch duszący ją w gardle nie pozwolił jej dokończyć. Dygocząca, niezdolna spojrzeć mu w oczy, odwróciła się, przeżegnała i znów uklękła przed ikonostasem. Ojciec Konstanty przez chwilę stał nad nią bez słowa, po czym odwrócił się, przeżegnał z wielką precyzją i ukląkł na drugim końcu ikonostasu przed spokojną twarzą Matki Boskiej. Jego głos, gdy się modlił, ledwie docierał do uszu Anny. Był to powolny głęboki pomruk, nie mogła wychwycić poszczególnych słów. Wreszcie jęk jej oddechu ucichł.

Pocałowała ikonę Chrystusa i zerknęła na ojca Konstantego. Ze splecionymi dłońmi kontemplował znajdujące się przed nim ciemne wizerunki. Kiedy niespodziewanie przemówił, jego głos był niski i spokojny:

– Powiedz mi, co cię skłoniło, by szukać tutaj pocieszenia o tak późnej porze?

– Nie mówili ojcu, że jestem szalona? – odparła Anna z goryczą, ku swemu zaskoczeniu.

– Nie. A jesteś?

Skinęła głową.

– Dlaczego?

Podniosła na niego wzrok.

– Dlaczego jestem szalona? – wydobyła z siebie chrapliwy szept.

– Nie. Dlaczego sądzisz, że jesteś – sprostował Konstanty cierpliwie.

– Widzę... różne rzeczy. Demony, diabły. Wszędzie. Cały czas.

Miała poczucie, jakby stanęła obok siebie. Coś przejęło kontrolę nad jej językiem i formułowało odpowiedzi. Nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiła. Nie chciała się do tego przyznać sama przed sobą, nawet kiedy mamrotała do kątów pomieszczeń, a kobiety szeptały, zasłaniając usta dłońmi. Nawet dobrotliwy, pijany, niezgrabny ojciec Siemion, który modlił się wraz z nią bardzo wiele razy, nigdy nie wycisnął z niej tego wyznania.

– Ale dlaczego miałyby to oznaczać, że jesteś szalona? Cerkiew naucza, iż demony chodzą wśród nas. Czyżbyś odrzucała nauczanie Cerkwi?

– Nie! Ale... – Anna poczuła, że jej gorąco i zimno jednocześnie. Pragnęła znowu spojrzeć mu w twarz, nie miała jednak śmiałości tego uczynić. Wbiła wzrok w posadzkę i ujrzała nikły cień jego stóp, niestosownie bosych pod ciężką szatą. Wreszcie zdobyła się na szept:

– Ale one nie są... nie mogą... być prawdziwe. Nikt inny ich nie widzi... Jestem szalona. Wiem, że jestem szalona. – Urwała, po czym dodała powoli: – Oprócz, jak sądzę, mojej pasierbicy Wasilisy. Ale to tylko dziecko, które nasłuchało się bajek.

Spojrzenie ojca Konstantego nabrało ostrości.

– Ona o tym mówi, prawda?

– Nie... ostatnio nie. Ale kiedy była małą dziewczynką, czasem wydawało mi się... Jej oczy...

– I nic nie zrobiłaś? – Głos Konstantego był i dobrze ustawiony, niczym głos śpiewaka, i bardzo przekonujący. Anna zadrżała, słysząc ton pełen pogardy i niedowierzania.

– Biłam ją, kiedy tylko mogłam, i zabraniałam jej o tym mówić. Sądziłam, że jeśli zduszę to w niej za młodu, może nie oszaleje.

– To wszystko, co myślałaś? Szaleństwo? Nigdy nie bałaś się o jej duszę?

Anna otworzyła usta, po czym je zamknęła i wpatrywała się w popa oszołomiona. On zaś podszedł do środka ikonostasu, gdzie siedział na tronie drugi Chrystus w otoczeniu apostołów. Światło księżyca nadało złotym włosom duchownego szarosrebrzysty odcień, a jego czarny cień pełzał po

podłodze.

– Demony można egzorcyzmować, Anno Iwanowno – powiedział, nie odrywając wzroku od ikony.

– Egz... egzorcyzmować? – pisnęła.

– Oczywiście.

– Jak? – Miała uczucie, że jej myśli ugrzęzły w błocie. Całe życie nosiła swoją klątwę. Mogłaby tak po prostu zostać od niej uwolniona? Jej umysł nie był w stanie ogarnąć tej myśli.

– Poprzez obrzędy religijne. I modlitwę.

Zapadła cisza.

– Och – szepnęła Anna. – Och, proszę, niech ojciec sprawi, żeby to odeszło. Niech one znikną.

Możliwe, że się uśmiechnął, jednak w świetle księżyca nie mogła być tego pewna.

– Będę się modlił i myślał o tym. Proszę wracać i położyć się spać, Anno Iwanowno.

Wpatrywała się w niego wielkimi zdumionymi oczami, po czym obróciła się na pięcie i po omacku ruszyła w stronę drzwi, niezdarnie stąpając po nagiej podłodze.

Ojciec Konstanty padł na twarz przed ikonostasem. Tej nocy nie spał.

Nazajutrz była niedziela. Zielonoszarym świtem Konstanty wrócił do swojej izby. Miał ciężkie powieki, więc polał sobie głowę zimną wodą i umył ręce. Wkrótce miał odprawić nabożeństwo. Był zmęczony, lecz spokojny. Podczas długich godzin czuwania Bóg udzielił mu odpowiedzi. Wiedział już, jakie zło zapanowało w tej krainie. Kryło się w symbolach słonecznych na fartuchu niani, w strachu tej głupiej kobiety, w niesamowitych zwierzęcych oczach starszej córki Piotra. To miejsce było nawiedzone przez demony, czarty z dawnych wierzeń. Ci głupi dzicy ludzie za dnia wielbili Boga, a w sekrecie czcili dawnych bogów, próbowali wędrować obiema ścieżkami naraz, a potem korzyli się przed popem. Nic dziwnego, że zło tak się tu

rozpanoszyło.

Podniecenie huczało mu w żyłach. Sądził, że zmarnieje na tym odludziu, tu jednak czekała go nie lada walka, walka o władzę nad duszami mężczyzn i kobiet, gdzie po jednej stronie stoi zło, po drugiej zaś on jako boży posłaniec.

Ludzie zaczęli się schodzić. Niemal czuł ich żarliwą ciekawość. Jeszcze nie było tu jak w Moskwie, gdzie wierni łapczywie chwyтали jego słowa i uwielbiali go złąknionymi oczami. Jeszcze nie.

Ale będzie.

Wasię mrowiło ramię i żałowała, że nie może zdjąć kokosznika. Ponieważ szli do cerkwi, Dunia dołożyła woalkę do ciężkiej konstrukcji z materiału, drewna i półszlachetnych kamieni. Wasię swędziała od tego głowa. Ale to i tak nic w porównaniu z Anną, która wystroiła się jak na święto, na szyi miała wysadzany klejnotami krzyż, a na każdym palcu pierścień. Dunia rzuciła tylko okiem na swoją panią i mruknęła coś pod nosem o pobożności i złotych włosach. Nawet Piotr uniósł brew na widok żony, zachował jednak spokój. Wasia weszła za braćmi do cerkwi, drapiąc się po głowie.

Kobiety stały po lewej stronie nawy, przed Najświętszą Marią Panną, podczas gdy mężczyźni po prawej, naprzeciwko Chrystusa. Wasia zawsze żałowała, że nie może stać obok Aloszy, żeby mogli szturchać się i wiercić podczas nabożeństwa. Irina była taka mała i słodka, że wymiana kuksańców nie przynosiła żadnej satysfakcji, zresztą Anna zawsze miała je obie na oku. Wasia splotła palce za plecami.

Drzwi pośrodku ikonostasu otworzyły się i wyszedł pop. Szepty wieśniaków rozwiały się w ciszy przerywanej jedynie dziewczęcym chichotem.

Cerkiew była mała i ojciec Konstanty zdawał się wypełniać ją całą. Jego złociste włosy przykuwały wzrok bardziej nawet niż klejnoty Anny. Spojrzenie błękitnych oczu przeszywało tłum niczym dwa sztylety, raz po

raz. Nie od razu przemówił. Cisza rozprzestrzeniła się wśród zebranych niczym dźwięk, tak że Wasia wyteżęła słuch, by usłyszeć delikatne, pełne wyczekiwania oddechy.

– Błogosławione królestwo – przemówił wreszcie Konstanty, porażając ich swoim głosem – Ojca i Syna, i Świętego Ducha, teraz i zawsze, i na wieki wieków.

Nie mówi jak ojciec Siemion, pomyślała Wasia, chociaż wypowiada te same słowa liturgii. Jego głos był niczym grzmot, każdą sylabę wymawiał tak precyzyjnie, jak Dunia prowadziła ściegi, kiedy szła. Jakby swoim dotknięciem ożywiał słowa. Głos miał głęboki niczym rzeki wiosną. Mówił im o życiu i śmierci, o Bogu i o grzechu. Opowiadał o rzeczach, o których nie wiedzieli, o diabłach, udrękach i pokusie. Przywołał to wszystko przed ich oczy, tak że ujrzeli siebie samych poddanych sądowi Bożemu, potępionych i wrzuconych w otchłań.

Konstanty skandował poszczególne słowa, przyciągając do siebie ludzi, aż zaczęli je powtarzać, oszołomieni, zafascynowani i przerażeni. Gnał ich coraz dalej giętkim biczem swego głosu, aż ich głosy zaczęły się łamać i słuchali go jak złężnione podczas burzy dzieci. A gdy już byli na krawędzi paniki – albo uniesienia – jego ton złągodniał.

– Zmiłuj się nad nami i wybaw nas, bo On jest dobry i umiłował ludzkość.

Zapadła ciężka cisza. Konstanty podniósł prawą rękę i pobłogosławił wiernych.

Wychodzili z cerkwi jak lunatycy, przytrzymując się jeden drugiego. Na twarzy Anny malowały się zachwyt i trwoga – Wasia nie mogła tego zrozumieć. Inni wyglądali na oszołomionych, wręcz wyczerpanych, w oczach wciąż mieli cień potwornej ekstazy.

– Lioszka! – zawołała Wasia, podbiegając do brata, ale kiedy się do niej odwrócił, był blady jak inni, a gdy napotkała jego wzrok, miała wrażenie, jakby spoglądał na nią z bardzo daleka. Uderzyła go, przerażona jego pustym spojrzeniem. Nagle Alosza oprzytomniał i wymierzył jej cios, który powinien ją przewrócić, lecz ona była szybka jak wiewiórka, w dodatku ubrana

w nową suknię, której nie chciała pobrudzić. Odchyliła się i utzymała równowagę, po czym oboje piorunowali się wzrokiem, z falującymi piersiami i zaciśniętymi pięściami.

Oboje opamiętali się w tym samym momencie i się roześmiali.

– Więc to prawda, Wasiu? – zapytał Alosza. – Demony są wśród nas i jeśli ich nie wypędzimy, czekają nas męczarnie? Ale czarty... czy on mówił o czartach? Kobiety zawsze zostawiają chleb dla domowików. Co Bogu do tego?

– Prawda czy bajki, dlaczego mielibyśmy wypędzać domowe duchy, bo tak każe jakiś stary moskiewski pop? – zachnęła się Wasia. – Zawsze zostawialiśmy im chleb, sól i wodę, a Bóg wcale się nie złościł.

– Nie przymieraliśmy głodem – dodał Alosza z wahaniem. – Nie było też pożarów ani chorób. Ale może Bóg czeka, aż umrzemy, żeby nasza kara trwała w nieskończoność?

– Na litość boską, Lioszka... – zaczęła Wasia, przerwało jej jednak wołanie Duni. Anna zarządziła szczególnie uroczysty obiad i Wasia musiała wałkować ciasto na kluski i mieszać zupę.

Jedli na zewnątrz, podano jajka, kaszę i letnie warzywa, chleb, ser i miód. Zwyczajny radosny zgiełk był przygaszony. Młode wieśniaczki stały w grupkach i szeptały.

Konstanty żuł w zadumie, obłany rumieńcem satysfakcji. Piotr, ze zmarszczonym czołem, kiwał głową jak byk, który wyczuł niebezpieczeństwo, ale nie dostrzegł jeszcze wilków w trawie. Ojciec zna się na dzikich zwierzętach i najeźdźcach, myślała Wasia, ale z grzechem i potępieniem nie da się walczyć.

Inni popatrywali na popa ze strachem i zachłannym podziwem. Anna Iwanowna promieniała nieśmiałą radością. Ich zapach zdawał się ponosić Konstantego niczym spłoszony koń. Wasia nie mogła tego wiedzieć, ale kiedy wszyscy opuścili już cerkiew, w ciszy głównej nawy pop całą swoją namiętność przelał w egzorcyzmy, zaklinając się, że będą trwać dopóty, dopóki nawet niewidomi nie przysięgną, że słyszą, jak diabły uciekają

z krzykiem z gospodarstwa Piotra i znikają w oddali.

Tamtego lata Konstanty chodził po wsi i wysłuchiwał najróżniejszych żalów. Błogosławił umierających i nowo narodzonych. Kiedy do niego mówiono, słuchał, a kiedy rozbrzmiewał jego głęboki głos, ludzie cichli, by wysłuchać jego.

– Żałujcie za grzechy, żeby nie spłonąć w ogniu piekielnym – mówił. – Ogień jest bardzo bliski. Czeka na was i na wasze dzieci za każdym razem, kiedy kładziecie się spać. Oddawajcie owoce waszej pracy Bogu i tylko Jemu. On jest waszym jedynym zbawieniem.

Ludzie szeptali między sobą, a szepty te były coraz bardziej przepełnione lękiem.

Konstanty co wieczór jadł kolację przy stole Piotra. Jego głos sprawiał, że na miodzie pitnym pojawiały się fale, a drewniane łyżki grzechotały. Irina zaczęła opierać łyżkę o kubek i chichotała, słuchając, jak o siebie stukają. Wasia ją zachęcała, bo radość siostrzyczki przynosiła jej ulgę. Iriny rozmowy o potępieniu nie przerażały, była zbyt mała.

Ale Wasia się bała.

Nie popa, diabłów ani piekielnych otchłani. Widziała te ich diabły. Widywała je na co dzień. Niektóre były złośliwe, inne miłe, a jeszcze inne po prostu psotne. Wszystkie tak samo ludzkie w swoich zachowaniach jak ci, których strzegły.

Nie, Wasia bała się o mieszkańców wioski. Nie żartowali już w drodze do cerkwi. Słuchali ojca Konstantego w ciężkim, łapczywym milczeniu. Nawet kiedy nie byli w cerkwi, szukali wymówek, by odwiedzić go w jego izbie.

Konstanty wybłagał od Piotra воск pszczeli, który topił i mieszał z barwnikami. Kiedy światło dnia wpadało do jego izby, brał pędzle i otwierał fiolki ze sproszkowanymi barwnikami. A potem zaczynał malować. Pod jego pędzlem nabrał kształtów święty Piotr. Miał kędzierzawą brodę, szatę w odcieniach żółcienia i umbry, dziwną dłoń o długich palcach

uniósł w geście błogosławieństwa.

W Leśnej Ziemi nie rozmawiano o niczym innym.

Pewnej niedzieli Wasia, w akcie desperacji, przemyciła do cerkwi garść świerszczy i wypuściła je między wiernych. Ich cykanie tworzyło zabawny kontrast dla głębokiego głosu ojca Konstantego. Nikt się jednak nie roześmiał. Wszyscy kulili się i szeptali, że to zły omen. Anna Iwanowna nie widziała tego na własne oczy, podejrzewała jednak, czyja to sprawka. Po nabożeństwie wezwała Wasię do siebie.

Dziewczynka niechętnie przyszła do pokoju macochy. Anna trzymała w ręku wierzbową witkę. Przy otwartym oknie siedział pop i rozcierał na proszek kawałek niebieskiego kamienia. Nie sprawiał wrażenia, że słucha, gdy Anna wypytywała pasierbicę, Wasia wiedziała jednak, że te pytania zadawane są ze względu na niego. Macocha chciała udowodnić, że jest osobą sprawiedliwą i panią we własnym domu.

Przesłuchanie ciągnęło się w nieskończoność.

– Zrobiłabym to jeszcze raz! – wybuchnęła w końcu Wasia, doprowadzona do ostateczności. – Czyż Bóg nie stworzył wszystkich istot? Dlaczego tylko nam wolno podnosić głos, aby go wychwalać? Świerszcze wielbią Boga pieśnią, tak samo jak my.

Konstanty skierował na nią spojrzenie błękitnych oczu, nie potrafiła jednak odczytać ich wyrazu.

– Bezczelność! – wrzasnęła Anna. – Świętokradztwo!

Wasia, z wysoko uniesioną brodą, milczała nawet wtedy, gdy świsnęła wierzbowa różga macochy. Konstanty patrzył, poważny i nieodgadniony. Wasia napotkała jego spojrzenie i zawzięcie nie odwracała wzroku.

Anna spostrzegła, że dziewczyna i pop nie odrywają od siebie oczu. Jej wściekła twarz zrobiła się jeszcze bardziej czerwona niż kiedykolwiek. Smagała pasierbicę z całej siły, a ona stała nieruchomo, przygryzając wargę do krwi. Mimo że bardzo starała się je powstrzymać, z jej oczu trysnęły łzy i popłynęły po policzkach.

Konstanty za plecami Anny przyglądał się temu bez słowa.

Wasia krzyknęła raz, pod sam koniec, bardziej z upokorzenia niż z bólu. Wkrótce było po wszystkim, bo Alosza ze zbielełymi wargami pobiegł poszukać ojca, a gdy Piotr zobaczył krew i bladą twarz córki, przytrzymał rękę żony.

Wasia nie odezwała się słowem ani do ojca, ani do nikogo innego. Potykając się, natychmiast wyszła z izby, mimo że brat próbował ją przywołać, po czym ukryła się w lesie niczym zranione zwierzę. Jeśli płakała, słyszała to tylko rusalka.

– To ją nauczy, jaka jest cena grzechu – oznajmiła Anna z dumą, kiedy Piotr zganił ją za brutalność. – Lepiej, żeby nauczyła się tego teraz, niż potem spłonęła w ogniu piekielnym, Piotrze Władimirowiczu.

Konstanty milczał. Nie zdradził, co myśli.

Kiedy rany się zagoiły, Wasia stąpała ciszej i była bardziej skłonna do trzymania języka za zębami. Więcej czasu spędzała z końmi i snuła szalone plany, by w chłopięcym przebraniu dołączyć do Saszy w jego klasztorze albo wysłać sekretnego posłańca do Olgi.

Alosza nie mówił o tym Wasi, lecz zaczął ją śledzić, by nigdy nie została sama z macochą.

Przez cały ten czas Konstanty potępiał dary – chleb albo miód pitny – które ludzie składali domowym duchom.

– Składajcie je Bogu – mówił. – Zapomnijcie o waszych demonach, żebyście nie spłonęli w ogniu piekielnym.

Ludzie słuchali. Przekonał nawet Dunię: mamrotała do siebie, kręciła starą głową i usuwała słoneczne symbole z fartuchów i chustek.

Wasia tego nie widziała. Ukrywała się w lesie albo w stajni. Domowik żałował, że jej nie ma, bardziej niż ktokolwiek inny, ponieważ dla niego nie zostawało nic poza okruszkami.



13.

Wilki

Jesień zjawiała się w przepychu barw, które jednak szybko zszarzały. Nad ziemiami Piotra Władimirowicza cisza gasnącego roku unosiła się niczym mgła, podczas gdy pod dłonią ojca Konstantego mnożyły się ikony. Wieśniacy pracowali nad nową przegrodą, która je pomieści: Święty Piotr i Święty Paweł, Najświętsza Maria Panna i Chrystus. Zaglądali do pokoju Konstantego i z nabożną czcią patrzyli na gotowe obrazy, na zarysy postaci i ich błyszczące twarze. Konstanty szykował cały ikonostas, jeden wizerunek za drugim.

– Bóg jest waszym zbawieniem – mówił. – Patrzcie na Jego twarz i bądźcie zbawieni.

A oni nigdy nie widzieli czegoś tak wspaniałego, jak ogromne oczy jego Chystusa, jasna skóra i długie, chude ręce. Patrzyli i klękali, a czasami płakali.

– Czym jest domowik? – mówili. – To tylko bajka dla niegrzecznych dzieci! Przepraszamy, *batiuszka*, i żałujemy.

Prawie nikt nie składał darów, nawet z okazji równonocy jesiennej. Domowik robił się coraz słabszy i coraz bardziej apatyczny. Waziła schudł, był mizerny i miał błędny wzrok, z jego skołtunionej brody sterczała słoma. Podkradał żyto i jęczmień przeznaczone dla koni. Konie z kolei zaczęły tupać nogami w swoich przegrodach i płoszył je najłżejszy podmuch wiatru.

Wszyscy w wiosce byli podenerwowani.

– No cóż, to nie byłem ja, chłopcze, ani żaden koń, kot, ani duch – warknął Piotr na stajennego w pewien przenikliwie zimny poranek. W ciągu nocy zniknęło jeszcze więcej jęczmienia i Piotr, już wcześniej zły, wpadł w furję.

– Nic nie widziałem! – zaklinał się chłopak, pociągając nosem. – Nigdy bym...

W te listopadowe poranki powietrze szczypało, a skuta lodem ziemia zdawała się dźwięczeć pod stopami. Piotr stał nos w nos ze stajennym i odpowiedział na jego wykręty zaciśniętą pięścią. Rozległ się łomot i ryk bólu.

– Nigdy więcej mnie nie odkradaj – wycedził Piotr.

Wasia, która właśnie wślizgnęła się do stajni, zmarszczyła czoło. Ojciec nigdy nie był taki porywczy. Nie bił nawet Anny Iwanowny. Co się z nami dzieje? Niepostrzeżenie wdrapała się na stryszek z sianem. Chwilę trwało, zanim znalazła wazilę, który leżał zwinięty w kłębek na wpół zagrzebany w słomie. Wzdrygnęła się, widząc wyraz jego oczu.

– Dlaczego wyjadasz jęczmień? – zapytała, zebrawszy się na odwagę.

– Bo nie dostaję żadnych darów. – Oczy waziły lśniły niepokojąco czarnym blaskiem.

– Czy to ty straszysz konie?

– Ich nastroje są moimi nastrojami, a moje ich.

– A zatem bardzo się gniewasz? – wyszeptwała dziewczynka. – Mieszkańcy wioski nie mają złych zamiarów. Po prostu się boją. Ten pop kiedyś stąd wyjedzie. Nie zawsze będzie tak jak teraz.

Oczy waziły błysnęły złowrogo i Wasia odniosła wrażenie, że dostrzega w nich nie tylko gniew, ale też smutek.

– Jestem głodny – jęknął.

Wasię ogarnęło współczucie. Sama często bywała głodna.

– Mogę przynieść ci chleba – zaproponowała zdeterminowana. – Ja się nie boję.

Powieki waziły zatrzepotały.

– Nie trzeba mi wiele. Trochę chleba. Jabłek.

Wasia starała się nie myśleć o tym, że będzie musiała oddać mu część swoich posiłków. W drugiej połowie zimy jedzenia nigdy nie było pod dostatkiem, wkrótce będzie jej żal każdego okruszka. Powiedziała jednak:

– Przyniosę ci. Obiecuję. – Patrzyła poważnie w okrągłe, brązowe oczy duszka.

– Dziękuję – odrzekł waziła. – Dotrzymaj przyrzeczenia, a zostawię ziarno w spokoju.

Wasia dotrzymała słowa, choć nigdy nie miała zbyt wiele: wysuszone jabłko, obgryzioną skórkę chleba, kroplę miodu pitnego, przyniesioną na palcach albo w ustach. Waziła przyjmował wszystko skwapliwie, a kiedy jadł, konie się uspokażały.

Dni były coraz ciemniejsze i krótsze. Śnieg sypał tak, jakby chciał zamknąć ich w bieli, waziła natomiast był coraz bardziej różowy i zadowolony, a atmosfera stajni senna, jak dawniej zimową porą.

I dobrze. To była długa zima, a w styczniu nastąpiły takie mrozy, jakich nawet Dunia nie pamiętała.

Bezlitosny zimowy zmrok zaganiał ludzi do domów. Piotr miał mnóstwo czasu, by znosić widok mizernych twarzy swojej rodziny. Skupiali się przy piecu, żując chleb i paski suszonego mięsa i na zmianę dokładając dREW do ognia. Nawet nocą nie pozwalali mu przygasnąć. Starsi mamrotali, że drewno pali się zbyt szybko, że trzeba trzech polan, by utrzymać wysokie płomienie, podczas gdy dawniej wystarczało jedno. Piotr i Kola uznali to za bzdurę. Jednak sągi drewna malały.

Przesilenie zimowe nadeszło i minęło. Dni znów się wydłużały, jednak mróz był coraz większy. Zabijał owce i króliki i czernił palce nieostrożnym.

Bez względu na wszystko przy takim zimnie musieli zużywać drewno na opał, więc zapasy topniały. Ludzie zapuszczali się w milczący las w surowym świetle zimowego słońca. Wasia i Alosza, którzy wyprawili się zaprzężonymi w kuca saniami, biorąc ze sobą siekiery o krótkich trzonkach, dostrzegli w śniegu ślady łap.

– Mam je wytropić, ojczy? – zapytał Kola tamtego wieczoru. – Zabić kilka, zdjąć z nich skóry, a resztę przegonić? – Naprawiał kosę, mrużąc oczy w blasku ognia. Jego syn Sierioża, sztywny i milczący, tulił się do matki.

Wasia spojrzała niechętnie na ogromny kosz z szyciem, po czym chwyciła siekiere i osełkę. Alosza posłał jej znad trzonka siekiery rozbawione spojrzenie.

– Widzisz? – ojciec Konstanty zwrócił się do Anny. – Rozejrzyj się. Twoje zbawienie zależy od łaski Bożej. – Wbiła wzrok w jego twarz. Szycie leżało zapomniane na jej kolanach.

Piotr dziwił się żonie. Nigdy nie wydawała się taka spokojna, choć była to najmroźniejsza zima, jaką ktokolwiek pamiętał.

– Nie sądzę – odpowiedział Piotr synowi. Oglądał właśnie swoje buty. Zimą dziury mogły kosztować człowieka stopę. Postawił jeden but przy ogniu i wziął drugi. – Te wilki z dalekiej północy są większe od psów myśliwskich. Od dwudziestu lat nie podchodziły tak blisko. – Wyciągnął rękę i pogłaskał wychudły łeb psa, a zwierzę polizało delikatnie jego dłoń. –

Skoro kręcą się tutaj, oznacza to, że są zdesperowane, gotowe polować na dzieci albo zabijać owce tuż pod naszym nosem. Mężczyźni wspólnymi siłami mogliby stawić czoło watasze, lecz jest za zimno na łuki, trzeba by użyć dzid i nie wszyscy wróciliby do domu. Nie, musimy pilnować dzieci i zwierząt, a wyprawiać się do lasu tylko za dnia.

– Moglibyśmy zastawić sidła – mruknęła Wasia znad osełki.

Anna rzuciła jej mroczne spojrzenie.

– Nie – uciął Piotr. – Wilki to nie króliki, wyczują zapach człowieka na pułapce, a nikt nie będzie ryzykował wyprawy do lasu, nie będąc pewnym zwycięstwa.

– Tak, ojciec – zgodziła się Wasia potulnie.

Tamtej nocy było straszliwie zimno. Całą rodziną kulili się na piecu, ściśnięci niczym solone ryby i przykryci wszystkimi kocami, jakie tylko mieli. Wasia źle spała, ojciec chrapał, a w jej plecy wbijały się drobne, szpiczaste kolana Iriny. Rzucała się i wierciła, starając się nie kopać Aloszy, i wreszcie, koło północy, zapadła w płytki sen. Śniło jej się wycie wilków, zimowe gwiazdy pochłaniane przez ciepłe chmury, kościsty starzec o czerwonych oczach, a na koniec blady mężczyzna o wydatnej szczęce, wyglądający na głodnego i złośliwego, który łypał na nią pożądliwie i mrugał jedynym okiem. Obudziła się, łapiąc gwałtownie powietrze, w ponurej godzinie przed świtem, i zobaczyła jakąś postać idącą przez izbę, oświetloną dogasającym żarem z paleniska.

To nic takiego, pomyślała, to przywidzenie, kuchenny kot. Wtedy postać zatrzymała się, jakby poczuła na sobie wzrok Wasi. Odwróciła się odrobinę. Wasia wstrzymała oddech, gdyż zobaczyła jej twarz: blady gryzmoł w słabym świetle. Oczy koloru zimowego lodu. Nabrała powietrza – żeby przemówić albo krzyknąć – lecz w tym momencie postać zniknęła. Przez szpary w kuchennych drzwiach sączyło się światło dnia, a z wioski dobiegł nagle rozziewający krzyk.

– To Timofiej – mruknął Piotr, wypowiadając imię chłopca z wioski. Wstał przed świtem, żeby zadbać o zwierzęta, a teraz wszedł do domu szybkim krokiem, otupał buty ze śniegu i strzepnął lód z brody. Z zimna i niewyspania miał podkrążone oczy. – Umarł w nocy.

W kuchni rozległy się okrzyki. Wasia na piecu, na wpół przebudzona, przypomniała sobie postać, która przemierzyła w ciemności kuchnię. Dunia nic nie powiedziała, tylko z zaciśniętymi ustami wzięła się do porannych wypieków. Co chwila przenosiła zatroskane spojrzenie z Wasi na Irinę. Zima jest okrutna dla młodych.

Nieco później tego ranka kobiety zebrały się w łaźni, by owinąć ciało chłopca w płótno. Wasia wślizgnęła się tam za macochą i dostrzegła twarz Timofieja: miał szkliste spojrzenie, do wychudłych policzków przymarzły łyzy. Matka tuliła jego sztywniejące ciało, szeptała do syna, nie zważając na

sąsiadki, które cierpliwie próbowały przemówić jej do rozsądku. Nie chciała oddać chłopca, a kiedy w końcu kobiety siłą wyrwały go z jej objęć, zaczęła dziko wrzeszczeć.

W łaźni zapanował chaos. Matka lamentowała i rzucała się na sąsiadki. Większość kobiet też miała dzieci, drżały więc, widząc wyraz jej oczu, a ona wymachiwała na oślep rękami, usiłując dotknąć syna. Izba była zbyt mała. Wasia odepchnęła Irinę, żeby ją chronić, a sama chwyciła ręce zrozpaczonej matki. Była silna, choć smukła, a matka zmarłego chłopca oszalała z rozpaczy. Dziewczynka uwiesiła się na niej i próbowała coś powiedzieć.

– Puszczaj mnie, wiedźmo! – wrzasnęła kobieta. – Puszczaj!

Wasia, zbita z tropu, rozluźniła uścisk i oberwała łokciem w twarz. Zobaczyła gwiazdy i opuściła ręce.

W tym momencie w drzwiach pojawił się ojciec Konstanty. Jak wszyscy miał czerwony nos i twarz podrażnioną mrozem, jednak w mgnieniu oka opanował sytuację, zrobił dwa kroki w głąb maleńkiej izby i chwycił sięgające na oślep palce matki. Kobieta uczyniła jedną rozpaczliwą próbę ucieczki, po czym uspokoiła się, cała drżąca.

– On odszedł, Jasna – powiedział Konstanty surowo.

– Nie – wychrypiała. – Tuliłam go w ramionach, przez całą noc go tuliłam, aż ogień przygasł, on nie może... on nie odejdzie, jeśli będę go tuliła. Oddajcie mi go!

– On należy do Boga. Jak my wszyscy.

– To mój syn! Mój jedyny syn. Mój...

– Uspokój się – rozkazał. – Usiądź. Tak się nie godzi. Chodź, kobiety ułożą go przy ogniu i podgrzeją wodę do mycia. – Jego głęboki głos był cichy i spokojny. Jasna pozwoliła poprowadzić się w stronę pieca i usiadła przy ogniu.

Przez cały ranek – właściwie przez cały ten krótki, pochmurny, zimowy dzień – Konstanty mówił, a Jasna wpatrywała się w niego niczym pływak porwany falami przyboju, podczas gdy kobiety rozebrały Timofieja, umyły

go i zawinęły w zimne płótno. Pop wciąż tam był, kiedy nazajutrz, kolejnego mroźnego dnia, Wasia wróciła z poszukiwań drewna na opał. Zobaczyła, że stoi pod drzwiami łaźni i łapczywie wciąga zimne powietrze, jakby to była woda.

– Miałbyś ochotę na trochę miodu, *batiuszka*? – zagadnęła.

Konstanty drgnął zaskoczony. Stąpała bezgłośnie, a jej okrycie z szarego futra zlewało się z zapadającą nocą.

– Chętnie, Wasiliso Pietrowno – odpowiedział po chwili. Jego piękny głos zrobił się cienki jak nitka, głębokie brzmienie zniknęło. Z powagą podała mu mały bukłak z miodem, a on pił z rozpaczliwą niecierpliwością. Gdy otarł usta wierzchem dłoni i oddał jej bukłak, stwierdził, że dziewczyna przygląda mu się ze ściągniętymi brwiami.

– Będzie ojciec dzisiaj czuwał? – spytała.

– To mój obowiązek – odparł z nutą wyniosłości, bo pytanie było zuchwałe.

Dostrzegła jego irytację i uśmiechnęła się, on zaś skarcił ją wzrokiem.

– Szanuję cię za to, *batiuszka* – powiedziała.

Skierowała się w stronę głównego domu i wkrótce zniknęła w ciemności. Konstanty patrzył za nią, zacisnąwszy usta. Wciąż czuł intensywny smak miodu.

Przez całą noc czuwał przy zmarłym chłopcu. Wymizerowaną twarz miał ściągniętą, usta poruszały się w modlitwie. Wasia, która wróciła przed świtem, by również czuwać, nie mogła nie podziwiać jego niezłomnej determinacji, chociaż we wsi nigdy nie rozbrzmiewały takie szlochy i modły jak teraz, odkąd pojawił się w Leśnej Ziemi.

Było zdecydowanie za zimno, żeby stać długo nad maleńkim grobem chłopca, wykutym z wielkim wysiłkiem w twardej jak żelazo ziemi. Tak szybko, jak pozwalała na to przyzwoitość, ludzie rozpierzchli się do swoich chat, zostawiając biednego malca samego w lodowej kołysce. Na końcu szedł ojciec Konstanty, na wpół ciągnąc za sobą pogrążoną w rozpacz matkę.

Ludzie zaczęli się tłoczyć w jednej izbie, wielopokoleniowe rodziny dzieliły jeden piec, żeby oszczędzać opał. Drewno jednak zniknęło błyskawicznie, jakby pod wpływem złego zaklęcia. Chodzili więc do lasu pomimo śladów łap, kobiety wciąż miały w pamięci marmurową twarz Timofieja i straszny wyraz oczu jego matki. To było nieuniknione, że ktoś kiedyś nie wróci.

Kiedy znaleźli Daniłę, syna Olega, zostały z niego tylko kości rozrzucone na podeptanym i zakrwawionym śniegu. Jego ojciec przyniósł ich obgryzione kawałki Piotrowi i położył je przed nim bez słowa.

Piotr popatrzył na nie, lecz nic nie powiedział.

– Piotrze Władimirowiczu... – zaczął Oleg chrapliwie, Piotr jednak pokręcił głową.

– Pochowaj syna – polecił mu, patrząc na własne dzieci. – Jutro skrzyknę ludzi.

Alosza przez całą długą noc szlifował trzonek swojej dzidy i ostrzył myśliwski nóż. Na jego pozbawionych zarostu policzkach pojawił się rumieniec. Wasia obserwowała przygotowania brata. Z jednej strony korciło ją, by także sięgnąć po dzidę, iść do zimowego lasu i stawiać czoło niebezpieczeństwu, z drugiej jednak miała ochotę strzelić brata przez łeb za tę jego lekkomyślną ekscytację.

– Przyniosę ci wilczą skórę, Wasiu – obiecał Alosza, odkładając broń.

– Możesz ją sobie zatrzymać, jeśli tylko obiecasz, że zachowasz własną i nie odmrozisz sobie palców u nóg.

Alosza uśmiechnął się szeroko, oczy mu błyszczały.

– Martwisz się, siostrzyczko?

Siedzieli z dala od reszty zgromadzonej przy piecu rodziny, lecz Wasia i tak ściszyła głos.

– Nie podoba mi się to. Myślisz, że chcę być zmuszona odrąbać ci odmrożone palce u nóg? Albo u rąk?

– Nic się na to nie poradzi, Wasoczka – odparł Alosza, odkładając but. –

Musimy mieć drewno. Lepiej iść do lasu i walczyć niż zamarznąć na śmierć we własnym domu.

Wasia zacisnęła usta i nie odpowiedziała. Nagle pomyślała o wazile, czarnookim od gniewu. O skórkach chleba, które mu nosiła, by złagodzić jego złość. Czy jest jeszcze ktoś, kto czuje złość? Ktoś taki może być tylko w lesie, tam, gdzie wieją zimne wiatry i wyją wilki.

„Nawet o tym nie myśl, Wasiu”, rozległ się w jej głowie głos rozsądku. Wasia popatrzyła na swoją rodzinę, na posępną twarz ojca i tłumione podniecenie braci.

Cóż, mogę chociaż spróbować. Jeśli Aloszy coś się jutro stanie, będę się nienawidziła do końca życia za to, że nie spróbowałam. Nie zastanawiając się dłużej, Wasia poszła po buty i zimową pelerynę.

Nikt nawet nie pomyślał, by zapytać ją, dokąd idzie. Prawdziwa odpowiedź nikomu nie przyszłaby do głowy.

Wasia przelazła przez palisadę otaczającą podwórze, co utrudniały jej grube rękawiczki. Gwiazdy były nieliczne i blade. Blask księżyca oświetlał stwardniały od mrozu śnieg. Wasia wślizgnęła się do lasu, wchodząc ze światła księżyca w ciemność. Szła szybkim krokiem. Było strasznie zimno, śnieg skrzypiał pod jej stopami. Gdzieś zawył wilk. Wasia starała się nie myśleć o żółtych ślepiach. Z pewnością zaczęłaby wtedy dygotać i dzwonić zębami.

Nagle zatrzymała się w pół kroku. Zdawało jej się, że słyszy jakiś głos. Nasłuchiwała, wstrzymując oddech. Nie – to tylko wiatr.

A cóż to takiego? Wyglądało jak ogromne drzewo, które na wpół pamiętała. Dziwne, przebiegłe wspomnienie to pojawiała się, to zniknęło. Nie – to jedynie cień rzucany przez księżyc.

Wysoko w koronach drzew szalał przenikający do szpiku kości wiatr.

Nagle z syku i huku Wasia wyłowiła słowa.

– Ciepło ci, dziecinko? – zapytał wiatr, na wpół się śmiejąc.

Prawdę powiedziawszy, Wasia miała poczucie, że jej kości trzasną zaraz

niczym wyschłe od mrozu gałęzie, spytała jednak głośno:

– Kim jesteś? Czy to ty zsyłasz mróz?

Nastąpiła bardzo długa cisza. Wasia zastanawiała się, czy nie wyobraziła sobie tego głosu. Potem jednak zdało jej się, że słyszy szydercze słowa:

– A dlaczego nie? Ja też czuję gniew.

Głos zdawał się rozbrzmiewać echem i podjął je cały las.

– To nie jest odpowiedź – odrzekła dziewczyna. Rozsądek podpowiadał jej, że kiedy w środku nocy ma się do czynienia z ledwie słyszalnymi głosami, być może byłaby wskazana odrobina potulności. Z zimna chciało jej się spać. Walczyła z sennością każdym skrawkiem woli i nie miała siły być potulna.

– To ja sprowadzam mróz – odezwał się głos.

Nagle poczuła lodowatą pieśczoć, czułe muśnięcia przy twarzy i szyi. Chłód, jakby pod jej ubranie wślizgnęły się opuszki palców i zacisnęły na sercu.

– Możesz więc przestać? – wyszeptała Wasia, pokonując strach. Miała wrażenie, że jej serce uderza o czyjąś dłoń. – Mówię w imieniu mieszkańców mojej wioski. Oni się boją. Jest im przykro. Niedługo będzie tak, jak było zawsze: i cerkiew, i czarty, zniknie strach i gadanie o demonach.

– Wtedy będzie już za późno – odpowiedział wiatr, a las podjął jego słowa: „Za późno... za późno...”. – Zresztą to nie mojego mrozu powinnaś się bać, *diewuszka*, lecz ognia. Powiedz mi, czy wasz ogień pali się zbyt szybko?

– To tylko mróz sprawia, że tak się dzieje.

– Nie, to nadchodząca burza. Pierwszą oznaką jest strach. Drugą – zawsze ogień. Twój lud się boją, a teraz ogień płonie szybciej.

– Wobec tego błagam, zawróć tę burzę. Proszę, przyniosłam prezent.

Wsunęła dłoń w rękaw.

Nie było tego dużo, tylko kawałek suchego chleba i szczypta soli, ale kiedy wyciągnęła rękę, wiatr ucichł.

W tej ciszy Wasia znów usłyszała wycie wilka, tym razem bardzo blisko, a odpowiedział mu cały chór jego braci. W tej samej chwili spomiędzy dwóch drzew wyłoniła się biała klacz i Wasia zapomniała o wilkach. Długa grzywa zwierzęcia przypominała sople lodu, a parsający oddech tworzył w ciemności pióropusz pary.

Wasia zachłysnęła się oddechem.

– Och, jaka jesteś piękna – powiedziała i nawet ona sama usłyszała tęsknotę w swoim głosie. – To ty sprowadzasz mróz?

Czy biała klacz miała jeźdźca? Wasia nie potrafiła tego stwierdzić. W jednej chwili wydawało jej się, że tak, w następnej jednak skóra klaczy zadrżała i kształt na jej grzbiecie okazał się jedynie grą światła.

Biały koń postawił małe uszy i wyciągnął głowę w stronę chleba i soli, które trzymała Wasia. Poczowała na twarzy ciepły oddech klaczy i spojrzała w jej ciemne oko. Nagle zrobiło się cieplej. Nawet wiatr wirujący wokół jej twarzy wydał się Wasi cieplejszy.

– To ja sprowadzam mróz – odezwał się głos. Wasia nie sądziła, że mówi to klacz. – To mój gniew i moja przestroga. Ale ty, *diewuszka*, jesteś odważna, więc ustępuję. Ze względu na twój dar. – Na chwilę zapadła cisza. – Ten strach jednak nie jest mój, ogień też nie. Nadchodzi burza i mróz nieporównywalny z niczym innym. Uratuje was odwaga. Jeśli twoi ludzie będą się bać, już po nich.

– Jaka burza? – wyszeptała Wasia.

– Strzeż się zmieniających się pór roku – westchnął wiatr, a w każdym razie tak jej się zdawało. – Strzeż się... – Głos umilkł.

Wiatr jednak pozostał. Wiał coraz silniej i silniej, bez słowa, nasuwając chmury na księżyc, i ten wiatr pachniał błogo śniegiem. Jeśli spadnie śnieg, potężny mróz się nie utrzyma.

Kiedy Wasia dotarła do domu, płatki śniegu pokrywające jej kaptur i rzęsy skutecznie stłumiły rodzinny zgiełk. Alosza chwycił ją w objęcia w milczącym zachwycie, Irina ze śmiechem wybiegła na dwór, by złapać

garść sypiącej się z nieba bieli.

Tamtej nocy mróz rzeczywiście zelżał. Śnieg sypał przez tydzień. Kiedy w końcu przestał, kolejne trzy dni zajęło im przekopywanie się na zewnątrz. Do tej pory wilki skorzystały z względnego ciepła, by posilić się żylastymi królikami i przenieść głębiej w las. Nikt ich więcej nie widział. Tylko Alosza wydawał się rozczarowany.

W nocie pod koniec zimy Dunia źle spała i to nie tylko z powodu zimna i bolących kości, ani też dlatego, że martwiła się kaszlem Iriny i bladą twarzą Wasi.

– Już pora – oznajmił demon mrozu.

Tym razem we śnie Duni nie było sań, słońca ani rześkiego zimowego powietrza. Stała w posępnym i szemrzącym lesie. Miała wrażenie, że w mroku czai się jeszcze większy cień. I czeka. Blade rysy demona zimy wyrysowane były precyzyjnie niczym na kwasorycie, a jego oczy pozbawione koloru.

– To musi stać się teraz – powiedział. – Ona jest już kobietą i to silniejszą, niż zdaje sobie sprawę. Może zdołam uchronić cię przed złem, ale muszę mieć tę dziewczynę.

– To jeszcze dziecko – zaprotestowała Dunia. Demon, pomyślała. Kusiciel. Kłamca. – Dziecko, które droczy się ze mną, domagając się ciastek z miodem, chociaż wie, że żadnych nie ma, a tej zimy zrobiła się taka blada, same oczy i kości. Jak mogłabym ją teraz oddać?

Twarz demona była zimna.

– Mój brat już się budzi. Z każdym dniem jego więzy słabną. To dziecko, zupełnie nieświadomie, zrobiło, co mogło, by was ochronić, dzięki skórkom chleba, odwadze i przenikliwości, lecz mój brat śmieje się z takich rzeczy. Ona musi dostać klejnot.

Ciemność zdawała się napierać na nią z sykiem. Demon mrozu mówił

szorstko, w sposób dla Duni niezrozumiały. Na polance zawirował porywisty wiatr i cień się cofnął. Zza chmur wychynął księżyc i rozświetlił śnieg.

– Proszę, królu zimy. – Dunia pokornie złożyła dłonie. – Jeszcze jeden rok, jeszcze jedno lato, a stanie się silna dzięki deszczom i słońcu. Nie chcę... nie mogę teraz oddać mojej dziewczynki zimie.

Nagle z leśnego poszycia dobiegł grzmiący, przeciągły starczy śmiech. Dunia odniosła wrażenie, że przez demona mrozu prześwieca blask księżyca, że jest tylko złudzeniem, grą światła i cienia. Po chwili jednak znów stał się mężczyzną z krwi i kości. Odwrócił głowę i przepatrywał zarośla. Kiedy znów spojrzął na Dunię, twarz miał ponurą.

– Ty znasz ją najlepiej – powiedział. – Nie mogę zabrać jej niegotowej, bo umrze. Wobec tego jeszcze rok. Chociaż rozum podpowiada mi co innego.



14.

Mysz i dziewczyna

Anna Iwanowna cierpiała tej zimy tak jak inni. Dłonie puchły jej i sztywniały, bolały ją zęby. Marzyła o serze, jajkach i rukwi, a jadła tylko kiszoną kapustę, ciemny chleb i wędzone ryby. Irina, która nigdy nie była zbyt silna, stała się apatycznym cieniem samej siebie i Anna, bojąc się o nią, odkryła dziwną więź z Dunią: wspólnymi siłami wmuszały w dziewczynkę bulion i miód i pilnowały, by nie marzła.

Przynajmniej nie widywała już demonów. Mały brodaty stworek nie skradał się po domu, a po podwórzu nie kręcił się brązowy patykowaty żebrak. Anna widywała wyłącznie mężczyzn i kobiety i znosiła zwykłe uciążliwości związane z mieszkaniem w zatłoczonym domu i z brzydką pogodą. No i był ojciec Konstanty, człowiek anioł. Nie wyobrażała sobie, że mężczyzna może być taki, o cudownym głosie i czułych ustach. W dodatku pod jego silnymi dłońmi nabierały kształtów błogosławione ikony. Tamtej zimy spotykała się z nim codziennie, kiedy wszyscy siedzieli w domu. Grzanie się w bijących od niego promieniach było bardziej sycące niż mięso i miód, niczego więcej nie pragnęła. Jej umysł był spokojny, stać ją było nawet na to, by uśmiechać się do pasierbów i znosić obecność Wasilisy.

Kiedy nadszedł śnieg i mróz osłabł, spokój Anny zniknął.

W szare południe, kiedy z ołowianego nieba sypały się gęsto drobne płatki śniegu, Anna pobiegła do celi Konstantego.

– Demony wciąż tu są, *batiuszka!* – krzyczała. – Wróciły, przedtem tylko się pochowały. Są przebiegłe i oszukańcze. Czym zgrzeszyłam? Ojczy, co mam robić? – Płakała i dygotała. Tego ranka z pieca wypęłzył domowik, uparty i tłący się, i sięgnął po koszyk z szyciem Duni.

Konstanty nie odpowiedział od razu. Palce trzymające pędzel miał niebiesko-białe – schronił się w swojej izbie, by malować. Anna przyniosła mu zupę. Rozchlapowała się w jej drżących dłoniach. Kapuśniak, stwierdził Konstanty z obrzydzeniem, bo był śmiertelnie zmęczony kapustą. Anna postawiła miseczkę obok niego, ale nie wychodziła.

– Cierpliwości, Anno Iwanowno – powiedział, kiedy uświadomił sobie, że kobieta czeka na jego odpowiedź. Nie odwrócił się ani nie przerwał szybkich i delikatnych pociągnięć pędzlem. Nie malował od wielu tygodni. – To długotrwała plaga, podsycana zejściem na manowce wielu ludzi. Poczekaj tylko, a sprowadzę ich z powrotem do Boga.

– Tak, *batiuszka*, ale dzisiaj widziałam...

– Anno Iwanowno, nigdy nie pozbędziesz się diabłów, jeśli ciągle będziesz ich wypatrywała – syknął przez zęby. – Czy dobra chrześcijanka tak się zachowuje? Bój się raczej Boga i spędzaj czas na modlitwie. Szczerej modlitwie. – Zerknął znacząco w stronę drzwi.

Anna jednak nie miała zamiaru wyjść.

– Już działał ojciec cuda. Ja... proszę nie myśleć, że jestem niewdzięczna, *batiuszka*. – Zatoczyła się rozdygotana w jego stronę i oparła mu dłoń na ramieniu.

Konstanty rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie. Odskokczyła jak oparzona i oblała się ciemnym rumieńcem.

– Dziękuj Bogu, Anno Iwanowno, i pozwól mi pracować.

Postała jeszcze przez chwilę w milczeniu, po czym uciekła.

Konstanty wziął miskę i wypił duszkiem zupę. Otarł usta, próbując odzyskać spokój niezbędny do malowania. Dręczyły go jednak słowa Anny: „Demony. Diabły. Czym zgrzeszyłam?”. Zamyślił się. Napełnił tych ludzi

lękiem przed Bogiem i są na drodze do zbawienia. Potrzebują go, kochają i jednocześnie się go boją. I słusznie, jest bowiem Bożym posłańcem. Oddają cześć jego ikonom. Zrobił wszystko, co tylko mógł wyrazić słowami i groźnymi minami, by wpoić im posłuszeństwo Bogu i ducha pokory. Już widział efekty.

A jednak...

Mimowolnie pomyślał o drugiej córce Piotra. Obserwował ją tej zimy, jej dziecięcy wdzięk, jej śmiech, naturalne zuchwalstwo, tajemniczy smutek, który czasem gościł na jej twarzy. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś wyłoniła się z mroku, tak swobodna na zimnie w zapadającej nocy. Niewiele myśląc, przyjął wtedy miód z jej rąk, wdzięczny, że może ugasić pragnienie.

Ona się nie boi, pomyślał Konstanty ponuro. Nie boi się Boga, nie boi się niczego. Widział to w jej milczeniu, w przenikliwym wzroku, w długich godzinach, które spędzała w lesie. Żadna porządna chrześcijańska dziewczyna nie ma takich oczu ani nie stąpa w ciemności z taką gracją.

Dla dobra jej duszy i dla dobra dusz wszystkich w tym odludnym miejscu, myślał Konstanty, musi skłonić ją do pokory. Dziewczyna powinna uświadomić sobie, czym jest, i się przerazić. Jeśli ocali ją, ocali ich wszystkich. W przeciwnym razie... Konstanty nie patrzył, co robią jego palce, malował otumaniony, podczas gdy umysł zajęty miał dziewczyną. Wreszcie oprzytomniał i zobaczył, co namalował.

Spoglądały na niego dzikie zielone oczy, chociaż zamierzał nadać im barwę delikatnego błękitu. Długi welon namalowanej kobiety równie dobrze mógł być zasłoną czerwoczarnych włosów. Miał wrażenie, że się z niego śmieje, uchwycona na drewnie i na zawsze wolna. Konstanty krzyknął i odrzucił deskę. Spadła z łoskotem na podłogę, a farba rozprysnęła się na boki.

Tamta wiosna była zbyt mokra i zbyt zimna. Irina, która kochała kwiaty, płakała, bo nie zakwitły przebiśniegi. Pola zaorano w strugach

niespotykanego o tej porze roku deszczu i przez wiele tygodni nic nie schło, ani w domu, ani na zewnątrz. Wasia w rozpaczy spróbowała włożyć do pieca mokre skarpetki, odepchnąwszy ogień w kąt. Wyjęła je cieplejsze, lecz nie suchsze. Pół wioski kaszłało, a ona z pochmurną miną popatrzyła na brata, gdy przyszedł się ubrać.

– Jeśli chodzi o twoje eksperymenty, ten mógł skończyć się gorzej – stwierdził Alosza, spoglądając na lekko osmalone skarpetki. Oczy miał zaczerwienione, głos zachrypnięty. Skrzywił się, wciągając na stopę ciepłą wilgotną wełnę.

– Tak – zgodziła się Wasia, wkładając skarpetki. – Mogłam je wszystkie upiec. – Znowu zmierzyła go wzrokiem. – Dzisiaj będzie ciepła kolacja. Nie umieraj, zanim deszcze ustaną, braciszku.

– Niczego nie mogę obiecać, siostrzyczko – odparł Alosza ponuro, zanosząc się kaszlem. Poprawił czapkę i wyszedł z domu.

Z powodu deszczu i wilgoci ojciec Konstancy nabrał zwyczaju robienia pędzli i ucierania kamieni w zimowej kuchni. Tu było zdecydowanie cieplej i odrobinę bardziej sucho niż w jego izbie, chociaż znacznie głośniejsze, bo pod nogami kręciły się psy, dzieci i najsłabsze z kóz. Wasia żałowała tej zmiany. Ani razu się do niej nie odezwał, chociaż często chwalił Irinę i pouczał Annę Iwanownę, jednak nawet w ogólnym zgiełku Wasia czuła na sobie jego spojrzenie. Kiedy żartowała z Dunią, wyrabiała ciasto na ich biedny cienki chleb i oddawała się innym kobiecym zajęciom, zawsze miała świadomość, że pop uporczywie się jej przygląda.

Lepiej wygarnij mi moją winę prosto w twarz, *batuszka*.

Kiedy tylko mogła, chowała się w stajni. Powroty do zatłoczonego domu oznaczały nieustającą pracę, podczas gdy Anna piszczała i modliła się na przemian. I zawsze czekało ją tam milczenie i poważny wzrok popa.

Wasia nie powiedziała nikomu, gdzie była tamtej mroźnej styczniowej nocy. Później czasami wydawało jej się, że to był tylko sen: głos pośród wiatru i biały koń. Obserwowana przez Konstantego uważała, by w żaden sposób nie zwracać się do domowika, ale pop i tak wciąż jej się przyglądał.

To tylko kwestia czasu, zanim wpadnie w jakieś kłopoty, a on się na nią rzuci, myślała na skraju rozpaczy. Mijały jednak kolejne dni, a pop milczał.

Nadszedł kwiecień. Wasia była na pastwisku dla koni i zszywała ranę Myszy, na której kiedyś jeździł Sasza. Teraz Mysz była klaczą rozplodową i zdążyła urodzić siedem źrebaków. Choć już niemłoda, nadal była silna i zdrowa, a jej mądre stare oczy niczego nie przeoczyły. Najcenniejsze konie – wśród nich Mysz – spędzały zimę w stajni i wychodziły na pastwisko razem z innymi, kiedy tylko trawa wyjrzała spod śniegu. Zawsze dochodziło wtedy do jakichś nieporozumień i Mysz miała na udzie ranę w kształcie kopyta. Wasia zręczniejszej posługiwała się igłą, gdy wbijała ją w ciało, a nie w materiał. Jaskrawoczerwone rozcięcie malało. Klacz stała spokojnie i tylko od czasu do czasu drżała.

– Lato, lato, lato – zaśpiewała Wasia. Słońce znowu świeciło ciepło, a deszcz nie padał na tyle długo, by dać jęczmieniowi czas. Stojąc obok klaczy, Wasia stwierdziła, że przez zimę urosła. Cóż, pomyślała smętnie, nie wszyscy możemy być tacy mali jak Irina.

Maleńką Irinę już uznano za piękność. Wasia starała się o tym nie myśleć.

Z zadumy wyrwała ją Mysz.

– Chcemy dać ci prezent – powiedziała.

Pochyliła głowę, żeby skubnąć świeżej trawy.

Ręce Wasi zastygły.

– Prezent?

– Zimą przynosiłaś nam chleb. Jesteśmy twoimi dłużnikami.

– Wam? Ale waziła...

– Jest nami wszystkimi. A także czymś więcej, ale przede wszystkim jest nami.

– Och... – Wasia się spieszyła. – Cóż, dziękuję.

– Nie dziękuj za trawę, dopóki jej nie zjesz – odparła klacz, parskając. – Nasz prezent jest taki: chcemy nauczyć cię jeździć konno.

Wasia zamarła bez ruchu, a krew gwałtowną falą uderzyła jej do serca.

Umiała jeździć na grubym szarym kucu, którego dzieliła z Iriną, ale...

– Naprawdę? – wyszeptała.

– Tak, chociaż ma to dobre i złe strony. Taki dar może cię oddzielić od twoich ludzi.

– Moi ludzie – powtórzyła Wasia bardzo cicho. Płakali przed ikonami, podczas gdy domowik umierał z głodu. Nie znam ich. Zmienili się, a ja nie. – Nie boję się – oświadczyła głośno.

– To dobrze. Zaczniemy, kiedy błoto przeschnie.

W następnych tygodniach Wasia prawie zapomniała o obietnicy klaczy. Wiosna oznaczała tygodnie harówki, a na zakończenie każdego dnia Wasia jadła marny chleb z ubiegłorocznego jęczmienia z twarogiem i delikatnymi młodymi ziołami, po czym padała na piec i spała jak dziecko.

Nagle jednak nadszedł maj i błoto zniknęło pod świeżą trawą. Wśród ciemnej zieleni mlecze świeciły jak gwiazdy. Tamtego dnia, kiedy Wasia, spocona, podrapana i wyczerpana zatrzymała się na pastwisku dla koni, wracając z pola jęczmienia, konie rzucały długie cienie, a na niebie jaśniał samotny sierp księżyca.

– Chodź tutaj – przywołała ją Mysz. – Wskakuj na mój grzbiet.

Wasia była zbyt zmęczona, by odpowiedzieć. Patrzyła tępo na klacz i wyjąkała tylko:

– Nie mam siodła.

Mysz parsknęła.

– I nie będziesz miała. Musisz się nauczyć radzić sobie bez niego. Będę cię dźwigała, ale nie jestem twoją służką.

Wasia popatrzyła w oczy zwierzęcia. W brązowych głębinach tańczyły wesołe iskierki.

– Noga cię nie boli? – spytała niepewnie, wskazując na wpół zagojoną

ranę na udzie klaczy.

– Nie – odrzekła Mysz. – Wsiadaj.

Wasia pomyślała o ciepłej kolacji i o stołku przy piecu, po czym zacisnęła zęby, cofnęła się, podbiegła i wskoczyła na koński grzbiet, kładąc się na nim. Po chwili wiercenia Wasia usadowiła się niewygodnie tuż za twardym kłębem.

Klacz położyła uszy, rozczarowana niezdarnością dziewczynki.

– Będziesz musiała poćwiczyć – mruknęła.

Potem Wasia nie mogła sobie przypomnieć, dokąd pojechały tamtego dnia. Z konieczności skryły się głęboko w lesie. Jazda była bolesna, to dziewczyna doskonale pamiętała. Kłusowały, aż jej plecy i nogi zaczęły drżeć.

– Siedź spokojnie – pouczała ją klacz. – Odnoszę wrażenie, że jest was tam trzy, a nie ty jedna.

Wasia przesuwiała się to w jedną, to w drugą stronę. W końcu Mysz, doprowadzona do rozpacz, zatrzymała się gwałtownie. Wasia stoczyła się przez jej bark i mrugając gwałtownie, wylądowała na ilastym leśnym podłożu.

– Wstawaj – rzuciła klacz. – Musisz bardziej uważać.

Kiedy wróciły na pastwisko, Wasia była brudna, posiniaczona i przekonana, że nie da rady iść. Przegapiła też kolację i zarobiła burę. Następnego wieczoru jednak znowu to zrobiła. I znowu. Nie zawsze dosiadała Myszy, konie uczyły ją jeździć na zmianę. Nie codziennie się to udawało, bo wiosną, jak wszyscy, pracowała przy sianiu.

Jeździła jednak dość często i plecy, uda i brzuch bolały coraz mniej. Wreszcie nadszedł dzień, gdy nie odczuwała żadnego bólu. Nauczyła się utrzymywać równowagę, wskakiwać na koński grzbiet, obracać, ruszać, zatrzymywać, pędzić i skakać, aż nie wiedziała już, gdzie kończy się koń, a zaczyna ona.

Tamtego lata niebo zdawało się bardziej rozległe, chmury płynęły po nim

lekką jak łabędzie. Jęczmień falował zielono na polach, chociaż był skarłowaciały i Piotr kręcił nad nim głową. Wasia, z koszykiem przewieszonym przez ramię, codziennie znikła w lesie. Dunia spoglądała podejrzliwie na przynoszone przez nią dary – najczęściej brzożową korę albo szakłak do robienia barwników, rzadko zresztą w wystarczającej ilości. Wasia była jednak złocista i promieniała szczęściem, więc niania tylko chrząkała z przekąsem i nic nie mówiła.

Upał był coraz większy, aż stał się gęsty niczym miód. Mimo modlitw ludzi w suchym jak pieprz lesie wybuchały pożary, a jęczmień rósł bardzo powoli.

Pewnego rozgrzanego do białości sierpniowego dnia Wasia szła nad jezioro, starając się nie utykać. Jeździła na Wicherze. Siwy ogier – teraz zupełnie biały – nadal był największym z wierzchowców i miał najbardziej przewrotne poczucie humoru. A siniaki Wasi były tego dowodem.

Jezioro lśniło w słońcu. Gdy Wasia podeszła bliżej, wydało jej się, że wśród drzew obrzeżających wodę słyszy szelest. Kiedy jednak spojrzała w górę, nie zobaczyła błysku zielonej skóry. Po chwili bezowocnych poszukiwań dała za wygraną, rozebrała się i wskoczyła do jeziora. Woda była w nim lodowata nawet latem. Dziewczynie aż zaparło dech i z trudem stłumiła krzyk. Natychmiast zanurkowała, a zimna toń pobudziła jej znużone członki. Śmigła pod wodą, rozglądając się to tu, to tam, jednak rusałki nigdzie nie było. Trochę zaniepokojona, Wasia podpłynęła do brzegu, wciągnęła do wody swoje ubranie i wyprała je do czysta, uderzając nimi o skały, po czym rozwiesiła, ociekające wodą, na pobliskim konarze, wdrapała się na drzewo i wyciągnęła na gałęzi jak kot, żeby wyschnąć w słońcu.

Może godzinę później Wasia ocknęła się z sennego zamroczenia i przyjrzała się na wpół wysuszonym ubraniom. Słońce minęło już zenit i zaczęło sunąć ku zachodowi, co w tym długim letnim dniu oznaczało, że jest dobrze po południu. Anna bez wątpienia kipi już złością i nawet Dunia przywita ją zaciśniętymi ustami i piorunującym spojrzeniem, kiedy Wasia wślizgnie się do kuchni. Irina przycupnęła pewnie przy gorącym piecu

i męczy paluszki szyciem. W nagłym poczuciu winy Wasia zsunęła się na niższą gałąź... i zamarła.

Na trawie siedział ojciec Konstanty. Mógłby być przystojnym chłopem, a nie duchownym. Zamienił szatę na płócienną koszulę i luźne spodnie upstrzone drobkami jęczmiennych kłosów, jego włosy jaśniały w popołudniowym słońcu. Spoglądał na jezioro. Co on tu robi? Wasia, wciąż osłonięta listowiem, zahaczyła kolana o gałąź, zawisła głową w dół i chwyciła swoje ubranie, szybka jak wiewiórka. Przykucnęła niezdarnie na wyższym konarze, starając się nie spaść i nie złamać ręki, włożyła koszulę i wąskie spodnie podkradzione Aloszy i spróbowała uładzić palcami włosy. W końcu odrzuciła na plecy koniec krzywego warkocza, złapała się gałęzi i zeskoczyła na ziemię. Może jeśli przemknę bardzo cichutko...

Nagle dostrzegła rusałkę. Stała w wodzie. Włosy falowały wokół niej, tylko częściowo osłaniając nagie piersi. Uśmiechała się lekko do ojca Konstantego, a on wstał jak w transie i ruszył chwiejnie w jej stronę. Wasia bez zastanowienia rzuciła się ku niemu i złapała go za rękę, on jednak odepchnął ją, jakby od niechcienia, i mocniej, niż mogła się po nim spodziewać.

– Zostaw go w spokoju! – krzyknęła Wasia do rusałki.

– On zabije nas wszystkich – powiedziała rusałka cichym głosem, nie spuszczać wzroku ze swojej ofiary. – To już się zaczęło. Jeśli będzie to ciągnął, wszyscy strażnicy leśnych głębin znikną. Nadejdzie burza, a ziemi nikt nie obroni. Nie rozumiesz? Najpierw strach, potem ogień, a na końcu głód. Sprawił, że twoi ludzie się boją. Potem płonął ogień, a teraz wszystko pali słońce. Kiedy nadejdzie mróz, będziecie głodni. Król zimy jest słaby, a jego brat już się zbliża. Zjawi się, jeśli straże zawiodą. Wszystko jest lepsze od tego. – Jej głos drżał z przejęcia. – Lepiej zabiorę go teraz.

Ojciec Konstanty zrobił jeszcze jeden krok. Przy jego butach wzbierała woda. Stał na samym brzegu jeziora.

Wasia potrząsnęła głową, próbując zebrać myśli.

– Nie wolno ci.

– Dlaczego nie? Czy jego życie warte jest życia wszystkich innych? Zapewniam cię, że jeśli on będzie żył, wielu wkrótce zginie.

Wasia wahała się długą chwilę. Przypomniała sobie, jak pop modlił się przy sztywniejącym ciele Timofieja, poruszając ustami jeszcze długo po tym, gdy stracił głos. Przypomniała też sobie, jak podtrzymywał jego łkającą matkę, żeby nie upadła na śnieg. Zacisnęła zęby i pokręciła głową.

Rusałka odrzuciła głowę do tyłu i wrzasnęła przeraźliwie. Po chwili już jej nie było, zostały tylko słońce, woda, zarośla i cienie drzew. Wasia wzięła popa za rękę i odciągnęła go od brzegu, a on popatrzył na nią i jego spojrzenie znów stało się przytomne.

Konstantemu było zimno w nogi i czuł się dziwnie opuszczony. Stopy miał lodowate, bo stał po kostki w wodzie przy samym brzegu, zdumiało go jednak to ukłucie samotności. Nigdy nie czuł się samotny. Przed sobą ujrzał czyjaś twarz, jakby wyłoniła się z mgły. Zanim zdołał ją rozpoznać, osoba ta złapała go za rękę i pociągnęła, zataczającego się, na suchy ląd. Światło wydobyło czerwony połysk z czarnego warkocza i nagle ją rozpoznał.

– Wasilisa Pietrowna.

Puściła jego rękę, odwróciła się i spojrzała na niego.

– *Batiuszka*.

Poczuł, że w butach chlupocze mu woda, przypomniał sobie kobietę w jeziorze i ogarnął go strach.

– Co ty robisz?

– Ratuję ci życie – odparła dziewczyna. – To jezioro jest dla ciebie niebezpieczne.

– Demony...

Wasia wzruszyła ramionami.

– Albo strażniczka jeziora. Nazywaj ją sobie, jak chcesz.

Wykonał ruch, jakby chciał się odwrócić w stronę jeziora, jedną ręką szukając krzyża na piersi.

Wasia chwyciła ten krzyż i zerwała rzemień, na którym wisiał.

– Zostaw to i ją też! – krzyknęła, trzymając krzyż poza zasięgiem jego rąk.
– Dość szkód już wyrządziłeś. Nie możesz zostawić ich w spokoju?

– Chcę cię ocalić, Wasiliso Pietrowno. Ocalę was wszystkich. Istnieją ciemne moce, o których nie macie pojęcia.

Ku jego zaskoczeniu, a może również swojemu, Wasia się roześmiała, a rozbawienie wygładziło rysy jej twarzy. Zafascynowany pop wpatrywał się w nią z mimowolnym podziwem.

– Wydaje mi się, *batiuszka*, że to ty nic nie rozumiesz, bo to twoje życie było w niebezpieczeństwie. Wracaj do pracy na polach jęczmienia i zostaw jezioro w spokoju.

Odwróciła się, nie patrząc, czy on idzie za nią. Stąpała bezgłośnie po mchu i sosnowym igliwiu. Konstanty dogonił ją kilkoma krokami. W dwóch palcach trzymała jego drewniany krzyż.

– Wasiliso Pietrowno – spróbował znowu, przeklinając swoją niezręczność. Zawsze wiedział, co powiedzieć, lecz gdy ta dziewczyna kierowała na niego jasne spojrzenie, cała jego pewność nagle się ulatniała. – Musisz porzucić swoje barbarzyńskie zwyczaje. Musisz wrócić do Boga z bojaźnią i prawdziwą skruchą. Jesteś córką dobrego chrześcijańskiego pana. Twoja matka oszaleje, jeśli nie wypędzimy demonów z jej domu. Wasiliso Pietrowno, zawróć z tej drogi i żałuj za grzechy.

– Chodzę do cerkwi, ojczy – odparła. – Anna Iwanowna nie jest moją matką, a jej szaleństwo to nie moja sprawa. Tak jak moja dusza nie jest twoją sprawą. I wygląda na to, że radziłeś sobie doskonale, zanim tu przyjechałeś, bo kiedy mniej się modliliśmy, mniej też płakaliśmy.

Szła szybko. Wreszcie między pniami drzew dostrzegła ogrodzenie wioski.

– Posłuchaj mnie, *batiuszka*. Módl się za zmarłych, pocieszaj chorych

i dodawaj ducha mojej macosze, ale mnie zostaw w spokoju, a jeśli nie, to kiedy następnym razem któreś z nich po ciebie przyjdzie, nie kiwnę palcem, żeby je powstrzymać.

Nie czekała na odpowiedź, tylko wetknęła mu do ręki krzyż i odeszła w stronę wioski.

Krzyż był ciepły ciepłem jej dłoni i palce popa niechętnie zamknęły się wokół niego.



15.

Oni przychodzą tylko po nieposłuszne dziewczęta

Oślepiające popołudniowe słońce zmieniło odcień na miodowozłoty, a później na bursztynowy i rdzawy. Tuż ponad linią bladożółtego nieba ukazał się nikły półksiężyc. Upał dnia odszedł wraz ze słońcem i mężczyźni na polu jęczmienia dygotali od chłodnącego potu. Konstanty zarzucił kosę na ramię. Pod stwardniałą skórą jego dłoni pojawiły się krwawiące pęcherze. Trzymał kosę opuszkami palców i unikał Piotra Władimirowicza. Tęsknota dławiała go za gardło, a gniew odbierał głos. To był demon. To twoja wyobraźnia. Nie wypędziłeś jej, brnąłeś w jej stronę.

Boże, chciał wracać do Moskwy albo pojechać do Kijowa, albo jeszcze dalej. Jeść ciepły chleb, zamiast głodować przez pół roku, zostawić chłopom uprawę roli, przemawiać do tłumów i nigdy nie leżeć bezsennie, dręcząc się myślami.

Nie. Bóg wyznaczył mu zadanie. Nie może zostawić go niedokończonego.

Och, gdybym tylko zdołał dokończyć to dzieło...

Zacisnął szczęki. Zdoła. Musi. I zanim umrze, znów będzie żył w świecie, w którym dziewczęta mu się nie sprzeciwiają, a demony nie chodzą swobodnie za dnia.

Konstanty minął skoszony jęczmień i szedł skrajem pastwiska dla koni.

Brzeg lasu rzucał chłodne cienie. Spojrzał na stada Piotra pasące się w długim zmierzchu. Wśród siwków i kasztanków coś błysnęło. Konstanty zmrużył oczy. Jeden koń – bojowy ogier Piotra – stał nieruchomo z uniesioną głową. Przy jego barku widać było szczupłą postać rysującą się wyraźnie na tle zachodzącego słońca. Konstanty rozpoznał ją od razu. Ogier wygiął szyję i skubnął dziewczynę w warkocz, a ona roześmiała się jak dziecko.

Konstanty nigdy nie widział takiej Wasi. W domu była na przemian poważna i ostrożna albo uroczo niedbała... Wielkie oczy, smukła sylwetka i stąpające bezgłośnie stopy. Tutaj, wśród koni, pod szerokim niebem, była piękna niczym roczny żreback albo jastrząb, który właśnie nauczył się latać.

Konstanty silił się na obojętność. Wieśniacy ofiarowali mu wosk pszczeli i miód, błagali o rady i modlitwy. Całowali jego dłoń, ich twarze rozjaśniały się na jego widok. Ta dziewczyna unikała jego spojrzenia i jego kroków, za to koń – głupie bydło – potrafił zapalić w niej światło. To światło powinno świecić dla niego – dla Boga – dla niego jako Bożego posłańca. Jest taka, jak mówiła Anna Iwanowna: nieczuła, nieposłuszna, mało dziewczęca. Obcuje z demonami i śmie się chełpić, że ocaliła mu życie.

Mimo to palce świerzbiły go, by sięgnąć po drewno, wosk oraz pędzle i uchwycić miłość i samotność, dumę i rozkwitającą kobiecość wypisane w liniach ciała tej dziewczyny. Ocaliła ci życie, Konstanty Nikonowiczu.

Zaciekle stłumił zarówno myśl, jak i poryw serca. Malować może na chwałę Boga, nie po to, by wysławiać kruchość nietrwałego ciała. Wzywała diabła, to palec boży ocalił mi życie. Kiedy jednak oderwał od niej wzrok, nadal miał tę scenę pod powiekami.

Był fioletowy wieczór, kiedy Wasia weszła do kuchni, zarumieniona od słońca. Wzięła miskę i łyżkę, dostała swoją porcję kolacji i zniosła ją do okna. Zmierzch jeszcze bardziej zazielenił jej oczy. Rzuciła się na jedzenie, przerywając od czasu do czasu, by sycić się długim letnim wieczorem. Konstanty podszedł do niej sztywnym, niespiesznym krokiem. Jej włosy

pachniały ziemią, słońcem i wodą z jeziora. Nie odwróciła się. Wieś lśniła gwiazdami podsycanych ognisk, na zdobionym chmurami niebie unosił się błądy półksiężyc. Milczenie między nimi przeciągało się w zgiełku zatłoczonej kuchni. Przerwał je pop.

– Jestem człowiekiem Bożym – powiedział cicho – ale przykro byłoby mi umierać.

Wasia rzuciła mu szybkie, zaskoczone spojrzenie. W kąciku jej ust pojawił się cień uśmiechu.

– Nie wierzę, *batiuszka*. Więc nie pozbawiłam cię szybkiego wstąpienia do nieba?

– Dziękuję ci za moje życie – ciągnął Konstanty sztywno. – Ale z Boga nie należy drwić. – Nagle poczuła na ręce ciepły dotyk jego dłoni. Uśmiech zniknął z jej twarzy. – Pamiętaj. – Wsunął między jej palce jakiś przedmiot. Jego dłoń, szorstka od kosy, musnęła jej knykcie. Nie dodał nic więcej, tylko spojrzał prosto w oczy. Nagle Wasia zrozumiała, dlaczego wszystkie kobiety błagają go o modlitwy. Zrozumiała też, że jego ciepła dłoń i wyrazista twarz są bronią, której używa, gdy zawodzą słowa. W ten sposób zdobywa posłuszeństwo, dzięki szorstkiej dłoni i pięknym oczom.

Czy jestem równie naiwna jak Anna Iwanowna? Wasia odchyliła głowę i wyrwała rękę. Puścił ją. Nie zauważyła, że drży mu dłoń. Kiedy odchodził, na ścianie zakołysał się jego cień.

Anna szyła bieliznę, siedząc na stołku przy piecu. Płótno zsunęło jej się na kolana, a kiedy wstała, spadło zapomniane na podłogę.

– Co on ci dał? – syknęła. – Co to było? – Wszystkie plamy i zmarszczki na jej twarzy teraz były bardzo wyraźne.

Wasia sama nie wiedziała, co od niego dostała, uniosła teraz ten przedmiot, żeby macocha mogła go zobaczyć. Był to drewniany krzyż wyrzeźbiony z jedwabistej sosny. Wasia wpatrywała się w niego ze zdumieniem. Co to jest, ojczy? Ostrzeżenie? Przepraszanie? Wyzwanie?

– Krzyż – powiedziała.

Anna go jej wyrwała.

– Jest mój – oświadczyła. – Chciał dać go mnie. Wynoś się!

Wasia mogłaby powiedzieć kilka różnych rzeczy, wybrała jednak to, co najbardziej bezpieczne:

– Na pewno tak było.

Nie wyszła jednak, tylko zaniósła swoją miskę do pieca, żeby uprosić Dunię o dokładkę potrawy i podkraść piętę chleba niczego niepodejrzewającej Irinie. Kilka minut później wycierała miskę skórką chleba i śmiała się z miny siostry.

Anna nic już nie powiedziała ani też nie podjęła porzuconego szycia. Wasia, nawet wśród śmiechu, czuła na sobie jej palące spojrzenie.

Tamtej nocy Anna nie spała, tylko chodziła między łóżkiem a cerkwią. Kiedy granat letniej nocy przeszedł w jasny świt, poszła do męża i potrząsnęła nim, by go obudzić.

Jeszcze ani razu w ciągu dziewięciu lat Anna nie przyszła do Piotra z własnej woli. Piotr chwycił ją i przydusił zdecydowanym ruchem, zanim zorientował się, kto to jest. Siwo-brązowe włosy Anny sterczały na wszystkie strony wokół twarzy, chustka się przekrzywiła, oczy miała jak dwa kamienie.

– Mój kochany – powiedziała, z trudem łapiąc oddech i masując sobie szyję.

– Co się stało? – Piotr zsunął się z ciepłego łóżka i zaczął pośpiesznie ubierać. – Coś z Iriną?

Anna przyglądała włosy i poprawiała chustkę.

– Nie, nie.

Piotr wciągnął koszulę przez głowę i przewiązał się szarfą w pasie.

– Więc o co chodzi? – spytał niezbyt miłym tonem. Bardzo go wystraszyła.

Anna drżała i spuściła oczy.

– Zauważyłeś, że twoja córka Wasilisa bardzo urosła od ubiegłego lata?

Piotr przerwał ubieranie się. Wstający dzień rysował na podłodze smugi jasnego złota. Anna nigdy nie interesowała się pasierbicą.

– Czyżby? – mruknął zdezorientowany.

– I że zrobiła się całkiem ładna?

Piotr zamrugał i zmarszczył czoło.

– To jeszcze dziecko.

– Kobieta – warknęła Anna. Piotr był zdumiony. Żona jeszcze nigdy mu się nie sprzeciwiła. – Łobuzica, same ręce, nogi i oczy. Ale będzie miała duży posag. Lepiej wydać ją za mąż teraz, mój drogi. Jeśli straci tę odrobinę urody, którą ma, może nie znaleźć męża.

– W ciągu najbliższego roku urody nie straci – powiedział Piotr bez ceregieli. – A już na pewno nie w ciągu najbliższej godziny. Po co mnie budziłaś?

Wyszedł z izby. W domu unosił się rozkoszny orzechowy zapach piekącego się chleba, a on był głodny.

– Twoja córka Olga wyszła za mąż w wieku czternastu lat.

Anna dreptała za nim bez tchu. Olga rozkwitła od czasu zamążpójścia, stała się wielką damą, grubą matroną z trójką dzieci. Jej mąż cieszył się ogromnymi względami Wielkiego Księcia.

Piotr wziął bochenek świeżego chleba i go przełamał.

– Rozważę tę sprawę – obiecał, żeby uciszyć żonę. Wydłubał wielką kulę parującego mięszu i włożył ją do ust. Czasami bolały go zęby, więc taka miękkość nie była niepożądana. Jesteś starym człowiekiem, pomyślał. Zamknął oczy i próbował zagłuszyć jazgot żony odgłosami żucia.

Bładym świtem mężczyźni szli na pole jęczmienia. Przez cały ranek kosili

falujące zboże szerokimi, zamaszystymi ruchami, a potem rozrzucali kłosa, by wyschły. Grabie poruszały się tam i z powrotem z monotonnym świstem. Słońce niczym żywa istota zarzucało im na szyje gorące ramiona. Mizerne cienie chowały się u stóp, a ich twarze błyszcząły od potu i opalenizny. Piotr i jego synowie pracowali razem z wieśniakami, w porze żniw wszyscy wychodzili w pole. Piotr zazdrośnie strzegł każdego ziarna. Jęczmień nie wyrósł tak wysoko, jak powinien, kłosa były chude i marne.

Alosza rozprostował bolące plecy i przysłonił oczy brudną dłonią. Twarz mu się rozjaśniła. Od strony wioski zbliżał się jeździec na gniadym koniu.

– Nareszcie – westchnął Alosza. Włożył do ust dwa palce i południową ciszę przeszył długi gwizd. Na całym polu mężczyźni odkładali grabie, zdejmowali z twarzy źdźbła i ruszali w stronę rzeki. Ciemnozielone brzegi i chichocząca woda dawały nieco wytchnienia od upału.

Piotr oparł się na grabiach i odgarnął z czoła posiwiałe wilgotne włosy. Nie zszedł z pola. Jeździec był coraz bliżej, galopował na zgrabnej klaczy. Piotr zmrużył oczy. Dostrzegł powiewający czarny warkocz córki. Nie jechała jednak na swoim spokojnym kucyku. W pyle drogi błyskały białe pęciny Myszy. Wasia zauważyła ojca i podniosła rękę w geście pozdrowienia. Piotr czekał z chmurną miną, aż podjedzie bliżej, żeby ją zganić. Dzikuska, któregoś dnia skręci sobie kark.

Wasia jednak pewnie siedziała na koniu. Klacz przeskoczyła rów i galopowała dalej, a dosiadająca jej dziewczyna była prawie nieruchoma, nie licząc powiewających włosów. Stała na skraju lasu. Wasia trzymała przed sobą wiklinowy koszyk. W jaskrawym słońcu Piotr nie widział rysów jej twarzy, poraziło go jednak to, jaka zrobiła się wysoka.

– Nie jesteś głodny, ojcze?! – zawołała. Klacz stała teraz spokojnie. I to bez wodzy – nie miała żadnego ogłowia, nawet sznurkowej uździenicy. Podczas jazdy Wasia obie ręce trzymała na koszyku.

– Już idę, Wasiu – odrzekł, nie wiedzieć czemu czując przygnębienie. Zrzucił grabie na ramię.

Słońce błysnęło na złocistych włosach. Konstany Nikonowicz również nie

zszedł z pola, tylko stał i obserwował szczupłą amazonkę, dopóki nie skryły jej drzewa.

Moja córka jeździ konno jak chłopak stepowy. Co też on o niej myśli, ten nasz cnotliwy pop? – zastanawiał się Piotr.

Mężczyźni polewali sobie głowy zimną wodą i pili ją całymi garściami. Kiedy Piotr dotarł do potoku, Wasia zsiadła już z konia i podsuwała im skórzany bukłak pełen kwasu chlebowego. Dunia upiekła ogromny pieróg, gruzłowaty od zboża, sera i sezonowych warzyw. Mężczyźni skupili się wokół Wasi i odcinali po kawałku. Na ich twarzach ciekący tłuszcz mieszał się z potem.

Piotr dostrzegł nagle, jak dziwnie Wasia, smukła dziewczyna o długich kończynach i wielkich szeroko osadzonych oczach, wygląda wśród tych potężnych, nieokrzęsanych mężczyzn. „Pragnę córki, która byłaby taka jak moja matka”, powiedziała Marina. Cóż, i oto jest, niby sokół wśród krów.

Mężczyźni nie odzywali się do niej, jedli pośpiesznie pieróg ze spuszczonej głowami, po czym wracali na rozpalone pole. Alosza pociągnął siostrę za warkocz i uśmiechnął się do niej, kiedy ją mijał. Piotr zauważył, że mężczyźni się za nią oglądają.

– Wiedźma – mruknął jeden z nich, lecz Piotr tego nie usłyszał. – Rzuciła czar na tego konia. *Batiuszka* mówi...

Pieróg zniknął, a mężczyźni wraz z nim, lecz Wasia ociągała się z powrotem do domu. Odłożyła bukłak z kwasem chlebowym i zanurzyła dłonie w potoku. Miała dziecięcy chód. No cóż, oczywiście, że tak. To wciąż dziewczynka, moja mała żabka. A przecież ma nonszalancki wdzięk dzikiego zwierzęcia. Wasia ruszyła w stronę Piotra, biorąc po drodze koszyk. Kiedy Piotr popatrzył prosto w jej twarz, przeżył szok. Być może dlatego skrzywił się tak złowrogo. Uśmiech Wasi zgasł.

– Proszę, ojciec. – Podała mu bukłak.

O, Chryste, może Anna Iwanowna aż tak bardzo się nie myli, pomyślał. Jeśli nawet Wasia nie jest jeszcze kobietą, to wkrótce nią będzie. Piotr zauważył, że spojrzenie ojca Konstantego znów zatrzymało się na jego córce.

– Wasiu – odezwał się ostrzej, niż zamierzał. – Co to ma znaczyć? Bierzesz klacz i jeździsz na niej bez siodła i ogłowia? Złamiesz rękę albo skręcisz sobie kark.

Wasia się zaczerwieniła.

– Dunia kazała mi wziąć koszyk i się pośpieszyć. Mysz była najbliżej, a to tylko mały kawałek, za krótki, żeby zawracać sobie głowę siodłem.

– Ani uździenicą, co, *doczka*? – zapytał Piotr nieco szorstko.

Rumieniec Wasi pociemniał.

– Przecież nic mi się nie stało, ojcze.

Piotr przyglądał jej się w milczeniu. Gdyby była chłopcem, pochwaliliby ten pokaz umiejętności jeździeckich. Ale jest dziewczyną – chłopczycą – na progu kobiecości. Piotr przypomniał sobie spojrzenie młodego popa.

– Porozmawiamy o tym później – uciął. – Wracaj do domu, do Duni. I nie pędź tak.

– Tak, ojcze – odrzekła Wasia potulnie, jednak w sposobie, w jaki wskoczyła na konia, w pewności, z jaką zawróciła klacz w stronę domu i skłoniła ją do galopu z wygiętą w łuk szyją, widać było dumę.

Po długim dniu nadszedł zmierzch, a potem i on minął, tak że jedynym światłem była blada letnia poświata zamieniająca noc w poranek.

– Duniu – zagadnął Piotr staruszkę – od jak dawna Wasia jest kobietą?

Siedzieli we dwoje w letniej kuchni. Reszta domowników spała. Piotr jednak w te noce, które były jasne jak dzień, nie mógł spać, poza tym nieustannie dręczyły go myśli o córce. Dunię bolały kości i nie śpieszyło jej się, by zalec na twardym barłogu. Przędła kądziel, ale bardzo powoli. Nagle Piotra uderzyło to, jaka jest chuda.

Posłała mu surowe spojrzenie.

– Od pół roku. To się stało koło Wielkanocy.

– Ładna z niej dziewczyna. Chociaż dzika. Potrzebuje męża, to ją uspokoi.

Kiedy to mówił, stanął mu przed oczami obraz jego dzikiej córki poślubionej, poddanej mężowi, pocącej się przy piecu. Ta wizja przepełniła go dziwnym żalem, więc czym prędzej ją odegnał.

Dunia odłożyła kądziel i powiedziała wolno:

– Ona jeszcze nie myśli o miłości, Piotrze Władimirowiczu.

– Co z tego? Zrobi, co jej się każe.

Dunia się roześmiała.

– Czyżby? Zapomniałeś o matce Wasi? – Piotr milczał. – Radziłabym jeszcze poczekać – dodała Dunia. – Tylko że...

Przez całe lato Wasia znikła o świcie i wracała o zmroku. Dunia obserwowała, jak w córce Mariny narasta dzikość, a także obcość, która była czymś nowym, jakby dziewczyna tylko w połowie żyła w świecie swojej rodziny, na który składały się plony, robienie zapasów i szycie. Dunia patrzyła na to, martwiła się i walczyła ze sobą. Teraz podjęła decyzję. Włożyła rękę do kieszeni. Kiedy ją wyjęła, na jej dłoni spoczywał błękitny klejnot niepasujący do pomarszczonej skóry.

– Pamiętasz, Piotrze Władimirowiczu?

– To był prezent dla Wasi – odparł Piotr ostro. – Oszukałaś mnie? Kazałem ci to jej dać. – Wpatrywał się w wisiołek, jakby to był wąż.

– Przechowywałam go dla niej – wyjaśniła Dunia. – Błagałam i król zimy się zgodził. To byłoby zbyt ciężkie brzemie dla dziecka.

– Król zimy? – Piotr wpadł w złość. – Czy ty jesteś dzieckiem, żeby wierzyć w bajki? Nie ma żadnego króla zimy.

– W bajki? – zachnęła się Dunia, również rozgniewana. – Byłabym tak podła, żeby wymyślać podobne kłamstwa? Ja także jestem chrześcijanką, Piotrze Władimirowiczu, jednak wierzę w to, co widzę. Skąd pochodzi ten klejnot godny chana, który przywiozłeś dla córeczki?

Piotr przełknął z wysiłkiem ślinę i milczał.

– Kto ci go dał, Piotrze Władimirowiczu? – chciała wiedzieć Dunia. –

Przywiozłeś go z Moskwy, ale nigdy o nic nie pytałam.

– To naszyjnik. – Gniew zniknął z głosu Piotra. Starał się zapomnieć o bladookim mężczyźnie, o krwi na szyi Koli, o swoich ludziach stojących obojętnie. Czy to był on, król zimy? Teraz sobie przypomniał, jak szybko zgodził się podarować córce błyskotkę od nieznanego. Prastara magia... Wydawało mu się, że słyszy słowa Mariny: „Córka podobna do mojej matki”. A potem ciszej: „Chroń ją, Pietia. Wybrałam ją, ona jest ważna. Obiecuj mi”.

– To nie tylko naszyjnik – odparła Dunia surowo. – To talizman, niechaj mi Bóg wybaczy. Widziałam króla zimy. To jego naszyjnik i on po nią przyjdzie.

– Widziałaś go? – Piotr zerwał się na nogi.

Dunia skinęła głową.

– Gdzie go widziałaś?! Gdzie?!

– We śnie. Tylko we śnie. Lecz to on zsyła sny i są prawdziwe. Mam dać jej ten naszyjnik, tak mówi. Przyjdzie po nią w środku zimy. Ona nie jest już dzieckiem. Ale on potrafi zwodzić, jak wszyscy jemu podobni. Kocham Wasię jak własną córkę. Jest zbyt odważna, to może jej zaszkodzić. Boję się o nią.

Piotr podszedł do dużego okna i odwrócił się w stronę Duni.

– Mówisz prawdę, Awdotio Michajłowno? Na głowę mojej żony, nie okłamuj mnie.

– Widziałam go – powtórzyła Dunia. – I ty także, jak sądzę, go widziałeś, Piotrze Władimirowiczu. Król ma czarne kręcone włosy, jasne oczy, bledsze niż niebo w środku zimy. Nie nosi brody i ubiera się na niebiesko.

– Nie oddam córki demonowi. To chrześcijańska dziewczyna. – Strach w głosie Piotra był nowy, zrodzony z kazań Konstantego.

– W takim razie musi mieć męża – stwierdziła Dunia po prostu. – Im prędzej, tym lepiej. Demony mrozu nie interesują się śmiertelnikami poślubionymi śmiertelnikom. W bajkach książę-ptak i zły czarownik

przychodzą tylko po nieposłuszne dziewczęta.

– Wasia? – zdumiał się Alosza. – Za mąż? Ten króliczek? – Roześmiał się. Suche łądygi jęczmienia szeleściły, gdy Alosza grabił je u boku ojca. W brązowych lokach miał słomę. Podśpiewywał, by przełamać popołudniową ciszę. – To jeszcze dziewczynka, ojcze. Walnąłem wieśniaka, który za długo jej się przyglądał, ale ona niczego nie zauważyła. A ten dureń przez tydzień chodził z posiniaczoną twarzą.

Alosza rozprawił się także z wieśniakiem, który nazwał ją wiedźmą, ale tego ojcu nie powiedział.

– Po prostu nie spotkała jeszcze mężczyzny, który by jej się spodobał – stwierdził Piotr. – Zamierzam to zmienić. – Piotr, gdy raz podjął decyzję, działał szybko. – Kirył Artamonowicz to syn mego przyjaciela, dziedziczy spory majątek, a jego ojciec nie żyje. Wasia jest młoda i zdrowa, no i będzie miała wspaniały posag. Wyjedzie stąd, zanim spadnie śnieg.

Piotr wrócił do grabienia.

Alosza do niego nie dołączył.

– Nie będzie tym zachwycona, ojcze.

– Zachwycona czy nie, zrobi, co jej się każe – uciął Piotr.

Alosza prychnął.

– Wasia? Chciałbym to zobaczyć!

– Wyjdiesz za mąż – powiedziała Irina do Wasi, a w jej głosie słychać było zazdrość. – Będziesz miała wspaniały posag, zamieszkas w wielkim drewnianym domu i urodzisz mnóstwo dzieci.

Stała przy prostym ogrodzeniu z palików i poziomych żerdek, lecz nie opierała się o nie, żeby nie poplamić sarafanu. Długi kasztanowy warkocz miała przewiązany kolorową chustką, mała rączka dotykała delikatnie

drewna. Wasia przycinała Wichrowi kopyto, mamrocząc straszne pogróżki pod adresem ogiera, na wypadek gdyby postanowił się ruszyć. Koń miał taką minę, jakby się zastanawiał, w którą część ciała ją ugryźć. Irina była przestraszona.

Wasia postawiła końskie kopyto na ziemi i spojrzała na młodszą siostrzyczkę.

– Nie zamierzam wychodzić za mąż – oświadczyła.

Kiedy Wasia przeskoczyła przez ogrodzenie, na buzi Iriny odmalowała się zazdrość podszyta przyganą.

– A właśnie, że tak – powiedziała. – Przyjedzie wielki pan, Kola po niego pojechał. Słyszałam, jak ojciec rozmawiał z matką.

Wasia zmarszczyła czoło.

– Cóż... Pewnie muszę wyjść za mąż... Kiedyś – szepnęła. Przechyliła głowę i posłała siostrze przekorny uśmiech. – Ale jak mam przyciągnąć spojrzenie jakiegokolwiek mężczyzny, kiedy ty kręcisz się obok, ptaszyno?

Irina uśmiechnęła się nieśmiało. O jej urodzie rozprawiano już w wioskach należących do ich ojca.

– Nie pójdziesz już do lasu, co, Wasiu? – spytała. – Niedługo kolacja. Jesteś cała brudna.

Nad nimi siedziała rusałka – zielony cień na gałęzi dębu. Skinęła na Wasię. Jej długie włosy jak zwykle ociekały wodą.

– Niedługo wrócę – obiecała Wasia Irinie.

– Ale ojciec mówi...

Wasia podskoczyła, żeby złapać się gałęzi, jedną stopę oparła o pień i podciągnęła się na silnych rękach. Przełożyła nogę przez konar i zawisała głową w dół.

– Zdążę na kolację. Nie martw się, Irinko.

To powiedziawszy, zniknęła wśród liści.

Rusałka była mizerna i drżąca.

– Co ty tu robisz? – spytała Wasia. – Co się stało? – Rusałka dygotała bardziej niż kiedykolwiek. – Zimno ci? – Wydawało się to mało prawdopodobne, bo ziemia oddawała całodniowy upał, wietrzyk był leciutki.

– Nie – odrzekła rusałka. Wilgotne włosy zakrywały jej twarz. – To małym dziewczynkom bywa zimno, nie czartom. Co ta mała opowiada, Wasiliso Pietrowna? Zamierzasz opuścić las?

Wasia uświadomiła sobie, że rusałka się boi, chociaż niełatwo było to poznać, bo intonacja jej głosu była inna niż u ludzi.

Wasia nigdy wcześniej o tym nie myślała.

– Pewnego dnia chyba tak – odrzekła powoli. – Kiedyś. Będę musiała wyjść za mąż i przeprowadzić się do domu męża. Nie sądziłam jednak, że to stanie się tak szybko.

Ależ nikła ta rusałka. – pomyślała Wasia. Przez jej wymizerowaną twarz prześwitywały szemrzące liście.

– Nie możesz tego zrobić – powiedziała, rozchylając wargi i pokazując zielone zęby. Ręka, którą czesała włosy, drgnęła gwałtownie, tak że woda spływała teraz po jej nosie i brodzie. – Nie przetrwamy zimy. Nie pozwoliłaś mi zabić wygłodniałego mężczyzny, a twoja opieka jest zawodna. Jesteś tylko dzieckiem, twoje okruszki chleba i krople miodu nie utrzymają przy życiu domowych duszków. Nie na zawsze. Niedźwiedź już się zbudził.

– Jaki niedźwiedź?

– Cień na ścianie. – Rusałka oddychała szybko. – Głos w ciemności. – Jej twarz nie poruszała się tak jak twarze ludzi, lecz źrenice rozszerzyły się czarno. – Strzeż się umarłych. Musisz mnie posłuchać, Wasiu, bo więcej już nie przyjdę. Nie w takiej postaci. On mnie wezwie, a ja odpowiem na wezwanie, zmusi mnie do posłuszeństwa i zwrócę się przeciwko wam. Nie mogę postąpić inaczej. Liście już opadają. Nie opuszczaj lasu.

– Co to znaczy, „strzeż się umarłych”? W jaki sposób zwrócisz się przeciwko nam?

Rusałka wyciągnęła rękę tak energicznie, że jej wilgotne mgliste palce przypominały ciało, kiedy zacisnęły się na łokciu Wasi.

– Król zimy może ci pomóc – powiedziała. – Obiecał. Wszyscy to słyszeliśmy. Jest bardzo stary, to wróg twojego wroga, ale nie możesz mu ufać.

Na usta Wasi cisnęło się tyle pytań, że zdławiły jej głos. Napotkała wzrok rusałki. Lśniące włosy wodnej boginki okrywały jej nagie ciało.

– Ufam tobie – zdołała wyjąkać Wasia. – Jesteś moją przyjaciółką.

– Bądź dobrej myśli, Wasiliso Pietrowno – powiedziała rusałka ze smutkiem i po chwili zostało już tylko drzewo o wzburzonych srebrnych liściach, jakby wcale jej tu nie było.

Może naprawdę jestem obłąkana? – pomyślała Wasia. Przytrzymała się gałęzi, na której siedziała, i zeszła na ziemię. Kiedy biegła do domu przez cudowny zmierzch końca lata, miała miękkie nogi. Las zdawał się szeptać. „Cień na ścianie. Nie możesz mu ufać. Strzeż się umarłych. Strzeż się umarłych...”

– Za mąż, ojczy? – Przejrzysty zielony zmierzch chuchał chłodem na wysuszoną spękaną ziemię i żar z pieca przynosił ukojenie, nie udrękę. W południe jedli tylko chleb z twarogiem albo z marynowanymi grzybami, bo nie było czasu, by na dłużej odrywać się od pracy w polu. Tego wieczoru jednak była potrawka i placek, pieczone ptactwo i zielenina maczana w odrobinie cennej soli.

– Jeśli trafi się taki, który cię zechce – odparł Piotr niezbyt miło, odstawiając miskę. W głowie krążyły mu nieprzyjemne myśli o szafirach, białych oczach, groźbach i na wpół zrozumiałych obietnicach.

Wasia weszła do kuchni z mokrą twarzą, były też wyraźne oznaki tego, że usiłowała wydłubać ziemię spod paznokci, lecz woda tylko rozmazała brud. Była ubrana jak wieśniaczka, w cienką sukienkę z niefarbowanego płótna. Czarne włosy układające się w loki zostawiła odkryte. Jej wielkie oczy były

dzikie i zatroskane. Łatwiej byłoby wydać ją za mąż, gdyby zdołała wyglądać bardziej jak kobieta, a mniej jak wiejskie dziecko albo leśny duszek, pomyślał Piotr z rozdrażnieniem.

Patrzył, jak kolejne protesty cisną jej się na usta i zamierają. Wszystkie dziewczęta wychodzą za mąż, chyba że zostają zakonnice. Wasia wiedziała to równie dobrze jak wszyscy.

– Za mąż – powtórzyła, nie mogąc znaleźć słów. – Teraz?

Piotr znów poczuł ukłucie bólu. Wyobraził ją sobie w ciąży, pochyloną nad piecem, siedzącą przy krosnach, pozbawioną gracji...

Nie bądź niemądry, Piotrze Władimirowiczu. Taki jest los kobiet. Piotr przypomniał sobie Marinę, ciepłą i uległą w jego ramionach. Pamiętał ją jednak także wymykającą się do lasu lekko jak duch, z takim samym dzikim wyrazem oczu.

– Kogo mam poślubić, ojcze?

Mój syn ma rację, pomyślał Piotr. Wasia naprawdę jest zła. Jej źrenice się rozszerzyły, głowę odrzuciła do tyłu niczym żreback, który nie chce przyjąć wędzidla. Potarł twarz dłońmi. Dziewczęta cieszą się z zamążpójścia. Olga promieniała, kiedy mąż włożył jej pierścionek na palec i zabrał do Moskwy. Może Wasia jest zazdrosna o starszą siostrę? Przecież nigdy nie znajdzie męża w Moskwie. Równie dobrze można by umieścić jastrzębia w gołębniku.

– Kiryła Artamonowicza – odparł Piotr. – Mój przyjaciel Artamon był bogaty, a jego jedyny syn odziedziczył cały majątek. To wspaniali hodowcy koni.

Oczy zajęły połowę jej twarzy, tak szeroko je otworzyła. Piotr ściągnął brwi. To dobra partia, nie ma powodu robić takiej żalostnej miny.

– Gdzie? – wyszeptwała. – Kiedy?

– Tydzień na wschód, na dobrym koniu. Przyjedzie po żniwach.

Twarcz Wasi stężała, dziewczyna odwróciła głowę.

– Przyjedzie tu osobiście – dodał Piotr pojednawczo. – Wysłałem po niego Kołę. Będzie dla ciebie dobrym mężem i zapewni ci dzieci.

– Skąd taki pośpiech?!

Gorycz w jej głosie dotknęła Piotra do żywego.

– Dostyc tego, Wasiu – powiedział zimno. – Jesteś kobietą, a on bogatym mężczyzną. Jeśli marzyłaś o księciu, jaki trafił się Oldze, cóż, oni lubią kobiety grubsze i mniej zuchwałe.

Spostrzegł, że poczuła się zraniona, zanim udało jej się to ukryć.

– Ola obiecała, że kiedy dorosnę, pośle po mnie – wyjąkała. – Powiedziała, że będziemy mieszkali razem w pałacu.

– Lepiej, żebyś wyszła za mąż teraz, Wasiu. Do siostry będziesz mogła pojechać po narodzinach pierwszego syna.

Wasia przygryzła wargę i odeszła sztywnym krokiem. Piotr złapał się na tym, że zastanawia się z niepokojem, co też Kirył Artamonowicz pomyśli o jego córce.

– On nie jest stary, Wasiu – powiedziała Dunia, kiedy dziewczyna przypadła do niej koło pieca. – Słynie z umiejętności łowieckich. Da ci silne dzieci.

– Czego ojciec mi nie mówi? To wszystko jest zbyt nagłe. Mogłabym poczekać jeszcze rok. Ola obiecała, że po mnie pośle.

– Głupstwa pleciesz, Wasiu – odparła Dunia, może nieco zbyt szybko. – Jesteś kobietą, lepiej ci będzie z mężem. Kirył Artamonowicz na pewno pozwoli ci odwiedzić siostrę.

Zielone oczy Wasi zmrużyły się i wbiły w Dunię.

– Ty wiesz, o co chodzi i po co ten pośpiech.

– Ja... nie mogę powiedzieć, Wasiu... – Dunia nagle wydała się mała i skurczona. Wasia milczała. – Tak będzie najlepiej – dodała niania. – Postaraj się zrozumieć.

Opadła na ławę przy piecu, jakby zabrakło jej sił. Wasię ogarnęło poczucie winy.

– Tak. Przepraszam, Duniaszka.

Nie dodała nic więcej, tylko oparła głowę na ramieniu niani. Kiedy zjadła kaszę, wymknęła się z kuchni niczym duch i zniknęła w mroku.

Księżyc był trochę grubszy niż sierp i lśnił niebieskawym blaskiem. Wasia biegła w panice, której nie mogła zrozumieć. Przecież życie uczyniło ją silną. Rzuciła się do ucieczki i pozwoliła, by chłodny wiatr wypłukał smak strachu z jej ust. Nie dotarła jednak daleko, ogień z rodzinnego pieca nadal oświetlał jej plecy, kiedy usłyszała, że ktoś ją woła:

– Wasiliso Pietrowno!

Niewiele brakowało, a pobiegłaby dalej i pozwoliła pochłonąć się nocy. Dokąd jednak miałyby pójść? Przystanąła. W cieniu cerkwi stał pop. Było ciemno, nie rozpoznałaby twarzy, lecz jego głosu nie mogłaby pomylić z żadnym innym. Nie odpowiedziała. Poczula smak soli i uświadomiła sobie, że na jej wargach wysychają łzy.

Konstanty właśnie wychodził z cerkwi. Nie widział, jak Wasia wybiega z domu, rozpoznał jednak jej rozpędzony cień. Zawołał ją, zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, i kiedy się zatrzymała, pluł sobie w brodę. Wyraz jej twarzy nim wstrząsnął.

– Co się stało? – spytał szorstko. – Dlaczego płaczesz?

Gdyby jego głos zabrzmiał chłodno i władczo, Wasia by nie odpowiedziała. Tak jednak nie było, więc wyznała znużona:

– Mam wyjść za mąż.

Konstanty zmarszczył czoło. Oczyrna wyobraźni natychmiast zobaczył, podobnie jak Piotr, to dzikie stworzenie zamknięte w domu, zapracowane i bez tchu, kobieta jak wszystkie inne. I podobnie jak Piotr poczuł dziwny żal, który próbował odegnąć. Bez zastanowienia podszedł bliżej, żeby spojrzeć dziewczynie w twarz, i spostrzegł ze zdumieniem, że ona się boi.

– Cóż to? Czy ten mężczyzna jest okrutny?

– Nie. Nie, chyba nie.

„Tak będzie najlepiej”, miał na końcu języka. Znów jednak pomyślał o długich latach, o rodzeniu dzieci i wyczerpaniu. Cała jej dzikość zniknie, gracia jastrzębia zostanie poskromiona. Przełknął ślinę. Tak będzie najlepiej. Ta dzikość jest grzeszna.

Mimo iż znał już odpowiedź, wyrwało mu się pytanie:

– Czego się boisz, Wasiliso Pietrowno?

– Nie wiesz, *batiuszka*? – Zaśmiała się cicho i rozpaczliwie. – Ty też się bałeś, kiedy cię tu wysłali. Czułeś, że las zaciska się wokół ciebie jak pięść, widziałam to w twoich oczach. Ale ty możesz wyjechać, jeśli zechcesz. Przed człowiekiem Bożym cały wielki świat stoi otworem, piłeś z wód Carogrodu i widziałeś blask słońca na morzu, podczas gdy ja... – Konstanty zobaczył, że znów wzbiera w niej panika, więc podszedł jeszcze bliżej i chwycił ją za łokieć.

– Cii – szepnął. – Nie bądź niemądra, sama podsycasz w sobie strach.

Znów się roześmiała.

– Masz rację. Jestem niemądra. Przecież urodziłam się do życia w klatce: klasztor albo dom, jaki mam jeszcze wybór?

– Jesteś kobietą – stwierdził Konstanty. Wciąż trzymał ją za łokieć. Cofnęła się, a on ją puścił. – Z czasem się z tym pogodzisz. Będiesz szczęśliwa.

Prawie nie widziała twarzy popa, lecz w jego głosie pojawiła się niezrozumiała dla niej nuta. Zupełnie jakby próbował przekonać samego siebie.

– Nie – odrzekła Wasia chrapliwie. – Módl się za mnie, *batiuszka*, jeśli możesz, ale ja muszę...

I znowu biegła między chatami. Konstanty stał, walcząc z pokusą, by ponownie ją zawołać. Paliła go dłoń, którą dotykał jej ręki.

Tak będzie najlepiej, pomyślał. Tak będzie najlepiej.



16.

Diabeł przy świecy

To była jesień szarego nieba i żółtych liści, nagłego deszczu i niespodziewanych promieni jasnego słońca. Bojarski syn przyjechał wraz z Kola, kiedy zbiory zostały bezpiecznie schowane w piwnicach i na strychach. Kola wysłał przodem, błotnistą drogą, posłańca, tak więc ranek w dniu przybycia gościa Wasia z Iriną spędziły w łaźni.

Bannik, duszek łaźni, był brzuchatym stworkiem z oczkami jak dwie czarne porzeczeki. Łypał dobrotliwie na dziewczynki.

– Nie możesz schować się pod ławą? – spytała Wasia cicho, kiedy Irina była w zewnętrznej izbie. – Moja macocha cię zobaczy i zacznie wrzeszczeć.

Bannik uśmiechnął się szeroko. Spomiędzy jego zębów buchała para. Sięgał Wasi zaledwie do kolan.

– Jak sobie życzysz. Ale nie zapomnij o mnie tej zimy, Wasiliso Pietrowno. Z każdą porą roku jest mnie mniej. Nie chcę całkiem zniknąć. Stary żarłok się budzi, to nie będzie dobra zima, nie możesz stracić wiernego bannika.

Wasia się zawahała, bo miała poczucie, że go okłamuje. Przecież mam wyjść za mąż. Wyjadę stąd. „Strzeż się umarłych”. Zacisnęła wargi.

– Nie zapomnę.

Bannik uśmiechnął się jeszcze szerzej. Para spowijała go tak gęsto, że po

chwili nie mogła odróżnić, co jest parą, a co jego postacią. Czerwony blask rozżarzał mu oczy, tak że miały kolor rozgrzanych kamieni.

– A zatem przepowiednia, morska nimfo.

– Dlaczego tak mnie nazywasz? – wyszeptała.

Bannik przeniósł się na ławę obok niej. Jego brodę tworzyły wijące się kłęby pary.

– Bo masz oczy swojego pradziadka. A teraz posłuchaj. Pojedziesz tam, gdzie ziemia styka się z niebem. Narodzisz się trzykrotnie: raz ze złudzeń, raz z ciała i raz z ducha. Będziesz zrywała przebiśniegi w środku zimy, opłakiwała słowika i umrzesz z własnej woli.

Mimo gorących oparów Wasia poczuła chłód.

– Dlaczego miałabym wybrać śmierć?

– Trzykrotne narodziny. Jedna śmierć – odrzekł bannik. – Czy to niesprawiedliwie? Nie zapomnij o mnie, Wasiliso Pietrowno.

W miejscu, gdzie siedział, została tylko mgiełka.

Matko przenajświętsza, pomyślała Wasia, mam już naprawdę dość ich szalonych przestroóg.

Dziewczyny siedziały i pociły się, aż były zaróżowione i lśniące. Potem wychłostały się nawzajem brzoźowymi witkami i polały zimną wodą parujące głowy. Kiedy były już czyste, Dunia przyszła wraz z Anną uczesać i zapleść ich długie włosy.

– Szkoda, że jesteś zupełnie jak chłopak, Wasiu – powiedziała Anna, przesuając grzebień z pachnącego drewna po długich kasztanowych włosach Iriny. – Mam nadzieję, że twój mąż nie będzie za bardzo rozczarowany.

Spojrzała z ukosa na pasierbicę. Wasia zaczerwieniła się i ugryzła w język.

– Ale te włosy są najpiękniejsze w całej Rusi, Wasoczka – wtrąciła Dunia ostro.

Rzeczywiście były dłuższe i grubsze niż włosy Iriny, intensywnie czarne,

z delikatnymi czerwonawymi przebłyskami.

Wasia zdobyła się na uśmiech. Irina od niemowlęctwa słuchała, że jest śliczna jak księżniczka. Wasia była brzydkim dzieckiem, często porównywanym z delikatną przyrodnią siostrą. Ostatnio jednak godziny spędzane na końskim grzbiecie – gdzie jej długie kończyny okazały się bardzo przydatne – sprawiły, że Wasia zaczęła patrzeć na siebie przychylniejszym okiem, zresztą i tak nigdy nie miała w zwyczaju kontemplowania swego odbicia. Jedyne lustro w domu, brązowe i owalne, należało do macochy.

Teraz jednak wszystkie kobiety w domu zdawały się ją oceniać, jakby była kozą tuczoną na sprzedaż. Po raz pierwszy w życiu Wasia zastanawiała się, czy bycie piękną ma jakąś wartość.

Obie dziewczynki wreszcie zostały ubrane. Wasia miała głowę okoloną panieńskim stroikiem, po obu jego stronach zwisały srebrne łańcuszki, stanowiąc piękną oprawę dla jej twarzy. Anna nigdy nie pozwoliłaby, żeby Wasia przyćmiła jej córkę, nawet jeśli to ona miała wyjść za mąż, zatem stroik i rękawy Iriny były obszyte drobnymi perełkami, a mały jasnoniebieski sarafan wykończony na biało. Strój Wasi był zielono-granatowy, bez pereł, z zaledwie odrobiną białego haftu. Sama była temu winna: większość szycia zostawiła Duni. Ta prostota jednak jej służyła. Kiedy Anna zobaczyła ubraną pasierbicę, zrobiła kwaśną minę.

Dziewczęta wyszły na dwór. Na podwórzu błoto było po kostki, siał lekki deszczyk. Irina trzymała się blisko matki. Piotr już na nie czekał, stał sztywno w odświętnych futrach i haftowanych wysokich butach. Przyszła też żona Koli z dziećmi. Mały bratanek Wasi, Sierioża, biegał w kółko i krzyczał. Jego płócienną koszulę szpeciła ogromna plama. Ojciec Konstanty stał obok w milczeniu.

– Dziwna pora na zaślubiny – powiedział cicho Alosza, podchodząc do Wasi. – Suche lato i małe zbiory. – Brązowe włosy miał umyte, krótką brodę wyczesaną i skropioną pachnącym olejkiem. Niebieski haft na koszuli współgrał z opasującą go szarfą. – Ślicznie wyglądasz, Wasiu.

– Nie rozśmieszaj mnie – zachnęła się Wasia, po czym dodała poważniejszym tonem: – Tak, i ojciec to czuje. – Istotnie, mimo jego jowialnej miny pomiędzy brwiami Piotra rysowała się wyraźna bruzda. – Wygląda jak ktoś, kogo czeka nieprzyjemny obowiązek. Musi być naprawdę zdesperowany, żeby się mnie pozbyć.

Starła się, by zabrzmiało to żartobliwie, lecz Alosza spojrział na nią ze zrozumieniem.

– Próbuje zapewnić ci bezpieczeństwo.

– Kochał naszą matkę, a ja ją zabiłam.

Alosza milczał przez chwilę.

– Mów sobie, co chcesz, ale naprawdę, Wasoczka, ojciec pragnie, żebyś była bezpieczna. Konie mają sierść jak kaczki puch, a wiewiórki nadal biegają po lesie i najadają się, jakby od tego zależało ich życie. Będzie ostra zima.

Przez bramę przejechał jakiś jeździec. Spod końskich kopyt błoto bryzgało szerokimi łukami. Zatrzymał się, gwałtownie osadzając konia, i zeskoczył z siodła: mężczyzna w średnim wieku, niewysoki, lecz mocnej budowy, ogorzały, z brązową brodą. W wyrazie jego ust czaił się ślad wiecznej młodości. Miał wszystkie zęby, a uśmiech promienny jak u chłopca. Skłonił się Piotrowi.

– Mam nadzieję, że się nie spóźniłem, Piotrze Władimirowiczu? – zapytał ze śmiechem. Obaj mężczyźni na powitanie splekli przedramiona.

Nic dziwnego, że wyprzedził Kołę, pomyślała Wasia. Kirył Artamonowicz jeździł na najwspanialszym młodym koniu, jakiego kiedykolwiek widziała. Nawet Wicher, księżę wśród koni, przy tym muskularnym dereszowatym ideale ogiera wydawał się toporny. Miała ochotę przesunąć dłońmi po jego nogach, poczuć jakość kości i mięśni.

– Mówiłem ojcu, że to zły pomysł – szepnęła jej Alosza do ucha.

– Jaki? I dlaczego? – spytała Wasia, pochłonięta patrzeniem na konia.

– Wydawać cię za męża tak szybko. Rumieniące się panny powinny spoglądać pożądliwie na panów starających się o ich rękę, a nie na piękne

konie owych panów.

Wasia się roześmiała. Kirył złożył przed małą Iriną przesadnie kurtuazyjny ukłon.

– Nie spodziewałem się, Piotrze Władimirowiczu, że w tej surowej scenerii znajdę taki klejnot – powiedział. – Mała śnieżyczko, powinnaś wyjechać na południe i kwitnąć wśród naszych kwiatów.

Uśmiechnął się, Irina zaś oblała się rumieńcem. Anna spojrzała na córkę z satysfakcją.

Kirył zwrócił się w stronę Wasi, wciąż ze swobodnym uśmiechem, który jednak zniknął, gdy ją zobaczył. Wasia pomyślała, że nie podoba mu się jej wygląd, i uniosła odrobinę podbródek buntowniczym gestem. Tym lepiej. Poszukaj sobie innej żony, jeśli ja ci się nie podobam. Alosza jednak doskonale zrozumiał pociemniałe nagle spojrzenie przybysza. Wasia każdemu patrzyła prosto w twarz, bardziej przypominała nieokiełznaną klaczkę niż dobrze ułożoną pannę, i Kirył wpatrywał się w nią zafascynowany. Złożył przed nią ukłon, a na jego ustach znów pojawił się uśmiech, jednak nie taki, jakim obdarzył Irinę.

– Wasiliso Pietrowno – przemówił. – Twój brat mówił, że jesteś piękna. To nieprawda. – Zesztywniała, a jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. – Jesteś olśniewająca. – Omiótł ją wzrokiem od stroika na głowie po obute w pantofle stopy.

Alosza, stojący obok niej, zacisnął dłoń w pięść.

– Oszalałeś? – syknęła Wasia. – Ma do tego prawo, jesteśmy zaręczeni.

Alosza mierzył Kiryła lodowatym wzrokiem.

– To mój brat – przedstawiła go Wasia pośpiesznie. – Aleksy Pietrowicz.

– Bardzo mi miło – odparł Kirył, wyraźnie rozbawiony. Był prawie dziesięć lat starszy od Aloszy. Znów zmierzył Wasię spojrzeniem, bez pośpiechu. Skóra zaczęła ją mrowić pod ubraniem. Słyszała, jak Alosza zgrzyta zębami.

W tym właśnie momencie rozległo się parsknięcie, przeraźliwy krzyk

i plusk. Wszyscy odwrócili się gwałtownie. Sierioża, bratanek Wasi, zakradł się z boku do rudego ogiera Kiryła i próbował wgramolić się na siodło. Wasia go rozumiała – sama miała ochotę pojeździć na tym dereszku – lecz nieoczekiwany ciężar sprawił, że młody ogier stanął dęba, łypiąc dziko na boki. Kirył podbiegł i chwycił wodze, a Piotr wyciągnął wnuka z błota i zdzielił w ucho. W tej samej chwili na podwórzu wpadł galopem Kola i jego przybycie położyło kres zamieszaniu. Matka Sierioży zabrała ryczącego chłopca. W oddali, na drodze, pojawił się pierwszy wóz reszty wyprawy, wyrazisty na szarym tle jesiennego lasu. Kobiety prędko weszły do domu, by podać południowy posiłek.

– To naturalne, że wołał Irinę, Wasiu – stwierdziła Anna, kiedy mocowały się z ogromnym garem z potrawką. – Kundel nigdy nie dorówna psu czystej krwi. Dobrze przynajmniej, że twoja matka nie żyje, bo łatwiej zapomnieć o twoim niefortunnym pochodzeniu. Jesteś silna jak koń, to też ma znaczenie.

Z pieca wypełzł domowik, słaniający się, ale zdeterminowany. Wasia ukradkiem wylała mu trochę miodu.

– Popatrz, macocho. Czy to kot?

Anna spojrzała i jej twarz przybrała kolor gliny. Zachwiała się. Domowik spojrzał na nią koso, a ona zemdląła. Wasia rzuciła się, by złapać gorący gar. Uratowała potrawkę. Tego samego nie można było powiedzieć o Annie Iwanownie. Ugięły się pod nią kolana i uderzyła o kamienie palenisko z satysfakcjonującym łupnięciem.

– Spodobał ci się, Wasiu? – spytała Irina, gdy leżały już w łóżku.

Wasia prawie spała, bo obie wstały przed wschodem słońca, żeby się przygotować, a wieczorne ucztowanie trwało do późna. Kirył Artamonowicz siedział obok Wasi i pił z jej kielicha. Miał mięsiste ręce i śmiał się tak, że drżały ściany. Wasi podobał się jego wygląd, lecz nie jego zuchwalstwo.

– To przystojny mężczyzna – powiedziała, ale pragnęła i zaklinała los na wszystkie świętości, żeby zniknął.

– Jest urodziwy – zgodziła się Irina. – Ma miły uśmiech.

Wasia przewróciła się na drugi bok i ściągnęła brwi. W Moskwie dziewczętom nie wolno było zadawać się z zalotnikami, lecz na północy swobodniej podchodzono do tych spraw.

– Może i ma miły uśmiech, ale koń się go boi – powiedziała.

Kiedy uczta dobiegała końca, wymknęła się do stajni. Koń Kiryła, Ogień, został umieszczony w przegrodzie, ponieważ bano się wypuścić go na pastwisko.

Irina się roześmiała.

– Skąd wiesz, co myśli koń?

– Wiem. Poza tym on jest stary, ptaszyno. Dunia mówi, że dobiega trzydziestki.

– Ale jest bogaty, będziesz miała klejnoty i codziennie jadła mięso.

– To sama za niego wyjdź – zaproponowała Wasia łaskawie, wymierzając siostrze kuksańca w brzuch. – Zrobisz się gruba jak wiewiórka i przez cały dzień będziesz siedziała na piecu i szyła.

Irina zachichotała.

– Może kiedy wyjdziemy za mąż, będziemy się widywały? Jeśli nasi mężowie nie będą mieszkać daleko od siebie.

– Na pewno nie będą – odparła Wasia. – Będziesz mogła zachować dla mnie trochę tłustego mięsiwa, kiedy przyjdę cię błagać o wsparcie z moim mężem żebrakiem, a ty będziesz żoną wielkiego pana.

Irina znów zachichotała.

– Przecież to ty wychodzisz za wielkiego pana, Wasiu.

Wasia nie odpowiedziała. Nie odzywała się więcej i w końcu Irina umilkła, przytuliła się do siostry i zasnęła. Wasia długo leżała bezsennie. Oczarował moją rodzinę, ale Ogień boi się jego ręki. „Strzeż się umarłych. To będzie ostra zima. Nie możesz opuszczać lasu”. Myśli płynęły wartko niczym woda, a ona mknęła niesiona prądem. Była jednak młoda i znużona i wreszcie ona także ułożyła się wygodnie i zapadła w sen.

Kolejne dni miały na zabawach i ucztowaniu. Kirył Artamonowicz napełniał miskę Wasi przy kolacji i droczył się z nią przez kuchenne drzwi. Jego ciało wydzielalo zwierzęce ciepło. Wasia była na siebie zła za to, że rumieni się pod jego spojrzeniem. W nocy leżała bezsennie, zastanawiając się, jak by to było, poczuć pod dłońmi całe to ciepło. Jego śmiech nie obejmował jednak oczu i od czasu do czasu, zniechęca, strach chwytął ją za gardło.

Dni miały, a Wasia nie mogła zrozumieć samej siebie. „Musisz wyjść za mąż, tłumaczyły jej kobiety. Wszystkie dziewczęta wychodzą za mąż. Przynajmniej nie jest stary, a przy tym bardzo przystojny. Czego więc tu się bać?” A jednak bała się i unikała narzeczonego, jak tylko mogła, chodząc tam i z powrotem, niczym ptak w coraz ciasniejszej klatce.

– Dlaczego, ojczy? – Alosza nie po raz pierwszy zadał Piotrowi to pytanie na początku kolejnej hucznej kolacji. Długa, ciemna izba cuchnęła futrami i miodem, pieczonym mięsem, zupą jarzynową i ludzkim potem. Kasza krążyła wokół w wielkiej misie, miód był nabierany i wychylany. Sąsiedzi zjawili się tłumnie. Dom był wypełniony po brzegi, goście tłoczyli się też w wiejskich chatach.

– Do ślubu zostały trzy dni, musimy godnie przyjąć naszego gościa – odparł Piotr.

– Dlaczego teraz wychodzi za mąż? – zachnął się jego syn. – Nie może poczekać jeszcze rok? Dlaczego po ciężkiej zimie i ciężkim lecie musimy trwonić jedzenie i picie na to. – Ogarnął gestem izbę, w której goście zawzięcie pałaszowali owoce ich pracy z ostatniego lata.

– Bo tak musi być – warknął Piotr. – Jeśli chcesz się na coś przydać, przekonaj tę swoją szaloną siostrę, żeby nie wykastrowała męża w noc poślubną.

– Ten Kirył to bydlę – stwierdził Alosza bez ogródek. – Ma pięcioro dzieci z wiejskimi dziewczynami, bez mrugnięcia okiem flirtuje z żonami

gospodarzy, mieszkając pod naszym dachem, oto, jaka jest prawda. Jeśli moja siostra uzna za stosowne wykastrować swojego męża, będzie miała powód, a ja nie zamierzam jej od tego odwozić.

Jakby na mocy cichego porozumienia spojrzeli na stojących obok siebie narzeczonych. Kirył opowiadał coś Wasi, gestykułując energicznie i zamasyście. Wasia przyglądała mu się z wyrazem twarzy, który wprowadził w zdenerwowanie zarówno Piotra, jak i Aloszę. Kirył chyba niczego nie zauważył.

– I nagle znalazłem się sam – mówił Kirył. Po raz kolejny napełnił ich kielich, rozlewając trochę miodu. Jego wargi zostawiły na brzegu tłusty ślad. – Stałem plecami do skały, a dzik szarżował. Moi ludzie się rozproszyli, nie licząc zabitego, który miał w brzuchu ogromną dziurę.

To nie była pierwsza opowieść o bohaterskich wyczynach Kiryła Artamonowicza. Myśli Wasi zaczęły błądzić swobodnie. Gdzie jest ojciec Konstanty? Nie przyszedł na ucztę, a trzymanie się na uboczu było do niego niepodobne.

– Dzik ruszył na mnie – ciągnął Kirył. – Od jego kopyt drżała ziemia. Powierzyłem duszę Bogu...

I umarłem tam z krwią na ustach, pomyślała Wasia z odrazą. Szkoda, że nie miałam tyle szczęścia.

Położyła mu dłoń na przedramieniu i spojrzała na niego z żalosną – taką miała nadzieję – miną.

– Już nie, nie mogę tego znieść.

Kirył popatrzył na nią zdziwiony. Wasia drżała.

– Nie zniosę dalszego ciągu. Boję się, że zemdleję, Kirylenie Artamonowiczu.

Kirył wyglądał na zakłopotanego.

– Dunia ma mocniejsze nerwy niż ja – dodała. – Sądzę, że powinieneś dokończyć tę historię tak, by i ona ją usłyszała.

Uszom Duni nic nie dolegało (ani też nerwom Wasi, jeśli o to chodzi).

Staruszka z rezygnacją wzniosła oczy do nieba, po czym rzuciła Wasi ostrzegawcze spojrzenie. Wasia jednak się zawzięła i nawet piorunujące spojrzenie ojca siedzącego po drugiej stronie stołu nie mogło jej powstrzymać.

– A teraz... – Wasia wstała z wystudiowaną gracją i wzięła ze stołu bochenek chleba – a teraz proszę mi wybaczyć, muszę spełnić chrześcijański obowiązek.

Kirył otworzył usta, by zaprotestować, lecz Wasia skłoniła się pospiesznie, wsunęła bochenek w rękaw i uciekła. Poza zatłoczoną izbą dom był chłodny i cichy. Długą chwilę stała na dworze, oddychając głęboko, po czym podeszła pod drzwi izdebki popa i zaskrobała w nie.

– Proszę wejść – odezwał się Konstanty po chwili chłodnego milczenia. Cała izba zdawała się drżeć w blasku świecy. Pop malował przy ich świetle. Szczur zdążył poobgryzać skórkę chleba, która leżała obok zapomniana. Kiedy Wasia otworzyła drzwi, Konstanty się nie odwrócił.

– Ojczy, pobłogosław. Przyniosłam ci chleb.

Duchowny zeszywniał.

– Wasiliso Pietrowno – odłożył pędzel i zrobił znak krzyża – niech Bóg cię błogosławi.

– Czy jest ojciec chory, że z nami nie ucztuje?

– Poszczę.

– Lepiej jeść. Takiego jedzenia nie będzie przez całą zimę.

Konstanty nie odpowiedział. Wasia zastąpiła obgryzioną skórkę nowym bochenkiem. Milczenie przeciągało się, lecz ona nie odchodziła.

– Dlaczego dał mi ojciec swój krzyż? – spytała nagle. – Po tym, jak spotkaliśmy się nad jeziorem?

Nie odpowiedział, tylko zacisnął szczęki. Właściwie sam nie bardzo wiedział. Ponieważ go poruszyła. Ponieważ miał nadzieję, że ten symbol dotrze do niej tak, jak on nie potrafi. Bo pragnął dotknąć jej dłoni i spojrzeć jej w twarz, zaniepokoić ją i być może zobaczyć, że wierci się i uśmiecha

głupawo jak inne dziewczęta. A to pomogłoby mu się uwolnić od tej haniebnej fascynacji.

Bo nie był w stanie patrzeć na swój krzyż, nie widząc zamkniętej na nim jej dłoni.

– Święty Krzyż naprostuje twoją drogę – powiedział wreszcie.

– Czyżby?

Milczał. Nocami śniła mu się kobieta w jeziorze. Nigdy nie mógł dojrzeć jej twarzy. W jego snach miała czarne włosy, smagały i opływały jej nagie ciało. Po przebudzeniu Konstanty długie godziny spędzał na modlitwie, usiłując wygnać ten obraz z umysłu. Bezskutecznie, bo za każdym razem, gdy widział Wasię, wiedział, że kobieta z jego snów ma jej oczy. Był udręczony i zawstydzony. To jej wina, że go kusiła. Ale za trzy dni już jej tu nie będzie.

– Dlaczego tutaj jesteś, Wasiliso Pietrowno? – Zabrzmiało to głośno i chrapliwie i pop był na siebie zły.

Nadchodzi burza, pomyślała Wasia. Strzeż się umarłych. Najpierw strach, potem ogień, a na końcu głód. To twoja wina. Zanim tu przyjechałeś, wierzyliśmy i w Boga, i w nasze domowe duchy, i wszystko było dobrze.

Gdyby pop wyjechał, to może mieszkańcy wioski znów byliby bezpieczni.

– A dlaczego ty wciąż tu jesteś? – zapytała Wasia. – Nie znosisz pól, lasu i ciszy. Nie znosisz naszej pustej surowej cerkwi. A jednak wciąż tu mieszkasz. Gdybyś wyjechał, nikt nie miałby ci tego za złe.

Policzki Konstantego oblał ciemny rumieniec. Jego dłoń gmerała wśród pędzli.

– Mam zadanie, Wasiliso Pietrowno. Muszę was ocalić przed wami samymi. Bóg każe tych, którzy są mu nieposłuszni.

– Sam sobie wyznaczyłeś to zadanie, służy twojej własnej dumie. Dlaczego właśnie ty miałbyś głosić, czego pragnie Bóg? Ludzie nigdy by cię tak nie czcili, gdybyś nie wzbudził w nich strachu.

– Jesteś ciemną wiejską dziewczyną, co ty możesz wiedzieć? – warknął

Konstanty.

– Wierzę w świadectwo własnych oczu. Słyszałam, jak przemawiasz. Widziałam, jak wieśniacy się boją. Wiesz, że mówię prawdę, trzęsiesz się. – Wziął miseczkę z na wpół rozrobioną farbą. Ciepły wosk zadrżał. Konstanty odstawił miseczkę gwałtownym ruchem.

Wasia podeszła bliżej i jeszcze bliżej. Blask świecy wydobył złote plamki w jej oczach. Spojrzenie Konstantego przeniosło się na jej usta. Odstąp, demonie. Lecz ona miała głos małej dziewczynki o łagodnym, błagalnym brzmieniu.

– Dlaczego nie wyjedziesz? Do Moskwy, do Włodzimierza albo do Suzdału? Po co tutaj tkwisz? Świat jest szeroki, a nasz zakątek bardzo mały.

– Bóg wyznaczył mi zadanie – odrzekł, cedząc każde słowo, niemal je wypluwając.

– Jesteśmy mężczyznami i kobietami – odparowała. – Nie jesteśmy zadaniem. Wracaj do Moskwy i tam zbawiaj ludzi.

Stała zbyt blisko. Jego ręka sama wystrzeliła i uderzył ją w twarz. Wasia zatoczyła się do tyłu, trzymając się za policzek. Zrobił dwa szybkie kroki, tak że teraz patrzył na nią z góry, lecz ona nie ustępowała. Znow uniósł dłoń, nabrał jednak powietrza i się powstrzymał. To byłoby poniżej jego godności, znow ją uderzyć. Pragnął wziąć tę dziewczynę w ramiona, pocałować, zadać jej ból, sam nie wiedział, czego chce. Demon.

– Wyjdź stąd, Wasiliso Pietrowno – syknął przez zaciśnięte zęby. – Nie pozwalaj sobie na pouczanie mnie. I więcej tu nie przychodź.

Wasia cofnęła się do drzwi, ale odwróciła się jeszcze z ręką na skoblu. Warkocz przedłużał linię jej szyi. Na policzku widniał jaskrawoczerwony ślad po jego dłoni.

– Jak sobie życzysz – powiedziała. – To okrutne zadanie, straszyć ludzi w imię Boga. Zostawiam je tobie. – Zawahała się i dodała bardzo cicho: – Pamiętaj, *batiuszka*, ja się nie boję.

Kiedy wyszła, Konstanty chodził tam i z powrotem po izbie. Jego cień skakał przed nim, paliła go dłoń, którą ją uderzył. Wściekłość chwytła za gardło. Ona stąd wyjedzie, zanim spadnie śnieg. Wyjedzie na zawsze, mój wstyd i moja porażka. Lepsze jednak to, niż mieć ją tutaj.

Świeca stojąca przed ikonami dopalała się i płomień rzucał strzępiaste cienie.

Wyjedzie. Musi wyjechać.

Głos dobył się z ziemi, z blasku świecy, z jego własnej piersi. Był cichy, wyraźny i przejrzysty:

– Pokój z tobą. Choć widzę, że jesteś znękany.

Konstanty stanął jak wryty.

– Kto to?

– ...pragniesz wbrew sobie i nienawidzisz, kiedy kochasz. – Głos westchnął. – Och, jesteś piękny.

– Kto mówi? – warknął Konstanty. – Drwisz ze mnie?

– Nie drwię. Jestem przyjacielem. Panem. Zbawicielem. – Głos pulsował współczuciem.

Pop odwrócił się gwałtownie, przepatrując izbę.

– Wyjdz – zażądał. Zmusił się do stania bez ruchu. – Pokaż się.

– Cóż to? – Teraz w głosie słychać było gniewną nutę. – Wątpliwości, mój sługo? Nie wiesz, kim jestem?

Izba była pusta, nie licząc łóżka oraz ikon, w kątach zbierały się cienie. Konstanty wpatrywał się w nie, aż zaczęły go szczypać oczy. Tam... co to jest? Cień, który nie porusza się wraz z migotaniem ognia. Nie, to jego własny cień rzucały przez świecę. Nikogo nie ma na zewnątrz, nikogo za drzwiami. Któż więc...

Spojrzenie Konstantego zatrzymało się na ikonach. Zajrzał głęboko w ich dziwne poważne twarze i nagle jego własna twarz się zmieniła.

– Ojciec – wyszeptał. – Panie. Aniołowie. Po tak długim milczeniu

wreszcie do mnie przemawiasz? – Dygotał. Wyteżał wszystkie zmysły, pragnąc, by głos znów przemówił.

– Czyż możesz w to wątpić, mój synu? – spytał głos, znów łagodny. – Zawsze byłeś moim wiernym sługą.

Pop zaczął płakać, z otwartymi oczami, bezgłośnie. Padł na kolana.

– Obserwuję cię od dawna, Konstanty Nikonowiczu – ciągnął głos. – Działałeś dzielnie w moim imieniu, lecz teraz pojawiła się ta dziewczyna, która cię kusi i ci się sprzeciwia.

Konstanty splótł dłonie.

– To mój wstyd – powiedział gorączkowo. – Sam nie zdołam jej ocalić. Jest opętana, to diablica. Modlę się, byś w swej mądrości ukazał jej światło.

– Dostanie niejedną nauczkę – obiecał głos. – Dostanie ich wiele, bardzo wiele. Nie obawiaj się, trwam przy tobie, już nigdy nie będziesz sam. Świat padnie ci do stóp i poprzez twoje usta pozna moje cuda, ponieważ byłeś lojalny.

Można było odnieść wrażenie, że głosowi towarzyszy dźwięk trąb. Konstanty zadrżał z rozkoszy, po jego policzkach wciąż płynęły łzy.

– Tylko nigdy mnie nie opuszczaj, Panie – błagał. – Zawsze byłem ci wierny.

Tak mocno zacisnął pięści, że paznokcie wbiły się we wnętrze dłoni.

– Bądź wierny, a nigdy cię nie opuszczę.



17.

Koń zwany Ogniem

Kirył Artamonowicz nade wszystko uwielbiał polować na północne dziki o długich kłach, szybsze niż konie. W przeddzień ślubu zażądał polowania.

– Dzięki temu czas szybciej minie – powiedział do Piotra, puszczając jednocześnie oko do Wasi, która nic nie odpowiedziała. Piotr nie miał nic przeciwko temu. Kirył Artamonowicz był słynnym myśliwym, a jesienią mięso dzików utuczonych na kasztanach było bardzo smaczne. Porządny udziec uświetni ucztę weselną i przyda rumieńców bladej twarzy jego córki.

Wszyscy domownicy wstali przed świtem. Włócznie leżały przygotowane na lśniącym stosie. Psy słyszały odgłosy ostrzenia i przez całą noc dreptały niecierpliwie w kojcach i wyły.

Wasia obudziła się jeszcze wcześniej niż inni. Nic nie zjadła, tylko od razu poszła do stajni, gdzie konie biły kopytami o ziemię, zaniepokojone szczekaniem psów na podwórzu. Młody deresz Kiryła drżał na każdy nowy dźwięk. Wasia podeszła do niego i zobaczyła wazilę przycupniętego na jego grzbiecie. Uśmiechnęła się do małego stworka. Koń parsknął na jej widok i położył uszy.

– Masz złe maniery – wypomniała mu Wasia. – Ale pewnie Kirył Artamonowicz szarpie cię za pysk.

Młody ogier zastrzygł uszami.

– Nie wyglądasz jak koń – powiedział.

Wasia uśmiechnęła się szeroko.

– Dzięki Bogu. Nie chcesz jechać na polowanie?

Koń się zastanowił.

– Lubię biegać, ale dzik okropnie cuchnie, a człowiek mnie bije, jeśli się boję. Wolałbym paść się na pastwisku.

Wasia kojącym gestem położyła dłoń na jego szyi. Kirył zmarnuje to piękne zwierzę – właściwie jeszcze żrebaka – jeśli nadal będzie tak je traktował. Koń potarł nosem o jej pierś. Sukienkę Wasi zabrudziła ślina i zielonkawy śluz.

– Teraz będę jeszcze bardziej niż zwykle przypominać stracha na wróble – powiedziała, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Anna Iwanowna będzie zachwycona. – Dzik nie zrobi ci krzywdy, jeśli będziesz szybki – pouczyła konia. – A ty jesteś najszybszą istotą na świecie, mój piękny. Nie masz się czego bać.

Ogier nie odpowiedział, tylko wtulił łeb w jej ramiona. Wasia pogłaskała go po jedwabistych uszach i westchnęła. Niczego nie pragnęła bardziej, niż szalonej przejażdżki po jesiennym lesie, najlepiej na takim rumaku jak długonogi Ogień, który sprawia wrażenie, że mógłby prześcignąć zająca na otwartym polu. Tymczasem ona musi iść do kuchni wyrabiać ciasto na chleb i wysłuchiwać plotek wymienianych przez grupkę odwiedzających ich dom kobiet. Przez cały ten czas Irina prezentuje swoją wszechstronną doskonałość, a Wasia stara się niczego nie przypalić.

– Normalnie wyzwałbym dziewczynę od durnych za to, że podeszła tak blisko do mojego konia – odezwał się głos za jej plecami. Ogień zadarł gwałtownie głowę, omal nie łamiąc Wasi nosa. – Ale ty masz rękę do zwierząt, Wasiliso Pietrowno. – Kirył Artamonowicz podszedł do nich z uśmiechem i chwycił ogiera za sznurkową uździenicę. – Spokój, wariacie – syknął. Koń przewrócił oczami, lecz stał spokojnie, choć drżał.

– Wcześniej wyszedłeś z domu, mój panie – zauważyła Wasia, gdy otrząsnęła się z szoku.

– Ty także, Wasiliso Pietrowno.

Ich oddechy parowały, w stajni było chłodno.

– Jest dużo do zrobienia. Jeśli dzień będzie ładny, po ubiciu dzika kobiety wyjadą wam na spotkanie. A wieczorem czeka nas uczta.

Kirył uśmiechnął się szeroko.

– Nie musisz się tłumaczyć, *diewuszka*. Uważam, że to zaleta, jeśli dziewczyna wstaje wcześniej i ciekawia ją męskie sprawy. – W jednym policzku miał dołeczek. – Nie powiem twemu ojcu, że cię tu znalazłem.

– Jeśli chcesz, to mu powiedz – rzuciła Wasia, która już odzyskała panowanie nad sobą.

– Podoba mi się twoja buta. – Wzruszyła ramionami. – Twoja siostra jest od ciebie ładniejsza – dodał z zadumą. – Za kilka lat będzie posłuszną żoną, taki mały kwiatusek. To nie jest dziewczyna, przez którą mężczyzna nie spałby w nocy. Ale ty... – Kirył złapał ją, przyciągnął do siebie i powiódł dłonią po jej plecach, jakby sprawdzał jej wartość. – Za dużo kości – stwierdził. – Ale ja lubię silne dziewczyny. No i nie umrzesz przy porodzie. – Dotykał jej pewnie, jak ktoś przyzwyczajony do posłuchu. – Chciałabyś urodzić mi synów? – Zanim się zorientowała, pocałował ją, a ona stała oszołomiona siłą jego rąk. Pocałunek był taki sam jak jego dotyk: mocny i świadczący o biegłości w cielesnych przyjemnościach. Wasia odepchnęła go, lecz z niewielkim skutkiem. Uniósł jej twarz, wbijając palce w delikatne miejsce koło ucha. Zakręciło jej się w głowie. Pachniał piżmem, miodem i koźmi. Jego dłoń, rozczapierzona na jej plecach, była taka duża. Druga przesuwiała się po jej ramieniu, piersi i biodrze.

Wyglądało na to, że jest zadowolony z oględzin. Kiedy ją puścił, oddychał szybko, a jego nozdrza rozszerzały się jak u ogiera. Wasia stała bez ruchu, walcząc z mdłościami. Spojrzała mu prosto w twarz. Traktuje mnie jak klacz, pomyślała nagle z niezwykłą jasnością. A jeśli klacz nie pozwala mu się okiełznać, wtedy... no cóż, łamie jej opór siłą.

Uśmiech Kiryła nieco zbladł. Nie wiedziała, czy zobaczył jej dumę i pogardę. Jego spojrzenie znów przeniosło się na jej usta, na kształt ciała,

i zrozumiała, że widzi również, że ona się boi. Z twarzy Kiryła zniknęła przelotna niepewność. Znowu po nią sięgnął, lecz Wasia była szybsza. Odepchnęła jego rękę i wybiegła ze stajni, nie oglądając się za siebie. Kiedy dotarła do kuchni, była tak blada, że Dunia kazała jej siedzieć przy ogniu i sączyć gorące wino, dopóki jej twarz nie odzyska koloru.

Przez cały dzień nad ziemią unosiła się chłodna mgiełka i zasnuwała drzewa. Polowanie zakończyło się koło południa. Wasia, z ponurą wprawą dzierżąca łopatę do chleba, usłyszała odległy ryk umierającego zwierzęcia. Pasował do jej nastroju.

Kobiety wyszły z domu w szare południe wraz z mężczyznami prowadzącymi obładowane juczne konie. Konstanty, o twarzy bladej i uroczystej w jesiennym świetle, jechał razem z nimi. Mężczyźni i kobiety spoglądali na niego z szacunkiem i potajemnym podziwem. Wasia go unikała, trzymała się z Iriną z tyłu kawalkady, skracając długi krok swojej klaczy, by zrównać go z truchtem kucyka Iriny.

Mgła spowijała ziemię. Kobiety narzekały na ziąb i ciaśniej otulały się pelerynami.

Nagle Mysz stanęła dęba. Nawet spokojny wierzchowiec Iriny się spłoszył. Dziewczynka wydała zduszony krzyk, z całej siły ściskając wodze. Wasia pośpiesznie osadziła klacz i chwyciła pasek ogłowia kucyka. Popatrzyła w stronę, w którą skierowane były uszy klaczy. Między dwoma wysokimi pniami brzoź stał stworek o białej skórze. Miał męską postać i świetliste oczy. Jego włosami było splątane leśne poszycie. Nie rzucał cienia.

– Już dobrze – zwróciła się Wasia do Myszy. – On nie je koni, tylko niemądrych podróżnych.

Klacz znów zastrzygła uszami, jednak niepewnie ruszyła dalej.

– Leszy, lesowik – wymamrotała Wasia, gdy przejeżdżały obok stworka. Ukłoniła się. Leszy był strażnikiem lasu, rzadko jednak zbliżał się do ludzi.

– Chciałbym z tobą pomówić, Wasiliso Pietrowno. – Głos lesowika przypominał szmer liści o świcie.

– Chwileczkę – odrzekła, opanowując zdziwienie.

Obok niej Irina pisnęła:

– Z kim rozmawiasz, Wasiu?

– Z nikim. Mówię do siebie.

Irina milczała. Wasia westchnęła w duchu: powie matce.

Kawałek dalej w głębi lasu znalazły myśliwych odpoczywających pod ogromnym drzewem. Powiesili już dziką, lochę, za nogi na potężnym konarze. Z poderżniętego gardła krew kapiała do wiadra. Las rozbrzmiewał śmiechem i przechwałkami.

Sierioża, który uważał się już za dorosłego, z wielkim trudem dał się przekonać, by jechał z kobietami. Teraz zeskoczył z kucyka i popędził z wytrzeszczonymi oczami, by przyjrzeć się wiszącej świni. Wasia zsunęła się z grzbietu Myszy i oddała wodze służącemu.

– Wspaniałą sztukę upolowaliśmy, prawda, Wasiliso Pietrowno? – usłyszała za sobą głos. Odwróciła się gwałtownie. Kirył miał dłonie oblepione krwią, lecz jego chłopięcy uśmiech nie stracił blasku.

– Mięso będzie mile widziane – odrzekła.

– Zostawię dla ciebie wątróbkę. – Omiótł ją spojrzeniem. – Mogłabyś trochę przytyć.

– Jesteś bardzo hojny. – Wasia skinęła głową i pomknęła dalej, udając zbyt nieśmiałą, by ciągnąć tę rozmowę. Kobiety wyjmowały jedzenie z pękających tobołków. Wasia ostrożnie przesuwiała się coraz bliżej i bliżej małego brzozowego lasku, po czym wślizgnęła się między drzewa i znikła.

Nie zauważyła, że Kirył uśmiecha się do siebie i rusza za nią.

Lesze są niebezpieczne. Kiedy chcą, mogą prowadzić podróży

w kółko, dopóki ci nie padną. Czasem wędrowcy byli na tyle mądrzy, że dla ochrony wkładali ubranie tył na przód, nieczęsto jednak, na ogół umierali.

Wasia znalazła Leszego w środku małego brzozowego lasku. Spojrzała na nią z góry błyszczącymi oczami.

– Jakie masz wieści? – spytała.

Stwór wydał zgrzytliwy dźwięk niezadowolenia.

– Ludzie z wioski przynoszą zgiełk, sieją strach w moich lasach i zabijają moje zwierzęta. Kiedyś poprosiliby mnie o zgodę.

– Znów poprosimy cię o zgodę – zapewniła Wasia pośpiesznie. Mają już dość kłopotów bez rozjuszania strażnika lasu. Rozwiązała haftowany stroik na głowie i mu go podała. Zaczął obracać go w długich, patykowatych palcach.

– Wybacz nam – powiedziała Wasia. – I... nie zapomnij o mnie.

– Ciebie poproszę o to samo – odparł udobruchany leszy. – Gaśniemy, Wasiliso Pietrowno. Nawet ja, który pamiętam te drzewa jako maleńkie siewki. Wiara ludzi słabnie, więc czarty marnieją. Jeśli teraz zjawi się Niedźwiedź, pozostaniecie bez ochrony. Słono za to zapłacicie. Strzeż się umarłych.

– Co to znaczy „strzeż się umarłych”?

Leszy skłonił siwą głowę.

– Trzy znaki, a umarli stanowią czwarty – odparł, po czym zniknął, a ona usłyszała tylko ptaki śpiewające wśród szemrzącego listowia.

– Mam tego dość – mruknęła Wasia, nie spodziewając się odpowiedzi. – Dlaczego nikt z was nie może nic powiedzieć wprost? Czego się boicie?

Spomiędzy drzew wyłonił się Kirył Artamonowicz.

Wasia zeszywniała.

– Zabłądziłeś, mój panie?

– Nie bardziej niż ty, Wasiliso Pietrowno – prychnął Kirył. – Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby dziewczyna tak lekko stąpała w lesie. Nie

powinnaś chodzić tu bez opieki.

Nie odpowiedziała.

– Chodź ze mną – rozkazał.

Nie sposób było odmówić. Szli obok siebie po grubym wilgotnym ile, a wokół nich opadały liście.

– Spodobają ci się moje ziemie, Wasiliso Pietrowno – powiedział Kirył. – Konie biegają po łąkach rozleglejszych, niż da się ogarnąć spojrzeniem, a kupcy przywożą nam klejnoty z Włodzimierza, miasta Matki Bożej.

Wtedy Wasi ukazała się wizja. Nie wspaniałego domu Kiryła, lecz jej samej na galopującym koniu w bezkresnym lesie. Przez chwilę stała nieruchomo, błędząc myślami gdzieś daleko. Kirył uniósł i pogłaskał długi warkocz Wasi spoczywający na jej piersi. Spłoszona, wróciła do rzeczywistości i wyszarpnęła mu warkocz z ręki. Chwycił ją za włosy, z uśmiechem zacisnął na nich pięść i przyciągnął dziewczynę do siebie.

– Nie bocz się tak. – Cofnęła się, lecz on ruszył za nią, owijając sobie jej warkocz wokół dłoni. – Nauczę cię mnie pragnąć. – Jego usta szukały jej ust.

Nagle popołudniową ciszę rozdarł przenikliwy krzyk.

Kirył puścił Wasię. Między drzewami mignęła brązowa plama i Wasia zaczęła biec, przeklinając swoje spódnice. Mimo że ograniczały jej ruchy, była lżejsza niż potężny mężczyzna biegnący za nią. Gnała wokół ostrokrzewu, po czym nagle stanęła przerażona. Sierioża obejmował Mysz za szyję, a gniada klacz miotała się i usiłowała go zrzucić, wyginając grzbiet w łuk niczym roczny źrebak. Spojrzenie miała oszalałe, a wokół oka pojawiła się biała obwódka.

Wasia nie mogła tego pojąć. Przecież chłopiec już wcześniej jeździł na Myszy, a ona jest bardzo mądra. Teraz jednak skakała, jakby na jej grzbiecie siedziały trzy diabły. Na skraju polanki stała oparta o drzewo Irina i zasłaniała rękami usta.

– Mówiłam mu! – zawodziła. – Mówiłam mu, że źle robi, ale on się upierał, że jest dorosły i może robić, co mu się podoba. Chciał sobie urządzić

wyścigi konne. Nie słuchał mnie.

Olszynowa polanka pełna była cieni, zbyt dużych jak na wczesnopopołudniowe światło. Jeden z nich zdawał się czaić do skoku. Wasia mogłaby przysiąc, że przez sekundę widziała szaleńczy uśmiech i jedno mrugające oko.

– Mysz, uspokój się – zwróciła się do klaczy. Zwierzę stanęło gwałtownie i zastrzygło uszami, przez ułamek sekundy trwając nieruchomo.

– Sierioża, teraz...

Z zarośli hałaśliwie wynurzył się Kirył. W tej samej chwili cienie wyskoczyły jakby z trzech stron naraz. Klacz znów się spłoszyła i rzuciła do ucieczki. Jej długie nogi wbijały się w leśną dróżkę i w szaleńczym galopie między pniami drzew omal nie zrzuciła chłopca. Sierioża wrzeszczał, trzymał się jednak w siodle, obejmując konia za szyję.

Gdzieś ktoś się śmiał.

Wasia popędziła do innych koni, chwytając nóż, który miała przy pasie. Kirył biegł tuż za nią, lecz ona była szybsza. Przemknęła obok zdumionego ojca i pierwsza dopadła Ognia.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął Kirył.

Wasia nie odpowiedziała. Ogier był uwiązany, lecz jednym cięciem rozerwała sznur i wskoczyła na jego nagi grzbiet, wplatając palce w rudą grzywę.

Koń ruszył w pościg, a Kirył stał z rozdziawioną gębą. Wasia pochyliła się do przodu i złapała rytm ogiera, ściskając go nogami. Żałowała, że nie miała czasu wyplątać się ze spódnicy. Mknęli wśród drzew niczym burza. Dziewczyna przywarła do końskiej szyi. Przed nimi majaczyła przewrócona kłoda. Wasia nabrała powietrza... Ogień pokonał przeszkodę swobodnie niczym jeleni.

Wypadli z lasu na błotniste pole zaledwie dziesięć długości konia za zbiegami. Jakimś cudem Sierioża wciąż trzymał się szyi Myszy. Nie miał wyboru: przy tej prędkości upadek byłby śmiertelny, zwłaszcza na tak

zdradzieckim podłożu, w którym kryły się setki pieńków. Ogień powoli doganiał Mysz – był o wiele szybszym koniem, a Mysz w panice gnała zygzakiem, robiła nagłe zwroty, próbując zrzucić chłopca. Wasia krzyczała do niej, żeby się zatrzymała, ale klacz jej nie słyszała albo nie zważała na wołanie. Wasia wykrzykiwała też słowa otuchy do Sierioży, jednak jej głos tłumiał wiatr. Wraz z Ogniem powoli zbliżali się do Myszy i Sierioży. Na końskich chrapach zbierała się piana. Na odległym końcu pola był rów wykopany po to, by odprowadzał wodę deszczową z pola jęczmienia. Wasia popędzała Ognia. Kilkoma potężnymi susami zrównał się z uciekającą klaczą. Rów był coraz bliżej. Wasia wyciągnęła rękę do bratanka.

– Puść się, puść! – wrzasnęła, łapiąc go za koszulę.

Sierioża zdążył rzucić ciotce przerażone spojrzenie, po czym Wasia szarpnięciem ściągnęła go z Myszy i cisnęła twarzą w dół na rudy kłęb Ognia. Chłopiec w każdej piątce ścisnął garść czarnej grzywy. Wasia przeniosła ciężar ciała na jedną stronę, usiłując skłonić ogiera, by skręcił przed coraz bliższą krawędzią rowu. Ogień zdołał jakoś tego dokonać, szarpnął zadem i skoczył w bok, ustawiając się równolegle do przeszkody. Ślizgając się i słaniając, zatrzymał się kilka kroków dalej, cały drżący. Mysz nie miała tyle szczęścia: w panice wpadła do rowu i teraz leżała na jego dnie, młócąc na oślep kopytami.

Wasia zeskoczyła z grzbietu Ognia, zataczając się, bo ugiwały się pod nią nogi. Ściągnęła na ziemię szlochającego bratanka i obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Nos i wargę miał zakrwawione od twardego jak żelazo barku ogiera.

– Sierioża – przemówiła do niego. – Siergieju Nikołajewiczu. Nic ci się nie stało. Ciii. – Chłopczyk szlochał, dygotał i chichotał jednocześnie. Wasia uderzyła go w zakrwawioną twarz. Wzdrygnął się i ucichł, a ona mocno go przytuliła. Za nimi dały się słyszeć odgłosy końskiego szamotania.

– Ogień! – Ogier stał tuż za nią, upstrzony drobinkami piany. – Zostań tu.

Koń poruszył uchem na znak zgody. Wasia puściła bratanka i na wpół zbiegła, na wpół zsunęła się na dno rowu. Mysz leżała w wodzie sięgającej

Wasi prawie do kolan, lecz ona na to nie zważała. Uklękła przy umazanej pianą głowie klaczy. Jakimś cudem nogi Myszy nie były złamane.

– Nic ci nie będzie – wyszeptała Wasia. – Jesteś cała. – Zrównała swój oddech z oddechem klaczy, oddychając razem z nią raz i jeszcze jeden. Teraz Mysz leżała spokojnie pod jej palącą dłonią. Wasia wstała i zrobiła krok w tył.

Klacz dźwignęła się niezgrabnie niczym żrebak i stanęła na szeroko rozstawionych nogach, a Wasia, dygocząc z przejęcia, objęła jej szyję.

– Głuptasie – wyszeptała. – Co w ciebie wstąpiło?

– Zobaczyłam cień – odparła klacz. – Miał zęby.

Nie było czasu na dłuższą rozmowę. Nad krawędzią rowu rozległy się podniecone głosy. Mała lawina kamieni zapowiedziała przybycie Kiryła Artamonowicza. Mysz się spłoszyła. Kirył spoglądał w dół.

Wasię paliła twarz.

– Klacz się przestraszyła – wyjaśniła szybko, chwytając wodze Myszy. – Cuchniez krwią, Kiryle Artamonowiczu, lepiej zostań na górze.

Kirył nie miał najmniejszego zamiaru zjeżdżać w błoto i wodę, lecz słowa Wasi bynajmniej nie złagodziły jego wściekłości.

– Ukradłaś mojego konia. – Wasia miała dość przyzwoitości, by zrobić zawstydzoną minę. – Kto cię nauczył tak jeździć?

Wasia przełknęła ślinę, odwzajemniając jego oburzone spojrzenie.

– Ojciec.

Z satysfakcją stwierdziła, że Kirył jest wstrząśnięty.

Wygramoliła się z rowu, a klacz szła za nią niczym kociak. Na górze dziewczyna się zatrzymała. Kirył patrzył na nią kamiennym wzrokiem.

– Może po ślubie będę mogła jeździć na wszystkich twoich koniach – rzuciła Wasia niewinnie. Kirył nie odpowiedział.

Wzruszyła ramionami i dopiero teraz uświadomiła sobie, jaka jest zmęczona. Nogi miała słabe niczym trzciny, a lewa ręka – ta, którą ściągnęła

Sieriożę z Myszy i cisnęła na Ognia – okropnie bolała.

Przez wyboiste pole pędziła grupka jeźdźców. Prowadził ich Piotr na niezawodnym Wichrze. Bracia Wasi jechali tuż za nim. Kola pierwszy zsiadł z konia, zeskoczył i natychmiast podbiegł do syna, który wciąż płakał.

– Sierioża, nic ci nie jest? Synku, co się stało? Sierioża! – Chłopiec nie odpowiadał, więc Kola zwrócił się do Wasi: – Co się stało?

Wasia nie wiedziała, co powiedzieć. Wyjąkała coś niewyraźnie. Jej ojciec i Alosza również zsiadli z koni. Piotr przenosił natarczywe spojrzenie z córki na Sieriożę, z Ognia na Mysz.

– Jesteś cała, Wasiu? – spytał.

– Tak – wydusiła Wasia. Zaczerwieniła się. Ich sąsiedzi – sami mężczyźni – zbliżali się do nich galopem i się na nią gapili. Wasia uświadomiła sobie z zażenowaniem, że ma gołą głowę, podartą spódnicę i brudną twarz. Piotr podszedł do Koli, który wciąż tulił płaczącego synka, i powiedział coś po cichu.

Podczas tej dzikiej gonitwy Wasia zgubiła gdzieś pelerynę. Alosza zsunął się z siodła i okrył ją swoją.

– Chodź, głuptasie – powiedział, gdy z wdzięcznością wiązała okrycie. – Lepiej, żeby cię takiej nie oglądali.

Wasia przypomniała sobie o dumie i uniosła brodę niepokornym gestem.

– Nie wstydzę się. Lepiej było coś zrobić niż zbierać potem Sieriożę z roztrzaskaną czaszką.

Piotr usłyszał, co powiedziała.

– Idź z bratem – warknął. – Ale już, Wasiu.

Popatrzyła na niego, po czym bez słowa pozwoliła Aloszy podsadzić się na siodło. Wśród sąsiadów przeszedł szmer. Wszyscy wpatrywali się w nią zachłannie. Wasia zacisnęła pięści i uparcie nie spuszczała wzroku.

Sąsiedzi nie mieli jednak zbyt dużo czasu, żeby się gapić, bo Alosza wskoczył za nią na siodło, spiął konia piętami i ruszyli galopem.

– Czy ty się wstydzisz, Lioszka? – spytała Wasia z urazą. – Zamkniesz

mnie teraz w piwnicy? Lepiej, żeby nasz bratanek zginął, niż żebym przyniosła rodzinie wstyd?

– Nie bądź niemądra – rzucił Alosza. – Sprawa szybciej przycichnie, jeśli nie będziesz kłuła ich w oczy podartą sukienką. – Wasia milczała, a brat dodał łagodniej: – Zabieram cię do Duni. Wyglądałaś, jakbyś miała złamać się na pół.

– Nie zaprzeczę. – Jej głos też złagodniał.

Alosza się zawahał.

– Wasoczka, co ty zrobiłaś? Wiedziałem, że umiesz jeździć, ale... tak? Na tym szalonym dereszku?

– Konie mnie nauczyły – odparła Wasia po chwili milczenia. – Swego czasu zabierałam je z pastwiska na przejażdżkę.

Nie powiedziała nic więcej. Alosza milczał przez długą chwilę.

– Zbieralibyśmy Sieriożę martwego albo połamanego, gdybyś go nie uratowała – powiedział powoli. – Wiem o tym i jestem ci wdzięczny. Ojciec z pewnością też.

– Dziękuję – wyszeptała Wasia.

– Obawiam się jednak, że jeśli nie chcesz wdziac welonu ani wyjść za bojara, skończysz w leśnej chatce. Twoja wojowniczość odstręczyła naszego sąsiada. Kirył poczuł się upokorzony, kiedy wzięłaś jego konia.

Wasia się roześmiała, a jej śmiech zabrzmiał ostro.

– Cieszę się. To mi oszczędzi ucieczki przed ślubem. Wolałabym wyjść za wieśniaka niż za tego Kiryła Artamonowicza. Ale ojciec się gniewa.

Gdy zobaczyli dom, dogonił ich Piotr. W jego spojrzeniu widać było wdzięczność, irytację, gniew i coś jeszcze mroczniejszego. Może troskę? Odchrząknął.

– Nie zrobiłaś sobie krzywdy, Wasoczka?

Wasia nie słyszała tego zdrobnienia w jego ustach, odkąd była małą dziewczynką.

– Nie. Ale przykro mi, że przyniosłam ci wstyd, ojciec.

Piotr pokręcił głową, nic jednak nie powiedział. Milczał przez długą chwilę.

– Dziękuję ci – rzekł wreszcie. – Za mojego wnuka.

Wasia się uśmiechnęła.

– Powinniśmy być wdzięczni Ogniovi – odparła, i od razu zrobiło się weselej. – I dziękować Bogu, że Sierioża miał na tyle przytomności umysłu, by tak długo utrzymać się w siodle.

Przed dom zajechali w milczeniu. Wasia szybko pobiegła ukryć się w łaźni i wygrzać obolałe kości.

Wieczorem przy kolacji Kirył podszedł do Piotra.

– Myślałem, że dostanę dobrze wychowaną pannę, a nie dzikie stworzenie.

– Wasia to dobra dziewczyna – zapewnił Piotr. – Uparta, ale to można...

Kirył prychnął.

– Tę dziewczynę na moim koniu utrzymała chyba czarna magia, bo na pewno nie ludzkie umiejętności.

– Tylko siła i zawziętość – powiedział Piotr z przekonaniem. – Wasia da ci silnych synów.

– Za jaką cenę? – zapytał Kirył Artamonowicz ponuro. – Chcę mieć w domu kobietę, a nie wiedźmę czy chochlika. Poza tym poniżyła mnie przed twoimi ludźmi.

I chociaż Piotr próbował go przekonać, pozostał niewzruszony.

Piotr rzadko bił swoje dzieci, lecz kiedy Kirył zerwał zaręczyny, wychłostał Wasię, głównie po to, by ukoić swój lęk o nią. Czy choć raz w życiu nie może zrobić tego, co jej się każe?

Oni przychodzą tylko po nieposłuszne dziewczęta.

Wasia zniosła lanie z suchymi oczami i tylko gdy wychodziła sztywno z izby, spojrzała na ojca z wyrzutem. Nie widział, jak płacze skulona między

przednimi nogami Myszy.

Ślub się nie odbył. O świcie Kirył Artamonowicz odjechał.



18.

Gość na koniec roku

Po wyjeździe Kiryła Anna Iwanowna znów zwróciła się do męża. Długie wieczory i noce coraz bardziej skracają jesienne dni, domownicy wstawali po ciemku i jedli kolację przy blasku ognia. Tej nocy Piotr siedział bezsennie przy piecu. Dzieci poszły już spać, on jednak nie mógł zasnąć. Żar dogasającego ognia barwił izbę na czerwono. Piotr wpatrywał się w migoczącą paszczę i myślał o córce.

Anna trzymała na kolanach rzeczy do cerowania, lecz nie szyła. Piotr nie podnosił głowy, więc nie widział zaciętej i bladej twarzy żony.

– Zatem Wasilisa nie wyjdzie za mąż – przemówiła.

Piotr się wzdrygnął. Żona mówiła władcym tonem, po raz pierwszy przypominała mu swego ojca. Jej słowa jednak odpowiadały jego myślom.

– Żaden dobrze urodzony mężczyzna jej nie zechce – ciągnęła. – Czy zgodzisz się oddać ją wieśniakowi?

Piotr milczał. Sam w myślach obracał to pytanie na wszystkie strony. Oddać córkę mężczyźnie nisko urodzonemu – to uwłaczałoby jego dumie. W jego uszach jednak wciąż rozbrzmiewało ostrzeżenie Duni: „Wszystko jest lepsze niż demon mrozu”.

Marino, myślał Piotr, zostawiłaś mi tę szaloną dziewczynę i szczerze ją kocham. Jest odważniejsza i dziksza niż którykolwiek z moich synów. Ale

jaki z tego pożytek dla kobiety? Przysiągłem, że zapewnię jej bezpieczeństwo, jak mam jednak ocalić ją przed nią samą?

– Musi wstąpić do klasztoru – stwierdziła Anna. – Im szybciej, tym lepiej. Jaki mamy wybór? Żaden przyzwoicie urodzony mężczyzna jej nie zechce. Jest opętana. Kradnie konie, sprawiła, że jeden z nich oszalał, naraziła dla zabawy życie bratanka.

Zdumiony Piotr popatrzył na żonę i stwierdził, że w tej stanowczości jest niemal piękna.

– Do klasztoru? – powtórzył. – Wasia?

Zastanowił się, dlaczego aż tak go to zdziwiło. Córki, których nie udawało się wydać za mąż, wstępowały do klasztoru, i nie było w tym nic dziwnego. Nie potrafił sobie jednak wyobrazić zakonnicy bardziej nieprawdopodobnej niż Wasia.

Anna zacisnęła dłonie i wbiła w niego przeszywający wzrok.

– Życie wśród świętych sióstr mogłoby ocalić jej grzeszną duszę.

Piotr znowu przypomniał sobie twarz tamtego nieznanego w Moskwie. Talizman czy nie, demon mrozu nie może przybyć po dziewczynę poświęconą Bogu.

Wciąż jednak się wahał. Wasia nigdy się na to nie zgodzi.

Ojciec Konstanty siedział w cieniu obok Anny. Twarz miał ściągniętą, oczy ciemne niczym owoce tarniny.

– Co powiesz, *batiuszka*? – zagadnął go Piotr. – Moja córka odstraszyła zalotnika. Czy powinienem wysłać ją do klasztoru?

– Nie masz wielkiego wyboru, Piotrze Władimirowiczu – odrzekł Konstanty. Mówił powoli i chrapliwie. – Ona nie boi się Boga i nie posłucha głosu rozsądku. W murach moskiewskiego kremla jest klasztor pod wezwaniem Wniebowstąpienia Pańskiego dla wysoko urodzonych panien. Tamtejsze siostry ją przyjmą.

Anna zacisnęła usta. Kiedyś, dawno temu, marzyła o wstąpieniu do tego klasztoru.

Piotr się wahał.

– Mury Kremla są grube – dodał Konstanty. – Byłaby bezpieczna i nie chodziłaby głodna.

– Cóż, pomyślę o tym – mruknął Piotr, lecz był rozdarty. Mogłaby pojechać z saniami, kiedy będzie wysyłał lenno. Ale kogo posłać, żeby uprzedził siostry o jej przybyciu? Jego córka nie może zostać dostarczona do klasztoru jak niechciana paczka, a jest za późno, by wysłać posłańców.

Ola, może wysłać ją do Oli, a ona zajmie się resztą. Ale nie... Wasia musi być zamężna lub przebywać za murami klasztoru przed zimowym przesileniem. Demon przyjdzie po nią w środku zimy.

Wasia... Wasia w klasztorze? Welon na jej czarnych włosach, dziewica aż do śmierci?

Jej dusza... najważniejsza jest jej dusza. Znajdzie tam spokój i dostatek. Będzie się modliła za rodzinę. I będzie chroniona przed demonami.

Jednak z własnej woli nie pojedzie. Będzie bardzo cierpieć.

Konstanty w milczeniu obserwował wewnętrzne zmagania Piotra. Wiedział, że Bóg jest po jego stronie. Piotr zostanie przekonany i znajdzie się jakiś sposób. Pop miał rację.

Trzy wieczory później Wasia przyprowadziła do domu mokrego i kichającego mnicha, którego znalazła zabłąkanego w lesie.

Przywłokła go nieco przed zachodem słońca, w samym środku ulewy. Dunia właśnie opowiadała bajkę.

– Ich ojciec zachorował z tęsknoty – mówiła – więc książę Aleksy i książę Dymitr wyruszyli na poszukiwanie Żar-Ptaka o ognistych skrzydłach. Jechali długo, trzy razy przemierzili dziewięć królestw, aż dotarli do rozwidlenia dróg. Na skraju drogi leżał kamień z wyrytym napisem...

Nagle drzwi otworzyły się z łoskotem i do kuchni weszła Wasia, trzymając za rękaw rosłego, młodego, przemoczonego mnicha.

– To jest brat Rodion – oznajmiła. – Zabłądził w lesie. Przyjechał z Moskwy, z dworu Wielkiego Księcia. Przysłał go do nas Sasza.

Zaskoczeni domownicy natychmiast zaczęli działać. Mnicha trzeba było ogrzać i nakarmić, znaleźć mu suche ubranie, dać kubek miodu. Dunia, mimo pośpiechu, znalazła czas, by skłonić protestującą Wasię, żeby przebrała się w suche odzienie, usiadła przy ogniu i wysuszyła ociekające wodą włosy. Mnich przez cały czas zasypywany był pytaniami: o pogodę w Moskwie, o klejnoty, które kobiety na książęcym dworze noszą do cerkwi, o konie tatarskich watażków. Przede wszystkim jednak pytali go o księżną sierpuchowską i o brata Aleksandra. Pytań było tyle, że mnich nie nadążał z odpowiedziami.

Wreszcie wtrącił się Piotr i odepchnął swoje dzieci na bok.

– Spokój, wszyscy! Pozwólcie mu zjeść.

W kuchni zapadła cisza. Dunia wzięła kądziel, Irina igłę, a brat Rodion zajął się jedzeniem kolacji. Wasia chwyciła moździerz i tłuczek i zaczęła rozcierać suszone zioła. Dunia podjęła swoją opowieść:

– Z boku leżał kamień z wyrytym napisem: „Kto pojedzie prosto, napotka głód i chłód. Kto pojedzie w prawo, żyć będzie, choć jego koń umrze. Kto pojedzie w lewo, umrze, choć jego koń przeżyje”. Nic z tego nie zapowiadało się przyjemnie, więc bracia cofnęli się, rozstawili namioty w zielonym lesie i umilali sobie czas, zapominając, po co tam przyjechali...

Księżę Iwan pojechał na prawo, dopowiedziała Wasia w myślach. Słyszała tę opowieść tysiące razy. Szary wilk zabił jego konia. Kiedy Iwan zobaczył, że koń nie żyje, zaczął płakać. W tych bajkach nigdy nie mówią, co by się stało, gdyby pojechał prosto. Albo w lewo.

Piotr siedział w kącie kuchni pogrążony w rozmowie z bratem Rodionem. Wasia żałowała, że nie słyszy, o czym rozmawiają, lecz deszcz wciąż bębnił o dach i zagłuszał ich słowa.

O brzasku poszła do lasu szukać czegoś do jedzenia. Była gotowa na wszystko, mogłaby nawet moknąć, byle tylko spędzić kilka godzin na świeżym powietrzu. Dom ją przytłaczał. Anna Iwanowna, Konstanty, a nawet

ojciec przypatrywali jej się z minami, których nie potrafiła przeniknąć. Mieszkańcy wioski, kiedy ich mijała, szeptali. Nikt nie zapomniał historii z koniem Kiryła.

Gdy znalazła młodego mnicha, jeździł w kółko na silnym białym mule.

Dziwne, że znalazłam go żywego, pomyślała Wasia. Podczas wędrówek zdarzało jej się natrafiać na kości, ale nigdy na żyjącego człowieka. Las jest niebezpieczny dla podróżnych. Leszy może ich wodzić w kółko, póki nie padną, a wodnik łypiący zimnymi rybimi oczami może wciągnąć ich do rzeki. A ten potężny dobroduszny człowiek zabłąkał się tu i mimo wszystko przeżył.

Wasi przypomniała się przestroga rusalki. Czego boją się czarty?

– Masz szczęście, że moja lekkomyślna córka w taką pogodę poszła do lasu i cię znalazła – powiedział Piotr.

Brat Rodion, zaspokoiwszy pierwszy głód, zaryzykował szybkie spojrzenie w stronę paleniska. Rzeczona córka ucierała zioła, blask ognia barwił na złoto jej smukłe ciało. Na pierwszy rzut oka wydała mu się brzydka i nawet teraz nie uważał jej za piękną, lecz im dłużej na nią patrzył, tym trudniej było mu oderwać od niej wzrok.

– Cieszę się, że tak się stało, Piotrze Władimirowiczu – odrzekł Rodion pośpiesznie, widząc uniesione brwi Piotra. – Mam wiadomość od brata Aleksandra.

– Od Saszy?! Co u niego?

– Brat Aleksander jest doradcą Wielkiego Księcia – oznajmił mnich z godnością. – Zyskał sławę dzięki dobrym uczynkom i stawianiu w obronie słabszych. Słynie z mądrych decyzji.

– Jakbym chciał słuchać o wszystkich tych przymiotach, które Sasza mógłby lepiej wykorzystać jako pan własnych włości – burknął Piotr, lecz Rodion usłyszał w jego głosie dumę. – Przejdź do rzeczy. Takie wieści nie

sprowadziłyby cię tutaj o tej porze roku.

Rodion spojrział Piotrowi w oczy.

– Czy twoje lenno dla chana zostało już wysłane, Piotrze Władimirowiczu?

– Pojedzie wraz ze śniegiem – odpowiedział Piotr. Żniwa nie były obfite, upolowana zwierzyna marna. Piotr żałował każdego ziarnka i każdej skórki. Zabili wszystkie owce, jakie tylko mogli, a jego synowie wyglądali jak własne cienie, tak dużo polowali. Kobiety chodziły szukać jedzenia bez względu na pogodę.

– Piotrze Władimirowiczu, a gdybyś nie musiał płacić lenna? – spytał Rodion.

Piotr nie lubił takich naprowadzających pytań i dał temu wyraz.

– Doskonale – odparł spokojnie młody człowiek. – Książę i jego doradcy zadali sobie pytanie, dlaczego nadal mielibyśmy płacić lenno i zginać kolana przed pogańskim królem. Ostatni chan został zamordowany, a jego następcy nie utrzymają się na tronie nawet rok, bo i oni zostaną zgładzeni. Panuje zamęt. Dlaczego mieliby mieć władzę nad dobrymi chrześcijanami? Zamierzamy walczyć z ordą, a brat Aleksander prosi cię o pomoc, bo kiedyś był twoim synem.

Wasia zobaczyła, że ojciec zmienia się na twarzy, i zastanawiała się, co takiego powiedział młody mnich.

– Wojna – mruknął Piotr.

– Wolność – sprostował Rodion.

– Tu, na północy, nosimy lekkie jarzmo – zauważył Piotr.

– A jednak je nosicie.

– Lepsze jarzmo niż pięść Złotej Ordy. Nie muszą się z nami spotkać w otwartej walce, tylko przysłać swoich ludzi nocą. Dziesięć płonących strzał mogłoby do cna spalić Moskwę, a mój dom także zbudowany jest z drewna.

– Piotrze Władimirowiczu, brat Aleksander prosił, żebym powiedział...

– Wybacz – przerwał mu Piotr, wstając gwałtownie. – Ale już dość

usłyszałem. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Rodion skinął głową i skierował uwagę na kubek miodu.

– Dlaczego mielibyśmy nie walczyć, ojcze? – zapytał Kola. Trzymał za uszy dwa martwe króliki. Ojciec i syn skorzystali z przerwy w ulewie i sprawdzali sidła.

– Bo nie wyniknie z tego nic dobrego, za to szkoda będzie duża – odparł Piotr, nie po raz pierwszy odpowiadając na to pytanie. Synowie nie dawali mu spokoju, odkąd mnich zawrócił im w głowach opowieściami o sławie brata. – Twoja siostra mieszka w Moskwie, czy chciałbyś, żeby znalazła się w oblężonym mieście? Kiedy Tatarzy najeżdżają miasto, nie zostawiają przy życiu nikogo.

Kola zbył to machnięciem ręki, a króliki podskoczyły groteskowo.

– Będziemy z nimi walczyć daleko przed wrotami Moskwy.

Piotr schylił się, by sprawdzić kolejne wnyki, które okazały się puste.

– Pomyśl, ojcze – ciągnął Kola z zapalem. – Moglibyśmy wysłać na południe towary na sprzedaż, nie jako lenno. Mój kuzyn przed nikim nie będzie zginał kolan, to prawdziwy książę. Twoje praprawnuki mogą zostać Wielkimi Książętami.

– Wolałbym, żeby moi synowie żyli, a córki były bezpieczne, niż liczyć na chwałę nienarodzonych potomków. – Widząc, że syn otwiera usta, by zaprotestować, Piotr dodał łagodniej: – *Synok*, wiesz, że Sasza wyjechał wbrew mojej woli. Nie niżę się do tego, żeby przywiązać własnego syna do framugi drzwi. Jeśli chcesz walczyć, możesz jechać, ale nie zamierzam błogosławić głupiej wojny i nie dam ci ani strzępka ubrania, srebra ani konia. Pamiętaj, Sasza może i jest sławny, lecz musi prosić o chleb i sam uprawiać ziola.

Odpowiedź Koli zagłuszył okrzyk satysfakcji, bo we wnykach tkwił kolejny królik, cętkowane jesienne futro z brudnymi smugami. Gdy Kola

schylił się, by go wyjąć, Piotr podniósł głowę i znieruchomiał. W powietrzu unosił się zapach śmierci. Myśliwski pies przypadł do jego nóg i skomlał jak szczeniak.

– Kola – odezwał się Piotr.

Coś w tonie ojca kazało młodemu mężczyźnie poderwać się na nogi, a w jego czarnych oczach pojawił się błysk.

– Czuję – powiedział po chwili. – Co jest temu psu? – Pies skomlał, trząsał się i spoglądał wyczekująco w stronę wioski. Piotr pokręcił głową, obracał się to w prawo, to w lewo, zupełnie jak pies gończy.

Nie wypowiedział słowa, tylko pokazał palcem: plamę krwi na leśnej ściółce. Nie była to krew królika. Piotr stanowczym gestem pokazał plamę psu, ten zaskomlał i ruszył naprzód. Kola trzymał się nieco z lewej i tak jak ojciec milczał. Ostrożnie okrążyli kępę drzew i wyszli na małą, okoloną krzakami polankę, posępną od gnijących liści.

To był jelen. Dziec leżał niemal u stóp Piotra, a za nim ciągnęła się smuga krwi i ściegien. Główna część korpusu znajdowała się nieco dalej, wywleczone wnętrzności cuchnęły pomimo zimna.

Krew nie zrobiła na nich wrażenia, chociaż rogata głowa jelenia szczyrzyła się u ich stóp z wywieszonym językiem. Wymienili natomiast pytające spojrzenia, bo nic w tych lasach nie mogło tak okrutnie okaleczyć stworzenia. I jakie zwierzę zabiłoby jesienią tłustego jelenia i zostawiło mięso?

Piotr przykucnął w błocie, przyglądając się ziemi.

– Jeleń biegł, a drapieźnik go ścigał. Jeleń uciekał, kulejąc na przednią nogę. Wpadł na polankę... tutaj. – Piotr przesuwiał się w kucki. – Jeden skok, dwa... a potem powalił go cios z boku. – Urwał. Pies położył się na brzuchu na skraju polanki, nie spuszczać oczu ze swego pana. – Co zadało ten cios? – mruknął Piotr.

Kola odczytał z błota podobną historię.

– Żadnych tropów – orzekł. Długi nóż świsnął, gdy wyciągał go

z pochwy. – Żadnych. Ani też żadnych śladów, że ktoś usiłował je zatrzeć.

– Popatrz na psa – rzuciła Piotr.

Pies wstał i wpatrywał się w przerwę między drzewami. Każdy włoszek jego szorstkiej sierści stanął dęba, obnażył zęby i warczał cicho. Mężczyźni odwrócili się równocześnie. Nóż Piotra znalazł się w jego ręku, zanim po niego sięgnął. Przez chwilę miał wrażenie, że widzi jakiś ruch, ciemniejszy cień w mroku, jednak po chwili wszystko znikło. Pies zaszczekał, cienko i przenikliwie. Odgłos lękliwego protestu.

Piotr pstryknął na psa palcami. Kola zawrócił wraz z nim. Przeszli po zakrwawionych liściach i bez słowa ruszyli w stronę wioski.

Nazajutrz, kiedy Rodion zapukał do drzwi izby Konstantego, pop oglądał przy świetle świec swoje farby. Ich resztki i plamy połączonych kolorów zaczęły pleśnieć od wilgoci. Wstał dzień, lecz okna w izbie popa były małe, a szum deszczu powstrzymał słońce. Gdyby nie świece, w izbie panowałyby nieprzeniknione ciemności. Za dużo świec, pomyślał Rodion. Co za marnotrawstwo.

– Ojczy, pobłogosław – poprosił Rodion.

– Bóg z tobą – mruknął Konstanty. W izbie było zimno, pop na chude ramiona zarzucił koc. Nie zaproponował Rodionowi drugiego.

– Piotr Władimirowicz i jego synowie wybrali się na polowanie – oznajmił Rodion. – Nie chcą jednak powiedzieć, na jaką zwierzynę. Przy tobie nic nie mówili?

– Nie.

Wciąż lało.

Rodion zmarszczył czoło.

– Nie mogę pojąć, po co brali włócznie na dziki, skoro zostawili psy. Poza tym to okrutna pogoda na taką wyprawę.

Konstanty milczał.

– Cóż, niech Bóg zapewni im powodzenie, cokolwiek tropią – ciągnął Rodion. – Muszę wyjechać za dwa dni i wolałbym nie natknąć się na to, co sprawiło, że Piotr Władimirowicz miał taki wyraz oczu.

– Będę się modlił o twoje bezpieczeństwo w drodze – rzucił Konstanty sucho.

– Niech Bóg cię zachowa. – Rodion nie zważał na jego ton. – Wiem, że nie lubisz, gdy przerywa ci się rozmyślenia, chciałbym jednak prosić cię o radę, bracie.

– Mów.

– Piotr Władimirowicz pragnie, by jego córka wstąpiła do klasztoru. Polecił mi, słowami i pieniędzmi, żebym pojechał do Moskwy, do klasztoru Wniebowstąpienia Pańskiego, i uprzedził o jej przybyciu. Mówi, że wyśle ją wraz z lennem, gdy tylko spadnie wystarczająco dużo śniegu, by mogły jeździć sanie.

– To szlachetny obowiązek, bracie. – Konstanty podniósł wzrok znad pędzli. – Jakiej rady potrzebujesz?

– Ta dziewczyna nie jest stworzona do zakonnego życia. Nawet ślepy to dostrzeże.

Konstanty zacisnął szczęki i Rodion stwierdził ze zdziwieniem, że twarz popa płonie gniewem.

– Nie może wyjść za mąż – powiedział Konstanty. – Na tym świecie czeka ją tylko grzech, więc lepiej, żeby znalazła schronienie w klasztorze. Będzie się modliła za duszę ojca. Piotr Władimirowicz jest już stary, przydadzą mu się jej modlitwy, gdy stanie przed Bogiem.

Wszystko pięknie, lecz Rodionowi sumienie nie dawało spokoju. Druga córka Piotra przypominała mu brata Aleksandra. Choć Sasza był mnichem, nie mógł usiedzieć w Ławrze. Jeździł po całej Rusi na wspaniałym bojowym koniu, knując, roztaczając urok i walcząc. Nosił na plecach miecz i doradzał książętom. Kobieta, która wstąpi do zakonu, nie będzie mogła wieść takiego życia.

– Cóż, podejmę się tego – rzekł Rodion niechętnie. – Piotr Władimirowicz ugościł mnie w swoim domu, więc nie bardzo mogę odmówić. Ale, bracie, chciałbym, żebyś sprawił, iż zmieni zdanie. Z pewnością można kogoś przekonać, by ożenił się z Wasilisą Pietrowną. Nie sądzę, żeby wytrzymała długo w klasztorze. Dzikie ptaki umierają w klatkach.

– I cóż z tego? – warknął Konstanty. – Błogosławieni ci, którzy pozostają tylko przez chwilę w tym grzęzawisku niegodziwości, zanim staną przed obliczem Boga. Mam tylko nadzieję, że kiedy nadejdzie to spotkanie, jej dusza będzie gotowa. A teraz, bracie, chciałbym się pomodlić.

Rodion zrobił znak krzyża i wymknął się bez słowa na dwór, mrugając w słabym świetle dnia. Cóż, żal mi tej dziewczyny, pomyślał.

A po chwili: Ależ gęste cienie spowijają tę izbę.

Przed nadejściem śniegu Piotr i Kola zabrali swoich ludzi na polowanie nie raz, lecz kilka razy. Deszcz nie przestawał padać, chociaż był coraz zimniejszy, i podczas tych długich mokrych dni mieli coraz mniej siły. Mimo iż szukali wytrwale, nie znaleźli ani śladu tego, co rozerwało jelenia na strzępy. Ludzie zaczęli szemrać, a wreszcie głośno protestować. Znużenie walczyło z lojalnością i nikt nie żałował, kiedy mróz położył kres tym polowaniom.

Wtedy jednak zginął pierwszy pies.

To była duża suka, rodziła zdrowe szczeniaki i nie bała się dzików. Znalaziono ją w śniegu przy ogrodzeniu zakrwawioną i bez głowy. Jedyne ślady w pobliżu zamrożonego ciała były ślady jej łap.

Ludzie zaczęli chodzić do lasu dwójkami, z siekierami za pasem.

Potem zginął kuc ciągnący sanie, na których przywożono drewno na opał. Syn właściciela, wróciwszy z naręczem polan, zobaczył pustą uprzęż i wielką czerwoną plamę na błotnistej ziemi. Upuścił drewno, a nawet siekiere, i popędził do wioski.

Na wieśniaków padł strach, pełzający, szemrzący strach, oblepiający
wszystko niby pajęczyna.



19.

Koszmary

Listopad zaatakował czarnymi liśćmi i szarym śniegiem. O poranku przypominającym brudne szkło ojciec Konstanty stał przy oknie swojej izby i szkicował pędzlem smukłą przednią nogę białego ogiera Świętego Jerzego. Był pochłonięty pracą, wokół panował spokój. Jednak cisza nasłuchiwała. Konstanty złapał się na tym, że też wyteża słuch. Panie, nie przemówisz do mnie?

Kiedy ktoś zaskrobał w drzwi, ręka Konstantego drgnęła i omal nie rozmazał farby.

– Wejść – warknął, odkładając pędzel. To z pewnością Anna Iwanowna z riazenką[5] i pełnymi uwielbienia nudnymi oczami.

To jednak nie była Anna Iwanowna.

– Ojczy, pobłogosław – odezwała się Agafia, służąca.

Konstanty nakreślił w powietrzu znak krzyża.

– Bóg z tobą.

Był wściekły.

– Proszę się nie gniewać, *batiuszka* – szepnęła dziewczyna, wykręcając stwardniałe od pracy dłonie. Wciąż stała niepewnie w drzwiach. – Jeśli mogę, zajmę ojcu tylko chwilkę.

Pop zacisnął usta. Przed nim Święty Jerzy przemierzał świat na dębowej

desce, a jego rumak miał tylko trzy nogi. Czwarta, jeszcze nienamalowana, miała być uniesiona eleganckim łukiem, by zdeptać głowę węża.

– Co chcesz mi powiedzieć? – Konstanty starał się nadać głosowi łagodne brzmienie. Chyba mu się to nie udało, bo dziewczyna zbladła i skuliła się. Ale nie wyszła.

– Jesteśmy dobrymi chrześcijanami, *batiuszka* – wyjąkała. – Przyjmujemy sakrament i czcimy ikony, ale jeszcze nigdy nie było nam tak ciężko. Letnie deszcze zatopiły nasze ogródki, zanim nastanie wiosna, dopadnie nas głód. – Umilkła i oblizwała wargi. – Tak sobie pomyślałam... Nie mogłam się powstrzymać... Czy nie obraziliśmy starych bogów? Może Czarnoboga, który kocha krew? Babcia zawsze powtarzała, że jeśli on zwróci się kiedyś przeciwko nam, stanie się coś strasznego. Boję się o syna. – Patrzyła na niego z niemym błaganiem.

– Lepiej się bać – odburknął Konstanty. Palce go świerzbiły, tak bardzo chciał sięgnąć po pędzel. Z trudem przywołał resztki cierpliwości. – To dowód prawdziwej skruchy. Nastął czas próby, kiedy Bóg rozpozna swoje wierne sługi. Musicie trwać w wierze, a już wkrótce ujrzycie królestwa, o jakich wam się nie śniło. To, o czym mówisz, nie istnieje: to złudzenia, które kuszą nieświadomych ludzi. Trzymajcie się prawdy, a wszystko będzie dobrze.

Odwrócił się i sięgnął po farby, lecz po chwili znów usłyszał głos kobiety:

– Ale mnie nie trzeba królestwa, *batiuszka*, wystarczy, żebym mogła wykarmić syna przez zimę. Marina Iwanowna przestrzegała starych zwyczajów i nasze dzieci nigdy nie głodowały.

Twarz Konstantego nabrała wyrazu bardzo podobnego do miny dzierzącego włócznie świętego na obrazie przed nim. Agafia zatoczyła się na framugę.

– A teraz nadszedł czas rozrachunków z Bogiem – syknął. Jego głos płynął niczym czarna rzeka pokryta lodem. – Myślisz, że jeśli opóźniło się to o dwa lata, albo o dziesięć, Bóg nie potępi takiego bluźnierstwa? Koło fortuny obraca się powoli.

Agafia drżała jak ptak schwytyany w siatkę.

– Proszę – wyszeptała. Chwyliła jego dłoń i ucałowała ubrudzone farbą palce. – Czy będzie ojciec błagać o wybaczenie dla nas? Nie proszę dla siebie, tylko dla syna.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł nieco łagodniejszym tonem i położył dłoń na jej pochylonej głowie. – Ale najpierw musisz przeprosić Boga.

– Tak, tak, *batuszka*. – Popatrzyła na niego z wdzięcznością.

Kiedy wyszła w szarość popołudnia i zamknęła za sobą drzwi, cienie na ścianie zdawały się przeciągać niczym budzące się koty.

– Brawo. – Głos przeniknął Konstantego do szpiku kości. Zamarł, każdy jego nerw płonął. – Przede wszystkim, żeby mogli zostać zbawieni, muszą się mnie bać.

Konstanty odłożył pędzel i uklęknął.

– Chcę cię tylko zadowolić, Panie.

– Jestem zadowolony – zapewnił głos.

– Próbowałem skierować tych ludzi na właściwą ścieżkę. Spytałbym tylko, Panie... To znaczy, chciałem spytać...

Głos był nieskończenie łagodny.

– O co chciałeś spytać?

– Proszę, pozwól mi zakończyć pracę tutaj. Jeśli zażadasz, będę niósł twoje słowo na krańce ziemi. Ten las jest taki mały.

Pochylił głowę i czekał.

Głos zaśmiał się z tak czułym zachwytem, że Konstanty sądził, iż z radości jego dusza wyleci z ciała.

– Oczywiście, że stąd odejdziesz – oznajmił głos. – Jeszcze jedna zima. Wytrwaj i bądź wierny. Potem pokażesz światu moją chwałę, a ja zawsze będę przy tobie.

– Powiedz mi tylko, co mam uczynić, a będę wierny – poprosił Konstanty.

– Pragnę, abyś każdym słowem przywoływał moją obecność – rzekł głos.

Ktoś inny mógłby usłyszeć w nim żądzę i skwapliwość. – Również podczas modlitwy. Wzywaj mnie każdym oddechem i często wypowiadaj moje imię. Jestem panem burz. Będę obecny wśród was i obdarzę cię łaską.

– Tak zrobię – zapewnił Konstanty żarliwie. – Zrobię dokładnie tak, jak mówisz. Tylko nigdy mnie już nie opuszczaj.

Pod wpływem powiewu, przypominającego długie westchnienie satysfakcji, zamigotały wszystkie świece.

– Bądź mi zawsze posłuszny, a nigdy cię nie opuszczę – powiedział głos.

Nazajutrz słońce zatoneło w rozmokłych chmurach i rzucało upiorne światło na odarty z koloru świat. O świcie zaczął padać śnieg. Rodzina Piotra, dygocząc, przemknęła do małej cerkiewki i skuliła się w środku. W cerkwi było ciemno, jeśli nie liczyć nikłego blasku świec. Wasi wydawało się, że niemal słyszy, jak na zewnątrz pada śnieg i zasypuje ich aż do wiosny. Zaslaniał światło, lecz popa oświetlały świece. Kości jego twarzy rzucały wytworne cienie. Minę miał bardziej nieprzystępną niż postacie na jego ikonach i nigdy nie wyglądał piękniej.

Ikonostas był ukończony. Nad drzwiami widniał zmartwychwstały Chrystus, ostatnia ikona. Chrystus sprawiedliwy siedział ponad burzową ziemią z wyrazem twarzy, którego Wasia nie potrafiła rozszyfrować.

– Przywołuję cię – odezwał się Konstanty cicho i wyraźnie. – Boga, który mnie wybrał na swego sługę. Głos z ciemności miłujący burze. Bądź obecny pośród nas. – Po czym, już głośniejszym głosem, rozpoczął nabożeństwo. – Niech będzie błogosławiony Bóg... – Jego oczy były niczym wielkie ciemne dziury, lecz głos zdawał się migotać ogniem.

Kiedy Konstanty mówił, ludzie zapominali o lodowatej wilgoci i szczyrzącym zębami widmie głodu. Gdy dotykał ich ten głos, ziemskie problemy wydawały się błahe, Chrystus nad drzwiami unosił dłoń w geście błogosławieństwa.

– Słuchajcie – przemawiał Konstanty, zniżając głos, tak że musieli

wyteżać słuch. – Jest wśród nas zło. – Wierni popatrzyli na siebie. – Nocą, w ciszy, wdziera się w nasze dusze. Czeka na nieostrożnych. – Irina przysunęła się do Wasi, a ta objęła ją ramieniem. – Tylko wiara – ciągnął Konstanty – tylko wiara, tylko Bóg może was ocalić. – Z każdym słowem mówił coraz głośniej. – Bójcie się Boga i żałujcie za grzechy. To wasza jedyna ucieczka przed potępieniem. W przeciwnym razie spłoniecie, spłoniecie w ogniu piekielnym!

Anna wrzasnęła. Jej krzyk rozbrzmiał w całej cerkwi. Wytrzeszczyła oczy pod sinawymi powiekami.

– Nie! – wrzeszczała. – O, Boże, nie tutaj! Nie tutaj!

Wydawało się, że jej głos przenika przez ściany i ulega zwielokrotnieniu, jakby wrzeszczała setka kobiet.

Zanim w cerkwi zapanował chaos, Wasia spojrzała tam, gdzie wskazywał wyciągnięty palec macochy. Zmartwychwstały Chrystus nad drzwiami uśmiechał się do nich, choć wcześniej był poważny. W jego dolną wargę wbijały się dwa kły, miał tylko jedno oko. Druga strona jego twarzy była naznaczona sinymi bliznami, oczodół został zszyty byle jak.

Wasia, walcząca ze strachem ściskającym ją za gardło, odniosła wrażenie, że gdzieś już widziała tę twarz.

Nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać. Ludzie zasłaniali rękami uszy, rzucali się twarzą do ziemi albo przepychali w stronę narteksu. Wszyscy odsunęli się od Anny. Stała samotnie, śmiała się i płakała, drapiąc powietrze paznokciami. Nikt jej nie dotykał. Jej wrzaski odbijały się echem od ścian. Konstanty przepchnął się do niej i uderzył ją w twarz. Zachłysnęła się i ucichła, lecz wydawało się, że pogłos jej wrzasków wciąż drga w powietrzu, jakby krzyczały same ikony.

Wasia chwyciła Irinę, pilnując, by nie zagarnął i nie stratował jej tłum. Po chwili pojawił się Alosza i silnymi ramionami otoczył Dunię, drobną jak dziecko i kruchą niczym listopadowe liście. Przywarli do siebie we czworo, a ludzie kotłowali się i krzyczeli.

– Muszę iść do mamy – powiedziała Irina, wyrrywając się Wasi.

– Czekaaj, ptaszyno, zadcpczą cię.

– Matko Boska – westchnął Alosza. – Jeśli się rozejdzie, że matka Iriny miewa takie ataki, nikt się z nią nigdy nie ożeni.

– Nikt się nie dowie – syknęła Wasia. Jej siostra była bardzo blada. Wasia spiorunowała brata wzrokiem, a tłum popchnął ich na ścianę. Wasia i Alosza osłaniali Dunię i Irinę.

Wasia znów spojrzała na ikonostas. Teraz wyglądał tak jak zawsze. Chrystus siedział na tronie ponad światem, unosząc rękę w geście błogosławieństwa. Czyżby wyobraziła sobie tę inną twarz? Ale jeśli tak, to dlaczego Anna wrzeszczała?

– Cisza!

Głos Konstantego rozbrzmiał niczym tuzin dzwonów. Wszyscy zamarli. Stał przed ikonostasem z uniesioną ręką, żywa kopia wizerunku Chrystusa ponad jego głową.

– Głupcy! – ryknął. – Czy jesteście dziećmi, żeby bać się krzyczącej kobiety? Wstańcie. Uciszcie się. Bóg nas ochroni.

Zbili się w gromadkę niczym skarczone dzieci. Tego, czego nie zdołał osiągnąć Piotr, prosząc ludzi, by się uspokoili, dokonał głos popa. Podeszli do niego niepewnie. Anna trzęsa się i płakała, poszarzała jak niebo o świcie. Jedyna bledsza twarz w cerkwi należała do popa. Blask świec wypełniał nawę dziwnymi cieniami. Jeden z nich padł na ikonostas i nie był to cień człowieka.

Boże, pomyślała Wasia, kiedy nabożeństwo, choć z pewnym wahaniem, zostało podjęte. Tutaj? Czarty nie mogą wchodzić do cerkwi, to istoty z tego świata, a cerkiew jest dla przyszłego.

A jednak widziała ten cień.

Kiedy tylko stało się to możliwe, Piotr zaprowadził żonę do domu. Irina rozebrała ją i położyła do łóżka. Anna płakała, wymiotowała, znów płakała,

i nie mogła przestać.

Wreszcie zrozpaczona Irina wróciła do cerkwi. Ojciec Konstanty klęczał samotnie przed ikonostasem. Po nabożeństwie ludzie całowali jego dłonie i błagali, żeby ich ocalił. Wydawał się spokojny. Wręcz triumfujący. Teraz jednak Irina odniosła wrażenie, że jest najbardziej samotnym człowiekiem na świecie.

– Przyjdzie ojciec do mojej matki? – wyszeptała.

Konstanty drgnął i zerknął na boki.

– Płacze. Nie może przestać.

Nie odpowiedział, wyteżał wszystkie zmysły. Kiedy ludzie wyszli z cerkwi, Bóg przyszedł do niego w dymie zgaszonych świec.

– Pięknie. – Pod wpływem tego szeptu dym wił się małymi strużkami po podłodze. – Byli tacy przerażeni. – Głos wydawał się niemal radosny. Konstanty milczał. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie oszalał i czy ten głos nie wypełza z jego serca. Ale nie, oczywiście, że nie. To tylko twoja nikczemność wątpi, Konstanty Nikonowiczu.

– Cieszę się, że zstąpiłeś między nas, by poprowadzić swój lud ku prawości – szepnął Konstanty.

Głos nie odpowiedział, teraz cerkiew była cicha.

Konstanty odwrócił się w stronę Iriny.

– Tak, przyjdę.

– Przyszedł ojciec Konstanty – oznajmiła Irina, wprowadzając go do pokoju matki. – On cię pocieszy. Pójdę po kolację, Wasia już przypala mleko. – Wybiegła z izby.

– W cerkwi, *batiuszka*? – załkała Anna Iwanowna, kiedy zostali sami. Leżała w łóżku, otulona futrami. – W cerkwi... w cerkwi nigdy...

– Głupstwa pleciesz – ofuknął ją Konstanty. – Cerkiew jest chroniona

przez Boga. W cerkwi mieszka tylko Bóg, jego święci i aniołowie.

– Ale ja widziałam...

– Nic nie widziałaś! – Położył dłoń na jej policzku. Zadrżała jak spłoszony koń. Zniżył głos, nadając mu hipnotyczny ton. Palcem wskazującym musnął jej usta. – Nic nie widziałaś, Anno Iwanowno.

Uniosła drżącą rękę i dotknęła jego dłoni.

– Nie będę nic widziała, jeśli tak rozkażesz, *batiuszka*. – Zarumieniła się jak dziewczyna. Włosy miała pociemniałe od potu.

– Zatem rozkazuję ci niczego nie widzieć – powiedział Konstanty i zabrał rękę.

– Widzę ciebie – wyszeptała. To było ledwie tchnienie. – Czasami widzę tylko ciebie. W tym strasliwym miejscu, gdzie panują mróz, potwory i głód. Jesteś moim światłem. – Znowu chwyciła jego rękę i podparła się na łokciu. Łzy napłynęły jej do oczu. – Proszę, *batiuszka* – wyszeptała. – Chcę tylko być blisko ciebie.

– Jesteś obłąkana. – Odepchnął jej rękę i się odsunął. Anna była miękka i stara, wyniszczona strachem i niespełnionymi nadziejami. – Masz męża, a ja poświęciłem się Bogu.

– Nie tak! – krzyknęła zrozpaczona. – Nigdy tak. Chcę, żebyś mnie zobaczył. – Przełknęła ślinę i wyjąkała: – Naprawdę zobaczył. Widzisz moją pasierbicę. Obserwujesz ją, tak jak ja obserwuję ciebie. Dlaczego nie mnie? Dlaczego nie ja? – Jej głos przeszedł w lament.

– Ciii. – Konstanty położył rękę na klamce. – Widzę cię. Ale, Anno Iwanowno, niewiele jest tu do zobaczenia.

Drzwi były ciężkie. Kiedy się zamknęły, stłumiły jej płacz.

Tego dnia ludzie siedzieli przy piecach, a za oknami sypał śnieg. Wasia wymknęła się jednak do koni.

– On już nadchodzi – szepnęła Mysz, spoglądając na nią z obłędem w oku.

Wasia poszła do ojca.

– Musimy wprowadzić konie za ogrodzenie – powiedziała. – Dzisiaj, przed zmierzchem.

– Po co zawracasz nam głowę, Wasiu?! – wybuchnął Piotr. Śnieg sypał gęsto, zbierając się na ich czapkach i ramionach. – Powinnaś być teraz daleko stąd. Daleko stąd i bezpieczna. Ale odstraszyłaś zalotnika i zostałaś tutaj na zimę.

Wasia nie odpowiedziała. Nie mogła, bo nagle z całą wyrazistością zobaczyła, że jej ojciec się boi. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby czegoś się bał. Miała ochotę schować się w piecu jak małe dziecko.

– Wybacz mi, ojczu – odparła, zapanowawszy nad emocjami. – Ta zima minie, tak jak wszystkie inne. Myślę jednak, że teraz, wieczorem, powinniśmy wprowadzić konie do zagrody.

Piotr odetchnął głęboko.

– Masz rację, córko. Masz rację. Chodź, pomogę ci.

Kiedy brama zamknęła się za nimi, konie trochę się uspokoiły. Wasia zaprowadziła do stajni Mysz i Wichra, podczas gdy mniej cenione konie kręciły się na podwórzu. Mały waziła chwycił ją za rękę.

– Nie zostawiaj nas, Wasiu.

– Muszę iść po zupę. Dunia woła. Ale zaraz wrócę.

Zjadła zupę skulona w głębi wąskiej przegrody Myszy i nakarmiła klacz chlebem. Potem otuliła się końską derką i liczyła cienie na ścianie stajni. Waziła siedział obok niej.

– Nie odchodź, Wasiu – prosił. – Kiedy tu jesteś, pamiętam moją siłę i pamiętam, że się nie boję.

Wasia została więc, dygocząc pomimo słomy i końskiej derki. Noc była bardzo zimna. Myślała, że w ogóle nie zaśnie.

Musiała się jednak zdrzemnąć, bo po zachodzie księżycy obudziła się przemarznięta. W stajni było ciemno. Nawet kociooka Wasia z trudem mogła dojrzeć stojącą nad nią Mysz. Przez moment panowała niczym niezmacona

cisza. Nagle z zewnątrz dobiegł cichy chichot. Mysz parsknęła i cofnęła się, rzucając głową. Wokół jej oka pojawiła się biała obwódka.

Wasia wstała w milczeniu, pozwalając opaść derce. Zimne powietrze zatapiało kły w jej ciele. Zakradła się pod drzwi stajni. Nie było księżycy, a grube chmury zasnuwały gwiazdy. Śnieg wciąż padał.

W śniegu skradał się, cicho jak spadające płatki, jakiś mężczyzna. Przemykał od cienia do cienia. Kiedy wypuszczał powietrze, śmiał się chrapliwie. Wasia podpełzła bliżej. Nie widziała jego twarzy, tylko podarte ubranie i strzechę potarganych włosów.

Zbliżył się do domu i oparł rękę o drzwi. Gdy wszedł do kuchni, Wasia krzyknęła. Nie było żadnego odgłosu ciała uderzającego o drewno, przeniknął przez drzwi jak dym.

Wasia przebiegła przez podwórze. Na ziemi skrzył się dziewiczy śnieg. Mężczyzna w łachmanach nie zostawił śladów stóp. Śnieg był gruby i miękki, nogi Wasi robiły się ciężkie, mimo to biegła i krzyczała. Zanim jednak dotarła do domu, mężczyzna wyskoczył na podwórze, lądując na czterech kończynach, gibki jak zwierzę. Chichotał.

– Och, minęło tyle czasu – odezwał się. – Ależ te ludzkie domy są słodkie i, och, jak ona wrzeszczała...

Wtem dostrzegł Wasię, a ona się zachwiała. Rozpoznała blizny i szare oko. To była twarz z ikony, ale też twarz... twarz śpiącego w lesie, przed laty. Jak to możliwe?

– A co my tu mamy? – mruknął mężczyzna. Patrzył na nią przez chwilę. Wiedziała, że ją rozpoznał. – Pamiętam małą dziewczynkę z twoimi oczami. A teraz jesteś kobietą. – Wbił w nią spojrzenie jedyne go oka, jakby chciał wydrzeć z jej duszy jakiś sekret. – To ty jesteś tą małą czarownicą, która kusi mojego sługę. Nie wiedziałem jednak... – Podchodził coraz bliżej i bliżej.

Wasia chciała uciekać, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Jego oddech cuchnął gorącą krwią, dyszał prosto w jej twarz.

– Jestem nikiem – powiedziała, zebrawszy się na odwagę. – Odejdź, zostaw nas w spokoju.

Jego wilgotne palce wystrzeliły i uniosły jej podbródek.

– Kim ty jesteś, dziewczyno? – I dodał ciszej: – Spójrz na mnie. – W jego oku kryło się szaleństwo. Wasia nie chciała patrzeć – wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić – lecz jego palce były niczym żelazne wnyki i lada chwila będzie musiała...

Nagle pochwyciła ją i odciągnęła lodowata dłoń. Poczowała zapach zimnej wody i sosnowych szyszek. Nad głową usłyszała głos:

– Jeszcze nie, bracie. Wracaj.

Wasia nie mogła zobaczyć mówiącego, nie licząc zakrzywionej linii czarnej peleryny, widziała natomiast wyraźnie tego drugiego – jednookiego mężczyznę. Szcherzył zęby, kulił się i śmiał.

– Jeszcze nie? Ale już pora, bracie – powiedział. – Już pora. – Mrugnął do Wasi i zniknął. Czarna peleryna wokół niej stała się całym światem. Było jej zimno, gdzieś rżał koń, a w oddali ktoś przeraźliwie wrzeszczał.

Nagle Wasia obudziła się, zeszywniała i dygocząca na klepisku w stajni. Mysz przyciskała ciepłe chrapy do jej twarzy. Mimo że już nie spała, nadal słyszała krzyk. Trwał i trwał. Zerwała się na nogi, otrząsając z koszmarne snu. Konie w przegrodach rżały i kopały, rozłupując ściany stajni. Te, które zostały na mrozie, miały się w panice. Nie było żadnego obdartego jednookiego mężczyzny. To sen, myślała Wasia. Tylko sen. Przemknęła między końmi, uchylając się przed ich napierającymi ciałami.

W kuchni wrzało jak w gnieździe wściekłych os. Bracia wtargnęli do środka na wpół obudzeni i uzbrojeni, Irina i Anna Iwanowna stały w drzwiach po drugiej stronie. Służący zegnali się znakiem krzyża, modlili albo trzymali się jeden drugiego.

Wreszcie pojawił się Piotr, duży i opanowany, z mieczem w ręku. Zaklął i precisnął się między przerażonymi służącymi.

– Cisza! – krzyknął.

Tuż za nim wpadł do kuchni ojciec Konstanty.

Mała Agafia, służąca, siedziała wyprężona na sienniku i wciąż krzyczała.

Dłońmi o zbielełych knykciach kurczowo ścisnęła wełniany koc. Przygryzła dolną wargę tak mocno, że po jej brodzie spływała krew, wytrzeszczyła dziko oczy. Jej wrzask przecinał powietrze niczym sople spadające z okapów.

Wasia przepchnęła się przez wyleknioną ciżbę i chwyciła dziewczynę za ramiona.

– Agafio, posłuchaj mnie, posłuchaj, już dobrze. Jesteś bezpieczna. Wszystko dobrze. Cicho już. Cicho. – Trzymała ją mocno i po chwili Agafia jęknęła i ucichła, skupiając na Wasi spojrzenie wytrzeszczonych oczu. Przełknęła ślinę. Próbowiła coś powiedzieć. Wasia wyteżyła słuch.

– Przyszedeł po moje grzechy – wykrztusiła. – On... – Z trudem złapała oddech.

Między ludźmi przecisnął się mały chłopiec.

– Mamo! – zawołał. – Mamo!

Rzucił się ku Agafii, ale ona nie zwracała na niego uwagi.

Nagle pojawiła się Irina z zafrasowaną twarzą.

– Ona zemdlęła – rzekła poważnie. – Potrzebuje powietrza i wody.

– To tylko koszmarny sen – powiedział ojciec Konstanty do Piotra. – Najlepiej zostawić ją z kobietami.

Mozliwie, że Piotr coś odpowiedział, jednak nikt tego nie usłyszał, bo teraz krzyknęła Wasia. Wszyscy zamarli. Strach powrócił

Wasia wyglądała przez okno.

Nagle...

– Nie – powiedziała niespodziewanie spokojnie. – Wybaczcie. Ja... to nic. Nic takiego.

Piotr ścisnął brwi. Służący spoglądali na nią podejrzliwie i szeptali między sobą. Dunia przydreptała do Wasi, powłóczę nogami, w jej piersi szeleścił płytki oddech.

– Kiedy pogoda się zmienia, dziewczęta zawsze mają koszmary – wysapała na tyle głośno, że wszyscy ją usłyszeli. – Idź, dziecino, przynieś

wody i miodu. – Rzuciła Wasi ostre spojrzenie.

Wasia nie odpowiedziała. Raz jeszcze zerknęła w stronę okna. Mogłaby przysiąc, że przez moment widziała twarz. To niemożliwe, to była twarz z jej snu, naznaczona sinymi bliznami i jednooka. Szczyrzyła do niej zęby i mrugała przez migoczący lód.

Rankiem, gdy tylko zrobiło się jasno, Wasia poszła odnaleźć domowika. Szukała, wymigując się od pracy, aż blade słońce było już wysoko i nastało krótkie popołudnie. Kiedy udało jej się ukradkiem wyciągnąć stworka z pieca, słońce zachodziło. Jego broda tliła się na brzegach, był chudy i zgarbiony, ubranie miał podarte, a minę zgnębiającą.

– Ubiegłej nocy – zaczęła Wasia, ściskając oparzoną dłoń – przyśniła mi się twarz, a potem zobaczyłam ją za oknem. Miała jedno oko i się uśmiechała. Kto to był?

– Obłąd – wymamrotał domowik. – Apetyt. Śpioch, żarłok. Nie udało mi się go powstrzymać.

– Musisz bardziej się starać – syknęła Wasia.

Wzrok domowika zmętniał.

– Jestem słaby – wybełkotał. – Strażnik lasu też jest słaby. Nasz wróg poluzował łańcuch. Wkrótce będzie wolny. Nie zdołam go powstrzymać przed wejściem do domu.

– Kto jest tym wrogiem?

– Apetyt – mamrotał domowik. – Obłąd. Terror. On chce pożreć świat.

– Jak mogę go obronić? – pytała Wasia natarczywie. – Jak chronić dom?

– Dary... Chleb i mleko mnie wzmocnią, i może krew. Ale ty jesteś samotną dziewczyną i nie mogę czerpać z ciebie życia. Zgasnę. Żarłok znów tu przyjdzie.

Wasia złapała domowika i potrząsnęła nim, aż zadzwoniły mu zęby. Zmętniałe spojrzenie się wyostrzyło i przez chwilę wyglądał na zdziwionego.

– Nie zgaśniesz – ucięła Wasia. – Możesz czerpać ze mnie życie. I zrobisz to! Jednooki, ten żarłok, już nigdy nie wejdzie do domu. Nie dopuszczę do tego.

Nie było mleka, więc Wasia ukradła kawałek chleba i wetknęła w dłoń domowika. Zrobiła to tego wieczoru i odtąd robiła już zawsze, odejmując sobie od ust. Rozcięła dłoń i wysmarowała krwią progi, parapety i podłogę koło pieca. Przycisnęła zakrwawioną rękę do ust domowika.

Jej żebra sterczały, oczy się zapadły, nocami dręczyły ją koszmary. Jednak noce mijały szybko – jedna, dwie, tuzin – i nikt już nie wrzeszczał z powodu czegoś, czego nie było. Osłabiony domowik jakoś się trzymał, a ona napełniała go swoją siłą.

Mała Agafia już nigdy nie powiedziała niczego, co miałoby sens. Czasami zwracała się z błaganiem do istot, których nikt inny nie mógł zobaczyć: do świętych i aniołów, i do jednookiego niedźwiedzia. Później bredziła o mężczyźnie i białym koniu. Pewnej nocy wybiegła z domu, z sinymi ustami upadła w śnieg i umarła.

Kobiety przygotowały ciało w takim pośpiechu, na jaki pozwalała przyzwoitość. Ojciec Konstancy czuwał przy zmarłej ze zbielełymi wargami, z pochyloną głową i nieodgadnionym wyrazem twarzy. Choć klęczał przy niej godzinami, ani razu nie modlił się głośno. Zupełnie jakby słowa nie chciały mu przejść przez zaciśnięte gardło.

Pochowali Agafię w krótki zimowy dzień, a wokół nich jęczał las. W szybko zapadającym zmroku wrócili do domów, by skupić się przy piecach. Syn Agafii płakał za matką, a jego lament wisiał nad cichą wioską niczym mgła.

W nocy po pogrzebie sen dopadł Dunię jak choroba, jak zęby drapieznika. Stała w martwym lesie naszpikowanym pniakami poczerniałych drzew. Tłusty dym zasnuwał drżące gwiazdy, na tle śniegu migotał ogień. Twarz demona mrozu była niczym maska-czaszka o napiętej skórze. Jego szept

przeraził Dunię bardziej niż krzyk.

– Dlaczego zwlekałaś?

Dunia zebrała wszystkie siły i powiedziała:

– Kocham ją. Jest dla mnie jak córka. Ty jesteś zimą, Morozko. Śmiercią. Jesteś zimny. Nie możesz jej mieć. Odda życie Bogu.

Demon mrozu zaśmiał się z goryczą.

– Umrze w ciemności. Z każdym dniem moc mojego brata jest coraz większa. A ona widziała go wtedy, kiedy widzieć nie powinna. Teraz wie, kim ona jest. Zabije ją, jeśli zdoła, i zabierze ze sobą. Dopiero wtedy będziesz mogła mówić o potępieniu. – Głos Morozki nieco złagodniał. – Mogę ją ocalić. Mogę ocalić was wszystkich. Ona jednak musi mieć klejnot. W przeciwnym razie...

I Dunia zobaczyła, że ten migoczący ogień to jej płonąca wioska. Las wypełnił się pełzającymi cieniami, których twarze znała. Największym z nich był szczerzący zęby jednooki mężczyzna, a obok niego stała inna postać, wysoka i szczupła, trupioblada, z włosami jak topielica. „Pozwoliłaś mi umrzeć”, powiedziało widziadło głosem Wasi, a jego zęby błysnęły między zakrwawionymi wargami.

Dunia stwierdziła, że w wyciągniętej ręce ściska naszyjnik. Był maleńkim jasnym punkcikiem w bezkształtnym mrocznym świecie.

– Nie wiedziałam – wyjąkała Dunia. Wyciągnęła rękę z naszyjnikiem do martwej dziewczyny. – Weź go, Wasiu. Wasiu! – Jednooki tylko się zaśmiał, a dziewczyna nie dawała znaku życia.

Wtedy demon mrozu stanął pomiędzy nią a tymi okropieństwami i twardymi lodowatymi rękami chwycił ją za ramiona.

– Nie masz zbyt dużo czasu, Awdotio Michajłowno – powiedział. – Kiedy ujrysz mnie następnym razem, przywołam cię i pójdiesz za mną. – Jego głos był głosem lasu, miała wrażenie, że rozbrzmiewa echem w jej kościach, wibruje w gardle. Poczula, że jej żołądek kurczy się ze strachu i poczucia nieuchronności. – Możesz ją jednak ocalić, zanim odejdiesz – ciągnął. –

Musisz ją ocalić. Daj jej ten naszyjnik. Ocal ich wszystkich.

– Zrobię to – wyszeptała Dunia. – Będzie tak, jak mówisz. Przysięgam. Przysięgam...

A wtedy obudził ją własny głos.

Wciąż jednak czuła chłód spalonego lasu i dotyk demona mrozu. Dygotała tak, że można by pomyśleć, iż kości wypadną jej przez skórę. Przez cały czas widziała demona mrozu, skupionego i zrozpaczonego, oraz śmiejącą się twarz jego brata, jednookiego potwora. Te dwie twarze zlały się w jedną. Niebieski kamień w jej kieszeni zdawał się płonąć lodowatym płomieniem. Kiedy zacisnęła na nim dłoń, jej skóra popękała i poczerniała.



20.

Podarunek od nieznajomego

Podczas tych krótkich metalicznych dni codziennie o brzasku Wasia chodziła do koni, tylko trochę później niż ojciec. To ich łączyło, pełna pasji troska o zwierzęta. Na noc konie umieszczano w zagrodzie, gdzie były bezpieczne, a tyle, ile się tylko mieściło, znajdowało schronienie w solidnej stajni. W dzień puszczano je luzem i musiały radzić sobie same, wędrując po szarych pastwiskach i wygrzebując trawę spod śniegu.

W pewien pogodny mroźny poranek, niedługo przed zimowym przesileniem, Wasia zapędziła konie na łąkę, jadąc na oklep na Myszy i zachęcając je okrzykami. Kiedy zwierzęta się rozbiegły, zsiadła z klaczy i przyjrzała jej się ze zmarszczonym czołem. Przez brązową sierść widać było żebra, nie z braku jedzenia, lecz z wyczekiwania.

– On znowu przyjdzie – powiedziała klacz. – Czujesz to?

Wasia nie miała tak dobrego węchu jak konie, ale ustawiła się pod wiatr. Przez chwilę dławił ją w gardle odór gnijących liści i zarazy.

– Tak – odrzekła ponuro, kaszląc. – Psy też to czują. Skomlą, kiedy są wypuszczane, i chcą wracać do kojców. Ale nie pozwolę mu was skrzywdzić.

Chodziła od konia do konia z suszonymi skórkami jabłek, gorącymi okładami i czułymi słowami. Mysz dreptała za nią jak pies. Trzymający się nieco z boku Wicher rozgrzebywał ziemię kopytem i rzucał wyzwanie czekającemu lasowi.

– Spokojnie – powiedziała Wasia. Podeszła do konia i położyła dłoń na jego gorącej szyi. Był wściekły jak ogier, który dostrzegł rywala wśród swoich klaczy, i omal jej nie kopnął, lecz w porę się opamiętał.

– Niech tu przyjdzie! – Stanął dęba i wierzgał przednimi nogami. – Tym razem go zabiję.

Wasia uchyliła się przed kopytami i przywarła do niego całym ciałem.

– Zaczekaj – wyszeptała.

Koń odwrócił się, kłapiąc zębami, lecz nie mógł jej dosięgnąć. Starła się mówić cicho.

– Zachowaj swoją siłę. – Ogiery słuchają klaczy, więc Wicher opuścił głowę. – Musisz być silny i spokojny, kiedy przyjdzie pora – powiedziała Wasia.

– Twój brat – oznajmiła Mysz.

Wasia odwróciła się i zobaczyła Aloszę bez czapki biegnącego w jej stronę.

W jednej chwili oparła przedramię za kłębem Myszy i już siedziała na jej grzbiecie. Klacz galopowała przez pole, rozbryzgując zamarznięty śnieg. Gdy dotarły do solidnego ogrodzenia pastwiska, Mysz z łatwością przez nie przeskoczyła i pędziła dalej.

Wasia spotkała się z Aloszą tuż za płotem.

– Chodzi o Dunię – wysapał Alosza. – Nie może się obudzić. Wciąż mamrocze twoje imię.

– Chodźmy – rzuciła Wasia i razem popędzili do domu.

W kuchni było gorąco. W piecu huczało, a otwór paleniska wyglądał niczym rozdziawione usta. Dunia leżała na górze pieca, oczy miała otwarte, o niewidzącym spojrzeniu, była nieruchoma, jeśli nie liczyć drgających dłoni. Od czasu do czasu coś mamrotała. Jej krucha skóra opinała kości tak ciasno, że Wasi wydawało się, iż widzi krążącą w jej żyłach krew. Szybko wdrapała

się na piec.

– Duniu, Duniu, obudź się! To ja, Wasia.

Otwarte oczy mrugnęły raz, ale to wszystko. Wasia poczuła przyptyw paniki, opanowała się jednak. Irina i Anna klęczały obok siebie w kącie przed ikoną i się modliły. Po twarzy Iriny płynęły łzy. Kiedy płakała, nie była ładna.

– Gorącej wody! – krzyknęła Wasia, odwracając się. – Irino, na litość boską, modlitwa jej nie ogrzeje. Ugotuj zupę.

Anna rzuciła w jej stronę zjadliwe spojrzenie, Irina jednak z zadziwiającą szybkością poderwała się na nogi i napełniła garnek wodą.

Przez cały ten dzień Wasia siedziała obok Duni, skulona na piecu. Owinęła kocami skurczone ciało niani i próbowała wlać jej do gardła trochę bulionu. Zupa jednak wypływała jej z ust, a Dunia nie odzyskiwała przytomności. Przez cały ten długi dzień chmury zasnuwały niebo, przesłaniając światło.

Późnym popołudniem Dunia wciągnęła gwałtownie powietrze, jakby zamierzała połknąć cały świat, i chwyciła dłonie Wasi. Dziewczyna szarpnęła się zaskoczona. Zdumiała ją siła uścisku staruszki.

– Duniu – wyszeptała.

Wzrok niani błędził gdzieś daleko.

– Nie wiedziałam... Nie wiedziałam – mamrotała.

– Wydobrzejesz – zapewniła ją Wasia.

– On ma jedno oko. Nie, ma niebieskie oczy. Są tacy sami. To bracia. Wasiu, pamiętaj... – Nagle rozluźniła palce, jej dłoń opadła na koc i Dunia leżała nieruchomo, nadal coś mamrocząc.

Wasia łyżeczką wlała jej do gardła trochę bulionu. Irina przez cały czas dokładała do pieca, lecz wraz z zanikającym światłem dnia zanikał również puls staruszki.

– Jeszcze nie – mówiła do pustego kąta, a czasami płakała. – Proszę... Proszę...

Nagle przestała mamrotać i tylko leżała z otwartymi oczami.

Dzień powoli dogasał, w domu i w wiosce zapadła cisza. Alosza poszedł po drewno na opał, a Irina do swojej opryskliwej matki.

Kiedy ciszę przerwał głos Konstantego, Wasia omal nie wyskoczyła ze skóry.

– Czy ona żyje? – spytał. Cienie spowijały go niczym opończa.

– Tak – odrzekła Wasia.

– Będę się za nią modlił.

– Nie będziesz! – wybuchnęła Wasia, zbyt zmęczona i przestraszona, by bawić się w uprzejmości. – Ona nie umrze.

Konstanty podszedł bliżej.

– Mogę ulżyć jej w bólu.

– Nie – powtórzyła dziewczyna. Zbierało jej się na płacz. – Ona nie umrze. Na twoją miłość do Boga zaklinam cię, odejdz.

– Ona umiera, Wasiliso Pietrowno. To moja rola.

– Nieprawda! – Wasia z trudem wydobywała głos. – Nie umiera. Uratuję ją.

– Do rana umrze.

– Chcesz, żeby ludzie cię kochali, więc budzisz w nich strach. – Wasia była blada z wściekłości. – Nie pozwolę, żeby Dunia się bała. Wyjdz!

Konstanty otworzył usta, lecz po chwili je zamknął, odwrócił się gwałtownie i wyszedł z kuchni.

Wasia natychmiast o nim zapomniała. Dunia wciąż nie odzyskiwała przytomności. Leżała nieruchomo, puls był ledwie wyczuwalny, podobnie jak jej oddech na drżącej dłoni Wasi.

Zapadła noc. Wrócili Alosza i Irina. Gdy podano wieczorny posiłek, kuchnię na chwilę wypełnił stłumiony gwar. Wasia nie mogła nic przełknąć. Potem kuchnia opustoszała i zostało tylko ich czworo: Dunia, Wasia, Irina i Alosza. Dwoje ostatnich zasnęło na piecu. Wasi też głowa zaczęła opadać.

– Wasiu – odezwała się nagle Dunia słabym głosem.

Wasia ocknęła się ze szlochem.

– Już ci lepiej, Duniaszka? Wiedziałam, że tak będzie.

Dunia uśmiechnęła się bezzębny uśmiechem.

– Tak... On czeka.

– Kto czeka?

Staruszka nie odpowiedziała. Z trudem łąpała powietrze.

– Wasoczka, mam coś, co twój ojciec kazał mi dla ciebie przechować. Muszę dać ci to teraz.

– Później, Duniaszka. Teraz musisz odpoczywać.

Dunia jednak grzebała sztywną dłonią w kieszeni spódnicy. Wasia rozchyliła kieszeń, by jej pomóc, i wyjęła coś twardego, owiniętego w kawałek miękkiego materiału.

– Odwiń – wyszeptała Dunia. Wasia posłuchała. Naszyjnik zrobiony był z bladego lśniącego metalu jaśniejszego niż srebro i miał kształt śnieżynki albo wieloramiennej gwiazdy. W środku płonął srebrzystoniebieski klejnot. Anna nie miała klejnotów, które mogłyby się z nim równać. Wasia nigdy nie widziała czegoś tak pięknego.

– Co to jest? – spytała oszołomiona.

– Talizman – odparła Dunia, oddychając z trudem. – Jest w nim ukryta moc. Schowaj go. Nikomu o nim nie mów. Jeśli ojciec cię spyta, powiedz, że nic o tym nie wiesz.

Obłąd. Między brwiami Wasi pojawiła się bruzda, założyła jednak wisiołek na szyję. Zawisnął między jej piersiami, niewidoczny pod ubraniem. Nagle Dunia zeszywniała, a jej chude palce wbiły się w ramię Wasi.

– Jego brat – syknęła. – Jest zły, że masz ten naszyjnik. Wasiu, Wasiu, musisz... – Zakrztusiła się i umilkła.

Z zewnątrz dobiegł przeciągły szaleńczy chichot.

Wasia zamarła, serce jej waliło. Znowu? Poprzednim razem tylko mi się

śniło.

Rozległo się szuranie, jakby ktoś powłóczył nogami. Znów i znów. Wasia przełknęła ślinę i bezgłośnie zsunęła się z pieca. W otworze paleniska kucał domowik, wąły i czujny.

– Nie może wejść do środka. Nie wpuszczę go. Nie ma mowy – powiedział zapalczywie.

Wasia położyła dłoń na jego głowie, po czym zakradła się pod drzwi. Zimą na dworze nic nie cuchnie zgnilizną, mimo to na progu Wasia poczuła woń rozkładu, od której skręcił jej się pusty żołądek. Jej mostek, w miejscu gdzie spoczywał klejnot, przeszył palący chłód. Wydała cichy okrzyk bólu. Obudzić Aloszę? Obudzić cały dom? Ale co to jest? Domowik twierdzi, że nie wpuści tego do środka.

Wyjdę i zobaczę, postanowiła Wasia. Nie boję się. Wymknęła się przez kuchenne drzwi.

– Nie – szepnęła Dunia z pieca. – Wasiu, nie... – Odwróciła lekko głowę. – Ocal ją – wyszeptała w pustkę. – Ocal ją, nie dbam o to, czy twój brat po mnie przyjdzie.

Cokolwiek to było, strasznie cuchnęło: śmiercią, zarazą i rozgrzanym metalem. Wasia szła śladem powłóczących nóg. Tam – szybki ruch w cieniu domu. Ujrzała coś jakby kobietę, małą i zgarbioną, odzianą w białą szatę ciągnącą się po śniegu. Poruszała się niezgrabnie, jakby nie miała pełnej władzy w kończynach.

Wasia zebrała całą odwagę i podkraśla się bliżej. Dziwna istota przemykała od okna do okna, zatrzymując się pod każdym, czasami wyciągając drżącą rękę, nigdy jednak nie dotykając parapetu. Pod ostatnim oknem – w izbie popa – wyprężyła się i jej oczy zaśniły czerwonym blaskiem.

Przerażona Wasia puściła się biegiem. Domowik twierdził, że nie pozwoli, by to coś weszło do domu, lecz cios bladej pięści wypchnął szybę z ramy.

W świetle księżyca Wasia zobaczyła błysk szarej skóry. Powłóczyta biała szata okazała się całunem, pod spodem postać była naga.

Martwe, pomyślała Wasia. To coś jest martwe.

Sine szarawe ręce chwyciły się wysokiego parapetu okna Konstantego i postać – kobieta, gdyż Wasia dostrzegła przelotnie długie splątane włosy – wpadła do izby. Wasia zawahała się pod oknem, po czym, podciągając się z nadludzką siłą, wpadła do środka. W izbie było czarno. Zjawa przycupnęła złowieszczo nad postacią rzucającą się na łóżku.

Cienie na ścianie wydawały się pęcznieć, jakby miały wyskoczyć z drewna. Wasia miała wrażenie, że słyszy głos: „Dziewczyna! Zostaw go, on już i tak jest mój. Bierz dziewczynę, bierz ją...”.

Ból w mostku pchał ją do działania, klejnot palił piekącym chłodem. Wasia bez namysłu podniosła rękę i krzyknęła. Zjawa na łóżku odwróciła się gwałtownie, twarz miała czarną od krwi.

– Bierz ją! – warknął głos-cień. Gdy zjawa szykowała się do skoku, jej zęby błysnęły w świetle księżyca.

Nagle Wasia uświadomiła sobie, że obok niej ktoś stoi – nie martwa kobieta i nie głos dobiegający z cieni na ścianie, lecz mężczyzna w ciemnej pelerynie. W mroku nie mogła dojrzeć jego twarzy. Ktokolwiek to był, złapał ją za rękę, wbijając palce we wnętrze jej dłoni. Zdusiła krzyk.

– Jesteś martwa – zwrócił się przybysz do zjawy. – A ja wciąż jestem panem. Odejdź. – Jego głos był niczym śnieg o północy.

Martwa postać na łóżku skuliła się i zawyła. Cienie na ścianie wirowały w zgiełkowej furii, warcząc zajadle:

– Nie, nie słuchaj go, on jest nikim! To ja jestem panem! Bierz ją, bierz...

Wasia poczuła, że skóra jej dłoni pęka i na podłogę kapie krew. Ogarnęła ją szaleńcza radość.

– Odejdź – zwróciła się do zjawy, jakby od zawsze znała te słowa. – Moja krew broni ci dostępu do tego domu.

Zacisnęła dłoń na dłoni tego, który ją trzymał, i poczuła, że jest śliska od

jej krwi. Przez moment ta druga dłoń była realna, zimna i twarda. Wasia wzdrygnęła się i spojrzała w bok, jednak nikogo tam nie było.

Cienie na ścianie nagle jakby się skurczyły, drżące i krzykliwe, a wargi zjawy odsłoniły długie cienkie zęby. Wrzasnęła na Wasię i skierowała się w stronę okna. Dopadła parapetu, zeskoczyła w śnieg i popędziła do lasu szybciej niż galopujący koń, a splątane brudne włosy powiewały za nią.

Wasia tego nie widziała. Podeszła do łóżka, odgarnęła brudne koce i wypatrywała rany na odsłoniętej szyi popa.

Tego wieczoru głos Boga nie przemówił do Konstantego Nikonowicza. Pop modlił się samotnie długie godziny, lecz jego myśli nie chciały skupić się na wyświechtanych słowach. Wasilisa się myli, myślał Konstanty. Czym jest odrobina strachu, jeśli niesie zbawienie ich duszom?

Niewiele brakowało, a wróciliby do kuchni, by jej to powiedzieć. Był jednak zbyt zmęczony i został w swojej izbie. Klęczał w kącie, nawet kiedy zrobiło się zbyt ciemno, by dojrzeć łuszczące się złoto ikony.

Tuż przed wschodem księżyca położył się do łóżka i przyśnił mu się sen.

W tym śnie z drewnianego obrazu zstąpiła łagodnooka Maria Panna z twarzą opromienioną niebiańskim światłem. Uśmiechała się. Ponad wszystko pragnął poczuć jej dłoń na swojej twarzy, otrzymać błogosławieństwo. Pochyliła się nad nim, lecz nie poczuł dotyku jej dłoni. Usta musnęły jego czoło, dotknęły oczu. Wzięła go pod brodę, odnalazła ustami jego usta i zaczęła go całować. Nawet we śnie wstyd walczył z pożądaniem. Próbował ją odepchnąć, lecz nie robił tego zbyt zdecydowanie. Jej błękitne szaty były ciężkie, a ciało, które przywarło do jego ciała, gorące niczym węgiel. W końcu uległ i z jękiem rozpaczony zwrócił twarz ku jej twarzy. Uśmiechnęła się tuż przy ustach popa, jakby jego udręka sprawiła jej przyjemność. Z prędkością jastrzębia spadającego na ofiarę przesunęła usta na jego szyję. Nagle wrzasnęła przeraźliwie, a Konstanty obudził się gwałtownie, przygwożdżony drżącym ciężarem.

Pop zaczerpnął powietrza i się zakrztusił. Kobieta syknęła i stoczyła się z niego. Zdążył dojrzeć splątane włosy i na wpół ukryte oczy przypominające rubiny. Kobięca postać skierowała się w stronę okna. Nagle zobaczył w izbie dwie inne postacie: jedną rysującą się na niebiesko, drugą ciemną. Niebieska postać podeszła do niego. Resztkami sił Konstanty sięgnął po krzyż, który miał zawieszony na szyi. Podświetlona na niebiesko twarz należała do Wasilisy Iwanowny: wyglądała jak ikona, ostre rysy i ogromne oczy. Ich spojrzenia spotkały się na moment. Zaszokowany Konstanty wytrzeszczył oczy, a potem jej dłonie dotknęły jego szyi i zemdłał.

Nie został zraniony, na szyi, ramieniu i piersi nie miał żadnych śladów. Tyle wyczuła Wasia, obmacując go w ciemności, zanim rozległo się walenie do drzwi. Dopadła do okna i wyskoczyła. Zaśnieżone podwórze oświetlał księżyc. Przypadła do ziemi i skuliła się w cieniu domu, dygocząc z zimna i emocji.

Usłyszała, jak do izby wpadają mężczyźni i gwałtownie się zatrzymują. Złapawszy się parapetu, mogła zajrzeć do środka. W izbie cuchnęło zgnilizną. Pop siedział sztywno, wyprężony, trzymając się za szyję. Ojciec Wasi stał nad nim z lampą.

– Wszystko w porządku, *batiuszka*? – spytał. – Słyszeliśmy krzyk.

– Tak – odparł Konstanty łamiącym się głosem, patrząc na Piotra błędnym wzrokiem. – Tak, proszę mi wybaczyć. Musiałem krzyknąć przez sen. – Mężczyźni stojący w drzwiach popatrzyli na siebie. – Lód w oknie pękł – dodał, zsunął się z łóżka i zachwiał, stanąwszy na nogach. – Z zimna miałem złe sny.

Wasia schyliła się pośpiesznie, kiedy ich blade twarze zwróciły się w stronę jej kryjówki. Przykucnęła pod oknem w cieniu domu, wstrzymując oddech.

Usłyszała, jak jej ojciec chrząka i idzie przez izbę do okna, z którego wypadł kawał lodu. Gdy wychylił się ostrożnie, cień jego głowy i ramion

padł na Wasię, na szczęście nie spojrział w dół. Na podwórzu nic się nie poruszało. Po chwili Piotr zamknął okiennice i umieścił między nimi klin.

Ale tego już Wasia nie słyszała. Gdy okiennice się zamknęły, popędziła w stronę kuchni.

Kuchnia była ciepła i ciemna niczym matczyne łono. Wasia cichutko wślizgnęła się do środka. Wszystko ją bolało.

– Wasia? – zagadnął ją Alosza.

Wdrapała się na piec, Alosza uklękął obok niej.

– Już dobrze, Duniu – powiedziała Wasia, ujmując dłonie niani. – Nic ci nie grozi. Jesteśmy bezpieczni.

Dunia otworzyła oczy, a na jej zapadniętych ustach pojawił się uśmiech.

– Marina będzie z ciebie dumna, Wasoczka – wyszeptała. – Powiem jej, kiedy ją zobaczę.

– Nie zrobisz tego – zaprotestowała Wasia. Próbowała się uśmiechnąć, chociaż niewiele widziała przez łyzy. – Niedługo wydobrzejesz.

Staruszka uniosła zimną dłoń i z zaskakującą stanowczością odepchnęła Wasię.

– Nie wydobrzeję – powiedziała z odrobiną dawnej zaciętości. – Żyłam na tyle długo, by zobaczyć, jak wszystkie moje maleństwa dorastają, i niczego bardziej nie pragnę, niż umrzeć z ostatnią trójką moich dzieci przy boku.

Obudziła się Irina i druga ręka Duni odszukała jej małą rączkę.

Alosza położył swoją dłoń na ich splecionych dłoniach i odezwał się, zanim Wasia zdążyła zaprotestować.

– Wasiu, ona ma rację. Musisz pozwolić jej odejść. Zapowiada się okrutna zima, a ona jest znużona.

Wasia pokręciła głową, jej dłoń zadrżała.

– Proszę, kochanie – wyszeptała staruszka. – Jestem taka zmęczona.

Wasia się zawahała. Miała wrażenie, że na tę chwilę czas stanął w miejscu. Wreszcie ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

Staruszka z trudem uwolniła drugą dłoń i ścisnęła rękę Wasi.

– Twoja mama pobłogosławiła cię przed odejściem, a teraz ja zrobię to samo. Bądź spokojna. – Urwała, jakby nasłuchując. – Musisz pamiętać stare opowieści. Przygotuj kołek z jarzębinowego drewna. Wasiu, bądź ostrożna. Bądź dzielna.

Jej ręka opadła i Dunia leżała w milczeniu. Irina, Alosza i Wasia nasłuchiwali bicia jej serca. Wreszcie Dunia odzyskała przytomność i przemówiła raz jeszcze, tak cicho, że musieli się pochylić, żeby rozróżnić słowa:

– Lioszka, zaśpiewasz mi?

– Oczywiście – szepnął Alosza. Zawahał się, po czym nabrał powietrza i zaczął śpiewać.

Był kiedyś czas, cudowny czas,

Gdy kwiaty kwitły wciąż.

I długie dni,

Noce wśród gwiazd,

I ludzie tak radośni.

Dunia się uśmiechnęła. Jej oczy błyszcząły jak oczy dziecka, a w jej uśmiechu Wasia dostrzegła cień dziewczyny, którą Dunia kiedyś była.

Lecz płynie czas i zmienia nas,

I wieje wiatr z południa.

Przynosi ogień, burze, strach,

Smutek i mrok co dnia.

Na dworze zerwał się wiatr, zimny, zwiastujący śnieg.

Lecz gdzieś daleko bardzo stąd,

Gdzie kwitną żółte kwiaty,

Wschodzące słońce barwi brzeg

I złoci morską pianę.

Tam wszystko kończy się...

Nagle umilkł. Wiatr otworzył z łoskotem kuchenne drzwi i z wyciem wpadł do środka. Irina krzyknęła cicho. Razem z wiatrem pojawiła się postać w czarnej pelerynie, choć poza Wasią nikt jej nie widział. Dziewczyna wstrzymała oddech. Widziała ją już wcześniej. Postać rzuciła jej jedno długie spojrzenie, po czym wyciągnęła długie palce ku szyi Duni.

Staruszka się uśmiechnęła.

– Już się nie boję – powiedziała.

W następnej chwili zjawił się cień. Padł pomiędzy postać w pelerynie a Dunię niczym siekiera rozłupująca drewno.

– Och, bracie – przemówił głos-cień. – Tak nieostrożnie? – Cień uśmiechnął się szerokim, czarnym, ziejącym uśmiechem i wydawało się, że zamyka Dunię w uścisku szerokich ramion. Spokój na twarzy Duni zamienił się w przerażenie. Oczy wyszły jej na wierzch, twarz przybrała jaskrawoczerwony odcień. Wasia uklękła przerażona, dezorientowana, wstrząsana szlochem.

– Co ty robisz?! – krzyknęła. – Nie! Puść ją!

Do kuchni znowu wtargnął wiatr, najpierw zimowy, a potem wilgotny, taki, jaki pojawia się przed letnią burzą.

Ucichł tak szybko, jak się zerwał, zabierając zarówno cień, jak i mężczyznę w czarnej pelerynie.

– Wasiu... – Alosza przerwał ciszę. – Wasiu.

Do kuchni wbiegli Piotr i Konstanty, a za nimi reszta mężczyzn. Piotr był zaczerwieniony od mrozu. Po tym, co wydarzyło się w izbie popa, nie poszedł już spać, tylko patrolował śpiącą wioskę. Wszyscy usłyszeli krzyk Wasi.

Wasia popatrzyła na Dunię. Niania nie żyła.

– Umarła w strachu – powiedziała bardzo cicho rozdygotana Wasia. –

Umarła w strachu.

– Chodź, Wasoczka – powiedział Alosza. – Zejdźmy stąd.

Próbował zamknąć Duni oczy, lecz były zbyt wytrzeszczone. Ostatnim, co zobaczyła Wasia, zanim zeszła z pieca, było przerażenie malujące się na twarzy Duni.



21.

Nieczule dziecko

Położyli Dunię w łaźni, a o świcie zjawily się kobiety, hałaśliwe jak gdaczące kury. Umyły jej wysuszone ciało, owinęły w płótno i zasiadły, by przy niej czuwać. Irina klęczała zapłakana, opierając głowę na kolanach matki. Ojciec Konstanty także klęczał, nie sprawiał jednak wrażenia, że się modli. Twarz miał białą jak płótno. Raz po raz drżącą ręką dotykał szyi.

Wasi nie było. Kobiety jej szukały, lecz nigdzie nie mogły znaleźć.

– Zawsze była łobuzicą – szeptała jedna do drugiej – ale nie sądziłam, że posunie się aż do tego.

Jej przyjaciółka przytaknęła posępnie z zaciśniętymi ustami. Po śmierci Mariny Iwanownej Dunia była dla Wasilisy jak matka.

– Ona ma to we krwi – stwierdziła kobieta. – Widać to w jej twarzy. Ma oczy czarownicy.

O brzasku Wasia wymknęła się z domu z łopata na ramieniu. Twarz miała ściągniętą. Poczyniła wstępne przygotowania, po czym poszła szukać brata. Alosza rąbał drewno na opał. Siekiera opadała ze świstem z taką siłą, że polana strzelały na boki i leżały rozrzucone w śniegu wokół niego.

– Lioszka, potrzebuję twojej pomocy.

Alosza zamrugał na widok siostry. Płakał. W jego brązowej brodzie lśniły kryształki lodu. Było bardzo zimno.

– Co, Wasiu?

– Dunia wyznaczyła nam zadanie.

Młody mężczyzna zacisnął szczęki.

– To nie jest właściwy moment – powiedział. – Dlaczego tu jesteś? Kobiety czuwają przy zmarłej. Powinnaś być z nimi.

– Zeszłej nocy w domu był upiór. Jak w opowieściach Duni. Zjawił się, kiedy umierała.

Alosza milczał. Wasia spojrzała mu w oczy. Gdy znów zamachnął się siekierą, jego knykcie zbieleły.

– Odpędziłaś potwora, co? – mruknął sarkastycznie między kolejnymi uderzeniami. – Moja mała siostrzyczka? Zupełnie sama?

– Dunia mi kazała – wyjaśniła Wasia. – Powiedziała, że mam pamiętać stare opowieści. Przygotować kołek z jarzębinowego drewna. Tak powiedziała, pamiętasz? Proszę, braciszku.

Alosza przerwał rąbanie.

– Co mamy robić?

– Musimy się go pozbyć. – Wasia odetchnęła głęboko. – Musimy poszukać naruszonych grobów.

Alosza zmarszczył czoło. Wasia miała zbielełe wargi, a jej oczy przypominały wielkie czarne dziury.

– Cóż, zobaczymy. Chodźmy przekopać cmentarz. Naprawdę minęło zbyt dużo czasu, odkąd ojciec ostatnio złożył mi skórę.

Ułożył drewno w stos, a na czubku wbił siekierę.

W ciągu godziny poprzedzającej świt padało. Na cmentarzu nie było widać nic poza nieokreślonymi wzgórkami pod skrzącą się połacią zasp. Alosza zerknął na siostrę.

– Co teraz?

Usta Wasi drgnęły.

– Dunia zawsze twierdziła, że najlepsze w poszukiwaniu upiorów są prawiczki. Chodzi się w kółko, dopóki nie natrafi się na właściwy grób. Zechcesz prowadzić, braciszku?

– Obawiam się, że nie masz szczęścia, Wasoczka – odrzekł Alosza nieco szorstko. – To trwa już od jakiegoś czasu. Czy musimy porwać jakiegoś wiejskiego chłopca?

Wasia zrobiła cnotliwą minę.

– Tam, gdzie większa cnota zawodzi, mniejsza musi starać się, jak może – oznajmiła i ruszyła pierwsza między skrzące się groby.

Szczerze powiedziawszy, wątpiła, czy cnota ma tu cokolwiek do rzeczy. Smród unosił się nad cmentarzem niczym gęsta mgła i nie minęło wiele czasu, gdy Wasia stanęła, krztusząc się, w znajomym zakątku. Popatrzyli z Aloszą na siebie i jej brat zaczął kopać. Ziemia powinna być stwardniała od mrozu, była jednak wilgotna i świeżo przerzucona. Gdy Alosza odgarnął śnieg, smród uderzył z taką siłą, że chłopak odwrócił się, walcząc z mdłościami. Po chwili zacisnął jednak usta i wbił łopatę w ziemię. Zaskakująco szybko odkopali głowę i tors postaci owiniętej w całun. Wasia wyjęła mały nożyk i rozcięła materiał.

– Matko Boska! – wykrzyknął Alosza, odwracając głowę.

Wasia milczała. Skóra małej Agafii miała szarobiały trupi odcień, jednak jej usta były czerwone jak maliny, pełne i nabrzmiące, jak nigdy za życia. Rzęsy rzucały koronkowe cienie na zapadnięte policzki. Sprawiała wrażenie, jakby spała spokojnie w ziemnym łożu.

– Co robimy? – spytał Alosza. Był bardzo blady i wstrzymywał oddech.

– Kołek prosto w usta – powiedziała Wasia. – Zrobiłam go dziś rano.

Alosza wzdrygnął się, lecz uklęknął. Wasia opadła na kolana obok niego, ręce jej drżały. Kołek był nierówny, lecz ostry. Wasia wzięła duży kamień, by użyć go jako młotka.

– Cóż, braciszku, wolisz przytrzymać jej głowę czy wbijać kołek?

Alosza był biały jak śnieg, odparł jednak:

– Jestem silniejszy od ciebie.

– To prawda – zgodziła się Wasia. Podała mu kołek i kamień, po czym rozchyliła usta trupa. Zęby, ostre jak u kota, błyszcząły niczym kościane igły.

Ich widok wytrącił Aloszę z odrętwienia. Zacisnąwszy szczęki, włożył kołek w czerwone usta i uderzył kamieniem. Trysnęła krew, która wypełniła usta upiora i spłynęła na siny podbródek. Oczy się otworzyły, ogromne i straszne, chociaż ciało ani drgnęło. Aloszy za to drgnęła ręka, nie trafił w kołek i Wasia w ostatniej chwili cofnęła palce. Gdy kamień zmiażdżył prawą kość policzkową, rozległ się nieprzyjemny chrzęst. Upiór pisnął cienko, chociaż nadal się nie poruszył.

Wasia miała wrażenie, że z lasu dobiega ryk wściekłości.

– Szybciej – ponagliła brata. – Szybciej, szybciej...

Alosza przygryzł wargi i lepiej uchwycił kamień. Twarz upiora była zmiażdżona. Raz po raz Alosza uderzał w kołek, spocony pomimo mrozu. Wreszcie czubek kołka zazgrzytał o kość, a ostatni zawzięty cios przebił czaszkę na wylot. Z otwartych oczu trupa uszło światło, kamień wypadł ze zdrtwiałych palców Aloszy. Odskoczył, z trudem łapiąc oddech. Ręce Wasi ociekały krwią i jeszcze paskudniejszymi wydzielinami. Puściła głowę Agafii i wpatrywała się w las.

– Wasiu, co się stało? – spytał Alosza.

– Wydawało mi się, że coś widziałam – wyszeptała. – Spójrz tam.

Poderwała się na nogi. Biały koń i ciemny jeździec pędzili w dal. Niemal natychmiast pochłonęły ich majaczące na horyzoncie drzewa. Wasia miała wrażenie, że dostrzega inną postać, przypominającą wielki cień i śledzącą ich wzrokiem.

– Poza nami nikogo tu nie ma, Wasiu – powiedział Alosza. – Chodź, pomóż mi ją zakopać i wyrównać śnieg. Pośpiesz się. Kobiety będą cię szukać.

Wasia kiwnęła głową i wzięła łopatę. Czoło wciąż miała zmarszczone.

– Widziałam już tego konia – mruknęła do siebie. – I jeźdźca w czarnej pelerynie. Ma niebieskie oczy.

Gdy zakopali upiora, Wasia nie wróciła do domu. Wodą ze studni zmyła z rąk ziemię i krew, poszła do stajni i skuliła się w przegrodzie Myszy. Klacz trącała ją chrapami w czubek głowy. Waziła przycupnął obok niej.

Długo tam siedziała i próbowała płakać. Wciąż widziała twarz Duni w chwili śmierci i zmasakrowaną twarz Agafii. Chciała też płakać nad ojcem Konstantym, jednak łzy nie płynęły. Czuła w środku wielką pustkę i wielką ciszę.

Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, dołączyła do kobiet w łaźni.

Wszystkie na nią naskoczyły.

– Niedbała – mówiły. – Dzika. Nieczuła. – A nieco ciszej: – Czarownica. Jak jej matka.

– Niewdzięczne z ciebie dziecko, Wasiu – triumfowała Anna Iwanowna. – Ale czego się spodziewać...

Tego wieczoru przełożyła Wasię przez stół i z zapalem machała wierzbową różgą, chociaż dziewczyna była już za duża na bicie. Irina milczała, patrzyła jednak na siostrę z wyrzutem zaczerwienionymi od płaczu oczami, co było gorsze niż słowa tamtych kobiet.

Wasia zniosła to wszystko spokojnie, nie miała siły się bronić.

Pochowali Dunię pod koniec dnia. Przez cały szybki i mroźny pogrzeb ludzie szeptali między sobą. Ojciec Wasi był wymizerowany i szary na twarzy, jeszcze nigdy nie widziała, by wyglądał tak staro.

– Dunia kochała cię jak córkę, Wasiu – powiedział później. – Akurat dziś musiałaś zniknąć na cały dzień?

Wasia milczała. Myślała o swojej zranionej dłoni, o mroźnej gwiazdzistej nocy, o klejnocie, który miała na szyi, i o upiorze w ciemności.

– Ojczy – zwróciła się do Piotra wieczorem tego samego dnia. Wieśniacy poszli już do domów. Przyciągnęła swój stołek do jego stołka. W piecu skakały czerwone płomienie, a przy palenisku, tam, gdzie zawsze siadywała Dunia, było puste miejsce. Piotr robił nową rękojeść myśliwskiego noża. Odciął małą spiralną strużynę drewna i zerknął na córkę. W świetle ognia widać było napięcie malujące się na jego twarzy. – Ojczy – powtórzyła. – Nie zniknęłabym bez potrzeby. – Mówiła tak cicho, że w gwarnej kuchni słyszał ją tylko Piotr.

– Co to była za potrzeba, Wasiu? – Odłożył nóż.

Ma taką minę, jakby bał się odpowiedzi, uświadomiła sobie Wasia i zdusiła zagmatwane wyznanie cisnące jej się na usta. Upiór jest martwy, myślała. Nie będę jeszcze bardziej obciążać ojca. Nie po to, by ocalić własną dumę. Musi być silny dla nas wszystkich.

– Ja... poszłam na grób mamy – powiedziała pośpiesznie. – Dunia prosiła, żebym pomodliła się tam za nie obie. Jest teraz z mamą. Tam... łatwiej było się modlić. W ciszy.

Ojciec wyglądał na bardziej zmęczonego niż kiedykolwiek.

– Bardzo dobrze, Wasiu. – Znów sięgnął po nóż. – To jednak nie było właściwe, iść samej, bez słowa. Ludzie teraz gadają. – Zapadła cisza. Wasia nerwowo wykręcała dłonie. – Przepraszam, dziecinko – dodał łagodniej. – Wiem, że Dunia była dla ciebie jak matka. Czy dała ci coś przed śmiercią? Pamiątkę? Błyskotkę?

Wasia zawahała się spłoszona. Dunia prosiła, żeby mu nie mówić. Ale to prezent od niego. Otworzyła usta...

W tym momencie rozległo się łomotanie do drzwi i do kuchni wpadł mężczyzna, po czym runął, na wpół zamarznięty, do ich stóp. Piotr zerwał się ze stołka. Zimową kuchnię wypełniły zdumione okrzyki. W brodzie mężczyzny z każdym jego oddechem grzechotały sople, oczy spoglądały dziko znad pokrytych plamami policzków. Leżał, dygocząc, na podłodze.

Piotr go rozpoznał.

– Co się stało? – spytał, nachylając się nad nim i chwytając go za trzęsące się ramiona. – Co się stało, Mikołaju Matwiejewiczu?

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko wciąż leżał skulony. Kiedy zdjęli mu rękawice, jego odmrożone dłonie przypominały szpony.

– Potrzebujemy gorącej wody – powiedziała Wasia.

– Skłońcie go do mówienia najszybciej, jak się da – nakazał Piotr. – Jego wioska leży dwa dni drogi stąd. Boję się myśleć, jaka katastrofa sprowadza go do nas w środku zimy.

Wasia z Iriną przez godzinę rozcierały ręce i stopy przybysza, wlewając mu jednocześnie do gardła gorący bulion. Mimo że odzyskał siły, siedział skulony przy ogniu, oddychając ciężko i nic nie mówiąc. Wreszcie przyjął jedzenie, przełykając je łapczywie, choć było gorące. Piotr starał się opanować zniecierpliwienie. Wreszcie posłaniec otarł usta i spojrzał z przestachem na swego pana lennego.

– Co cię tu sprowadza, Mikołaju Matwiejewiczu? – spytał Piotr.

– Piotrze Władimirowiczu, wszyscy zginiemy – wyszeptał Mikołaj. Twarz Piotra pociemniała. – Dwie noce temu w naszej wiosce wybuchł pożar. Nic nie zostało. Jeśli się nad nami nie zlitujesz, wszyscy zginiemy. Wielu już pomarło.

– Pożar? – powtórzył Alosza.

– Tak – potwierdził Mikołaj. – Zaczęło się od iskry z pieca i cała wioska stanęła w płomieniach. Wiał niesprzyjający wiatr, zbyt ciepły, jak na środek zimy. Nic nie mogliśmy zrobić. Wyjechałem, gdy tylko wydobyliśmy żywych ze zgliszczy. Słyszałem, jak krzyczeli, kiedy śnieg dotknął ich skóry. Lepiej by było, gdyby umarli. Szedłem cały dzień i całą noc... Co to była za noc! Słyszałem w lesie straszne odgłosy. Zupełnie jakby te krzyki szły razem ze mną. Nie mogłem przystanąć nawet na chwilę, bo bałem się, że zamarznię.

– Dzielny z ciebie człowiek – pochwalił Piotr.

Zapadła długa cisza. On nie może jechać, myślała Wasia. Nie teraz.

Wiedziała jednak, co powie ojciec. To jego ziemie, jest ich panem.

– Mój syn i ja pojedziemy tam z tobą jutro i weźmiemy tylu ludzi i tyle koni, ile to możliwe – oznajmił Piotr.

Posłaniec skinął głową. Spojrzeniem błędził gdzieś daleko.

– Dziękuję, Piotrze Władimirowiczu.

Następny dzień rozpoczął się oślepiającym niebieskobiałym blaskiem. O brzasku Piotr kazał osiodłać konie. Mężczyźni, którzy mieli iść pieszo, przywiązywali do butów rakiety śnieżne. Zimowe słońce świeciło zimnym światłem. Wokół końskich nozdrzy tworzyły się serpentyny pary, niczym węzowy oddech, z wąsów pod chrapami zwisały sopelki. Piotr wziął od służącego wodze Wichra. Koń rozchylił chrapy i machał głową, brzęcząc sopelkami.

Kola przykucnął w śniegu, żeby spojrzeć Sierioży w oczy.

– Pozwól mi jechać z tobą, tato – błagał chłopczyk. Włosy wpadały mu do oczu. Przyprowadził swojego gniadego kucyka i włożył wszystkie ubrania, jakie miał. – Jestem już duży.

– Nie jesteś duży – odparł Kola z udręczoną miną.

Z domu wybiegła Irina.

– Chodź – powiedziała, chwytając chłopca za ramię. – Twój tata wyjeżdża, odejdz.

– Jesteś tylko dziewczyną – zachnął się Sierioża. – Co ty możesz wiedzieć? Proszę, tato.

– Wracaj do domu – polecił mu Kola surowym tonem. – Odprowadź kuca do stajni i słuchaj cioci.

Sierioża jednak go nie posłuchał, tylko wybuchnął płaczem i uciekł, płosząc konie, po czym zniknął za stajnią. Kola potarł twarz dłońmi.

– Wróci, gdy zgłodnieje.

Wsiadł na konia.

– Bóg z tobą, bracie – powiedziała Irina.

– I z tobą, siostrzyczko.

Uścisnął jej dłoń na pożegnanie.

Gdy mężczyźni zaciągali poprzęgi i sprawdzali wiązania rakiet śnieżnych, skrzypiała zimna skóra. Od ich parującego oddechu zamarzały im brody. Alosza stał na skraju podwórza, a jego dobroduszną zazwyczaj twarz była posępna.

– Ty zostaniesz – powiedział Piotr. – Ktoś musi się opiekować siostrami.

– Ojczy, będziesz mnie potrzebował.

Piotr pokręcił głową.

– Zasnę spokojniej, jeśli będziesz strzegł moich dziewcząt. Wasia miewa szalone pomysły, Irina zaś jest bardzo delikatna. Poza tym, Lioszka, musisz zatrzymać Wasię w domu. Dla jej dobra. Ludzie we wsi się burzą. Proszę cię, synu.

Alosza bez słowa pokręcił głową, jednak już więcej nie prosił.

– Ojczy... Ojczy... – Koło Wichra stanęła Wasia. Na jej twarzy malowało się napięcie, włosy wydawały się jeszcze czarniejsze na tle jasnego futra jej kaptura. – Nie możesz jechać. Nie teraz.

– Muszę, Wasoczka – odrzekł znużony Piotr. Błagała go już poprzedniego wieczoru. – To moje ziemie i moi ludzie. Postaraj się zrozumieć.

– Rozumiem, ale w lesie czai się zło.

– To niedobre czasy. – Piotr westchnął. – Ale jestem panem tych ludzi.

– W lesie są upiory, chodzące trupy. Ojczy, lasy są niebezpieczne.

– Bzdury, Wasiu – uciął Piotr. Matko Boska, jeśli ona zacznie rozpowiadać takie historie we wsi...

– Trupy – powtórzyła Wasia. – Ojczy, nie możesz jechać.

Piotr chwycił ją za ramię na tyle mocno, że się wzdrygnęła. Wokół nich ludzie czekali w grupkach.

– Jesteś już za duża na bajki – warknął, chcąc przemówić jej do rozumu.

– Bajki! – wykrzyknęła Wasia zduszonym głosem. Wichra szarpnęła głową. Piotr mocniej chwycił wodze i go uspokoił. Wasia odepchnęła rękę ojca. – Widziałeś wybite okno w pokoju ojca Konstantego? Nie możesz opuścić wioski. Ojczy, proszę.

Otoczający ich mężczyźni nie mogli słyszeć wszystkiego, usłyszeli jednak wystarczająco dużo. Ich twarze pobladły pod brodami. Wpatrywali się w córkę Piotra. Niejeden z nich zerknął w stronę żony i dzieci, wyglądających tak bezbrinnie i zarazem dzielnie na tle śniegu. Nie da się nad nimi zapanować, jeśli moja niemądra córka natychmiast nie przestanie, pomyślał.

– Nie jesteś już dzieckiem, Wasiu, żeby bać się bajek. – Starał się mówić stanowczo i dziarsko, by uspokoić ludzi. – Alosza, zajmij się siostrą. Nie bój się, *doczka* – dodał ciszej i łagodniej. – Odniesiemy bohaterskie zwycięstwo. Ta zima minie jak wszystkie inne. Kola i ja wrócimy do ciebie. Bądź miła dla Anny Iwanownej.

– Ale, ojczy...

Piotr wskoczył na grzbiet Wichra. Wasia zacisnęła dłoń na pasku ogłowia. Każda inna osoba zostałaby przewrócona na ziemię i stratowana, lecz ogier postawił tylko uszy i stał spokojnie, łypiąc na dziewczynę.

– Puść go, Wasiu. – Podeszedł do niej Alosza i położył rękę na jej dłoni ściskającej rzemień, pochylił się i szepnął do ucha: – Nie pora teraz na to. Mężczyźni się zbuntują. Boją się o swoje domy i boją się demonów. Poza tym, gdyby ojciec cię posłuchał, powiedzieliby, że rządzi nim jego niezamężna córka.

Wasia wciągnęła powietrze przez zęby, jednak puściła ogłowie Wichra.

– Lepiej, żeby mi uwierzyli – szepnęła.

Dzielny, starzejący się ogier stanął dęba, gdy go puściła. Przygaszeni mężczyźni ustawili się za Piotrem. Kola gestem pozdrowił brata i siostrę i cała grupa ruszyła kłusem przez biały świat, zostawiając ich samych na podwórzu przed stajnią.

Po wyjeździe mężczyzn wieś wydawała się bardzo cicha. Lodowate słońce świeciło pogodnie.

– Ja ci wierzę, Wasiu – powiedział Alosza.

– Sam wbijałeś kołek, to jasne, że mi wierzysz, głupku. – Wasilisa chodziła tam i z powrotem niczym wilk w klatce. – Powinnam była powiedzieć ojcu wszystko.

– Ale zgładziliśmy upiora – przypomniał Alosza.

Pokręciła bezradnie głową. Przypomniała sobie ostrzeżenie rusałki i leszego.

– To jeszcze nie koniec. Dostałam ostrzeżenie. Mamy strzec się umarłych.

– Kto cię ostrzegł, Wasiu?

Dziewczyna zatrzymała się i spojrzała na twarz brata, surową i lekko podejrzliwą. Ogarnęła ją rozpacz tak dojmująca, że aż się roześmiała.

– Ty też, Lioszka?! Prawdziwi przyjaciele, starzy i mądrzy, mnie ostrzegli. Wierzysz popowi? Czy ja jestem czarownicą?

– Jesteś moją siostrą – odparł Alosza stanowczo. – I córką naszej matki. Ale do powrotu ojca nie powinnaś kręcić się po wsi.

W domu powoli zapadała wieczorna cisza, jakby narastała wraz z nocnym chłodem. Domownicy skupili się przy piecu, by szyć, strugać lub reperować w blasku ognia.

– Co to za dźwięk? – spytała nagle Wasia.

Wszyscy umilkli.

Na dworze ktoś płakał.

To było właściwie zduszone chlipanie, ledwie słyszalne. Po chwili jednak nikt nie miał wątpliwości – to stłumiony kobiecy płacz.

Wasia i Alosza popatrzyli na siebie. Wasia chciała wstać ze stołka.

– Nie – powstrzymał ją Alosza. Podeszedł do drzwi, otworzył je i długo wyglądał w noc. Wreszcie wrócił do kuchni i pokręcił głową.

– Nic tam nie ma.

Nadal jednak słyhać było płacz. Alosza jeszcze kilka razy podchodził do drzwi. Wreszcie Wasia sama poszła zobaczyć. Wydawało jej się, że między chatami mignęło coś białego. Zamrugła. Niczego tam nie było.

Podeszła do pieca i zajrzała w jego świetlisty otwór. Domowik siedział tam, zagrzebany w gorącym popiele.

– Ona nie może wejść do środka – wyszeptał wśród trzaskania płomieni. – Przysięgam, nie może. Nie wpuszczę jej.

– To samo mówiłeś przedtem, a upiór jakoś dostał się do izby popa – mruknęła Wasia.

– Izba tego przerażającego człowieka to co innego – szepnął domowik. – Jego nie mogę chronić. On mi to uniemożliwia. Ale tutaj, teraz... Tu się nie dostanie. – Domowik zacisnął pięści. – Nie wejdzie do środka.

Wreszcie wzeszedł księżyc i wszyscy poszli spać. Wasia i Irina skuliły się razem owinięte w futra, oddychając czarną ciemnością.

Nagle płacz rozległ się znowu, bardzo blisko. Dziewczynki zamarły.

Coś zaskrobało w okno.

Wasia zerknęła na Irinę, która leżała sztywno obok niej z otwartymi oczami.

– To brzmi jak...

– Och, nie mów – błagała Irina. – Nie mów!

Wasia wstała z łóżka. Bezwiednie dotknęła naszyjnika ukrytego pod ubraniem. Jego chłód palił jej drżącą dłoń. Okno było wysoko, Wasia weszła na parapet i zaczęła zмагаć się z okiennicami. Lód w oknie zniekształcał widok.

Po drugiej stronie tafli widać było twarz. Wasia dostrzegła oczy i usta –

wielkie ciemne dziury – i kościstą dłoń przyciśniętą do lodu. Istota za oknem płakała.

– Wpuść mnie – szlochała. Rozległ się cichy chrobot, to paznokcie drapały lód.

Irina zakwiliała.

– Wpuść mnie – syczała istota. – Zimno mi.

Palce Wasi ześlizgnęły się z parapetu i runęła jak długa na podłogę.

– Nie, nie... – Wasia znów się podciągnęła. Za oknem pusto i cicho. Nad podwórzem świecił spokojnie księżyc.

– Co to było? – szepnęła Irina.

– Nic, Irinko. Idź spać.

Z jej oczu płynęły łzy, lecz Irina nie mogła tego zobaczyć.

Wasia wróciła do łóżka i otoczyła siostrę ramionami. Irina nic nie mówiła, lecz cała się trzęsła i długo nie mogła zasnąć. Wreszcie zapadła w sen i Wasia ją puściła. Łzy wyschły, twarz miała ściągniętą. Poszła do kuchni.

– Myślę, że wszyscy umrzemy, jeśli nas opuścisz – powiedziała do domowika. – Pod domem krążą upiory.

Stworek wystawił głowę z pieca.

– Będę je powstrzymywał tak długo, jak zdołam – zapewnił. Widać było, że jest zmęczony. – Czuwaj dziś razem ze mną. Kiedy tu jesteś, stajesz się silniejszy.

Piotr nie wracał przez trzy noce, a Wasia siedziała w domu i razem z domowikiem trzymała straż. Pierwszej nocy wydawało jej się, że słyszy płacz, nic jednak nie zbliżyło się do domu. Drugiej nocy było idealnie cicho, a Wasia myślała, że umrze z niewyspania.

Trzeciej nocy postanowiła poprosić Aloszę, by czuwał razem z nią. Wieczorem krwistoczerwony zmierzch rozjarzył się i zgasł, zostawiając po

sobie błękitne cienie i ciszę.

Rodzina zwlekała z opuszczeniem kuchni – sypialnie wydawały się bardzo zimne i odległe. Alosza ostrzył w świetle ognia włócznię na dziki. Piórkowy grot rzucał na palenisko maleńkie błyski.

Ogień przygasał i ściany kuchni przybrały czerwonawy odcień, kiedy z zewnątrz dobiegł długi i cichy lament. Irina skuliła się przy piecu. Anna szyla, wszyscy widzieli jednak, że jest spocona i drży. Ojciec Konstanty otworzył oczy tak szeroko, że białka tworzyły lśniąca obwódkę. Modlił się szeptem.

Rozległo się szuranie. Coraz bliżej i bliżej. Po chwili pod oknem zazgrzytał głos:

– Jest ciemno. Zimno mi. Otwórzcie drzwi. Otwórzcie.

A potem pukanie do drzwi: stuk-puk, stuk-puk.

Wasia wstała ze stołka.

Alosza zacisnął dłonie na trzonku włóczni.

Wasia podeszła do drzwi. Czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Domowik z zaciśniętymi zębami trwał u jej boku.

– Nie – zdołała wykrztusić, chociaż wargi miała zdrętwiałe. Wbiła palce w ranę na dłoni i przyłożyła zakrwawioną dłoń do drzwi. – Przykro mi, dom jest dla żywych.

Upiór po drugiej stronie zawył. Irina skryła twarz na kolanach matki. Alosza wstał chwiejnie z włócznią w ręku. Znowu rozległo się szuranie, po czym ucichło. Wszyscy wstrzymali oddech i spojrzeli na siebie nawzajem.

Wtem rozległ się pisk przerażonych koni.

Niewiele myśląc, Wasia szarpnięciem otworzyła drzwi, mimo że za jej plecami rozległy się cztery okrzyki protestu.

– Demon! – wrzasnęła Anna. – Ona wpuści go do środka!

Wasia wybiegła w noc. Między końmi miotła się biała postać, rozpędzając je na boki jak plewy. Jeden z koni był wolniejszy od pozostałych. Biała postać uwiesiła się na jego szyi i powaliła na ziemię.

Wasia krzyknęła i puściła się biegiem, zapominając o strachu. Upiór spojrział na nią, sycząc, a światło księżyca padło na jego twarz.

– Nie... – wyjąkała Wasia, zataczając się i zatrzymując. – Och, nie, proszę. Duniu. Duniu...

– Wasiu – wyseplenił upiór. Mimo upiornego zgrzytliwego rżenia to był głos Duni. – Wasiu...

To była ona i zarazem nie ona. Te same kości, sylwetka i śmiertelny całun. Nos jednak zwisał, zamiast oczu miała gorejące dziury, usta ziały poczerniałą jamą. W zmarszczkach na podbródku, nosie i policzkach zaschła krew.

Wasia zebrała resztki odwagi. Naszyjnik palił ją zimno między piersiami. Zacisnęła na nim dłoń. Noc cuchnęła gorącą krwią i cmentarną pleśnią. Wasia przypuszczała, że mroczna postać stoi obok niej, nie obejrzała się jednak, żeby to sprawdzić.

– Duniu – powiedziała, starając się zapanować nad głosem. – Odejdź. Dość złego tu wyrządziłaś.

Dunia przycisnęła dłoń do ust, do jej pustych oczu napłynęły łzy, lecz jednocześnie obnażyła zęby. Kołysała się, dygotała i przygryzała wargi. Wydawało się, że chce coś powiedzieć. Warcząc, ruszyła do przodu, a Wasia się cofnęła, niemal czując jej zęby na swojej szyi. Nagle upiór pisnął przeraźliwie, odskoczył do tyłu i pobiegł jak pies w stronę lasu.

Wasia śledziła go wzrokiem, aż zniknął w blasku księżyca.

Usłyszała zgrzytliwy oddech konia leżącego u jej stóp. To był najmłodszy syn Myszy, właściwie jeszcze źrebak. Wasia uklękła przy nim. Miał przegryzione gardło. Przycisnęła dłonie do rany, lecz czarna strużka płynęła nieprzerwanie. Poczowała śmierć jak ucisk w brzuchu. Ze stajni dobiegł bolesny krzyk waziły.

– Nie – szepnęła Wasia. – Proszę.

Źrebak leżał bez ruchu. Krew przestała płynąć.

Z ciemności wyłoniła się biała klacz i bardzo delikatnie dotknęła chrapami martwego konia. Po chwili Wasia poczuła na szyi jej ciepły oddech, lecz

kiedy się odwróciła, ujrzała tylko nikłe światło gwiazd.

Rozpacz i zmęczenie zalały ją czarną falą, zupełnie jak krew konia na jej rękach, po czym pochłonęły ją całą. Objęła sztywniejący zakrwawiony łeb i rozplakała się.

Zrobiło się późno i dawno powinni pójść spać, kiedy wrócił Alosza. Twarz miał poszarzałą, ubranie zbryzgane krwią.

– Jeden z koni nie żyje – powiedział przygnębiony. – Ma poderżnięte gardło. Wasia zostanie w stajni na noc. Nie udało mi się odwieść jej od tego zamiaru.

– Ale ona tam zamrze! Umrze! – wykrzyknęła Irina.

Alosza uśmiechnął się blado.

– Nie Wasia. Sama spróbuj ją przekonać, Irinko.

Dziewczynka zacisnęła wargi, odłożyła szycie i wstawiła do pieca gliniany garnek. Nikt nie był pewny, co zamierza, dopóki nie nałożyła riażenki do miski ze starą kaszą i z miską nie skierowała się do drzwi.

– Irinko, wracaj! – krzyknęła Anna.

Alosza wiedział, że Irina jeszcze nigdy nie przeciwstawiła się matce. Tym razem jednak bez słowa zniknęła za drzwiami. Zaklął i ruszył za nią. Ojciec miał rację, pomyślał ponuro, moich sióstr nie można zostawiać samych.

Było bardzo zimno, na podwórzu unosił się zapach krwi. Żrebak leżał tam, gdzie upadł. Truchło zamrze w ciągu nocy, a jutro sprowadzi się ludzi, którzy porąbią je na kawałki i oprawią mięso. Kiedy Alosza z Iriną weszli do stajni, wydawało się, że nikogo w niej nie ma.

– Wasiu! – zawołał Alosza. Zdjął go nagły strach. A jeśli...

– Tutaj, Lioszka – odezwała się Wasia. Wyłoniła się z przegrody Myszy, stąpając miękko niczym kot. Irina pisnęła i omal nie upuściła miski.

– Wszystko w porządku, Wasoczka? – wyjąkała drżącym głosem.

Nie mogli dojrzeć twarzy Wasi, jedynie niewyraźną bladą plamę pod czernią włosów.

– Na ile to możliwe, ptaszyno – odparła Wasia chrapliwie.

– Lioszka mówi, że chcesz zostać na noc w stajni – powiedziała Irina.

– Tak – odrzekła Wasia, starając się opanować. – Muszę. Waziła się boi. – Ręce miała czarne od krwi.

– Skoro musisz – powiedziała Irina łagodnie, tak jak się mówi do ukochanego szaleńca. – Przyniosłam ci kaszę. – Niezdarnie podała siostrze miskę, a ta ją wzięła. Wydawało się, że jej ciężar i ciepło działają na nią krzepiąco. – Chociaż byłoby lepiej, gdybyś wróciła do domu i zjadła przy ogniu – dodała Irina. – Ludzie będą gadać, jeśli tu zostaniesz.

Wasia pokręciła głową.

– To już bez znaczenia.

Irina zacisnęła wargi.

– Chodź – powiedziała. – Tak będzie lepiej.

Alosza patrzył zdumiony, jak Wasia pozwala się prowadzić do domu, posadzić przy piecu i nakarmić.

– Idź się położyć, Irinko – powiedziała wreszcie. Jej twarz odzyskała nieco koloru. – Śpij na piecu. Alosza i ja będziemy czuwali.

Pop już poszedł. Anna chrapała w swojej izbie. Irina, której głowa sama opadała, nie wahała się długo.

Kiedy zasnęła, Wasia z Aloszą popatrzyli na siebie. Wasia była biała jak sól, pod oczami miała czarne kręgi. Na jej sukience widniały plamy końskiej krwi. Jedzenie i ogień trochę ją pokrzepiły.

– Co teraz? – spytał Alosza cicho.

– Musimy czuwać – odparła Wasia. – A o świcie pójdziemy na cmentarz i zrobimy, co się da, za dnia. Może Bóg się nad nami zlituje.

O wschodzie słońca Konstanty poszedł do cerkwi. Przemknął przez podwórze, jakby gonił go anioł śmierci, zaryglował za sobą drzwi i padł na podłogę przed ikonostasem. Nie zauważył, kiedy słońce powędrowało wyżej i na podłodze pojawiła się smuga szarego światła. Modlił się o wybaczenie. Modlił się, żeby głos wrócił i rozwiał jego wątpliwości, jednak przez cały dzień panowała niczym niezmacona cisza.

Dopiero o zmierzchu, w posępnym półmroku, kiedy na podłodze cerkwi było więcej cienia niż światła, głos przemówił:

– A więc upadłeś tak nisko, mój nieszczęśniku? Już dwa razy demony przyszły po ciebie. Wybiły okno, pukały do drzwi.

– Tak – jęknął Konstanty. We śnie i na jawie widział twarz diablidy, czuł jej zęby na swojej szyi. – Wiedzą, że upadłem, i mnie prześladują. Zlituj się. Błagam, ocal mnie. Wybacz mi. Zabierz ode mnie ten grzech. – Konstanty złożył ręce i dotknął czołem podłogi.

– Dobrze – odparł głos łagodnie. – Prosisz mnie o taki drobiazg, człeku Boży. Widzisz, jestem miłosierny. Ocalę cię. Nie musisz płakać. – Konstanty przycisnął dłonie do mokrej twarzy. – Ale poproszę cię o coś w zamian.

Konstanty podniósł głowę.

– Zgodzę się na wszystko. Jestem twoim biednym sługą.

– Dziewczyzna – powiedział głos. – Ta czarownica. To wszystko jej wina. Ludzie o tym wiedzą. Szepczą między sobą. Widzą, że wodzisz za nią wzrokiem. Twierdzą, że zwiodła cię na pokuszenie i utraciłeś łaskę Boga.

Konstanty nic nie odpowiedział. Jej wina. Jej wina.

– Pragnę gorąco – ciągnął głos – żeby zniknęła z tego świata. To musi stać się jak najszybciej. Sprowadziła zło na ten dom i dopóki ona tu jest, nie da się temu zaradzić.

– Pojedzie na południe wraz z saniami – zapewnił Konstanty. – Wyjedzie przed zimowym przesileniem. Piotr Władimirowicz tak powiedział.

– Wcześniej. To musi stać się wcześniej. Czyhają na was ogień i męki. Odeślij ją, a zdołasz się uratować, Konstanty Nikonowiczu. Odeślij ją,

a uratujesz ich wszystkich.

Konstanty się wahał. Miał wrażenie, że z ciemności dobiegło przeciągłe westchnienie.

– Stanie się tak, jak mówisz – wyszeptał Konstanty. – Przysięgam.

Wtedy głos zamilkł. Konstanty został sam, pusty, oszołomiony i zmarznięty na podłodze cerkwi.

Jeszcze tego popołudnia Konstanty poszedł do Anny Iwanowny. Leżała w łóżku, a córka przyniosła jej bulion.

– Musisz odesłać Wasię już teraz – oznajmił. Pot rosił mu czoło, ręce mu drżały. – Piotr Władimirowicz ma zbyt miękkie serce, mogłaby go ubłagać, żeby zmienił decyzję. Ta dziewczyna musi wyjechać dla naszego wspólnego dobra. Demony przychodzą z jej powodu. Widziałaś, jak wczoraj wybiegła w ciemność? Wzywała je, w ogóle się nie bała. Może się zdarzyć, że twoja córka, mała Irina, umrze następna. Demony mają apetyt nie tylko na konie.

– Irina? – wyszeptała Anna. – Sądzi ojciec, że Irina jest w niebezpieczeństwie?

Drżała z miłości i ze strachu.

– Ja to wiem – odparł Konstanty.

– Wydajmy Wasię wieśniakom! – wykrzyknęła nagle Anna. – Jeśli ojciec im rozkaże, ukamienują ją. Piotra Władimirowicza nie ma, więc nie może ich powstrzymać.

– Lepiej niech jedzie do klasztoru – rzekł Konstanty po krótkim wahaniu.

– Nie chciałbym, żeby spotkała się z Bogiem, nie mogąc wyrazić skruchy.

Anna zasznurowała usta.

– Sanie nie są gotowe. Lepiej, żeby umarła. Nie pozwolę, by Irinie coś się stało.

– Dwoje sań jest gotowych – odrzekł Konstanty. – Jest wystarczająco

dużo ludzi. Znajdą się tacy, którzy bardziej niż chętnie ją stąd wywiozą. Zrobię, co trzeba. Piotr będzie mógł odwiedzić córkę, jeśli zechce, gdy bezpiecznie urządzi się w Moskwie. Nie będzie się gniewał, kiedy powiemy mu o wszystkim. Będzie dobrze. Uspokój się i módl.

– Ty wiesz najlepiej, *batiuszka* – burknęła Anna opryskliwie. Tyle zachodu, myślała. I to wszystko dla tego zielonookiego pomiotu diabła. Ale on jest mądry, wie, że ona nie może tu zostać i demoralizować dobrych chrześcijan. – Jesteś miłosierny. Ale ja wolałabym ją zabić niż narazić moją Irinę na niebezpieczeństwo.

Wszystko zostało ustalone. Oleg, twardy i stary, będzie powoził saniami, rodzice Timofieja zaś, o sercach pustych po śmierci syna, będą służyli Wasi i jej pilnowali.

– Oczywiście, że to zrobimy, *batiuszka* – zapewniła Jasna, matka Timofieja. – Bóg odwrócił się od nas, a wszystko przez tę małą diabolicę. Gdyby wcześniej została odesłana, nie straciłabym syna.

– Tu jest lina – powiedział Konstanty. – Zwiążcie jej ręce, żeby się nie zapomniała.

Oczyrna wyobraźni ujrzał jelenia powalonego na polowaniu, ze związanymi nogami, oszołomieniem w oczach, brozącego krwią na śniegu. Poczł ukłucie pożądania, wstydu i zaspokojonej dumy. Jutro. Nazajutrz rano wyjedzie, pół księżycy przed zimowym przesileniem.



22.

Przebiśniegi

Tego wieczoru Anna przywołała Wasię do siebie.

– Wasoczka! – wrzasnęła przenikliwie, aż dziewczyna podskoczyła. – Wasoczka, chodź tutaj!

Wasia spojrzała w jej stronę, mizerna w świetle ognia. Razem z Aloszą o wschodzie słońca poszła na cmentarz. Kiedy pełni obaw rozkopali grób Duni, stwierdzili, że jest pusty. Patrzyli na siebie ponad nagą zimną ziemią, Alosza wstrząśnięty, Wasia ponura. Nie wyglądała na zdziwioną.

– To niemożliwe – wyjąkał Alosza.

Wasia odetchnęła głęboko.

– A jednak – mruknęła. – Chodź, musimy bronić domu.

Zmarznięci i wyczerpani wyrównali śnieg na grobie i wrócili do domu. Kobiety pokroiły mięso żrebaka i upiekły je w piecach, po czym zjadły ze zwiędłymi marchewkami, a Wasia schowała się i wymiotowała, aż nic nie zostało jej w żołądku. Nadchodzi wieczór, znów zjawi się Dunia i będzie ich dręczyła swoim szlochem. Ojciec nie wracał i Wasi było słabo ze strachu.

Niechętnie podeszła do Anny. Obok niej stała niewielka drewniana skrzynia z brązowymi okuciami.

– Otwórz – zachęciła ją Anna.

Wasia spojrzała pytająco na brata. Alosza wzruszył ramionami. Uklęła

przed skrzynią i uniosła wieko. W środku był... materiał. Gruby zwój porządnego niebarwionego płótna.

– Płótno – stwierdziła dezorientowana Wasia. – Starczy na tuzin koszul. Czy chcesz, żebym przez całą zimę szyła, Anno Iwanowno?

Anna się uśmiechnęła.

– Oczywiście, że nie. To materiał na ołtarz, obrębisz go i przekażesz w prezencie przełożonej opactwa. – Widząc, że Wasia nie rozumie, o co jej chodzi, dodała, uśmiechając się jeszcze szerzej. – Rano pojedziesz na południe, do klasztoru.

Wasi zakręciło się w głowie, pociemniało w oczach. Poderwała się z kolan.

– Czy ojciec wie?

– O tak. Miałaś zostać wysłana wraz z lennem. Dość już tego przyzywania demonów. Wyjedziesz o świcie. Mężczyźni są gotowi, a także kobieta, która będzie strzegła twojej cnoty. – Teraz uśmiech Anny był złośliwy. – Piotr Władimirowicz by sobie tego życzył. Może siostry zakonne będą potrafiły zmusić cię do posłuszeństwa.

Irina wydawała się zmartwiona i nic nie mówiła.

Wasia odskoczyła do tyłu niczym spięty ostrogami koń. Cała się trzęsła.

– Macocho, nie...

Uśmiech Anny zniknął.

– Sprzeciwiasz mi się? Wszystko ustalone, jeśli nie zechcesz jechać z własnej woli, zostaniesz związana.

– Chwileczkę – wtrącił się Alosza. – Co to za szaleństwo? Ojca nie ma w domu, a on nigdy by się nie zgodził...

– Czyżby? – odezwał się Konstanty. Jego cichy głęboki głos jak zwykle przykuł uwagę wszystkich. Wypełnił całą izbę i ciemną przestrzeń pod krokiewiami. Wasia spostrzegła, że domowik kuli się w głębi pieca. – On już wyraził zgodę. Życie wśród sióstr zakonnych może ocalić jej duszę. W tej wsi, gdzie skrzywdziła tak wiele osób, nie jest bezpieczna. Nazywają cię

czarownicą, Wasiliso Pietrowno, wiesz o tym? Mówią o tobie diablica. Jeśli nie wyjedziesz, zostaniesz ukamienowana, zanim ta straszna zima się skończy.

Teraz nawet Alosza milczał.

Wasia jednak przemówiła, głos miała chrapliwy jak kruk:

– Nie. Ani teraz, ani nigdy. Nikomu nie zrobiłam nic złego. Moja noga nie postanie w klasztorze, choćbym miała żyć w lesie i błagać Babę-Jagę o pracę.

– To nie jest bajka, Wasiu! – zapiała Anna. – Nikt cię nie pyta o zdanie. Robimy to dla twojego dobra.

Wasia pomyślała o słabnącym domowiku, o upiorach krążących wokół domu, o katastrofie, której uniknęli o włos.

– Co ja takiego zrobiłam? – spytała. Z przerażeniem stwierdziła, że ma łzy w oczach. – Nikogo nie skrzywdziłam. Próbowałam was ocalić! *Batiuszka...* – zwróciła się do Konstantego – uratowałam cię przed rusałką, gdy usiłowała zwabić cię do jeziora. Odpędziłam upiory, w każdym razie próbowałam... – Urwała, bo zabrakło jej powietrza.

– Ty? – wycedziła Anna. – Ty je odpędziłaś? To ty ściągnęłaś tutaj tę swoją bandę demonów! To ty sprowadziłaś na nas wszystkie nieszczęścia. Myślisz, że nie widziałam?

Alosza otworzył usta, lecz Wasia go uprzedziła:

– Jeśli zostanę odesłana tej zimy, wszyscy umrzecie.

Anna zachłysnęła się powietrzem.

– Ośmielasz się nam grozić?!

– Ja wam nie grożę! – krzyknęła Wasia w rozpacz. – Taka jest prawda.

– Prawda? Prawda, ty mała kłamczucho? W tobie nie ma cienia prawdy!

– Nie wyjadę – oznajmiła Wasia tak gwałtownie, że nawet trzaskający ogień zdawał się kulić.

– Czyżby? – wysyczała Anna. Wzrok miała błędny, lecz coś w jej postawie przypomniało Wasi, że jej ojciec był Wielkim Księciem. –

Doskonale, Wasiliso Pietrowno, dam ci zatem wybór. – Rozejrzała się po izbie, aż jej spojrzenie spoczęło na białych kwiatkach zdobiących chustkę Iriny. – Moja córka, moja prawdziwa, piękna, posłuszna córka marzy, by w tym całym śniegu zobaczyć coś zielonego. Ty, brzydka dziewucho, ty, czarownico, wyświadczysz jej zatem przysługę. Idź do lasu i przynieś jej koszyczek przebiśniegów. Jeśli ci się uda, będziesz mogła robić, co zechcesz.

Irina rozdziawiła usta. Konstanty również, żeby zaprotestować.

Oszołomiona Wasia wpatrywała się w macochę.

– Anno Iwanowno, jest środek zimy...

– Idź! – wrzasnęła Anna, śmiejąc się dziko. – Zejdź mi z oczu! Przynieś mi kwiaty albo pójdiesz do klasztoru! A teraz znikaj!

Wasia popatrzyła na ich twarze. Na twarzy Anny malował się triumf, na Iriny strach, Alosza miał twarz wściekłą, a Konstanty nieodgadnioną. Ściany znów zdawały się kurczyć, ogień pożerał całe powietrze i bez względu na to, jak bardzo rozszerzały się jej płuca, nie mogła oddychać. Ogarnął ją strach, strach dzikiego zwierzęcia złapanego we wnyki. Odwróciła się, zamierzając wybiec z kuchni.

Alosza dogonił ją przy drzwiach. Wciągnęła już buty i rękawiczki, otuliła się peleryną i owinęła głowę szalem. Chwycił ją za ramiona i odwrócił do siebie.

– Oszalałaś, Wasiu?

– Puść mnie! Słyszałeś Annę Iwanownę. Wolę zaryzykować wyprawę do lasu niż zostać zamknięta na zawsze.

Trzęsła się, spojrzenie miała nieprzytomne.

– To wszystko bzdury. Poczekaj, aż ojciec wróci.

– Ojciec się na to zgodził! – Wasia przełknęła łzy, jednak nadal płynęły. – Inaczej Anna by się nie ośmieliła. Ludzie mówią, że nasze nieszczęścia to moja wina. Myślisz, że nie słyszałam? Jeśli zostanę, ukamienują mnie jako czarownicę. Może ojciec naprawdę próbuje mnie chronić. Ale ja wolę umrzeć w lesie niż w klasztorze. – Głos jej się załamał. – Nigdy nie zostanę

zakonnica, słyszysz? Nigdy! – Szarpnęła się, Alosza jednak mocno ją trzymał.

– Będę cię strzegł do powrotu ojca. Przemówię mu do rozsądku.

– Nie zdołasz mnie obronić, jeśli wszyscy mieszkańcy wioski zwrócą się przeciwko nam. Myślisz, że nie słyszałam ich szeptów, braciszku?

– Zamierzasz więc iść do lasu i umrzeć? Szlachetne poświęcenie? Czy to komuś pomoże?

– Pomagałam, jak mogłam, i zyskałam tylko ludzką nienawiść. Nawet jeśli miałyby to być ostatnia decyzja, jaką kiedykolwiek podejmę, przynajmniej jest moja. Puść mnie, Alosza. Nie boję się.

– Ale ja się boję, głupia dziewczyno! Myślisz, że chcę cię stracić z powodu tego szaleństwa? Nie puszczę cię. – Z pewnością będzie miała siniaki na ramionach w miejscach, gdzie ją trzyma.

– Ty też, braciszku? – Wasia była wściekła. – Czy jestem dzieckiem? Zawsze ktoś musi decydować za mnie. Tym razem zdecyduję sama.

– Gdyby ojciec czy Kola oszaleli, też nie pozwoliłbym im o sobie decydować.

– Puść mnie, Alosza.

Pokręciła głową.

Jej głos złagodniał.

– Może w lesie jest magia, dzięki której wygram z Anną Iwanowną, pomyślałeś o tym?

Alosza zaśmiał się krótko.

– Jesteś już za duża na bajki.

– Czyżby? – Wasia uśmiechnęła się, chociaż wargi jej drżały.

Alosza przypomniał sobie nagle, że wielokrotnie wodziła wzrokiem za czymś, czego on nie widział. Opuścił ręce. Popatrzyli na siebie.

– Wasiu... Obiecuj, że jeszcze cię zobaczę.

– Dawaj chleb domownikowi. Czuwaj w nocy przy piecu. Odwaga może

cię ocalić. Zrobiłam, co mogłam. Żegnaj, bracie. Ja... postaram się wrócić...

– Wasiu...

Dziewczyna wymknęła się na dwór.

Ojciec Konstanty czekał na nią przed cerkwią.

– Oszalałaś, Wasiliso Pietrowno?

Odpowiedziało mu szydercze spojrzenie zielonych oczu. Łzy wyschły, Wasia była teraz zimna i opanowana.

– Ależ, *batiuszka*, muszę słuchać macochy.

– W takim razie wstąp do klasztoru.

Wasia się zaśmiała.

– Ona chce się mnie pozbyć. Umrę czy pójdę do klasztoru, jej wszystko jedno. Cóż, za jednym zamachem zadowolę ją i siebie.

– Zapomnij o tym szaleństwie. Idź do klasztoru. Będzie, jak zechce Bóg, a on chce właśnie tego.

– Naprawdę? A ty zapewne jesteś głosem Boga? Cóż, mam wybór i korzystam z tego.

Ruszyła w stronę lasu.

– Wcale nie. – Coś w głosie popa sprawiło, że Wasia odwróciła się gwałtownie. Z cienia wyszło dwóch mężczyzn.

– Zaprowadźcie ją do cerkwi i zwiążcie jej ręce – rozkazał Konstanty, nie odrywając wzroku od Wasi. – Wyjedzie o świcie.

Wasia puściła się biegiem, miała jednak przewagę zaledwie trzech kroków, a oni byli bardzo silni. Jeden z nich wyciągnął rękę i złapał ją za skraj peleryny. Potknęła się i upadła, szarpiąc się w panice. Mężczyzna runął na nią i przycisnął do ziemi. Śnieg ziębł jej szyję. Poczowała na nadgarstkach drapanie lodowatego sznura.

Zrobiła się bezwładna, jakby zemdląca ze strachu. Mężczyzna miał wprawę w wiązaniu zabitych zwierząt po to, by móc je nieść. Zwolnił uścisk, zmagając się ze sznurem. Wasia usłyszała zbliżające się kroki popa

i drugiego mężczyzny.

Wtedy poderwała się z ziemi, wrzasnęła przeraźliwie i wbiła palce w oczy wiążącego ją wieśniaka. Cofnął się, a ona przetoczyła się na bok, wstała i biegła tak szybko jak nigdy w życiu. Za plecami słyszała krzyki, sapanie i tupot. Wiedziała jednak, że już nigdy nie pozwoli się złapać. Nigdy.

Biegła i nie zatrzymała się, dopóki nie wchłonął jej cień drzew.

Jasna noc oświeślała twarde śnieg. Wasia biegła przez las posiniaczona i zdyszana. Peleryna łopotała wokół niej. Słyszała krzyki dobiegające ze wsi. W dziewiczym śniegu zostawiała wyraźne ślady, więc jej jedyną nadzieją była szybkość. Pędziła na oślep od cienia do cienia, aż krzyki stały się słabsze i w końcu całkiem ucichły. Nie ośmieliła się mnie ścigać, myślała Wasia. Boją się lasu po zmroku. Po czym stwierdziła ponuro: są mądrzy.

Teraz oddychała wolniej. Zanurzyła się jeszcze głębiej w las, zapominając o żalu i lęku. Nasłuchiwała. Zawołała głośno, wokół jednak panowała cisza. Leszy nie odpowiedział. Rusałka spała, śniąc o lecie. Nawet wiatr nie poruszał gałęziami drzew.

Czas mijał, nie była pewna, ile go upłynęło. Las był coraz gęstszy i zasłaniał gwiazdy. Księżyc wzeszedł wyżej i rzucał cienie, potem jednak napłynęły chmury i las pogrążył się w ciemności. Wasia szła tak długo, aż zachciało jej się spać, jednak strach, że zaśnie, sprawił, iż się rozbudziła. Skręciła na północ, na wschód i znów na południe.

Zapadła noc i Wasia dygotała tak, że dzwoniły jej zęby. Palce u nóg drętwiały mimo grubych butów. Małeńka część niej sądziła – miała nadzieję – że w lesie znajdzie jakąś pomoc. Liczyła na los... magię. Miała nadzieję, że zjawi się Żar-Ptak albo Siwek Złotogrzywek, a może kruk, który okaże się księciem... Co za niemądra dziewczyna, wierzyć w takie bajki! Las jest obojętny na ludzki los, czarty śpią zimowym snem i nie ma czegoś takiego jak zaklęty w kruka książę.

Cóż, zatem umrę. To lepsze niż klasztor.

Wasia jednak nie do końca w to wierzyła. Była młoda, w jej żyłach płynęła gorąca krew. Nie mogła zdobyć się na to, by położyć się w śniegu.

Brnęła więc dalej, lecz słabła z każdym krokiem. Przerażało ją to. I że sztywniej jej dłonie i martwieją wargi.

W najczarniejszej części lasu przystanąła i obejrzała się za siebie. Jeśli wróci do domu, Anna Iwanowna będzie z niej szydzić. Zostanie związana jak jeleń, zamknięta w cerkwi i wysłana do klasztoru. Nie chciała jednak umrzeć, choć było jej bardzo zimno.

Popatrzyła na drzewa i uświadomiła sobie, że nie wie, gdzie jest.

Nieważne. Może wrócić po własnych śladach. Znów obejrzała się za siebie.

Ślady zniknęły.

Zwalczyła przyływ paniki. Nie zabłądziła. Nie mogła zabłądzić. Skręciła na północ. Śnieg chrząścił cicho pod jej znużonymi stopami. I znów ziemia zaczęła wyglądać zachęcająco. Z pewnością mogłaby się położyć. Tylko na chwilkę.

Nagle ujrzała przed sobą mroczny kształt: drzewo, całe powykręcane, większe niż wszystkie znane Wasi drzewa. Pojawiło się wspomnienie zasnutę gęstą mgłą. Przypomniała sobie zabłąkane dziecko, wielki dąb, śpiącego mężczyznę z jednym okiem. Przypomniała sobie dawny koszmar. Drzewo stało tuż przed nią. Co robić? Podejść bliżej? Uciekać? Było jej zbyt zimno, żeby zawrócić.

Nagle usłyszała płacz.

Znieruchomiała, wstrzymując oddech, i płacz ucichł. A gdy się poruszyła, znów się rozległ. Zza chmur wyszedł blady księżyc, rysując na śniegu dziwne wzory.

Nagle między drzewami mignęło coś białego. Wasia przyspieszyła kroku, stąpając niezdarnie na zdrętwiałych nogach. Nie było domu, do którego mogłaby uciec, nie było wazily, który dodałby jej otuchy. Jej odwaga migotała niczym dogasająca świeca. Wielkie drzewo zdawało się wypełniać

cały świat. Chodź tutaj, szeptał cichy burkliwy głos. Bliżej.

Chrzęst. Za sobą usłyszała odgłos kroków. Odwróciła się gwałtownie. Nic. Lecz kiedy szła, ten ktoś szedł za nią.

Była dwadzieścia kroków od powykręcane go dębu. Chrzęst czyichś stóp na śniegu z każdą chwilą się zbliżał. Coraz trudniej było jej myśleć. Drzewo zdawało się wypełniać cały świat. Bliżej. Była jak dziecko w sennym koszmarze, bała się obejrzeć za siebie.

Ten ktoś za nią zaczął biec, po czym rozległ się ostry starczy krzyk. Wasia też, resztkami sił, puściła się biegiem. Przed nią pojawiła się postać w łachmanach. Stała pod drzewem, wyciągając rękę. Jedyne oko błyszczało zachłannie i triumfująco. Ja znalazłem cię pierwszy!

Nagle Wasia usłyszała nowy odgłos: tętent kopyt. Postać przy drzewie krzyknęła do niej z wściekłością: „Szybciej!”. Drzewo było przed nią, biegnąca postać za nią – lecz oto z lewej strony pojawiła się biała galopująca klacz, szybka niczym ogień. Oszołomiona i przerażona Wasia odwróciła się w stronę konia. Zobaczyła kątem oka, że upiór rzuca się na nią. W jego starej martwej twarzy zaśniły zęby.

W tej samej chwili klacz znalazła się tuż obok. Jeździec wyciągnął do Wasi rękę, a ona chwyciła ją i została przewieszona przez kłęb klaczy. Upiór runął w śnieg tam, gdzie przed chwilą stała Wasia. Klacz puściła się galopem. Za nimi rozległy się dwa okrzyki: jeden bólu, drugi wściekłości.

Jeździec nic nie mówił. Wasia, ciężko dysząc, miała tylko moment na to, by poczuć wdzięczność, iż została ocalona. Wisiała głową w dół i przy każdym uderzeniu kopyt o ziemię miała wrażenie, że jej wnętrzości zaraz wyjdą przez skórę, jednak galopowali coraz dalej i dalej. Nie czuła twarzy ani stóp. Silna dłoń, która poderwała Wasię z ziemi, wciąż ją trzymała, lecz jeździec milczał. Klacz pachniała inaczej niż jakikolwiek znany jej koń, to był zapach dziwnych kwiatów i ciepłego kamienia, niepasujący do tej mroźnej nocy.

Pędzili, aż dziewczyna nie mogła już dłużej znieść bólu i zimna.

– Proszę – wysapała. – Proszę...

Nagle – i boleśnie – zatrzymali się. Zwinięta w kłębek Wasia spadła z konia w śnieg, odrętwiała, omdlewająca, trzymająca się za poobijane żebra. Klacz stała bez ruchu. Wasia nie słyszała, żeby jeździec zsiadał, nagle jednak zobaczyła go stojącego w śniegu. Wstała chwiejnie, nie czując nóg. Padał śnieg, na jej warkoczu osiadały śnieżynki. Przestała dygotać, czuła się ciężka i otępiała.

Mężczyzna spojrział na nią z góry, ona zaś podniosła głowę, by zobaczyć jego twarz.

Oczy miał blade jak woda albo zimowy lód.

– Proszę – wyszeptała. – Zimno mi.

– Tu wszystko jest zimne – odparł.

– Gdzie ja jestem?

Wzruszył ramionami.

– Za północnym wiatrem. Na końcu świata. Nigdzie.

Zachwiała się i byłaby upadła, lecz mężczyzna ją podtrzymał.

– Powiedz, jak ci na imię, *diewuszka*. – Jego głos odbijał się dziwnym echem w lesie wokół nich.

Wasia pokręciła głową. Cała zlodowaciała. Zrobiła krok w tył i się zachwiała.

– Kim ty jesteś?

Na jego ciemnych lokach osiadały płatki śniegu, on również miał odkrytą głowę. Uśmiechnął się i nic nie odpowiedział.

– Widziałam cię już.

– Przychodzę wraz ze śniegiem. Przychodzę, gdy ludzie umierają.

Poznała go. Poznała go w chwili, gdy chwyciła jego dłoń.

– Czy ja umieram?

– Może. – Zimnymi palcami wziął ją pod brodę. Wasia poczuła, że jej serce niemal o nie uderza. Nagle przeszył ją ból. Jej oddech stał się krótki, padła na kolana. Miała wrażenie, że w jej krwi tworzą się kryształki lodu.

Uklęknął razem z nią. Karachun, pomyślała Wasia. Morozko, demon mrozu. Śmierć, to jest śmierć. Znajdą mnie zamarznąłą w śniegu, jak tę dziewczynę z bajki.

Nabrała powietrza i poczuła, że jej płuca ogarnia mróz.

– Puść – szepnęła. Wargi i język miała zbyt zlodowaciałe, by chciały jej słuchać. – Gdybyś zamierzał mnie zabić, nie uratowałbyś mnie tam, przy drzewie.

Demon opuścił rękę. Wasia upadła w śnieg, zgięta wpół, z trudem łapiąc powietrze.

Morozko wstał.

– Nie zrobiłbym tego, głupia? – odezwał się głosem piskliwym z wściekłości. – Co za szaleństwo sprowadziło cię tej nocy do lasu?

Wasia wstała z wysiłkiem.

– Nie znalazłam się tu z własnej woli. – Biała klacz stanęła za nią, dmuchając na jej policzek ciepłym oddechem. Wasia ukryła zziębnięte palce w jej długiej grzywie. – Macocha zamierzała wysłać mnie do klasztoru.

– A więc uciekłaś? Łatwiej uciec przed klasztorem niż przed Niedźwiedziem. – W jego głos brzmiała pogarda.

Wasia spojrzała mu w oczy.

– Wcale nie uciekłam. To znaczy uciekłam, ale dopiero, gdy...

Nie miała siły mówić. Przytuliła się wyczerpana do klaczy. Wirowało jej w głowie. Klacz wygięła szyję, żeby ją podtrzymać. Zapach kamienia i kwiatów ożywił nieco Wasię, wyprostowała się i zacisnęła usta.

Demon mrozu podszedł bliżej. Wyciągnęła odruchowo rękę, żeby go powstrzymać, on jednak chwycił ją w obie dłonie.

– Choć tutaj – powiedział. – Popatrz na mnie.

Zdjął jej rękawiczkę i przyłożył dłoń do jej dłoni.

Całe ciało Wasi napięło się w oczekiwaniu na ból, lecz ten nie nadszedł. Jego dłoń była twarda i zimna jak lód na rzece, wręcz przyjemna w dotyku

dla jej odmrożonych palców.

– Powiedz mi, kim jesteś. – Głos demona mrozu sprawił, że przeszył ją zimny dreszcz.

– Jestem... Wasilisa Pietrowna.

Miała wrażenie, że przeszywa wzrokiem jej czaszkę. Przygryzła język i wytrzymała jego spojrzenie.

– Witaj zatem. – Puścił ją i zrobił krok w tył. Niebieskie oczy rzucały iskry. Wasi wydawało się, że dostrzega na jego twarzy wyraz triumfu. Ale może tylko to sobie wyobraziła.

– Powiedz mi raz jeszcze, Wasiliso Pietrowno, dlaczego wędrujesz po czarnym lesie? To moja i tylko moja pora.

– O świcie miałam zostać wysłana do klasztoru, ale moja macocha powiedziała, że nie muszę jechać, jeśli przyniosę jej białe wiosenne kwiaty, przebiśniegi – wyjaśniła Wasia. Demon mrozu wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym wybuchnął śmiechem. Wasia spojrzała na niego zdziwiona i mówiła dalej: – Mężczyźni próbowali mnie zatrzymać, ale im uciekłam. Pobiełam do lasu. Byłam tak przerażona, że nie mogłam myśleć. Chciałam zawrócić, lecz zabłądziłam. Zobaczyłam powykręcany dąb. A potem usłyszałam kroki.

– Szaleństwo – stwierdził sucho demon mrozu. – Nie tylko ja mam władzę w tych lasach. Nie powinnaś była opuszczać domowego ogniska.

– Musiałam. – Nagle zrobiło jej się ciemno przed oczami. Ten krótki przypływ energii szybko się wyczerpał. – Zamierzali wysłać mnie do klasztoru. Pomyślałam, że wolę zamarznąć w zaspie. – Dygotała. – Cóż, to było, zanim zaczęłam naprawdę zamarzać w zaspie. To boli.

– Tak – zgodził się Morozko. – Tak, to boli.

– Zmarli wychodzą z grobów – szepnęła Wasia. – Jeśli mnie nie będzie, domowik zniknie, a moja rodzina umrze. Nie wiem, co robić. – Demon mrozu milczał. – Muszę wracać do domu – wyjąkała Wasia. – Ale nie wiem, gdzie to jest.

Biała klacz tupnęła nogą i potrząsnęła grzywą. Pod Wasią nagle ugięły się nogi, jakby była nowo narodzonym źrebakiem.

– Na wschód od słońca, na zachód od księżyca – powiedział Morozko. – Za następnym drzewem.

Wasia zatrzepotała powiekami i zamknęła oczy.

– Chodź zatem – dodał Morozko. – Jest zimno. – Złapał Wasię, zanim upadła. Obok nich była kępa starych jodeł o splecionych gałęziach. Wziął dziewczynę na ręce. Jej głowa i ręka zwisały bezwładnie, serce ledwie biło.

– Niewiele brakowało – odezwała się klacz, wydmuchując kłęb parującego oddechu w twarz dziewczyny.

– Tak – odparł Morozko. – Jest silniejsza, niż śmiałem mieć nadzieję. Inna już by umarła.

Klacz parsknęła.

– Nie musiałeś jej sprawdzać. Niedźwiedź już to zrobił. Jeszcze moment, a dopadłby ją pierwszy.

– Cóż, ale jej nie dopadł i musimy być za to wdzięczni.

– Powiesz jej?

– Wszystko? O niedźwiedziach i czarnoksiężnikach, o zaklęciach zrobionych z szafiru i o królu morza? Nie, oczywiście, że nie. Powiem jej najmniej, jak się da. I mam nadzieję, że to wystarczy.

Klacz znów potrząsnęła grzywą i położyła uszy, lecz demon mrozu tego nie zauważył. Wszedł między jodły z dziewczyną na rękach. Klacz z westchnieniem wypuściła powietrze i ruszyła za nim.



Część trzecia





23.

Dom, którego nie było

Kilka godzin później Wasia otworzyła oczy i stwierdziła, że leży w najcudowniejszym łóżu, o jakim ktokolwiek mógłby marzyć, pod pledem z białej wełny, ciężkim i miękkim jak śnieg. Gdzieś wiewielu splot przetykały bladoniebieskie i żółte nitki, niczym słoneczny styczniowy dzień. Rama i nogi łóżka zostały wyrzeźbione tak, że przypominały pnie drzew, a nad nim wisiał wspaniały baldachim z gałęzi.

Wasia gorączkowo próbowała ustalić, gdzie jest. Ostatnie, co pamiętała, to kwiaty, szukała kwiatów. Dlaczego? Był grudzień, ale ona musiała znaleźć kwiaty.

Z trudem łapiąc powietrze, usiadła, zapadając się w zaspach koców.

Zobaczyła komnatę i opadła na plecy, cała drżąca.

Komnata... Cóż, jeśli łóżko było wspaniałe, to komnata dziwna. Z początku Wasi wydawało się, że leży wśród wysokich drzew. W górze, hen, nad sobą, widziała sklepienie bladego nieba. W następnej chwili odniosła jednak wrażenie, że jest w domu, w drewnianym domu, którego sufit pomalowano na delikatny kolor nieba. Nie miała jednak pojęcia, które doznanie jest prawdziwe, i od tych wątpliwości zakręciło jej się w głowie.

Ukryła twarz w pledzie i postanowiła jeszcze pospać. Z pewnością obudzi się we własnym domu obok Duni, która zapyta, czy przyśnił jej się koszmar. Nie, nieprawda – Dunia nie żyje. Wędrowała po lesie owinięta w całun,

w którym ją pochowali.

Wasia miała mętlik w głowie. Nie mogła sobie przypomnieć... Nagle jednak pamięć wróciła. Mężczyźni, pop, klasztor... Śnieg, demon mrozu, jego palce na jej szyi, zimno, biały koń. Zamierzał ją zabić. Ocalił jej życie.

Znów próbowała usiąść, lecz zdołała jedynie uklęknąć wśród koców. Z rozpaczą mrużyła oczy, nie mogła jednak sprawić, by pokój znieruchomiał. W końcu zacisnęła powieki, stoczyła się z łóżka i uderzyła ramieniem o podłogę. Wydawało jej się, że poczuła wilgoć, jakby wpadła w śnieżną zaspę. Nie – podłoga była gładka i ciepła jak porządnie wyheblowane drewno przy palenisku. Wydawało jej się, że słyszy trzaskanie ognia. Wstała niepewnie. Ktoś zdjął jej buty i skarpetki. Odmroziła sobie stopy. Zobaczyła, że palce ma białe i bezkrwiste.

Nie mogła na niczym skupić wzroku. Raz była to komnata, raz kępa jodeł pod otwartym niebem, wciąż nie mogła ustalić, co jest co. Mocno zacisnęła powieki, potykając się na bolących nogach.

– Co widzisz? – zapytał wyraźny, dziwny głos.

Wasia zwróciła się w stronę, z której dobiegał, nie ośmielając się otworzyć oczu.

– Dom – wychrypiała. – Jodły. Jedno i drugie naraz.

– Bardzo dobrze – pochwalił głos. – Otwórz oczy.

Wzdrygnęła się, lecz posłuchała. Pośrodku pokoju stał zimny mężczyzna – demon mrozu – mogła więc przynajmniej patrzeć na niego. Niesforne ciemne włosy sięgały mu do ramion. Twarz i drwiący uśmiech mogłyby należeć zarówno do dwudziestoletniego młodzieńca, jak i pięćdziesięcioletniego wojownika. W przeciwieństwie do wszystkich innych znanych Wasi mężczyzn był gładko ogolony – być może to właśnie nadawało jego twarzy dziwnie młodzieńczy wyraz. Z całą pewnością oczy miał stare. Kiedy w nie patrzyła, pomyślała: Nie sądziłam, że ktokolwiek może być tak stary i wciąż żyć. Ta myśl ją przestraszyła.

Jej determinacja była jednak silniejsza od strachu.

– Proszę, muszę wracać do domu.

Omiótł ją spojrzeniem bladych oczu.

– Wypędzili cię – powiedział. – Chcą cię wysłać do klasztoru, a mimo to chcesz wracać?

Z całej siły przygryzła wargę.

– Jeśli mnie nie będzie, domowik zniknie. Może ojciec już wrócił i będę mogła wszystko mu wyjaśnić.

Demon mrozu przyglądał jej się przez chwilę.

– Może – powiedział wreszcie. – Ale jesteś poraniona. I zmęczona. Do niczego się domowikowi nie przydasz.

– Muszę spróbować. Moja rodzina jest w niebezpieczeństwie. Jak długo spałam?

Pokręcił głową. Jego usta wykrzywiły się lekko w ironicznym uśmiešku.

– Tutaj jest tylko dzisiaj. Nie ma wczoraj ani jutra. Możesz zostać rok i wrócić do domu tuż po tym, gdy wyruszyłeś w drogę. To bez znaczenia, jak długo spałeś.

Wasia rozważała to w milczeniu. Wreszcie odezwała się cicho:

– Gdzie ja jestem?

Noc w śniegu rozmyła się w jej pamięci, wydało jej się jednak, że przypomina sobie obojętność na jego twarzy, cień złośliwości i cień smutku. Teraz wyglądał na rozbawionego.

– W moim domu. O ile w ogóle go mam.

Nie na wiele mi się to zda. Wasia zdusiła te słowa, zanim jej się wyrwały, musiały być jednak widoczne na jej twarzy.

– Obawiam się – powiedział z powagą, chociaż oczy mu błyszczały – że zostałeś obdarzona bądź pokarana czymś, co ludzie mogliby określić jako jasnowidztwo. Mój dom to kępa jodeł, a ta kępa jodeł to mój dom, a ty widzisz jedno i drugie.

– I co mam z tym zrobić? – wycedziła Wasia przez zaciśnięte zęby,

niezdolna do uprzejmości. Jeszcze chwila, a zwymiotuje na podłogę u jego stóp.

– Popatrz na mnie. – Głos demona wymuszał posłuszeństwo, zdawał się rozlegać echem w jej czaszce. – Patrz tylko na mnie. – Podniosła na niego wzrok. – Jesteś w moim domu. Uwierz w to.

Wasia z wahaniem powtórzyła to w myślach. Gdy patrzyła na ściany, wydawało jej się, że robią się bardziej solidne. Znajdowała się w prowizorycznej przestronnej izbie z wytartymi rzeźbieniami i sufitem koloru południowego nieba. Ogromny piec na drugim końcu promieniował ciepłem. Na ścianach wisiały arrasy przedstawiające wilki w śniegu, niedźwiedzia śpiącego zimowym snem i ciemnowłosego wojownika jadącego saniami.

Oderwała od nich wzrok.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

– Mój koń nalegał.

– Kpisz sobie ze mnie.

– Tak sądzisz? Zbyt długo błąkałaś się po lesie, miałaś odmrożone nogi i ręce. Może powinnaś być zaszczycona, nieczęsto miewam gości.

– Jestem więc zaszczycona – powiedziała Wasia, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

Demon mrozu uważnie jej się przyglądał.

– Zgłodniałaś?

Wasia usłyszała wahanie w jego głosie.

– Czy to także zasugerował twój koń? – spytała, zanim zdążyła się powstrzymać.

Mężczyzna się roześmiał, a ona odniosła wrażenie, że jest trochę zaskoczony.

– Tak, oczywiście. Moja klacz wychowała mnóstwo źrebaków. Polegam na jej zdaniu.

Nagle przechylił głowę. Błękitne oczy zapłonęły.

– Moi służy się tobą zajmą – rzekł. – Muszę na trochę wyjść.

W jego twarzy nie było niczego ludzkiego i przez chwilę Wasia nie widziała mężczyzny, tylko wiatr szarpiący konary starych drzew i wyjący triumfalnie. Zamrugła, by odpędzić tę wizję.

– Żegnaj – rzucił demon mrozu i wyszedł.

Wasia, zaskoczona jego zniknięciem, rozejrzała się ostrożnie. Jej wzrok przyciągnęły arras. Obrazy były jak żywe, wilki, mężczyzna i konie sprawiali wrażenie, jakby mieli zeskoczyć na podłogę w wirze zimnego powietrza. Obeszła izbę, wszystko dokładnie oglądając. Wreszcie znalazła się przed kominkiem i wyciągnęła w stronę ognia odmrożone palce.

Słyszcząc drapanie kopyta, odwróciła się gwałtownie. W jej stronę szła biała klacz bez ogłowia. Długa grzywa pieńła się niczym wiosenna kaskada. Wydawało się, że weszła przez drzwi w przeciwległej ścianie, lecz były zamknięte. Wasia wpatrywała się w nią, a klacz machnęła głową. Dziewczyna przypomniała sobie o dobrych manierach i ukłoniła się.

– Dziękuję ci, pani. Ocaliłaś mi życie.

Klacz zastrzygła uchem.

– Drobiazg.

– Nie dla mnie – odrzekła Wasia, nieco urażona.

– Nie to miałam na myśli – odparła klacz. – Chodziło mi o to, że jesteś takim samym stworzeniem jak my, ukształtowanym przez moce tego świata. Sama zdołałabyś się uratować. Nie zostałam stworzona do klasztoru ani do tego, by poddać się Niedźwiedziowi.

– Uratowałamby się? – zdziwiła się Wasia, przypominając sobie swoją ucieczkę, strach i kroki w ciemności. – Nie najlepiej mi szło. Ale co to znaczy: „moce tego świata”? Wszyscy zostaliśmy stworzeni przez Boga.

– I pewnie ten Bóg nauczył cię naszej mowy?

– Oczywiście, że nie. To waziła. Znosiłam mu dary.

Klacz skrobnęła kopytem o podłogę.

– Pamiętam i widzę więcej niż ty – powiedziała. – I tak będzie jeszcze przez jakiś czas. Z niewieloma osobami rozmawiamy, a duch stajni nie objawia się nikomu. W twojej krwi kryje się magia. Musisz się z tym liczyć.

– Jestem przeklęta? – wyszeptała przerażona Wasia.

– Nie rozumiem słowa „przeklęta”. Po prostu jesteś. A ponieważ jesteś, możesz chodzić, dokąd chcesz, w spokoju, w nieświadomości, w palącym ogniu, ale to zawsze ty dokonujesz wyboru.

Klacz urwała. Wasię bolała twarz, wzrok zaczął jej się mącić. W pole widzenia wdzierał się śnieżny pejzaż.

– Na stole jest miód – powiedziała klacz, widząc, że dziewczyna słabnie. – Powinnaś się napić, a potem znów odpocząć. Kiedy się zbudzisz, dostaniesz jedzenie.

Wasia nic nie jadła od kolacji, zanim jeszcze zapuściła się do lasu. Żołądek dobitnie jej o tym przypominał. Koło pieca stał stół, pociemniały od starości, bogato rzeźbiony, a na nim srebrny dzban ozdobiony srebrnymi kwiatami. Kielich też był zrobiony ze srebra i wysadzany czerwonymi jak ogień klejnotami. Dziewczyna zapomniała na chwilę o głodzie. Uniosła kielich i przechyliła go do światła. Był piękny. Spojrzała pytająco na klacz.

– On lubi przedmioty – odrzekło zwierzę. – Nie rozumiem dlaczego. I jest mistrzem dawania prezentów.

Dzban istotnie zawierał miód: rozrzedzony, mocny i palący niczym słońce w zimie. Pijąc go, Wasia nagle zrobiła się senna. Powieki jej ciążyły, z trudem zdołała odstawić kielich. W milczeniu ukłoniła się białej klaczy i chwiejnie wróciła do wielkiego łoża.

Przez cały ten dzień zamrożone połacie północnej Rusi nawiedzały nawałnice. Wieśniacy chowali się w domach i ryglowali drzwi. Nawet ogień w piecach drewnianego pałacu Dymitra w Moskwie tańczył i przygaszał. Starzy i chorzy wiedzieli, że nadszedł ich czas i wymykali się ukradkiem

wśród lamentów wiatru. Żywi kreślili znak krzyża, kiedy czuli, że obok nich przelatuje cień. Z nastaniem nocy wiatr się uspokoił, a niebo wypełniła obietnica śniegu. Ci, którzy oparli się wezwaniu, uśmiechali się, wiedzieli bowiem, że będą żyli.

Spomiędzy drzew wyłonił się mężczyzna o ciemnych włosach i uniósł twarz ku zaciągniętemu chmurami niebu. Gdy przepatrywał piętrzące się cienie, jego oczy pałały nieziemskim błękitem. Szatę miał z futra i ciemnego brokatu, choć przybył do opromienionej wieczorną poświatą pogranicznej krainy, gdzie zima ustępowała obietnicy wiosny. Na ziemi było gęsto od przebiśniegów. Nowo narodzoną noc przeszyła pieśń, cieniutka, cicha i słodka. Zwracając się w jej stronę, Morozko posmakował mroczniejszej strony magii, którą wprowadził w ruch, gdyż muzyka ta wywołała w nim smutek: powolne godziny przepełnione żalem. Takiego smutku nie czuł – nie potrafił czuć – od tysiąca lat.

Mimo to szedł dalej, aż dotarł do drzewa, na którym w ciemności śpiewał słowik.

– Ptaszeczku, pójdziesz ze mną? – zapytał.

Małeńki ptaszek zeskoczył na niższą gałąź i przechylił ciemnobrązowy łepiek.

– Byś mógł żyć jak twoi bracia i siostry. Mam dla ciebie towarzyszkę. – Ptak zaszczębiotał cicho. – W przeciwnym razie nie osiągniesz pełni swojej siły, a jest ona szlachetna i dzielna.

Ptaszek pisnął i zatrzepotał brązowymi skrzydełkami.

– Tak, jest tam również śmierć, przedtem jednak radość albo chwała. Wolisz zostać tutaj i wyśpiewywać hymny o wieczności?

Ptaszek zawahał się, po czym zaćwierkał i zeskoczył z gałęzi.

– Leć zatem za mną – powiedział Morozko cicho, a wokół niego wiatr znów przybrał na sile.

Kiedy demon mrozu wrócił, Wasia wciąż spała. Klacz drzemała przy piecu.

– I co myślisz? – zagadnął ją cicho.

Klacz już miała odpowiedzieć, lecz przerwały jej rzenie i tętent. Do pokoju wpadł gniady ogier z gwiazdką między oczami. Parskał i tupał, otrząsając śnieg z czarno nakrapianego zadu.

– Myślę, że zjawił się mój syn, chociaż nie powinien – powiedziała klacz.

Ogier, choć pełen gracji niczym jelen, miał jeszcze w sobie coś z długonogiego źrebaka. Spojrzał nieufnie na matkę.

– Słyszałem, że jest tu mistrzyni – rzekł.

Klacz machnęła ogonem.

– Kto ci to powiedział?

– Ja – odezwał się Morozko. – Przyprowaździłem go.

Klacz z postawionymi uszami i drżącymi nozdrzami patrzyła na swego pana.

– Przyprowaździłeś go dla niej?

– Potrzebuję tej dziewczyny. – Morozko rzucił klaczy surowe spojrzenie. – Dobrze o tym wiesz. Jeśli jest na tyle głupia, by włóczyć się nocą po lesie Niedźwiedzia, będzie potrzebowała towarzysza.

Mógłby dodać coś więcej, jednak przerwał mu łoskot. Wasia obudziła się i spadła z łóżka, nienawykła do pościeli, która była jednocześnie śnieżną zaspą.

Duży koń, którego ciemnogniada sierść lśniła w blasku ognia, podszedł do niej, strzygąc uszami. Wasia, jeszcze senna i rozcierająca obolałe ramię, podniosła wzrok i stwierdziła, że stoi przed nią ogromny młody ogier. Zamarła.

– Witaj – powiedziała.

Koń był zadowolony.

– Witaj – odrzekł. – Będiesz na mnie jeździła.

Dziewczyna wstała, mniej nieprzytomna niż po poprzednim przebudzeniu. Bolały ją policzki i musiała ze wszystkich sił skupiać spojrzenie zmęczonych oczu, żeby widzieć tylko ogiera, a nie cienie trzepoczące wokół niego niby skrzydła. Kiedy udało jej się zogniskować wzrok, spojrzała na jego grzbiet – koń był o dwie dłonie wyższy niż ona.

– Będę zaszczycona, mogąc na tobie jeździć – odparła uprzejmie, chociaż Morozko usłyszał w jej głosie nutę ironii i przygryzł wargę. – Ale może mogłabym odsunąć tę chwilę, bo muszę się ubrać. – Rozejrzała się po izbie, lecz jej peleryny, butów i rękawiczek nigdzie nie było. Miała na sobie tylko wymiętą sukienkę, ziębił ją wisiołek od Duni. Warkocz rozplótł się podczas snu i gruba czerwoczarna zasłona z włosów opadała jej do pasa. Odgarnęła włosy z twarzy i podeszła śmiało do ognia.

Przy piecu stała biała klacz, a obok niej demon mrozu. Wasię uderzyło to, jak podobnie reagują: zmrużone oczy mężczyzny i postawione uszy klaczy. Gniady ogier chuchał na jej włosy ciepłym oddechem. Szedł tak blisko niej, że nosem trącał ją w ramię. Wasia bez namysłu położyła dłoń na jego szyi. Zadowolony koń postawił uszy, a ona się uśmiechnęła.

Mimo osobliwej obecności dwóch wysokich i dobrze zbudowanych koni przy ogniu było mnóstwo miejsca. Wasia ściągnęła brwi. Kiedy obudziła się po raz pierwszy, komnata nie wydawała się aż tak duża.

Na stole czekały dwa srebrne kielichy i wysmukły dzban. W powietrzu unosił się zapach ciepłego miodu. Obok półmiska ze świeżymi ziołami leżał bochen ciemnego chleba, pachnący żytem i anyżem. Z jednej strony stała misa z gruszkami, z drugiej z jabłkami. Oraz koszyk z białymi kwiatami o spuszczonej skromnie główkach. Przebiśniegi.

Wasia zamarła, wpatrując się w nie.

– Dla nich właśnie tu przyszedłeś, czyż nie? – zapytał Morozko.

– Nie sądziłam, że naprawdę je znajdę!

– Masz zatem szczęście, że ci się udało.

Wasia patrzyła w milczeniu na kwiaty.

– Zjedz – powiedział Morozko. – Porozmawiamy później.

Wasia otworzyła usta, by zaprotestować, lecz burczało jej w brzuchu. Zdusiła więc ciekawość i usiadła. On usiadł na stołku naprzeciwko niej, opierając się o bark klaczy. Patrzyła na jedzenie, a jemu, na widok jej miny, drgnęły wargi.

– To nie trucizna.

– Pewnie nie – mruknęła Wasia nie bez wątpliwości.

Odłamał kawałek chleba i podał Słowikowi. Ogier przyjął chleb z entuzjazmem.

– No już – zachęcał Morozko. – Albo twój koń wszystko zje.

Wasia ostrożnie wzięła jabłko i ugryzła. Lodowata słodycz zachwyciła jej język. Sięgnęła po chleb. Zanim się zorientowała, jej miska była pusta, pół bochenka zniknęło, a ona siedziała syta, karmiąc obydwie konie kawałkami chleba i owoców. Morozko nie tknął jedzenia. Gdy już się najadła, nalał jej miodu. Piła ze srebrnego kielicha, rozkoszując się smakiem zimnego słońca i zimowych kwiatów.

On miał bliźniaczy kielich, tyle że klejnoty zdobiące jego krawędź były niebieskie. Wasia piła w milczeniu, aż wreszcie odstawiła kielich i spojrzała na demona mrozu.

Moc, pomyślał Morozko trochę zaniepokojony, widząc, jak lśni w zielonych głębinach jej oczu. Stary Czarnomór od razu by ją rozpoznał. Ale jest taka młoda.

– Co się teraz stanie? – chciała wiedzieć.

– To zależy od ciebie, Wasiliso Pietrowno.

– Muszę wracać do domu. Moja rodzina jest w niebezpieczeństwie.

– Jesteś poraniona, bardziej niż sądzisz. Zostaniesz tutaj, dopóki nie wydobrzejesz. Twojej rodzinie na pewno to nie zaszkodzi. – Po czym dodał łagodniej: – Wrócisz do domu o świcie, nazajutrz po twojej ucieczce. Obiecuję ci to.

Wasia nie odpowiedziała. Była zbyt zmęczona, żeby się z nim spierać.

Spojrzała na przebiśniegi.

– Dlaczego mi je przyniosłeś?

– Miałaś wybór: przynieść macosze te kwiaty albo iść do klasztoru. – Wasia skinęła głową. – Cóż, zatem masz kwiaty. Zrobisz z nimi, co zechcesz.

Niepewnie wysunęła palec wskazujący, by musnąć jedwabiące wilgotny płatek.

– Skąd pochodzą?

– Ze skraju mojej ziemi.

– A gdzie to jest?

– Przy odwilży.

– Ale to nie jest miejsce.

– Nie? To wiele rzeczy. Podobnie jak ty i ja jesteśmy wieloma rzeczami i jak mój dom jest wieloma rzeczami, a nawet ten koń, który opiera nos na twoich kolanach, nie jest tylko koniem. Twoje kwiaty są tutaj. Ciesz się.

Wasia popatrzyła na demona zielonymi oczami, a jej spojrzenie było teraz buntownicze, nie niepewne.

– Nie lubię połowicznych odpowiedzi.

– Więc przestań zadawać połowiczne pytania – odparł demon i uśmiechnął się z niespodziewanym wdziękiem. Wasia oblała się rumieńcem. Ogier przysunął swoją wielką głowę jeszcze bliżej. Skrzywiła się, kiedy musnął chrapami jej odmrożone palce.

– Ach – westchnął Morozko. – Zapomniałem. Boli?

– Tylko trochę. – Unikała jego spojrzenia.

Obszedł stół i uklęknął przed nią. Ich twarze znalazły się na tej samej wysokości.

– Mogę?

Przełknęła ślinę. Wziął ją pod brodę i obrócił jej twarz do ognia. Na policzku widniały czarne ślady w miejscach, w których dotknął jej w lesie.

Koniuszki palców rąk i nóg miała białe. Obejrzał jej dłonie, powiódł czubkiem palca po odmrożonej stopie.

– Nie ruszaj się – powiedział.

– Dlaczego miałabym...

Przyłożył dłoń do policzka dziewczyny. Jego palce nagle zrobiły się gorące, niemożliwie gorące, spodziewała się wręcz, że poczuje swąd przypiekanego ciała. Próbowła się wyrwać, lecz on drugą ręką przytrzymał jej głowę, wbijając palce we włosy. Jej oddech drżał i drapał w gardle. Demon przesunął rękę na jej szyję i gorąco stało się jeszcze dotkliwsze. Była zbyt wstrząśnięta, by krzyknąć. Kiedy myślała już, że nie wytrzyma tego ani chwili dłużej, puścił ją. Osunęła się bezwładnie, wsparta o gniadego ogiera, który chuchał jej kojąco we włosy.

– Wybacz – mruknął Morozko. Powietrze wokół niego było zimne, mimo że ręce miał gorące. Wasia uświadomiła sobie, że cała dygocze. Dotknęła skóry na policzku. Była gładka i ciepła, ani śladu odmrożenia.

– Już nie boli. – Starła się mówić spokojnie.

– Wiem. Potrafię uleczyć niektóre rany, lecz nie mogę robić tego delikatnie.

Popatrzyła na swoje palce u nóg i u rąk.

– Lepsze to niż zostać kaleką – stwierdziła.

– Właśnie.

Kiedy jednak dotknął jej stóp, nie mogła powstrzymać łez.

– Pokażesz mi ręce? – spytał.

Zawahała się. Czubki palców miała odmrożone, a jedną dłoń byle jak obwiązaną kawałkiem płótna, by zabezpieczyć poszarpaną ranę z tamtej nocy, kiedy upiór przyszedł po Konstantego. Przeniknęło ją wspomnienie bólu. Morozko nie czekał na odpowiedź. Wymagało to od niej całej siły. Kiedy końce jej palców znów stały się ciepłe i różowe, Wasia zdusiła krzyk.

Teraz ujął jej lewą dłoń i zaczął odwijać płótno.

– To ty mnie zraniłeś – powiedziała Wasia, żeby odwrócić swoją uwagę

od czekającego ją bólu. – Tamtej nocy, kiedy przyszedł upiór.

– Tak.

– Dlaczego?

– Żebyś mnie zobaczyła. Żebyś pamiętała.

– Widziałam cię już wcześniej. Nie zapomniałam.

Choć demon miał pochyloną głowę, zobaczyła wyraz jego ust, gorzki i nieco drwiący.

– Ale wątpiłaś. I po moim odejściu nie wierzyłabyś swoim zmysłom. Teraz w ludzkich domach jestem jedynie cieniem. Kiedyś byłem gościem.

– Kim jest jednooki mężczyzna? – spytała Wasia.

– Moim bratem. Moim wrogiem... Ale to długa historia, nie na dzisiaj. – Odłożył płócienny bandaż. Wasia zwalczyła odruch, by zwinąć dłoń w pięść. – Tę ranę trudniej będzie wyleczyć niż odmrożenie.

– Wciąż otwierałam ją na nowo – wyjaśniła Wasia. – Wydawało mi się, że pomaga mi strzec domu.

– Tak było – przytaknął Morozko. – Twoja krew ma moc – dotknął zranionego miejsca, a Wasia się wzdrygnęła – ale niewielką, bo jesteś młoda. Wasiu, mogę ją wyleczyć, lecz zostanie blizna.

– Zrób to – powiedziała, ale nie udało jej się zapanować nad drzeniem głosu.

– Dobrze. – Wyciągnął rękę i wziął z podłogi garść śniegu. Wasia przez chwilę była dezorientowana: zobaczyła kępę jodeł, śnieg niebieski od zmięzchu i czerwony od ognia. Potem jednak ona i Morozko znów byli w domu, a on przykładał śnieg do rany na jej dłoni. Wasia zeszywniała, a potem nadszedł ból jeszcze gorszy niż poprzednio. Stłumiła krzyk i udało jej się nie poruszyć. Ból stał się nie do wytrzymania, więc zaszlochała, zanim zdołała się powstrzymać.

Nagle ból ustał. Morozko puścił jej dłoń, a ona omal nie spadła ze stołka. Uratował ją gniadosz: oparła się o jego ciepły bok i przytrzymała grzywy. Ogier wysunął głowę, by musnąć chrapami jej drżącą dłoń.

Wasia odepchnęła go lekko i popatrzyła na swoją rękę. Rana zniknęła. Pośrodku dłoni widniał jedynie zimny blady ślad, idealnie okrągły. Kiedy przysunęła dłoń do ognia, miała wrażenie, że blizna odbija światło, jakby pod skórą schowany był odłamek lodu. Niemożliwe, tylko to sobie wyobraziła.

– Dziękuję. – Przycisnęła obie dłonie do kolan, żeby ukryć ich drzenie.

Morozko wstał i spojrzał na nią z góry.

– Wydobrzejesz. Odpoczywaj. Jesteś moim gościem. A jeśli chodzi o twoje pytania, będą odpowiedzi. W swoim czasie.

Wasia kiwnęła głową, wciąż patrząc na swoją rękę. Kiedy podniosła wzrok, jego już nie było.



24.

Widzę, czego pragnie twoje serce

– Znajdźcie ją! – ryknął Konstanty. – Sprowadźcie z powrotem!

Mężczyźni nie chcieli jednak wchodzić do lasu. Poszli za Wasią na jego skraj i stanęli jak wryci, mamrocząc coś o wilkach i demonach. I o ostrym mrozie.

– Teraz Bóg ją osądzi, *batiuszka* – powiedział ojciec Timofieja, a Oleg przytaknął z przekonaniem. Konstanty zawahał się, zbity z tropu. Ciemność za drzewami była nieprzenikniona.

– Tak, jak mówicie, moje dzieci, Bóg ją osądzi. Bóg z wami – mruknął ponuro i nakreślił znak krzyża.

Mężczyźni powlekli się do wsi, szepcząc coś, głowa przy głowie. Konstanty wrócił do swojej zimnej izby. Kasza z obiadu ciążyła mu na żołądku. Zapalił świecę przed Matką Boską i na ścianach natychmiast ożyło sto wściekłych cieni.

– Niegodziwy sługa – warknął głos. – Dlaczego ta czarownica chodzi wolno po lesie? Czyż nie mówiłem, że trzeba ją zamknąć? Że musi iść do klasztoru? Jestem niezadowolony, mój sługo. Bardzo niezadowolony.

Konstanty padł na kolana i skulił się.

– Staraliśmy się – tłumaczył. – Ta dziewczyna to demon.

– Ten demon jest teraz u mojego brata, a jeśli on ma dość oleju w głowie,

by zobaczyć jej siłę...

Świeca przygasła. Pop, skulony na podłodze, zamarł bez ruchu.

– U twojego brata? – wyszeptał. – Ale ty... – Nagle świeca zgasła i wokół dyszała ciemność. – Kim ty jesteś?

Odpowiedziała mu długa, powolna cisza, a potem głos się zaśmiał. Konstanty nie był pewny, czy to usłyszał, możliwe, że zobaczył jedynie w drzeniu cieni na ścianie.

– Jestem panem burz – mruknął głos z satysfakcją. – Sam tak mnie kiedyś nazwał, lecz dawno temu ludzie nazywali mnie Niedźwiedziem.

– Jesteś diabłem – wyszeptał Konstanty, zaciskając pięści.

Wszystkie cienie się śmiały.

– Jak sobie chcesz. Ale jaka jest różnica między mną a tym, którego nazywasz Bogiem? Ja także napawam się czynami popełnianymi w moje imię. Ja także mogę zapewnić ci chwałę, jeśli wypełnisz moje rozkazy.

– Ty... – wyszeptał Konstanty. – Myślałem... – Myślał, że został wywyższony, wybrany. Tymczasem wystrychnięto go na dudka i wykonuje polecenia demona. Wasia... Poczuł ucisk w gardle. W głębi jego duszy kryła się dumna dziewczyna jadąca konno w letni dzień. Śmiejąca się z bratem na stołku przy piecu. – Ona umrze. – Przycisnął pięści do oczu. – Zrobiłem to jako twój sługa.

Nawet gdy to mówił, myślał: oni nigdy nie mogą się dowiedzieć.

– Powinna była jechać do klasztoru. Albo przyjść do mnie – stwierdził głos rzeczowo, z lekką, kipiącą nutą gniewu. – Teraz jest z moim bratem. Ze śmiercią, choć nie jest martwa.

– Ze śmiercią? – wyszeptał Konstanty. – Nie martwa? – Chciał, żeby była martwa. Pragnął, żeby żyła. Sam pragnął umrzeć. Czuł, że jeśli głos nie przestanie mówić, oszaleje.

Cisza się przedłużała, a kiedy pop uznał, że już nie zdoła jej znieść, głos znów się odezwał:

– Czego pragniesz nade wszystko, Konstanty Nikonowiczu?

– Niczego. Nie chcę niczego. Odejdź.

– Jesteś jak kobieta, która ma wapory – stwierdził głos kwaśno. I dodał łagodniej: – Nieważne, wiem, czego pragniesz. – Zaśmiał się. – Chciałbyś oczyścić swoją duszę, człeku Boży? Chciałbyś odzyskać niewinną dziewczynę? Cóż, wiedz, że mogę ją wyrwać z rąk samej śmierci.

– Lepiej, żeby umarła i odeszła z tego świata – wychrypiał Konstanty.

– Zanim umrze, będzie cierpiała męki. Tylko ja mogę ją ocalić.

– Udowodnij to – zażądał Konstanty. – Sprowadź ją z powrotem.

Cień parsknął.

– Nie tak prędko, człeku Boży.

– Czego chcesz? – Konstanty krztusił się własnymi słowami.

Głos cienia stał się donioślejszy.

– Och, Konstanty Nikonowiczu, to takie miłe, kiedy ludzkie dzieci pytają mnie, czego pragnę.

– Czego zatem? – warknął Konstanty. Jak mogę być prawy, skoro ten głos rozbrzmiewa mi w uszach? Jeśli on sprowadzi ją z powrotem, znów będę czysty.

– To drobiazg – prychnął głos. – Drobnostka. Za życie trzeba zapłacić życiem. Chcesz, żeby ta mała czarownica wróciła? Ja też muszę mieć dla siebie czarownicę. Sprowadź mi ją, a ja zwrócę ci twoją. Potem zostawię cię w spokoju.

– Co mam zrobić?

– Przyprowadź czarownicę do lasu, na granicę, pod dąb, o świcie. Poznasz to miejsce, kiedy je zobaczysz.

– A co się stanie z tą... czarownicą, którą ci przyprowadzę? – zapytał Konstanty prawie bezgłośnie.

– Cóż, z pewnością nie umrze. – Głos się zaśmiał. – Jaki jest pożytek ze śmierci? Śmierć to mój brat, którego nienawidzę.

– Ale poza Wasią nie ma tu czarownic.

– Czarownice muszą wiedzieć, człeku Boży. Czy tylko ta dziewczyna widzi?

Konstanty milczał. Oczyma wyobraźni ujrzał pulchną bezkształtną postać klęczącą pod ikonostasem, ściskającą jego rękę w wilgotnej dłoni. Jej głos rozbrzmiewał w jego uszach: „*Batiuszka*, widzę demony. Wszędzie. Cały czas”.

– Pomyśl o tym, Konstanty Nikonowiczu – powiedział głos. – Muszę ją mieć przed wschodem słońca.

– Jak cię znajdę? – Te słowa były cichsze niż płatki śniegu. Zwykły śmiertelnik by ich nie usłyszał. Ale cień tak.

– Idź do lasu – wysyczał. – Szukaj przebiśniegów. Poznasz to miejsce. Daj mi czarownicę i zabierz swoją. Daj mi czarownicę, a będziesz wolny.



25.

Płak, który kochał dziewczynę

Wasię obudził dotyk słońca na twarzy. Otworzyła oczy i ujrzała błękitny sufit – nie, sklepienie nieba. Zmysły jej się mąciły i nie mogła sobie przypomnieć, zamknęła oczy... Potem jednak wróciła jej pamięć. Jestem w domu w kępie jodeł. Coś włochatego trąciło ją w brodę. Znow otworzyła oczy i odkryła, że gniady ogier chrapami niemal dotyka jej nosa.

– Za dużo śpisz – powiedział.

– Myślałam, że jesteś snem! – wykrzyknęła zdumiona Wasia. Zapomniała, jak wielki był koń ze snu, jak płomienne było spojrzenie jego ciemnych oczu. Odsunęła koński pysk i usiadła.

– Zazwyczaj nie jestem – odparł koń.

Ubiegły wieczór wrócił do Wasi gwałtowną falą. Przebiśniegi w środku zimy, chleb i jabłka, ciężki miód na jej języku. Długie białe palce na jej twarzy. Ból. Wyszarpnęła dłoń spod koca. Na środku dłoni zobaczyła błydy ślad.

– To też nie był sen – mruknęła.

Koń przyglądał jej się lekko zaniepokojony.

– Lepiej wierzyć, że wszystko jest prawdziwe – powiedział, jakby przemawiał do wariatki. – Powiem ci, jeśli coś będzie ci się śniło.

Wasia się roześmiała.

– Dobrze. Już się obudziłam. – Wyślizgnęła się z łóżka mniej boleśnie niż poprzednio. Rozjaśniło jej się w głowie. Dom nadal był lasem w południe, jeśli nie liczyć trzaskania i strzelania buzującego ognia. Na palenisku stał mały garnek, coś się w nim gotowało. Wasia nagle poczuła głód, podeszła więc do pieca i znalazła smakołyki: kaszę, mleko i miód. Jadła, a ogier kręcił się koło niej.

– Jak masz na imię? – zagadnęła go, kiedy już się najadła.

Koń zajęty był wylizywaniem jej miski. Zanim odpowiedział, nastawił ucho w jej stronę.

– Nazywam się Słowik.

– Słowik – powtórzyła Wasia z uśmiechem. – Małe imię dla wielkiego konia. Jak to się stało, że ci je nadano?

– Urodziłem się o zmierzchu – zaczął poważnie. – A może wyklułem się z jajka? Nie pamiętam. To było dawno temu. Czasami biegam, a czasami przypominam sobie, jak się lata. Dlatego mam takie imię.

Wasia wpatrywała się w niego.

– Ale nie jesteś ptakiem.

– Nie wiesz nawet, czym jesteś, skąd możesz wiedzieć, czym jestem ja? – odparł. – Nazywam się Słowik, czy to ważne dlaczego?

Wasia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Słowik dojadł jej kaszę i uniósł głowę, by na nią popatrzeć. Był najpiękniejszym koniem, jakiego kiedykolwiek widziała. Mysz, Wicher, Ogień... przy tym sokole wszystkie były niczym wróble.

– Zeszłej nocy... – zagaiła niepewnie. – Zeszłej nocy powiedziałeś, że pozwolisz mi na sobie pojeździć.

Ogier zarżał. Jego kopyta zadudniły o podłogę.

– Moja matka pouczała mnie, że mam być cierpliwy. Ale na ogół nie jestem. Chodźmy pojeździć. Jeszcze nigdy nikt mnie nie dosiadał.

Nagle Wasię ogarnęły wątpliwości, zaplotła jednak potargane włosy, włożyła serdak i pelerynę, rękawiczki i buty, które znalazła przy ogniu,

i wyszła za koniem na oślepiające światło dnia. Pod nogami czuła grubą warstwę śniegu. Spojrzała na wysoki, nagi grzbiet konia. Próbowwała napiąć mięśnie, stwierdziła jednak, że są słabe jak woda. Koń stał dumnie i wyczekująco, koń jak z bajki.

– Chyba będzie mi potrzebny pieniek – powiedziała Wasia.

Koń położył uszy.

– Pieniek?

– Pieniek – powtórzyła stanowczo. Podeszła do odpowiedniego pieńka po złamanym drzewie, a koń podreptał za nią. Sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się, czy chce takiego jeźdźca. Stanął jednak przy pieńku ze zbolalą miną, a Wasia wskoczyła ostrożnie na jego grzbiet.

Napiął wszystkie mięśnie i szarpnął głową. Wasia, która ujeżdżała już młode konie, spodziewała się czegoś takiego i siedziała twardo.

– No dobrze – sapnął, wypuszczając powietrze. – Przynajmniej jesteś lekka.

Kiedy ruszył, dreptał jednak dziwnie i jakby po skosie. Co kilka sekund wykręcał szyję i oglądał się na dziewczynę na swoim grzbiecie.

Jeździli przez cały dzień.

– Nie – powtórzyła Wasia po raz dziesiąty. Noc w śnieżnym lesie osłabiła ją bardziej, niż zdawała sobie z tego sprawę, co czyniło trudne zadanie jeszcze trudniejszym. – Musisz opuścić głowę i używać mięśni grzbietu. Na razie jazda na tobie przypomina jazdę na kłodzie drewna. Wielkiej i śliskiej.

Ogier wykręcił szyję i rzucił jej piorunujące spojrzenie.

– Potrafię chodzić.

– Ale nie potrafisz nosić jeźdźca – odrzekła Wasia. – To co innego.

– Dziwnie się czuję z tobą na grzbiecie – poskarżył się koń.

– Mogę to sobie tylko wyobrazić. Nie musisz mnie nosić, jeśli nie chcesz.

Koń nie odpowiedział, potrząsnął tylko czarną grzywą. A po chwili rzekł:

– Będę cię nosił. Matka mówi, że z czasem to staje się coraz łatwiejsze. –
W jego tonie słychać było powątpiewanie. – Cóż, dosyć tego. Zobaczmy, na
co nas stać.

I puścił się galopem.

Zaskoczona Wasia przerzuciła ciężar ciała do przodu i ścisnęła nogami
koński brzuch. Ogier pędził między drzewami. Wasia zaczęła wydawać
radosne okrzyki. Słowik poruszał się z gracją polującego kota i robił to
równie bezszelestnie. W pędzie stanowili jedność. Koń mknął niczym woda
i cały biały świat należał do nich.

– Musimy wracać – powiedziała wreszcie Wasia, zarumieniona, zdyszana
i roześmiana. Słowik zwolnił do kłusa, zadzierając głowę i błyskając
rozszerzonymi chrapami. Bryknął z radości, a Wasia przywarła do niego,
mając nadzieję, że jej nie zrzuci. – Jestem zmęczona.

Zastrzygł z niezadowoleniem uchem. Nawet się nie zadyszał. Westchnął
jednak i zawrócił. Zadziwiająco szybko dotarli do kępy jodeł. Wasia zsunęła
się na ziemię. Gdy dotknęła jej stopami, przeszył ją piekący ból i dysząc
ciężko, osunęła się w śnieg. Wyleczone palce miała odrętwiałe, a kilka
godzin jazdy sprawiło, że osłabła.

– A gdzie jest dom? – spytała, zaciskając zęby i dźwigając się na nogi.
Widziała tylko jodły. Gasnący dzień spowijał las rozgwieżdżonym fioletem.

– Nie da się go znaleźć, szukając – odparł Słowik. – Trzeba patrzeć trochę
gdzie indziej.

Wasia tak zrobiła i w nagłym błysku, na skraju jej pola widzenia, pojawiła
się chata stojąca wśród drzew. Koń szedł obok niej i było jej trochę wstyd, że
musi opierać się o jego ciepły bark. Szturchnął ją, pomagając przejść przez
drzwi.

Morozko jeszcze nie wrócił, jednak na palenisku stało gorące jedzenie,
umieszczone tam przez niewidzialne dłonie, był jakiś ciepły, korzenny napój.
Wasia osuszyła Słowika kocem, wyszczotkowała gniadą sierść i wycesała
długą grzywę. Nigdy wcześniej nie był oporzędzany.

– Głupstwa – prychnął, kiedy zaczęła. – Jesteś zmęczona. To nie ma najmniejszego znaczenia, czy będę wyszczotkowany, czy nie.

Mimo to wyglądał na bardzo zadowolonego, kiedy poświęciła uwagę jego ogonowi. Gdy skończyła jego toaletę, musnął chrapami jej policzek, a przez cały posiłek obwąchiwał jej włosy, twarz i miskę, jakby podejrzewał, że coś przed nim ukryła.

– Skąd pochodzisz? – spytała Wasia, kiedy nie mogła już dłużej wytrzymać i zaczęła karmić nienasyconego konia kawałkami chleba. – Gdzie się urodziłeś? – Słowik nie odpowiedział. Wyciągnął szyję i schrupał jabłko żółtymi zębami. – Kto jest twoim ojcem? – nalegała Wasia. Słowik nadal milczał. Ukradł resztkę chleba i jak gdyby nigdy nic odszedł, przeżuwając. Wasia westchnęła i już o nic więcej go nie pytała.

Wasia i Słowik jeździli na przejażdżki przez trzy dni. Z każdym dniem koń nosił ją z większą łatwością, a Wasia powoli odzyskiwała siły.

Kiedy trzeciego wieczoru wrócili do domu, Morozko i biała klacz już na nich czekali. Wasia, kuśtykając, przeszła przez próg, zadowolona, że zdołała dokonać tego na własnych nogach. Na ich widok stanęła jak wryta.

Klacz stała przy ogniu i lizała leniwie bryłkę soli, a Morozko siedział po drugiej stronie paleniska. Wasia zsunęła pelerynę i podeszła do pieca. Słowik zajął swoje zwykłe miejsce i czekał. Jak na konia, o którego do tej pory nikt nie dbał, bardzo szybko się przyzwyczał.

– Dobry wieczór, Wasiliso Pietrowno – przywitał Wasię Morozko.

– Dobry wieczór – odpowiedziała.

Ku jej zdziwieniu demon mrozu trzymał w ręku nóż i strugał kawałek drewna. Pod jego zręcznymi palcami powstawało coś na kształt drewnianego kwiatu. Odłożył nóż i omiótł ją spojrzeniem błękitnych oczu. Zastanawiała się, co zobaczył.

– Czy moi słudzy byli dla ciebie mili? – spytał.

– Tak, bardzo. Dziękuję za gościnę.

– Ależ proszę.

Milczał, kiedy oporządzała Słowika, chociaż czuła na sobie jego wzrok. Wytarła dokładnie konia i rozczesała jego skołtunioną grzywę. Kiedy umyła twarz i nakryto do stołu, rzuciła się na jedzenie niczym młody wilk. Stół ugiął się pod smakołykami: dziwnymi owocami, szpiczastymi orzechami, serem, chlebem i twarogiem. Kiedy Wasia wreszcie się najadła, podchwyciła drwiące spojrzenie Morozki.

– Byłam głodna – powiedziała przepraszająco. – W domu nie jadamy tak dobrze.

– Z łatwością mogę w to uwierzyć – padła odpowiedź. – Wyglądałaś jak duch w środku zimy.

– Naprawdę? – Wasia miała skwaszoną minę.

– Mniej więcej.

Ogień przygasł i światło w izbie zmieniło się ze złotego w czerwone.

– Dokąd jeździsz, kiedy nie ma cię tutaj? – chciała wiedzieć Wasia.

– Dokąd tylko chcę. W ludzkim świecie jest zima.

– A śpisz czasem?

Pokręcił głową.

– Nie tak, jak ty to pojmujesz.

Wasia mimowolnie zerknęła na wielkie łoże o czarnej ramie, z pledami piętrzącymi się niczym śnieżna zaspą. Zdusiła cisnące jej się na usta pytanie, lecz Morozko odgadł jej myśl. Uniósł brew.

Wasia oblała się szkarłatnym rumieńcem i skorzystała z przeciągu, by ukryć pałającą twarz. Kiedy znów na niego spojrzała, śmiał się.

– Nie musisz robić takiej pruderyjnej miny, Wasiliso Pietrowno – powiedział. – To łóżko przygotowali dla ciebie moi słudzy.

– A ty... – zaczęła Wasia i zaczerwieniła się jeszcze bardziej. – Ty nigdy...

Znów zajął się struganiem. Strzepnął z drewnianego kwiatu kolejny wiórek.

– Kiedy świat był młody, zostawiali mi w śniegu dziewczyny – powiedział łagodnie, a Wasię przeszedł dreszcz. – Czasami umierały, czasami były uparte albo dzielne i... nie umierały.

– Co się z nimi działo?

– Wracały do domu ze wspianym posagiem – rzekł Morozko sucho. – Nie słuchałaś bajek?

Wasia, wciąż zarumieniona, otworzyła usta, lecz natychmiast je zamknęła. W głowie kłębiło jej się wszystko, co chciałaby powiedzieć.

– Dlaczego? – wyjąkała. – Dlaczego uratowałeś mi życie?

– Bawiło mnie to – odparł Morozko, nie podnosząc głowy znad struganego drewna. Kwiat był prawie skończony. Morozko odłożył nóż, wziął kawałek szkła, a może lodu, i zaczął polerować swoje dzieło.

Wasia dotknęła policzka w miejscu, gdzie wcześniej miała odmrożenia.

– Ach tak?

Nie odpowiedział. Ich spojrzenia spotkały się nad ogniem. Wasia przełknęła ślinę.

– Dlaczego uratowałeś mi życie, a potem próbowałeś mnie zabić?

– Odważni żyją. Tchorze umierają w śniegu. Nie wiedziałem, do których należysz. – Odłożył kwiat i wyciągnął rękę. Jego długie palce musnęły miejsce na jej policzku, gdzie przedtem była rana. Dotknął kciukiem ust dziewczyny, a w jej krtani zadrżał oddech. – Krew to jedno. Dar widzenia drugie. Ale odwaga... Ta jest najrzadsza, Wasiliso Pietrowno.

Cała krew napłynęła Wasi tuż pod skórę, czuła każde drgnienie powietrza.

– Zadajesz za dużo pytań – stwierdził Morozko i cofnął rękę.

Wasia wpatrywała się w niego, oczy miała ogromne w blasku ognia.

– To było okrutne – szepnęła.

– Przed tobą długa droga. Jeśli nie masz dość odwagi, by ją przebyć, lepiej

– o wiele lepiej – żebyś spokojnie umarła w śniegu. Być może chciałem wyświadczyć ci przysługę.

– Wcale nie spokojnie – zachnęła się Wasia. – Ładna mi przysługa. Sprawileś mi ból.

Pokręcił głową i wrócił do strugania.

– Dlatego że walczyłaś – wyjaśnił. – To wcale nie musi boleć.

Odwróciła się i oparła o Słowika. Na długą chwilę zapadła cisza.

Przerwał ją Morozko:

– Wybacz mi, Wasiu. Nie bój się.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie boję się.

Piątego dnia Wasia powiedziała do Słowika:

– Dzisiaj zaplotę ci grzywę.

Nawet jeśli nie zamarł w bezruchu, poczuła, że wszystkie jego mięśnie są napięte.

– Nie trzeba jej zaplatać. – Potrząsnął grzywą, a czarna zasłona falowała niczym kobiece włosy i opadała znacznie poniżej jego szyi. Była niepraktyczna i niedorzecznie piękna.

– To ci się spodoba – zachęcała go Wasia. – Nie wolałbyś, żeby nie wpadała ci do oczu?

– Nie – odparł Słowik stanowczo.

Wasia spróbowała jeszcze raz:

– Będziesz wyglądał jak księżę wszystkich koni. Masz taką piękną szyję, nie powinna być zasłonięta.

Słowik zbył kwestię urody machnięciem głowy. Był jednak trochę próżny, jak wszystkie ogiery. Wasia poczuła, że zaczyna się wahać. Westchnęła i przytuliła się do jego grzbietu.

– Proszę...

– Och, dobrze – zgodził się.

Tego wieczoru, gdy koń był już wyszczotkowany i wyczesany, Wasia przysunęła stołek i zaczęła zaplatać mu grzywę. Żeby nie urazić jego uczuć, zrezygnowała z wyrefinowanych warkoczyków, loczków czy plecionek. Zebrała po prostu długą grzywę w jeden pierzasty warkocz biegnący wzdłuż szyi, tak że wydawała się jeszcze piękniej wygięta niż zawsze. Wasia była zachwycona. Ukradkiem próbowała wziąć kilka przebiśniegów, które wciąż stały w dzbanku na stole i nie wiodły, i wpleść je w warkocz, jednak koń był czujny.

– Co robisz?

– Dodaję kwiaty – odparła Wasia z poczuciem winy.

Słowik tupnął.

– Żadnych kwiatów!

Wasia, po chwili wewnętrznej walki, odłożyła z westchnieniem przebiśniegi.

Wiążąc ostatni luźny koniec grzywy, przerwała na chwilę i się cofnęła. Warkocz podkreślał dumny łuk ciemnej szyi i wdzięczny kształt głowy. Ośmielona Wasia przesunęła stołek, by zająć się ogonem.

Koń westchnął żałośnie.

– Ogon też?

– Kiedy skończę, będziesz wyglądał jak pan wszystkich koni – obiecała.

Słowik wykręcił szyję, bezskutecznie próbując dojrzeć, co dziewczyna robi.

– Skoro tak mówisz...

Wydawało się, że Słowik rozważa korzyści płynące z bycia oporzędanym przez jeźdźca. Wasia zignorowała go i nucąc pod nosem, zaczęła zaplatać krótsze włosy nad kością ogonową.

Nagle arrasami poruszył zimny powiew, a ogień w piecu buchnął

żywszym płomieniem. Słowik nastawił uszu. Wasia odwróciła się akurat w chwili, gdy otworzyły się drzwi. Morozko przestąpił próg, a za nim wsunęła się biała klacz. Pod wpływem ciepła z jej sierści buchnęła para. Słowik machnął ogonem, wyrywając go z rąk Wasi, i skłonił się z godnością, nie zważając na matkę. Ta, widząc jego zaplecioną grzywę, poruszyła uszami.

– Dobry wieczór, Wasiliso Pietrowno – odezwał się Morozko.

– Dobry wieczór – odparła Wasia.

Zdjął błękitną pelerynę. Zsunęła się z jego palców i zniknęła, zamieniając w obłoczek pyłu. Ściągnął także buty, po których została na podłodze mokra plama. Podeszedł boso do pieca, a biała klacz za nim. Wziął wiązkę słomy i zaczął ją wycierać. W mgnieniu oka słoma stała się szczotką z włosia dzika. Klacz z rozkoszy rozchyliła chrapy.

Zafascynowana Wasia podeszła bliżej.

– Przemieniłeś słomę? Czy to magia?

– Jak widzisz – odrzekł Morozko, nie przerywając szczotkowania.

– Możesz mi powiedzieć, jak to się robi? – Wasia przyglądała się pożądliwie szczotce w jego dłoni.

– Jesteś zbyt przywiązana do rzeczy takich, jakimi są. – Teraz Morozko szczotkował kłęb klaczy. Posłał Wasi leniwe spojrzenie. – Musisz pozwolić rzeczom, by stały się tym, co najlepiej służy twoim potrzebom. A wtedy one to robią.

Oszołomiona Wasia milczała. Słowik parsknął, przypominając o swoim istnieniu. Wzięła wiązkę słomy i zaczęła pocierać jego szyję, jednak bez względu na to, jak usilnie się w nią wpatrywała, słoma pozostawała słomą.

– Nie możesz przemienić jej w szczotkę, ponieważ oznaczałoby to, że w tej chwili widzisz w niej jedynie słomę – wyjaśnił Morozko. – Pozwól jej po prostu być szczotką.

Wasia wbiła wzrok w zad Słowika.

– Nie rozumiem – mruknęła.

– Nic się nie zmienia, Wasiu. Rzeczy są czymś albo nie. Magia polega na zapomnieniu, że coś kiedykolwiek było czymś innym niż to, co chcesz w tym widzieć.

– Nadal nie rozumiem.

– To nie znaczy, że nie możesz się nauczyć.

– Myślę, że się ze mną droczysz.

– Skoro tak uważasz – powiedział Morozko z uśmiechem.

Wieczorem, kiedy zjedli, a ogień płonął czerwono, Wasia powiedziała:

– Kiedyś obiecałeś mi opowieść.

Morozko, zanim odpowiedział, opróżnił swój kielich.

– Jaką opowieść, Wasiliso Pietrowno? Znam ich wiele.

– Wiesz, o którą mi chodzi. Tę o twoim bracie i twoim wrogu.

– Rzeczywiście obiecałem ci tę opowieść – przyznał Morozko niechętnie.

– Dwa razy widziałam powykręcany dąb. Od dzieciństwa cztery razy widziałam jednookiego mężczyznę, a także zmarłych, którzy wyszli z grobu. Sądziłeś, że poproszę cię o inną opowieść?

– Napij się zatem, Wasiliso Pietrowno. – Łagodny głos Morozki krążył w jej żyłach wraz z trunkiem. – I posłuchaj. – Dolał jej miodu, a ona wypła. Morozko wydawał się starszy, bardziej dziwny i odległy.

– Jestem Śmierć – powiedział powoli. – Teraz, jak i na początku. Dawno temu zrodziłem się w umysłach ludzi. Nie przyszedłem jednak na świat sam. Kiedy po raz pierwszy spojrzałem w gwiazdy, mój brat stał obok mnie. Brat bliźniak. I gdy po raz pierwszy ujrzałem gwiazdy, on także je ujrzał.

Ciche krystaliczne słowa zapadły w umysł Wasi i zobaczyła na niebie ogniste koła układające się w nieznane jej kształty, a także zaśnieżoną równinę dotykającą mroźnego, niebiesko-czarnego horyzontu.

– Miałem ludzką twarz – ciągnął Morozko – ale mój brat miał głowę niedźwiedzia, gdyż niedźwiedź ludzi przeraża. To rola mojego brata: sprawianie, że ludzie się boją. Syci się ich strachem, napełnia nim, a potem

śpi, póki znów nie zgłodnieje. Najbardziej ze wszystkiego kocha zamęt, wojnę, zarazę i nocny pożar. Jednak dawno temu go uwiązałem. Jestem Śmierć, strażnik porządku na świecie. Wszystko przechodzi przeze mnie, tak to już jest.

– Skoro go uwiązałeś, jak mógł...

– Uwiązałem mojego brata – przerwał jej Morozko, nie podnosząc głosu.
– Jestem jego opiekunem, strażnikiem, nadzorcą. Czasami się budzi, czasami śpi. To przecież Niedźwiedź. Teraz się obudził i jest silniejszy niż kiedykolwiek. Tak silny, że zrywa się z uwięzi. Nie może wyjść z lasu. Jeszcze nie. Opuścił jednak cień dębu, co nie zdarzyło mu się przez sto ludzkich żywotów. Wieśniacy zaczęli się bać, porzucili czarty i teraz nic nie chroni twojego domu. A on syci wami swój głód. Nocą zabija mieszkańców wioski. Sprawia, że umarli wychodzą z grobów.

Wasia milczała przez chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszała.

– Jak można go pokonać?

– Czasami podstępem. Dawno temu pokonałem go siłą, ale wtedy miałem innych do pomocy. Teraz zostałem sam i jestem słabszy. Ale on jeszcze się nie uwolnił – dodał Morozko po chwili milczenia. – By całkiem się wyzwolić, potrzebuje żywotów kilku ludzi i strachu udręczonych zmarłych. Najsilniejsze jest życie tych, którzy go widzą. Gdyby dopadł cię wtedy w lesie, tamtej nocy, gdy się spotkaliśmy, uwolniłby się, choćby wszystkie moce tego świata zwróciły się przeciwko niemu.

– Jak można uwiązać go na nowo? – zapytała Wasia nieco zniecierpliwiona.

Morozko uśmiechnął się lekko.

– Został mi ostatni fortel. – Czy tylko to sobie wyobraziła, czy jego spojrzenie zatrzymało się na jej twarzy? Talizman ciążył jej na szyi. – Uwiążę go podczas zimowego przesilenia, kiedy jestem najsilniejszy.

– Mogę ci pomóc.

– Czyżby? – Morozko nie krył rozbawienia. – Dziewczyna półkrwi bez

żadnego przygotowania? Nic nie wiesz o tajemnej wiedzy, walce czy magii. Jak niby możesz mi pomóc, Wasiliso Pietrowno?

– Utrzymałam domowika przy życiu – przypomniała Wasia. – Obroniłam mój dom przed upiorami.

– Brawo – pochwalił Morozko. – Jeden nowo narodzony upiór zgładzony za dnia, jeden mizerny domowik ledwie trzymający się życia i dziewczyna, która uciekała jak głupia przez zaśnieżony las.

Wasia przełknęła ślinę.

– Mam talizman. Niania mi go dała. To prezent od ojca. Pomógł mi w noc, kiedy zjawily się upiory. Mógłby znowu pomóc. – Wyjęła szafir spod tuniki. Był zimny i ciężki. Kiedy obróciła go w stronę ognia, srebrzystoniebieski klejnot rozblysnął sześcioramienną gwiazdą.

Czy to tylko jej wyobraźnia, czy twarz Morozki zrobiła się o odcień bledsza? Zacisnął usta, a jego oczy były głębokie i pozbawione koloru niczym woda.

– Mały talizman – powiedział. – Odrobina starej kruchej magii, by ochronić małą dziewczynkę. Marna to broń przeciwko Niedźwiedziowi.

Jego spojrzenie zatrzymało się na wisiorku, lecz Wasia tego nie zauważyła. Puściła naszyjnik i pochyliła się do przodu.

– Przez całe życie mówiono mi „idź” i „chodź”. Dyktują mi, jak mam żyć i jak mam umrzeć. Mam usługiwać mężczyźnie i być dla niego jak klacz, dawać mu przyjemność, albo muszę się ukryć za grubymi murami i oddać moje ciało zimnemu milczącemu Bogu. Poszłabym nawet w otchłań piekielną, gdybym sama mogła wybrać tę drogę. Wolałabym umrzeć jutro w lesie niż żyć przez sto lat życiem, jakie wybiorą dla mnie inni. Proszę, proszę, pozwól mi sobie pomóc.

Przez chwilę Morozko wyglądał tak, jakby się wahał.

– Nie słyszałaś mnie? – odezwał się wreszcie. – Jeśli Niedźwiedź zdobędzie twoje życie, cóż, wtedy będzie wolny i nic nie zdołam na to poradzić. Lepiej trzymaj się od niego z daleka. Jesteś tylko dziewczyną.

Wracaj do domu, tam będziesz bezpieczna. To mi pomoże. Tak będzie najlepiej. Noś klejnot. Nie idź do klasztoru. – Nie dostrzegła ostrego wyrazu jego ust. – Spotkasz mężczyznę, który się z tobą ożeni. Dopilnuję tego. Dam ci posag, wielki posag, jak nakazuje bajka. Chciałabyś tego? Złoto na rękach i na szyi, najwspanialsze wiano w całej Rusi.

Wasia wstała gwałtownie, przewracając stołek. Nie mogła wydobyć głosu, wybiegła w ciemną noc, bosą i z odkrytą głową. Słowik posłał Morozce karcące spojrzenie i podążył za nią.

W domu zapadła cisza, jeśli nie liczyć trzaskania ognia.

– Źle to rozegrałeś – przemówiła klacz.

– Czyż nie miałem racji? W domu będzie jej lepiej. Brat ją obroni. Niedźwiedź zostanie uwięzany. Znajdzie się mężczyzna, który ją poślubi i będzie żyła bezpiecznie. Musi nosić klejnot. Musi żyć długo i pamiętać. Nie poświęcę jej życia. Wiesz, co kładziemy na szali.

– W takim razie zaprzeczasz temu, kim jest. Ona uschnie.

– Jest młoda. Dostosuje się.

Klacz nie odpowiedziała.

Wasia nie wiedziała, jak długo jechali. Słowik wyszedł za nią w śnieg, a ona wdrapała się na oślep na jego grzbiet. Gotowa była tak jechać w nieskończoność, lecz koń w pewnym momencie zawrócił. Kątem oka ujrzała dom wśród drzew.

Słowik potrząsnął grzywą.

– Zsiadaj – powiedział. – Tam płonie ogień. Jesteś zziębnięta, zmęczona i przestraszona.

– Nie jestem przestraszona! – zachnęła się Wasia, lecz zsunęła się z końskiego grzbietu. Kiedy jej stopy dotknęły śniegu, wzdrygnęła się. Kuśtykając, wniknęła między jodły i przekroczyła znajomy próg. Ogień w piecu strzelał wysoko. Wasia zdjęła mokrą pelerynę, nie dostrzegając

milczących sług, którzy ją od niej odebrali. Jakimś cudem dotarła do ognia i usiadła na krześle. Morozki i białej kłaczy nie było.

Napiła się miodu i zapadła w drzemkę, trzymając zziębnięte stopy blisko pieca.

Ogień przygasł, lecz ona wciąż spała. W najciemniejszej porze nocy przyśnił jej się sen.

Była w izbie Konstantego. Powietrze cuchnęło ziemią i krwią, a nad miotającym się popem przycupnął potwór. Kiedy uniósł głowę, Wasia zobaczyła, że wargi i brodę ma umazane krwią. Zamachnęła się, żeby go przegonić, a on wrzasnął, wyskoczył przez okno i zniknął. Wasia przyklekła przy łóżku, odgarniając podarte koce.

Twarz, którą ujęła w dłonie, nie była twarzą ojca Konstantego. Spoglądały na nią martwe, szare oczy Aloszy.

Wasia usłyszała warknięcie i się odwróciła. Upiór wrócił i była to Dunia – martwa, ślaniająca się, przelaząca przez parapet, jej usta były ziejącą dziurą, z końców palców wystawały kości. Dunia, która była dla niej jak matka. A potem cienie na ścianach izby popa zlały się w jeden cień, cień jednookiego mężczyzny, który śmiał się dziko. „Płacz”, powiedział. „Boisz się. To cudowne”.

Wszystkie ikony w kącie ożyły, a postacie na nich piszczwały z entuzjazmem. Cień otworzył usta, by znowu się zaśmiać, lecz nagle przestał być cieniem i przemienił się w niedźwiedzia – wielkiego zwierza o wygłodniałych zębach. Ryknął, zionąc ogniem, i jej dom zaczął płonąć. Gdzieś usłyszała krzyk Iriny.

W płomieniach ukazała się roześmiana twarz, plamistosina, z wielką czarną dziurą w miejscu oka. „Chodź”, powiedziała zjawa. „Będziesz razem z nimi i będziesz żyła wiecznie”. Obok zjawy stali martwy brat i siostra Wasi. Wydawało się, że przywołują ją zza płomieni.

Coś twardego uderzyło Wasię w twarz, ona jednak na to nie zważała.

Wyciągnęła rękę. „Alosza! – zawołała. – Lioszka!”.

Poczuła nagły ból, ostrzejszy niż przedtem. Została wyrwana ze snu, w gardle zdławiła ni to szloch, ni to krzyk. Słowik trącał ją niespokojnie nosem, ugryzł w ramię. Chwyciła jego ciepłą grzywę. Dłonie miała jak dwie bryły lodu, zęby jej szczękały. Skryła twarz w końskiej grzywie. W głowie wciąż słyszała krzyki i śmiejący się głos. „Chodź albo już nigdy ich nie zobaczysz”. Nagle usłyszała inny głos i poczuła powiew mroźnego powietrza.

– Cofnij się, ty wielki wole.

Dobiegł ją oburzony pisk Słowika, a potem poczuła na twarzy zimne dłonie. Kiedy próbowała zobaczyć, kto to, widziała tylko płonący dom ojca i przyzywającego ją jednookiego mężczyznę. „Zapomnij o nim, mówił jednooki. Chodź tutaj”.

Morozko uderzył ją w twarz.

– Wasiu, Wasiliso Pietrowno, popatrz na mnie.

Miała wrażenie, jakby przywlekła się tu z bardzo daleka, lecz w końcu zdołała skupić wzrok. Nie widziała domu w lesie, tylko jodły, śnieg, konie i nocne niebo. Owiewało ją mroźne powietrze. Próbowiła uspokoić krótki paniczny oddech.

Morozko syknął coś, czego nie zrozumiała i dodał:

– Proszę. Pij.

Przytknął jej kielich do ust, poczuła zapach miodu. Przełknęła, zakrztusiła się, napiła. Kiedy uniosła głowę, kielich był pusty, a jej oddech zwolnił. Znowu widziała ściany domu, choć drżały na brzegach. Słowik wysuwał w jej stronę wielki łeb, skubał chrapami jej włosy i twarz. Zaśmiała się słabo.

– Nic mi nie jest... – zaczęła, lecz nagle śmiech przeszedł w płacz. Zakryła rękami twarz.

Morozko przyglądał jej się zmrużonymi oczami. Nadal czuła uścisk jego dłoni, policzek palił tam, gdzie ją uderzył.

Wreszcie łzy przestały płynąć.

– Miałam koszmarny sen – wyznała. Nie mogła na niego spojrzeć. Skuliła

się na stołku, zmarznięta i zawstydzona.

– Nie rób takiej miny – powiedział Morozko. – To było coś więcej niż koszmarny sen. To był mój błąd. – Widząc, że dziewczyna dygocze, mruknął zniecierpliwiony. – Podejź do mnie, Wasiu. – Kiedy się zawahała, zapewnił: – Nie zrobię ci krzywdy, dziecino, a to cię uspokoi. Chodź tutaj.

Zdezorientowana Wasia wyprostowała się i wstała, znowu walcząc ze łożami. Morozko otulił ją peleryną. Nie wiedziała, skąd ją wziął. Może wyczarował z niczego? Podniósł Wasię i usiadł na ciepłym gzymsie pieca, trzymając ją w ramionach. Był delikatny. Jego oddech przypominał tchnienie zimowego wiatru, ciało jednak miał ciepłe, a pod dłonią czuła bicie jego serca. Chciała mu się wyrwać, zgromić go dumnym spojrzeniem, była jednak zbyt zmarznięta i przestraszona. Pulsowało jej w uszach. Niezdarnie ułożyła głowę we wgłębieniu jego ramienia. Przesunął palcami po jej rozpuszczonych włosach. Przestała się trząść.

– Już mi lepiej – powiedziała niepewnie po chwili. – Co miałeś na myśli, mówiąc, że to twój błąd?

Bardziej poczuła, niż usłyszała jego śmiech.

– Niedźwiedź jest panem koszmarów. Gniew i strach są dla niego jak jedzenie i picie, wnika więc do ludzkich umysłów. Wybacz mi, Wasiu.

Wasia milczała.

Po chwili Morozko poprosił:

– Opowiedz mi swój sen.

Opowiedziała. Kiedy skończyła, znowu wpadła w dygot, a on tulił ją w milczeniu.

– Miałeś rację – powiedziała wreszcie. – Co ja wiem o dawnej magii, o dawnych swarach czy w ogóle o czymkolwiek? Ale muszę wracać do domu. Potrafię obronić moją rodzinę, przynajmniej do czasu. Ojciec i Alosza zrozumieją, kiedy wszystko im wyjaśnię.

Poraziła ją wizja martwego brata.

– Dobrze – zgodził się Morozko. Nie patrzyła na niego, więc nie widziała

jego ponurej miny.

– Mogę zabrać ze sobą Słowika? – spytała z wahaniem. – Jeśli zechce mi towarzyszyć?

Słowik usłyszał i potrząsnął grzywą. Spuścił głowę, by spojrzeć na Wasię jednym okiem.

– Gdzie ty pójdziesz, tam i ja – powiedział.

– Dziękuję – wyszeptała Wasia i pogłaskała go po nosie.

– Pójdziesz jutro – oznajmił Morozko. – Prześpij resztę nocy.

– Jak to? – obruszyła się Wasia, odchylając się, by na niego spojrzeć. – Jeśli Niedźwiedź czyha na mnie w snach, nie zamierzam spać.

Morozko uśmiechnął się krzywo.

– Tym razem będę przy tobie. Gdybym się nie oddalił, Niedźwiedź nie ośmieliłby się wtargnąć do mojego domu nawet w twoich snach.

– Skąd wiedziałeś, że śni mi się koszmar? – chciała wiedzieć Wasia. – Jak zdołałeś wrócić w porę?

Morozko uniósł brew.

– Wiedziałem. A wróciłem na czas, bo nic pod tymi gwiazdami nie pędzi szybciej niż moja biała klacz.

Wasia otworzyła usta, by zadać kolejne pytanie, lecz zmęczenie zalało ją niczym falą. Cofnęła się znad krawędzi snu, nagle przestraszona.

– Nie – wyszeptała. – Nie. Nie zniosłabym tego po raz drugi.

– On już nie wróci – zapewnił ją Morozko. Szeptał jej uspokajająco prosto do ucha. Poczowała jego wiek i siłę. – Wszystko będzie dobrze.

– Nie odchodź – wyszeptała.

Przez jego twarz przemknęło coś, czego nie potrafiła nazwać.

– Nie odejdę.

A potem nic nie miało już znaczenia. Sen był niczym potężna ciemna fala, która przetoczyła się nad nią i przed nią. Jej powieki opadły.

– Sen jest kuzynem śmierci, Wasiu – szepnął Morozko nad jej głową. – Jedno i drugie należy do mnie.

Gdy się obudziła, Morozko nadal był w izbie, tak jak obiecał. Wygramoliła się z łóżka i podeszła do ognia. Siedział bez ruchu wpatrzony w płomienie, zupełnie jakby przez ten czas w ogóle nie zmienił pozycji. Przyglądając mu się w skupieniu, ujrzała wokół niego las, jego zaś jako wielką, białą, bezkształtną ciszę pośrodku. Usiadła na stołku, a on odwrócił się do niej i jego twarz nie była już tak daleka.

– Gdzie wczoraj byłeś? – spytała. – Gdzie byłeś, kiedy Niedźwiedź dowiedział się o twojej nieobecności?

– Tu i tam. Przywiozłem ci prezenty.

Przy ogniu leżał stos tobołków. Wasia spojrzała na nie. Morozko uniósł zachęcająco brew, a ona była jeszcze na tyle dziecinna, że natychmiast podeszła do pierwszego tobołka i rozwiązała go z bijącym sercem. Była w nim zielona sukienka wykończona szkarłatem i podszyta sobolim futrem peleryna. Były tam także wysokie buty z filcu i futra, wyszywane czerwonymi koralikami, stroiki na głowę i klejnoty, mnóstwo klejnotów. Wasia zważyła je na dłoni. Było złoto i srebro w jukach z grubej skóry. Srebrzysty materiał i mięsista tkanina, której nie znała.

Wasia obejrzała to wszystko. Jestem dziewczyną z bajki, pomyślała. To mój posag. A teraz on odwiezie mnie do ojcowskiego domu zasypaną podarunkami.

Przypomniała sobie jego dłonie nocą, tych kilka momentów czułości.

Nie, to nic takiego. Nie tak skończy się ta opowieść. Jestem tylko dziewczyną z bajki, a on złym demonem mrozu. Dziewczyna wraca z lasu, wychodzi za mąż za przystojnego chłopca i zapomina o magii.

Dlaczego nagle przeniknął ją ból? Odłożyła trzymany w ręku materiał.

– Czy to mój posag? – Głos miała cichy. Nie wiedziała, co maluje się na

jej twarzy.

– Musisz jakiś mieć – odparł Morozko.

– Nie od ciebie – szepnęła Wasia i zobaczyła zaskoczenie malujące się na jego twarzy. – Zniosę twoje przebiśniegi macosze. Słowik, jeśli zechce, pojedzie ze mną do Leśnej Ziemi. Ale niczego więcej od ciebie nie przyjmę, Morozko.

– Niczego ode mnie nie przyjmiesz, Wasiu? – powtórzył Morozko i po raz pierwszy usłyszała ludzki głos.

Cofnęła się chwiejnie, potykając o prezenty rozrzucone u jej stóp.

– Nic! – Wiedziała, że on wie, iż ona płacze, i starała się mówić rozsądnie.

– Uwiąż swojego brata i ocal nas. Wracam do domu.

Jej peleryna wisiała przy ogniu. Założyła buty i chwyciła koszyk z przebiśniegami. W głębi duszy chciała, żeby zaprotestował, nie zrobił tego jednak.

– Wobec tego o świcie przekroczysz granice swojej wioski – oznajmił Morozko. Wstał. Milczał przez chwilę. – Wierz we mnie, Wasiu. Nie zapomnij mnie.

Ona jednak już była za progiem i ruszała w drogę.



26.

Odwilż

To tylko głupia nieszczęsna wariatka, myślał Konstanty Nikonowicz. Powiedział, że jej nie zabije. Muszę go zmusić, by zostawił mnie w spokoju. Nikt nie może się o tym dowiedzieć.

Szary świt i krwawy wschód słońca. Gdzie jest granica, o której on mówił? W lesie. Przebiśniegi. Stary dąb. Przed świtem.

Konstanty wślizgnął się do pokoju Anny i dotknął jej ramienia. Irina spała obok, lecz się nie poruszyła. Położył dłoń na ustach Anny, by stłumić jej krzyk.

– Chodź ze mną – szepnął. – Bóg nas wezwał. – Spojrzał jej wymownie w oczy. Leżała nieruchomo, rozchyliła usta. Pocałował ją w czoło. – Chodź – powtórzył.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, w których nagle błysnęły łzy.

– Tak – wykrztusiła.

Szła za nim jak pies. Był przygotowany na szepty, opowiadanie głupstw, tymczasem wystarczyło jedno spojrzenie, a poszła za nim. Było ciemno, lecz na wschodzie niebo już jaśniało. Było bardzo zimno. Otulił ją swoją peleryną i wyprowadził z domu. Anna od miesiący nie wychodziła na dwór, nawet za dnia, teraz jednak szła za nim, a jej nierówny oddech tylko nieznacznie

przyspieszył, gdy znaleźli się za wsią.

Natrafili na stary dąb, niedaleko skraju lasu. Konstanty nigdy wcześniej go nie widział. Wokół rozciągała się zima, zimny śnieżny całun, ziemia była niczym żelazo, a rzeka jak błękitny marmur, jednak pod dębem śnieg stopniał i – Konstanty podszedł bliżej – na ziemi było gęsto od przebiśniegów. Anna chwyciła go za ramię.

– Ojczy – wyszeptała. – Och, ojczy, skąd one się tu wzięły? Jest zima, za wcześnie na przebiśniegi.

– Odwilż – odrzekł Konstanty, słaby, ogarnięty mdłościami i przepelniony pewnością. – Chodź, Anno. – Podała mu rękę. Jej dotyk był dotykiem dziecka. Wraz z pierwszym światłem zobaczył czarne szczyby między jej zębami.

Pociągnął ją bliżej drzewa, na dywan przedwczesnych przebiśniegów. Bliżej, jeszcze bliżej.

I nagle znaleźli się na polance, której żadne z nich nigdy nie widziało. Pośrodku stał samotny dąb, przy jego oszronionych korzeniach zbiły się w kępki białe kwiatki. Niebo było białe. Na ziemi tworzyła się błotnista breja.

– Brawo – odezwał się głos. Zdawał się pochodzić z powietrza, z wody. Z ust Anny wydobył się ni to krzyk, ni to szloch. Konstanty ujrzał na śniegu cień rozrastający się do potwornych rozmiarów, długi i zniekształcony, najczarniejszy cień, jaki kiedykolwiek widział. Anna jednak patrzyła nie na cień, a na przestrzeń za nim i zaczęła dziko wrzeszczeć.

Konstanty spojrział tam, gdzie ona, ale niczego nie zobaczył.

Cień zdawał się przeciągać i drzeć, niczym pies głaskany przez swego pana. Krzyki Anny rozdzierały powietrze. Światło było matowe i przyćmione.

– Brawo, mój sługo – powtórzył głos. – Ona jest wszystkim, czego mógłbym pragnąć. Widzi mnie i się boi. Krzycz, wiedźmo, krzycz.

Konstanty poczuł się pusty i dziwnie spokojny. Odepchnął Annę, chociaż

drapała go i szarpała. Wbiła paznokcie w jego okryte wełną przedramię.

– Dobrze – powiedział. – Dotrzymaj obietnicy. Zostaw mnie w spokoju i odeślij dziewczynę.

Cień zamarł niczym dzik, który słyszy odległe kroki myśliwych.

– Wracaj do domu, człeku Boży – powiedział. – Wracaj i czekaj. Dziewczyna do ciebie wróci. Przysięgam.

Przerażone wrzaski Anny były coraz głośniejsze. Rzuciła się na ziemię i całowała stopy Konstantego, obejmując go za nogi.

– *Batiuszka!* – błagała. – *Batiuszka!* Proszę, nie! Nie zostawiaj mnie, błagam. Błagam! To diabeł. Diabeł!

Konstantego ogarnęło znużenie i obrzydzenie.

– Doskonale – zwrócił się do cienia.

Odepchnął Annę.

– Radzę ci się modlić.

Zaczęła szlochać jeszcze bardziej rozpaczliwie.

– Idę – zwrócił się Konstanty do cienia. – Będę czekał. Nie złam danego mi słowa.



27.

Zimowy niedźwiedź

Wasia wróciła do Leśnej Ziemi wraz z pierwszym brzaskiem pogodnego zimowego poranka. Słowik zawiózł ją pod ogrodzenie najbliższej domu. Gdyby stanęła na jego grzbiecie, mogłaby dotknąć wierzchołka spadzistego dachu.

– Zaczekam na ciebie, Wasiu – powiedział ogier. – Jeśli będziesz mnie potrzebowała, wystarczy, że zawołasz.

Wasia położyła dłoń na jego szyi, po czym przeskoczyła przez ogrodzenie prosto w śnieg.

Alosza był w kuchni sam. Uzbrojony, chodził tam i z powrotem, miał na sobie pelerynę i wysokie buty. Gdy zobaczył Wasię, stanął jak wryty. Brat i siostra patrzyli na siebie.

Alosza zrobił dwa kroki, chwycił ją w objęcia i przytulił.

– Boże, Wasiu, wystraszyłaś mnie – wyszeptał w jej włosy. – Myślałem, że nie żyjesz. Przekłeta Anna Iwanowna i upiory! Zamierzałem cię szukać. Co się stało? Ty... nie wydajesz się nawet zmarznięta. – Odsunął ją nieco od siebie. – Wyglądasz inaczej.

Wasia pomyślała o domu w lesie, o dobrym jedzeniu, odpoczynku i ciepłe. Pomyślała o swoich bezkresnych przejażdżkach w śniegu i o Morozce, o tym, jak wieczorem czuwał nad nią przy ogniu.

– Może jestem inna.

Cisnęła kwiaty na stół.

Alosza rozdziawił usta.

– Gdzie? – wyjąkał. – Jak?

Dziewczyna posłała mu krzywy uśmiezek.

– To prezent.

Alosza wyciągnął rękę i dotknął delikatnych łądyżek.

– To na nic, Wasiu – powiedział, przytomniejąc. – Anna nie dotrzyma obietnicy. Wieśniacy już są przerażeni. Jeśli rozniesie się wieść o tym...

– Nie powiemy im – przerwała mu Wasia stanowczo. – Wystarczy, że ja wypełniłam moją część umowy. Po zimowym przesileniu zmarli znów będą spoczywać spokojnie w grobach. Ojciec wróci do domu, a ty i ja przemówimy mu do rozsądku. A tymczasem musimy strzec domu.

Odwróciła się do pieca.

W tym momencie do kuchni przydreptała Irina. Na widok Wasi krzyknęła.

– Wasoczka! Wróciłaś! Tak się bałam. – Rzuciła się Wasi na szyję, a ona pogłaskała siostrę po włosach. – Ale gdzie jest mama? – spytała Irina, odsuwając się. – Nie było jej w łóżku, chociaż zwykle śpi długo. Myślałam, że będzie w kuchni.

Wasia poczuła na karku zimne dotknięcie, chociaż nie była pewna dlaczego.

– Może jest w cerkwi, ptaszyno – powiedziała. – Pójdę sprawdzić. A tutaj są kwiatki dla ciebie.

Irina chwyciła przebiśniegi i przycisnęła je do ust.

– Tak wczesnie? Jest już wiosna, Wasiu?

– Nie. To tylko zapowiedź wiosny. Schowaj je. Muszę znaleźć twoją matkę.

W cerkwi nie było nikogo poza ojcem Konstantym. Wasia stąpała miękko w ciszy. Ikony zdawały się jej przyglądać.

– To ty – odezwał się Konstanty ze znużeniem, nie odrywając wzroku od

ikon. – Dotrzymał obietnicy.

Wasia wyminęła go i stanęła między nim a ikonostasem. W jego zapadniętych oczach płonął blady ogień.

– Wszystko za ciebie oddałem, Wasiliso Pietrowno.

– Nie wszystko – zaprotestowała Wasia. – Twoja duma najwyraźniej pozostała nietknięta, podobnie jak twoje złudzenia. Gdzie moja macocha, *batiuszka*?

– Nie, oddałem wszystko – upierał się Konstanty. Podniósł głos, wydawało się, że mówi wbrew swojej woli. – Sądziłem, że to głos Boga, ale tak nie było. I zostałem sam z moim grzechem, tym, że cię pragnąłem. Posłuchałem diabła, żeby się od ciebie uwolnić. Teraz już nigdy się z tego nie oczyszczę.

– *Batiuszka*, co to za diabeł?

– Głos w ciemności. Pan burz. Cień na śniegu. Ale on mi powiedział... – Konstanty zakrył twarz dłońmi. Jego ramiona drżały.

Wasia uklękła i odjęła mu rękę od twarzy.

– *Batiuszka*, gdzie jest Anna Iwanowna?

– W lesie. – Konstanty wpatrywał się zafascynowany w jej twarz, podobnie jak wcześniej Alosza. Wasia zastanawiała się, jaka zmiana w niej zaszła, gdy była w domku w lesie. – Z cieniem. To cena za moje grzechy.

– *Batiuszka* – powiedziała Wasia, bardzo ostrożnie. – Czy w tym lesie widziałeś wielki dąb, czarny i powykręcany?

– Oczywiście, ty z pewnością znasz to miejsce – odparł Konstanty. – To siedziba demonów.

Nagle na jego twarzy pojawił się strach. Wasia zbladła.

– Co, dziewczyno? – przemówił ze śladem dawnego władczego tonu. – Nie możesz żałować tej starej wariatki. Chciała twojej śmierci.

Ale Wasia już wyszła i biegła w stronę domu. Drzwi cerkwi zatrzasnęły się za nią.

Przypomniała sobie oczy macochy wytrzeszczone na widok domowika.

On pragnie ponad wszystko życia tych, którzy mogą go zobaczyć.

Niedźwiedź ma swoją czarownicę i nastał już świt.

Włożyła dwa palce do ust i gwizdnęła przenikliwie. Z kominów już unosił się dym. Jej gwizd przeszył ciszę poranka niczym strzały najeźdźców i ludzie wysypali się z domów.

– Wasia! – usłyszała. – Wasilisa Pietrowna!

Nagle wszyscy umilkli, gdyż Słowik przeskoczył przez ogrodzenie. Przygalopował do Wasi i nie zwolnił, gdy wskakiwała na jego grzbiet. Usłyszała okrzyki zdumienia.

Ogier zatrzymał się gwałtownie na podwórzu. Ze stajni dobiegało rzenie koni. Alosza wybiegł z domu, trzymając w ręku obnażony miecz. Za nim przez drzwi wyrzała drżąca Irina. Oboje zamarli i wpatrywali się w Słowika.

– Lioszka, chodź ze mną – zażądała Wasia. – Już! Nie ma czasu.

Alosza popatrzył na Wasię i na gniadego ogiera. Popatrzył na Irinę i na wieśniaków.

– Zawieziesz także jego? – spytała Wasia Słowika.

– Tak – odrzekł Słowik. – Jeśli mnie o to prosisz. Ale dokąd jedziemy, Wasiu?

– Pod stary dąb. Na polanę Niedźwiedzia – odparła Wasia. – Tak szybko, jak tylko możesz.

Alosza bez słowa wskoczył za nią na konia.

Słowik zadarł głowę, jakby czuł, że zbliża się bitwa, i powiedział:

– Nie możesz zrobić tego sama. Morozko jest daleko. Powiedział, że musi czekać do zimowego przesilenia.

– Nie mogę? – obruszyła się Wasia. – A jednak to zrobię. Pośpiesz się.

Anna Iwanowna straciła głos, jakby jej struny głosowe zerwały się od

krzyku. Próbowwała mówić, lecz z jej ust wydobywało się tylko rozpaczliwe chrypienie. Leżała na ziemi, a jednooki mężczyzna siedział obok niej i się uśmiechał.

– Och, moja cudna – przemawiał do niej. – Krzycz jeszcze. To piękne. Twoja dusza dojrzeła, kiedy krzyczysz.

Nachylił się nad nią. W jednej chwili widziała mężczyznę o twarzy pokrytej płataniną sinych blizn, a w następnej szczerzącego zęby jednookiego niedźwiedzia, którego głowa i barki zdawały się przesłaniać niebo. A potem stawał się niczym: burzą, wiatrem, letnią błyskawicą. Cieniem. Kuliła się i wymiotowała. Próbowwała wstać, lecz potwór szczerzył do niej zęby i opuszczały ją siły. Leżała, wdychając cuchnące powietrze.

– Jesteś wspaniała – powiedział potwór, nachylając się jeszcze niżej i tocząc ślinę z pyska. Wodził szorstkimi dłońmi po jej ciele. U jego stóp kuliła się jeszcze jedna postać, owinięta na biało, drobna. Jej twarz się skurczyła, zostały tylko osadzone blisko oczy, wąskie skronie i rozwarłe szeroko wygłodniałe usta. Kucała z głową między kolanami i od czasu do czasu łypała na Annę, a w jej ciemnych oczach pojawiał się żarłoczny błysk.

– Duniu – wychrypiała Anna, szlochając. Bo to była ona, ubrana tak, jak ją pochowali. – Duniu, proszę...

Dunia nie odpowiedziała, tylko otworzyła przepastne usta.

– Umrzyj – powiedział Niedźwiedź z czułością, puszczając Annę i się cofając. – Umrzyj i żyj wiecznie.

Upiór rzucił się do skoku. Anna nie stawiała właściwie oporu, bez przekonania usiłowała drapać Dunię paznokciami.

Nagle jednak z drugiego końca polanki dobiegło donośne rzenie konia.

Gdy Słowik galopował, Wasia opowiedziała Aloszy, że potwór ma ich macochę, a jeśli ją zabije, będzie mógł bez przeszkód siać zamęt w okolicy.

– Wasiu, gdzie ty byłaś? – spytał Alosza, gdy wysłuchał tego, co mówiła

siostra.

– Byłam gościem króla zimy.

– Cóż, w takim razie powinnaś przywieźć wielki posag – skwitowała Alosza natychmiast, a Wasia się roześmiała.

Wstawał dzień. Między drzewami unosił się dziwny zapach, ostry i cuchnący. Słowik pędził z postawionymi uszami. Był koniem dla bogów, lecz Wasia miała puste ręce i nie potrafiła walczyć.

– Nie wolno ci się bać – powiedział Słowik, a ona pogłaskała jego lśniąca szyję.

Przed nimi majaczył wielki dąb. Wasia poczuła, że ciało Aloszy tężeje. Minęli drzewo i znaleźli się na polance, w miejscu, którego Wasia nie знаła. Niebo było białe, powietrze ciepłe, więc pociła się pod ubraniem.

Słowik stanął dęba, ostrzegając przez zagrożeniem. Alosza chwycił Wasię wpół. Coś białego leżało twarzą w dół w błotnistej ziemi, podczas gdy inny kształt miotał się pod spodem. Wokół obu postaci rozlewała się wielka kałuża krwi.

Nad nimi, czekając i szczerząc zęby, stał Niedźwiedź. Nie był to już drobny mężczyzna o skórze porytej bliznami. Teraz Wasia ujrzała prawdziwego niedźwiedzia, tyle że większego od wszystkich, jakie do tej pory widziała. Futro miał pstrokate, w kolorze mchu, wokół szerokich warczących ust lśniły czarne wargi.

Kiedy ich zobaczył, na czarnych wargach pojawił się nikły uśmiezek, a spomiędzy zębów wysunął się czerwony język.

– Dwoje! – wykrzyknął. – Tym lepiej. Sądziłem, że mój brat już zagarnął cię dla siebie, dziewczyno, ale pewnie jest zbyt wielkim głupcem, by cię zatrzymać. Masz oczy króla mórz. Która śmiertelniczka ma takie oczy?

Kątem oka Wasia spostrzegła, że na polankę wchodzi biała kłacz.

– Och nie, a oto i on – mruknął Niedźwiedź. – Witaj, bracie. Przybyłeś, by mnie pokonać? – spytał ostro.

Morozko rzucił Wasi płomienne spojrzenie, a ona poczuła, że

w odpowiedzi rozżarza się w niej ogień: mocy i wolności zarazem. Pod sobą miała gniadego ogiera, obok zawzięty wzrok demona mrozu, pomiędzy nimi zaś znajdował się potwór. Odchyliła głowę do tyłu i zaśmiała się, a wtedy poczuła na piersi palący chłód wisiorka.

– Cóż, starałem się zapewnić ci bezpieczeństwo – odezwał się do niej Morozko drwiącym tonem, a jego głos przypominał szelest wiatru, który zerwał się po chwili. Był lekki, szybki i przenikliwy. Przegonił małe białe chmurki i Wasia ujrzała czyste poranne niebo. Usłyszała, że Morozko coś mówi, cicho i wyraźnie, lecz nie zrozumiała słów. Wzrok miał utkwiony w czymś, czego Wasia nie widziała. Wiatr się wzmógł i teraz zawodził żałobnie.

– Myślisz, że uda ci się mnie przestraszyć, Karachunie? – spytał Niedźwiedź.

– Mogę grać na zwłokę – zaświstał wiatr do ucha Wasi. – Nie wiem jednak, jak długo. Podczas zimowego przesilenia byłbym silniejszy.

– Nie było czasu. On ma moją macochę – odparła Wasia. – Zapomniałam. Ona też widzi czarty.

Nagle zdała sobie sprawę, że w lesie, na skraju polanki, są jeszcze inne twarze. Zobaczyła nagą kobietę z długimi mokrymi włosami, a także starca o skórze przypominającej korę drzewa. Był wodnik, król rzeki o wielkich rybich oczach. Był polewik i bałotnik. Także inne, dziesiątki czartów. Stworzenia przypominające kruki, skały, grzyby i kopce śniegu. Wiele z nich ustawiało się koło białej klaczy, Wasi i Słowika, tłocząc się pod nogami koni. Alosza gwizdnął zdumiony.

– Widzę je, Wasiu.

Teraz przemówił Niedźwiedź, a jego głos przypominał ludzki krzyk, i część czartów do niego podeszła. Bałotnik, złośliwy duch bagien, a także – Wasia poczuła, że staje jej serce – rusałka. Na dziwnej ślicznej twarzy malowały się dzikość, pustka i żądza.

Czarty dokonały wyboru, Wasia widziała skupienie na ich twarzach. „Królu zimy. Niedźwiedziu. Odpowiemy na wezwanie”. Czują ich drżenie

przed bitwą i krew w niej zawrzała. Słyszała chór ich głosów. Biała klacz także zrobiła krok do przodu, z Morozką na grzbiecie. Słowik stanął dęba i zaczął uderzać kopytami w ziemię.

– Idź, Wasiu – szepnął wiatr głosem Morozki. – Twoja macocha musi żyć. Powiedz bratu, że jego miecz nie przebije ciała umarłych. I... nie umrzyj.

Dziewczyna zmieniła pozycję i Słowik ruszył lotnym galopem. Niedźwiedź ryknął i natychmiast na polance rozpętał się chaos. Rusałka rzuciła się na wodnika, swego ojca, szarpiąc go za pokryte brodawkami ramię. Wasia spostrzegła, że leszy jest ranny, a z rozcięcia w jego pniu sączy się coś podobnego do żywicy. Słowik galopował dalej, aż dotarli do ogromnej kałuży krwi i zatrzymali się gwałtownie.

Upiór podniósł głowę i zasyczał. Anna, z poszarzałą twarzą, cała w błocie, leżała pod nim bez ruchu. Dunia była umazana krwią i ziemią, płakała.

Anna z bulgotem wypuściła powietrze. Miała poderżnięte gardło. Za nimi rozległ się triumfalny ryk Niedźwiedzia. Dunia przyczaiła się jak kot szykujący się do skoku. Wasia zwarła się z nią wzrokiem i zsunęła z grzbietu Słowika.

– Nie, Wasiu – zaprotestował ogier. – Wskakuj z powrotem.

– Lioszka – powiedziała, nie odrywając wzroku od Duni. – Idź walczyć z innymi. Słowik mnie obroni.

Alosza zeskoczył z grzbietu Słowika.

– Jakbym mógł cię zostawić – mruknął.

Otoczyła ich część popleczników Niedźwiedzia. Alosza wydał okrzyk wojenny i machnął mieczem. Słowik opuścił głowę niczym szarżujący byk.

– Duniu – odezwała się Wasia. – Duniaszka.

Słyszała niewyraźnie, jak jej brat stęka na skraju pola walki. Gdzieś rozległ się dźwięk przypominający wycie wilka albo kobiecy płacz, lecz ona i Dunia stały w małym jądrze ciszy. Słowik bił kopytami o ziemię, uszy położył płasko.

– Ta istota cię nie zna – powiedział.

– Zna. Wiem, że mnie zna. – Wyraz przerażenia na twarzy upióra walczył teraz z dziką żarłocznością. – Powiem jej, że nie musi się bać. Duniu... Duniu, proszę. Wiem, że jest ci tu zimno i że się boisz. Ale czy mnie nie pamiętasz?

Dunia dyszała, w jej oczach płonął piekielny ogień.

Wasia wyjęła zza pasa nóż i przeciągnęła ostrzem po żyłach na nadgarstku. Skóra stawiała opór, po chwili jednak trysnęła krew. Słowik cofnął się odruchowo.

– Wasiu! – krzyknął Alosza, ale ona na nic nie zważała i zrobiła długi krok do przodu. Broczyła krwią, barwiąc szkarłatem śnieg, błoto i przebiśniegi. Za nią Słowik stanął dęba.

– Proszę, Duniaszka – mówiła Wasia. – Proszę. Jesteś głodna. Ty często mnie karmiłaś. Pamiętasz? – Wyciągnęła przed siebie krwawiącą rękę.

A potem nie miała już czasu, by myśleć. Upiór chwycił jej rękę niczym łakome dziecko, przyłożył usta do jej nadgarstka i pił.

Wasia stała bez ruchu, ze wszystkich sił usiłując utrzymać się na nogach.

Upiór pił, mlaskając. Mlaskał coraz głośniej, aż nagle odepchnął jej rękę i zatoczył się do tyłu. Wasia zachwiała się zamroczona, na skraju jej pola widzenia rozkwitły czarne kwiaty. Słowik na szczęście był tuż za nią, podtrzymał ją, szturchając niespokojnie nosem.

Ręka Wasi przypominała obgryzioną kość. Zaciskając zęby, oderwała kawałek koszuli i owinęła mocno ranę. Usłyszała świst miecza Aloszy, który walczył nieco dalej.

Upiór wpatrywał się w nią z przerażeniem. Nos, brodę i policzki miał zbryzgane krwią. Wydawało się, że las wstrzymywał oddech.

– Marina – odezwał się wampir głosem Duni.

Rozległ się ryk wściekłości.

Z oczu Duni-wampira zniknęło piekielne światło. Krew zaczęła schnąć i łuszczyć się na jej twarzy.

– Moja najdroższa Marina, nareszcie. Minęło tyle czasu – odezwała się

Dunia.

– Duniu – powiedziała Wasia. – Cieszę się, że cię widzę.

– Marina, Maruszka, gdzie ja jestem? Zimno mi. Tak się bałam.

– Już dobrze. – Wasilisa walczyła ze łzami. – Wszystko będzie dobrze. – Otoczyła ramionami cuchnącą śmiercią postać. – Już nie musisz się bać. – Za nimi rozległ się kolejny ryk. Dunia drgnęła w objęciach Wasi. – Ciii – szepnęła Wasia jak do dziecka. – Nie patrz tam. – Poczwała na wargach smak soli.

Nagle Morozko znalazł się tuż przy niej. Oddychał szybko, a jego dzikie spojrzenie przypominało wzrok Słowika.

– Jesteś głupia i szalona, Wasiliso Pietrowno – stwierdził. Wziął garść śniegu i przycisnął go do jej krwawiącej ręki, a śnieg przymarzł, tamując krew. Kiedy strzepnęła śnieg, stwierdziła, że ranę pokrywa cieniutka warstewka lodu.

– Co się stało?

– Czarty bronią się dzielnie – odparł Morozko ponuro. – Ale nie wytrzymają długo. Twoja macocha nie żyje, a zatem Niedźwiedź jest wolny. Wyrwie się stąd już niedługo, bardzo niedługo.

Teraz walka trwała na polance. Leśne duchy przy ogromnym cielsku Niedźwiedzia były niczym dzieci. Urósł, jego barki zdawały się sięgać nieba. Chwycił w zęby polewika i odrzucił daleko. Rusałka stała u jego boku, wrzeszcząc jak opętana. Niedźwiedź odchylił wielki kudłaty łeb.

– Wolność! – ryknął, warcząc i śmiejąc się. Chwycił leszego, a Wasia usłyszała trzask drewna.

– A więc musisz im pomóc! – wybuchnęła Wasia. – Dlaczego tak stoisz?

Morozko zmrużył oczy i nie odpowiedział. Wasia zastanawiała się przez chwilę, czy nie wrócił po to, by dopilnować, żeby się nie zabiła. Biała klaczy dotknęła chrapami pomarszczonego policzka Duni.

– Znam cię – szepnęła staruszka do klaczy. – Jesteś taka piękna. – Potem Dunia dostrzegła Morozkę i w jej oczach znowu pojawił się strach. – Ciebie

też znam.

– Nie zobaczysz mnie już więcej, Awdotio Michajłowno, mam taką nadzieję – powiedział Morozko. Głos miał łagodny.

– Zabierz ją – rzuciła Wasia szybko. – Pozwól jej umrzeć naprawdę, tak, żeby już się nie bała. Spójrz, już zapomina.

To była prawda. Wzrok Duni zaczynał się mącić.

– A ty, Wasiu? – spytał Morozko. – Jeśli mam ją zabrać, muszę stąd odjechać.

Wasia pomyślała, że będzie musiała sama walczyć z Niedźwiedziem, i się zawahała.

– Jak długo cię nie będzie?

– Chwilę. Godzinę. Trudno powiedzieć.

Za nimi rozległo się wołanie Niedźwiedzia. Dunia zadrżała.

– Muszę do niego iść – szepnęła. – Muszę... Maruszka, proszę.

Wasia zebrała się w sobie.

– Mam pomysł – powiedziała.

– Byłoby lepiej... – zaczął Morozko.

– Nie – przerwała mu Wasia. – Zabierz ją teraz. Proszę. Była dla mnie jak matka. – Obiema rękami chwyciła go za łokieć. – Biała klacz powiedziała, że jesteś mistrzem dawania prezentów. Zrób to teraz dla mnie, Morozko. Błagam cię.

Zapadła długa cisza. Morozko spojrział na walkę toczącą się obok, po czym znów przeniósł wzrok na Wasię. Na mgnienie oka jego spojrzenie powędrowało ku drzewom. Wasia zerknęła w tamtą stronę, ale niczego nie zobaczyła. Nagle demon mrozu uśmiechnął się.

– Dobrze – powiedział. Pochylił się, przyciągnął ją do siebie i pocałował szybko i gwałtownie. Popatrzyła na niego okrągłymi oczami.

– Musisz się zatem trzymać – powiedział. – Tak długo, jak tylko zdołasz. Bądź dzielna.

Cofnął się.

– Chodź, Awdotio Michajłowno, wyruszysz ze mną w drogę.

I nagle on i Dunia siedzieli na białej klaczy, a u stóp Wasi leżało tylko coś wymiętego, zakrwawionego i pustego.

– Żegnaj – szepnęła, walcząc z chęcią przywołania go z powrotem. A potem zniknęli, biały koń i dwóch jeźdźców.

Wasia nabrała powietrza. Niedźwiedź odepchnął ostatnich atakujących. Teraz znów miał pokrytą bliznami twarz człowieka, był jednak wysokim i silnym mężczyzną o okrutnych dłoniach. Zaśmiał się.

– Brawo – powiedział. – Też zawsze usiłuję się go pozbyć. On jest zimny, *diewuszka*, ja jestem ogniem, rozgrzeję cię. Chodź, mała wiedźmo, i żyj wiecznie.

Skinął na nią. Oczy Niedźwiedzia zdawały się ją przyciągać. Jego moc zalała polankę i ranne czarty cofały się przed nim.

Przerazona Wasia oddychała z trudem, lecz Słowik był u jej boku. Poczwała pod dłonią umięśnioną szyję ogiera i wdrapała się na oślep na jego grzbiet.

– Wolę tysiąc śmierci – rzuciła do Niedźwiedzia.

Uniósł pokrytą bliznami wargę i zobaczyła błysk jego długich zębów.

– Chodź więc – wycedził zimno – jako niewolnica albo wierna służa, wybór należy do ciebie. Ale i tak jesteś moja. – Kiedy to mówił, był coraz większy i nagle znów przemienił się w niedźwiedzia o szczękach, które mogłyby pożreć cały świat. Uśmiechnął się do niej. – Och, boisz się. Wszyscy się w końcu boją. Strach odważnych... Ten jest najlepszy.

Wasia myślała, że serce wyskoczy jej z piersi, powiedziała jednak cienkim, zduszonym głosem:

– Widzę leśne duchy. Ale gdzie są domowik, bannik i wazila? Chodźcie tu do mnie, dzieci wiejskich domów, bo bardzo was potrzebuję. – Zdrapała lód z rany na ręce i znowu trysnęła krew. Niebieski klejnot rozjarzył się pod jej ubraniem.

Polanka zamarła na chwilę w bezruchu, zakłócanym jedynie brzękiem

miecza Aloszy i postępowaniem tych czartów, które wciąż walczyły. Jej brata otaczało trzech stronników Niedźwiedzia. Wasia zobaczyła skupioną twarz Aloszy i ślady krwi na jego ręce i policzku.

– Przyjdźcie do mnie – powtórzyła zrozpaczona Wasia. – Zawsze was kochałam, a wy kochaliście mnie. Przypomnijcie sobie krew, którą dla was przelałam, i chleb, który wam przynosiłam.

Nic nie mąciło ciszy. Niedźwiedź drapał ziemię wielkimi przednimi łapami.

– Teraz zaczniesz rozpaczać – powiedział. – Rozpacz jest nawet lepsza od strachu.

Wysunął język niczym wąż, jakby chciał poczuć smak powietrza.

Głupia, myślała Wasia. Jak domowe duchy mogłyby tu przyjść? Ich życie ogranicza się do naszych domostw. Poczwała w ustach krew, gorzką i słoną.

– Możemy przynajmniej ocalić mojego brata – zwróciła się do Słowika, a koń spiął się do skoku. Nagle Niedźwiedź machnął wielką łapą i koń ledwie zdążył uchylić się przed ciosem. Zrobił kilka kroków w tył, położył płasko uszy, a wielka łapa wzięła kolejny zamach.

Nagle wszystkie domowiki, banniki i stażnicy podwórzy ze wszystkich gospodarstw Leśnej Ziemi zaczęli się tłoczyć u ich stóp. Słowik musiał unosić kopyta, żeby ich nie zdeptać. Po chwili waziła usadowił się na jego kłębie. Mały domowik z domu Wasi wymachiwał rozżarzoną węglem trzymanym w ubrudzonej sadzą dłoni.

Po raz pierwszy Niedźwiedź stracił rezon.

– Niemożliwe – mrucał. – Niemożliwe. One nie wychodzą z domów.

Domowe duchy wydawały bojowe okrzyki, a Słowik bił kopytami o ziemię.

Nagle jednak serce skoczyło Wasi do gardła i zawisło tam, łomocząc dziko. Rusałka powaliła Aloszę na ziemię. Wasia zobaczyła, że jego miecz leci gdzieś daleko, a on zamiera w bezruchu, urzeczony, wpatrzony w nagą kobietę nad sobą. Widziała, jak jej palce zaciskają się na jego szyi.

Niedźwiedź ryknął śmiechem.

– Zostańcie wszyscy, gdzie jesteście. Albo on umrze.

– Przypomnij sobie, rzucałam ci kwiaty, a teraz przelewam krew. Przypomnij sobie! – krzyczała zdesperowana Wasia do rusałki.

Rusałka zamarła. Z jej włosów kapiała woda. Rozluźniła uścisk na szyi Aloszy.

Chłopak wywinął się i znów ruszył do walki, lecz Niedźwiedź był zbyt blisko.

– Dalej! – krzyknęła Wasia do Słowika i do całej swojej heroicznej armii.
– To mój brat!

W tym momencie po drugiej stronie polany rozległ się ryk wściekłości.

Wasia spojrzała w tamtą stronę i ujrzała ojca z pałaszem w ręku.

Niedźwiedź był dwa, trzy razy większy od zwykłego niedźwiedzia. Miał tylko jedno oko, połowę jego głowy pokrywały blizny. Zdrowe oko lśniło, miało barwę lekkiego cienia albo śniegu. Nie był zaspany, jak zwykły niedźwiedź o tej porze roku, lecz napędzany głodem i dziką furją.

Przed Niedźwiedziem była Wasia, małeńka przy tym potworze, dosiadająca ciemnego konia. Alosza leżał niemal u stóp monstrem, którego paszcza była coraz bliżej niego...

Piotr krzyknął, a był to krzyk miłości i wściekłości. Potwór odwrócił głowę.

– Tylu gości – mruknął. – Przez tysiąc ludzkich żywotów cisza, a teraz wali tu do mnie cały świat. Cóż, nie będę protestował. Ale po kolei. Najpierw chłopak.

W tej samej jednak chwili naga kobieta o zielonkawej skórze i lśniących od wody długich włosach z wrzaskiem wskoczyła Niedźwiedziowi na plecy, trzymając się go rękami i zębami. W następnej chwili córka Piotra krzyknęła głośno i wielki koń ruszył do ataku, uderzając Niedźwiedzia kopytami.

Towarzyszyła im cała gromada dziwacznych stworzeń, wysokich i chudych, maleńkich i brodatych, samców i samic. Wszyscy razem rzucili się na potwora, piszcząc przeraźliwie dziwnymi wysokimi głosikami. Udało im się powalić go na plecy.

Wasia na wpół stoczyła się z końskiego grzbietu, złapała Aloszę i odciągnęła go w bezpieczniejsze miejsce. Piotr słyszał, jak szlocha.

– Lioszka... – łkała. – Lioszka!

Koń znów stanął dęba, wierzgając kopytami i chroniąc chłopca i dziewczynę. Alosza mrugał nieprzytomnie.

– Wstań, Lioszka – błagała Wasia. – Proszę, proszę...

Niedźwiedź otrząsnął się i zrzucił z siebie większość dziwnych stworzeń. Machnął łapą, a wielki koń z trudem uchylił się przed ciosem. Naga kobieta upadła w śnieg, z jej włosów tryskała woda. Wasia rzuciła się na półprzytomnego brata. Potworne zębiska już sięgały do jej nieosłoniętych pleców.

Piotr nie pamiętał, by puścić się biegiem. W następnej chwili stał jednak zdyszany między swymi dziećmi a potworem. Był spokojny, jeśli nie liczyć walącego serca, i trzymał pałasz obiema rękami. Wasia patrzyła na niego jak na zjawę. Zobaczył, że porusza ustami. „Ojczy...”

Niedźwiedź zatrzymał się w pół skoku.

– Z drogi – warknął. Wyciągnął zakończoną pazurami łapę, a Piotr uderzył w nią pałaszem, nie cofając się nawet o krok.

– Moje życie nic nie znaczy – powiedział. – Nie boję się.

Niedźwiedź otworzył paszczę i ryknął. Wasia się wzdrygnęła, lecz Piotr nie ruszył się z miejsca.

– Na bok! – wrzasnął Niedźwiedź. – Dostanę dzieci króla mórz!

Piotr zrobił krok do przodu.

– Nie znam żadnego króla mórz. To moje dzieci.

Niedźwiedź kłapnął zębami o cal od jego twarzy, lecz Piotr nie zamierzał się cofnąć.

– Odejdź – wycedził. – Ty nie istniejesz, jesteś potworem z bajki. Zostaw moją ziemię w spokoju.

– Te lasy są teraz moje – prychnął Niedźwiedź, łypiąc czujnie na boki.

– Jaka jest twoja cena? – spytał Piotr. – Ja też słuchałem starych opowieści i wiem, że zawsze jest jakaś cena.

– Jak sobie chcesz. Daj mi swoją córkę, a zostawię cię w spokoju.

Piotr zerknął na Wasię. Ich spojrzenia spotkały się i zobaczył, że dziewczyna z wysiłkiem przętyka ślinę.

– To najmłodsze dziecko Mariny – powiedział Piotr. – Moja córka. Mężczyzna nie składa w ofierze życia żadnej istoty. A już na pewno nie swojego dziecka.

Zapadła cisza.

– Ofiaruję ci moje – rzekł po chwili Piotr i odrzucił pałasz.

– Nie! – krzyknęła Wasia. – Ojczy, nie! Nie!

Niedźwiedź zmrużył zdrowe oko i się zawahał.

Nagle Piotr rzucił się na jego pierś w kolorze mchu. Niedźwiedź zareagował odruchowo i odepchnął go z całej siły. Rozległ się straszliwy trzask. Piotr wyleciał w powietrze niczym słomiana lalka i wylądował twarzą w śniegu.

Niedźwiedź zawył i rzucił się za nim, lecz Wasia już poderwała się na nogi, zapominając o strachu. Wrzasnęła z wściekłości i Niedźwiedź się odwrócił.

Wskoczyła na grzbiet Słowika i razem zaatakowali potwora. Wasia płakała, zapomniała, że nie ma żadnej broni. Klejnot na jej piersi płonął zimno, pulsując niczym drugie serce.

Niedźwiedź uśmiechnął się szeroko, język zwisał mu spomiędzy ogromnych zębów, jak u psa.

– O tak! – wykrzyknął. – Chodź tutaj, mała wiedźmo, chodź tutaj, czarownico. Nie jesteś jeszcze dość silna, żeby mnie pokonać, i nigdy nie będziesz. Chodź i dołącz do twego biednego ojca.

Kiedy to mówił... zaczął się kurczyć. Po chwili stał się małym, kulącym się człowieczkiem, który patrzył na nich łzawiącymi szarymi oczami, zadzierając głowę.

Obok Słowika pojawiła się biała postać i jego wyprężonej szyi dotknęła biała ręka. Koń spuścił głowę i zwolnił.

– Nie! – krzyknęła Wasia. – Nie, Słowiku, nie zatrzymuj się!

Jednooki mężczyzna skulił się na śniegu, a ona poczuła na dłoni dotyk palców Morozki.

– Wystarczy, Wasiu – powiedział. – Widzisz? Jest spętany. Już po wszystkim.

Wpatrywała się w małego człowieczka, mrugając oszołomiona.

– Jak to?

– Taka jest ludzka siła – odrzekł Morozko. W jego głosie pobrzmiwała dziwna satysfakcja. – My, którzy żyjemy wiecznie, nie znamy odwagi, nie umiemy też kochać tak mocno, by poświęcić życie. Twój ojciec to potrafił. Jego poświęcenie spętało Niedźwiedzia. Piotr Władimirowicz odejdzie z tego świata zgodnie ze swoim życzeniem. Już po wszystkim.

– Nie – jęknęła Wasia, cofając rękę. – Nie...

Zeskoczyła ze Słowika. Niedźwiedź kulił się i rzeził, lecz ona już o nim zapomniała. Podbiegła do ojca. Alosza dotarł tam przed nią i rozchylił podartą pelerynę Piotra. Cios Niedźwiedzia roztrzaskał mu żebra po jednej stronie, na ustach miał bąbelki krwi. Wasia przycisnęła dłonie do jego rany i poczuła pod palcami gorąco. Jej łzy kapały na powieki ojca. Na jego poszarzałą skórę wróciła odrobina koloru i otworzył oczy. Jego spojrzenie padło na Wasię i się rozpromieniło.

– Marina – wychrypiał. – Marina.

Z westchnieniem wypuścił powietrze i przestał oddychać.

– Nie – szepnęła Wasia. – Nie!

Wbiła paznokcie w zwiotczone ciało ojca. Jego pierś uniosła się gwałtownie niczym miech, jednak oczy pozostały nieruchome i martwe. Wasia poczuła krew na przygryzionej wardze i walczyła ze śmiercią, jakby to ona umierała, jakby...

Obie jej ręce chwyciła dłoń o długich palcach, odbierając im ciepło. Wasia próbowała się wyrwać, jednak nie zdołała. Jej policzek owiał głos Morozki.

– Zostaw, Wasiu. On tak wybrał, nie możesz tego cofnąć.

– Właśnie, że mogę! – syknęła w odpowiedzi, zachłystując się własnym oddechem. – To powinnam być ja. Puść mnie! – Ręka zniknęła, a ona odwróciła się gwałtownie. Morozko już się odsunął. Spojrzała mu w twarz, bladą i obojętną, okrutną i tylko trochę przyjazną.

– Za późno – powiedział, a jego słowa podchwycił wiatr: „Za późno, za późno...”.

A potem demon śniegu wskoczył na grzbiet białej klaczy, siadając za inną postacią, którą Wasia zobaczyła jedynie kątem oka.

– Nie! – krzyknęła, biegnąc za nimi. – Zaczekaj... Ojczy!

Biała klacz galopowała już jednak między drzewami i po chwili zniknęła w ciemności.

Cisza była nagła i niczym niezmacona. Jednooki mężczyzna zaszył się w zaroślach, a czarty pochowały gdzieś w zimowym lesie. Rusalka w przelocie położyła mokrą dłoń na ramieniu Wasi.

– Dziękuję, Wasiliso Pietrowno – powiedziała.

Wasia milczała.

Słowik delikatnie trącił ją nosem.

Wasia nie zważała na nic. Patrzyła przed siebie, trzymając dłoń ojca, która powoli robiła się coraz zimniejsza.

– Spójrz – szepnął Alosza, schrypnięty i zapłakany. – Przebiśniegi wędną.

Ciepły, niezdrowy, cuchnący śmiercią wiatr stał się chłodniejszy, ostrzejszy i kwiaty pochyliły główki ku stwardniałej ziemi. Był środek zimy, ich czas jeszcze nie nadszedł. Nie było polanki ani błotnistej przestrzeni pod szarym niebem. Był tylko wielki stary dąb o splątanych gałęziach. Niedaleko znajdowała się ich wieś, teraz wyraźnie widoczna, odległa o rzut kamieniem. Nastał dzień i było przenikliwie zimno.

– Poskromiony – powiedziała Wasia. – Potwór został poskromiony. Ojciec tego dokonał.

Sztywną ręką zerwała wędnący kwiatek.

– Jak ojciec się tu znalazł? – zastanawiał się Alosza. – Miał... miał taką minę, jakby wiedział, co robić, a także jak i dlaczego. Jest teraz z mamą, dzięki Bogu. – Zrobił znak krzyża nad ciałem ojca, wstał, podszedł do Anny i powtórzył ten gest.

Wasia stała w milczeniu.

Wsunęła w dłoń ojca kwiatek, a potem położyła głowę na jego piersi i zaczęła cicho płakać.



28.

Na końcu i na początku

Przez całą noc czuwali przy zwłokach Piotra Władimirowicza i jego żony. Małżonkowie zostali pochowani razem, Piotr spoczywał między swoją pierwszą żoną i drugą. Ludzie oplakiwali ich, jednak nie rozpaczali. Miazmat śmierci i klęski opuścił ich pola i domy. Nawet brudni uchodźcy ze spalonej wsi, wprowadzeni za bramę przez wycieńczonego Kołę, nie zdołali ich przestraszyć. Szczypał lekki mróz, a słońce świeciło, wysadzając śnieg diamentami.

Wasia stała z rodziną, otulona grubą peleryną, słuchając szeptów sąsiadów.

– Wasilisa Pietrowna zniknęła. Wróciła na skrzydlatym koniu. To ona powinna umrzeć. Czarownica.

Wasia przypomniała sobie ucisk liny na swoich nadgarstkach, zimne spojrzenie Olega – człowieka, którego znała od dzieciństwa – i podjęła decyzję.

Kiedy wszyscy się rozeszli, stanęła samotnie nad grobem ojca. Czowała się stara, zgnębiona i zmęczona.

– Słyszysz mnie, Morozko? – spytała.

– Tak – odparł i już był obok niej.

Dostrzegła subtelny nieufność na jego twarzy i parsknęła śmiechem, który

był na wpół szlochem.

– Boisz się, że poproszę, byś zwrócił mi ojca?

– Kiedy chodziłem swobodnie między ludźmi, żywi zaczepiali mnie z krzykiem – odparł Morozko spokojnie. – Chwyтали moją rękę, grzywę mojego konia, matki błagały, bym to je zabrał, kiedy zabierałem ich dzieci.

– Cóż, mam już dość zmarłych wstających z grobu. – Wasia siliła się na ton lodowatej obojętności, jednak głos jej drżał.

– Pewnie tak – mruknął Morozko, ale nieufność zniknęła z jego twarzy. – Będę pamiętał jego odwagę, Wasiu – powiedział. – I twoją.

Jej wargi drgnęły.

– Zawsze? Kiedy będę, tak jak mój ojciec, gliną w zimnej ziemi? Cóż, być zapamiętaną to jest coś...

Nie odpowiedział. Patrzyli na siebie.

– Czego ode mnie chcesz, Wasiliso Pietrowno?

– Dlaczego mój ojciec umarł? Potrzebujemy go. Jeśli ktokolwiek musiał umrzeć, powinnam to być ja.

– On tak wybrał, Wasiu. To jego przywilej. Nie chciałby, żeby stało się inaczej. Umarł za ciebie.

Wasia pokręciła głową i zaczęła chodzić w kółko.

– Skąd ojciec w ogóle wiedział? Przyszedł na polanę. Wiedział! Jak nas znalazł?

Morozko się zawahał, po czym powiedział wolno:

– Wrócił do domu przed innymi, zobaczył, że nie ma ciebie i twojego brata i poszedł do lasu was szukać. Ta polanka jest zaczarowana. Drzewo, dopóki nie uschnie, będzie robić wszystko, co w jego mocy, by utrzymać Niedźwiedzia w ryzach. Ono wiedziało, co trzeba zrobić, lepiej niż ja. Przyciągnęło twojego ojca do ciebie, kiedy tylko wszedł do lasu.

Wasia milczała długą chwilę. Popatrzyła na Morozkę zmrużonymi oczyma, a on odwzajemnił jej spojrzenie. Wreszcie skinęła głową.

– Jest coś, co muszę zrobić – powiedziała nagle Wasia. – Potrzebuję twojej pomocy.

Wszystko poszło źle, myślał Konstanty. Piotr Władimirowicz nie żyje, zabity przez dziką bestię na skraju wsi. Powiadają, że Anna Iwanowna w napadzie szaleństwa pobiegła do lasu. Cóż, oczywiście, że tak, powtarzał sobie. Była wariatką, do tego głupią, wszyscy o tym wiedzieliśmy. Wciąż jednak widział jej oszalałą bladą twarz.

Konstanty odprawił nabożeństwo żałobne za Piotra Władimirowicza, nie wiedząc, co mówi, a potem uctował na stypie, nie wiedząc, co robi.

O zmierzchu rozległo się pukanie do drzwi jego izby.

Kiedy się otworzyły, zamiast oddechu wydobył się z niego syk i Konstanty zatoczył się do tyłu. Na progu stała Wasia oświetlona blaskiem świecy. Była taka piękna, blada i nieprzystępna, pełna gracji i wzburzenia zarazem. Moja, ona jest moja. Bóg mi ją odesłał. To jego przebaczenie.

– Wasiu – powiedział i wyciągnął ku niej rękę.

Nie była jednak sama. Kiedy weszła, z cienia za jej ramieniem wyłoniła się zakapturzona postać i wślizgnęła do środka obok niej. Był to mężczyzna, miał na sobie pelerynę z kapturem rzucającą mroczne cienie. Konstanty nie mógł dojrzeć jego twarzy, widział tylko, że jest blada. Ręce miał długie i chude.

– Kto to jest, Wasiu? – spytał.

– Wróciłam – odparła Wasia. – Ale nie sama, jak widzisz.

Konstanty nie widział oczu mężczyzny, ponieważ były zapadnięte w głąb czaszki. Chudość rąk przypominała szkielet. Pop oblizał wargi.

– Kto to jest, dziewczyno?

Wasia się uśmiechnęła.

– Śmierć. To on ocalił mnie w lesie. Chociaż może wcale tego nie zrobił i teraz jestem duchem. Dziś wieczorem czuję się jak duch.

– Jesteś szalona – syknął Konstanty. – Nieznajomy, ktoś ty?

Przybysz milczał.

– Żywa czy martwa, przysłam ci powiedzieć, żebyś opuścił to miejsce – rzekła Wasia. – Wracaj do Moskwy, do Włodzimierza, do Carogrodu czy do piekła, ale musisz wyjechać, zanim zakwitną przebiśniegi.

– Moje zadanie...

– Twoje zadanie jest zakończone – przerwała mu Wasia. Zrobiła krok do przodu. Ciemny mężczyzna obok niej zdawał się rosnąć, teraz zamiast głowy miał trupa czaszkę, a w oczodołach zapadniętych oczu płonęły niebieskie ognie. – Wyjedziesz, Konstanty Nikonowiczu, albo umrzesz. A twoja śmierć nie będzie lekka.

– Nie wyjadę.

Pop przywarł plecami do ściany i szczął zębami.

– Wyjedziesz – powtórzyła Wasia. Szła w jego stronę, aż znalazła się na tyle blisko, że mógł jej dotknąć. Widział zaokrąglenie jej policzka, nieprzejednane spojrzenie jej oczu. – Albo zadbamy o to, żebyś wpadł w obłąd, jak moja macocha.

– Demony – wydyszał Konstanty. Na jego czole zaperlił się zimny pot.

– Tak. – Twarz Wasi rozjaśnił uśmiech. Diabelskie nasienie. Ciemna postać obok niej również się uśmiechnęła powolnym trupim uśmiechem.

Po czym zniknęli równie cicho, jak się pojawili.

Konstanty padł na kolana przed cieniami na ścianie i wyciągnął dłonie błagalnym gestem.

– Wróc – poprosił. Umilkł i nasłuchiwał. Ręce mu drżały. – Wracaj. Wyniosłeś mnie, lecz ona mną wzgardziła. Wracaj.

Wydawało mu się, że cienie poruszyły się nieznacznie, jednak odpowiedziała mu tylko cisza.

– Myślę, że wyjedzie – stwierdziła Wasia.

– Najprawdopodobniej – odparł Morozko ze śmiechem. – Jeszcze nigdy nie zrobiłem tego na czyjąś prośbę.

– Ale pewnie sam z siebie bez przerwy straszysz ludzi – odcięła się Wasia.

– Ja? – zdziwił się Morozko. – Jestem tylko bajką, Wasiu.

Teraz to Wasia musiała się roześmiać. Po chwili jednak śmiech uwiązł jej w gardle.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

Morozko skłonił głowę i nagle noc jakby sięgnęła po niego, pochwyciła i wessała w siebie. W miejscu, gdzie stał, była tylko ciemność.

Wszyscy domownicy położyli się spać, tylko Irina i Alosza siedzieli w kuchni. Wasia wślizgnęła się do środka jak cień. Irina płakała. Alosza ją przytulał. Wasia bez słowa osunęła się na ławę przy piecu i otoczyła oboje ramionami.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Nie mogę tu zostać – powiedziała Wasia bardzo cicho.

Alosza spojrzał na nią, otepiały z żalu i zmęczenia po walce.

– Nadal myślisz o wstąpieniu do klasztoru? – spytał. – Cóż, już nie musisz. Anna Iwanowna nie żyje, podobnie jak ojciec. Mam teraz ziemię, moje dziedzictwo, zaopiekuję się tobą.

– Musisz przekonać ludzi, że teraz jesteś ich panem – odrzekła Wasia. –

Kiedy się rozniesie, że hołubisz siostrę wariatkę, będą patrzyli na ciebie mniej przychylnie. Wiesz, że wielu za to wszystko obwini mnie? To ja jestem czarownicą. Czyż pop tak nie orzekł?

– To bez znaczenia – uciął Alosza. – Nie masz dokąd pójść.

– Czyżby? – Twarz Wasi opromieniał dogasający ogień, wyglądając bruzdy cierpienia. – Słowik zabierze mnie na kraniec ziemi, jeśli go

poproszę. Jadę w świat, Alosza. Nie zostanę nikomu poślubiona, ani mężczyźnie, ani Bogu. Pojadę do Kijowa, Seraju i Carogrodu i będę patrzyła na słońce nad morzem.

Alosza wpatrywał się w siostrę.

– Ty naprawdę jesteś szalona, Wasiu.

Roześmiała się, lecz łąy mgliły jej widok.

– Tak, jestem. Ale będę wolna, Alosza. Wątpisz w to? Przyniosłam przebiśniegi dla macochy, chociaż powinnam była umrzeć w lesie. Ojciec nie żyje, więc nikt mnie nie powstrzyma. Powiedz, co mnie tu czeka oprócz murów i klatek? Będę wolna, nieważne, jakim kosztem.

Irina przywarła do siostry.

– Nie jedź, Wasiu, nie jedź. Będę grzeczna, obiecuję.

– Spójrz na mnie, Irinko. Jesteś grzeczna. Jesteś najgrzeczniejszą małą dziewczynką, jaką znam. O wiele lepszą ode mnie. I nie uważasz mnie za czarownicę, siostrzyczko, ale inni tak.

– To prawda – przytaknął Alosza. On także widział ponure spojrzenia wieśniaków, słyszał ich szepty podczas pogrzebu.

Wasia milczała.

– To nienaturalne – stwierdził, bardziej jednak ze smutkiem niż z gniewem. – Nie możesz znaleźć szczęścia tutaj? Z czasem ludzie o wszystkim zapomną, a to, co nazywasz klatką, to los wszystkich kobiet.

– Nie mój. Kocham cię, Lioszka, kocham was oboje, ale nie mogę.

Irina zaczęła płakać i jeszcze mocniej wtuliła się w siostrę.

– Nie płacz, Irinko – rzekł Alosza. Uważnie przyglądał się Wasi. – Ona wróci. Prawda?

Wasia skinęła głową.

– Kiedyś. Przysięgam.

– Nie będziesz w drodze zziębnięta i głodna?

Wasia pomyślała o domu w lesie, o stosach skarbów, które tam na nią

czekają. Nie posag, lecz klejnoty na wymianę, peleryna chroniąca przed mrozem, ciepłe buty... Wszystko, czego potrzebuje na podróż.

– Nie, nie sędzę.

Alosza niechętnie skinął głową. Na twarzy jego siostry, niczym błędny ognik, płonęła nieprzejednana determinacja.

– Nie zapomnij o nas, Wasiu. Proszę, weź to. – Zdjął z szyi drewniany przedmiot na skórzanym rzemyku. Był to mały rzeźbiony ptaszek ze zniszczonymi rozpostartymi skrzydłami. – Ojciec zrobił go dla matki. Noś go, siostrzyczko, i pamiętaj.

Wasia ucałowała ich oboje i mocno zacisnęła palce na drewnianym wisioru.

– Przysięgam.

– Jedź, zanim przywiążę cię do pieca i zmuszę, żebyś została – powiedział Alosza ze łzami w oczach.

Gdy przekraczała próg domu, znów rozległ się głos jej brata:

– Jedź z Bogiem, siostrzyczko.

Nawet kiedy zamknęły się za nią drzwi, nadal słyszała płacz Iriny.

Słowik czekał na nią tuż za ogrodzeniem.

– Czy zawieszysz mnie na kraniec ziemi, jeśli droga poprowadzi nas aż tak daleko? – spytała Wasia. Kiedy to mówiła, płakała, a koń ocierał chrapami jej łzy.

Gdy poczuł wieczorny wiatr, poruszył nozdrzami.

– Dokąd tylko zechcesz, Wasiu. Świat jest szeroki, a droga zaprowadzi nas wszędzie.

Wskoczyła na grzbiet ogiera, a on uniósł ją w dal, rączy i cichy niby lecący nocą ptak.

Wkrótce Wasia ujrzała kępę jodeł i blask ognia migoczący między

drzewami, zalewający śnieg złotą poświatą.

Drzwi się otworzyły.

– Wejź, Wasiu – powiedział Morozko. – Jest zimno.

Słowniczek

Łapcie – lekkie buty zrobione z łyka, wewnętrznej kory brzozy. Były łatwe do wykonania, lecz nietrwałe.

Batiuszka – dosłownie „ojczulek”, forma pełnego szacunku zwracania się do prawosławnego duchownego.

Bojar – członek kijowskiej, a później moskiewskiej arystokracji, niższy rangą od kniazia, czy też księcia.

Bujan – tajemnicza wyspa na oceanie, której w mitologii słowiańskiej przypisywano zdolność pojawiania się i znikania. Występuje w kilku rosyjskich bajkach.

Gospodin – forma grzecznościowa kierowana do mężczyzny, odpowiednik polskiego „pan”.

Gosudar – forma grzecznościowa zbliżona do zwrotu „wasza wysokość”, kierowana do władcy, suwerena.

Wielki Książę (*Wielikij kniaz'*) – tytuł władcy głównego księstwa, na przykład Moskwy, Tweru czy Smoleńska w średniowiecznej Rosji. Tytuł car nie był używany, dopóki w 1547 roku nie koronowano Iwana Groźnego.

Kokosznik – rosyjskie przybranie głowy, stroik. Są różne rodzaje kokoszników, w zależności od miejsca i epoki. Generalnie słowo to odnosi się do zamkniętego stroika noszonego przez mężatki, chociaż panny również nosiły na głowie ozdoby, lecz otwarte z tyłu.

Kokoszniki nosiły tylko szlachcianki; najbardziej popularne w Rosji były chusty.

Piec – rosyjski piec (*печь*) był ogromny, ogrzewał dom, można było na nim gotować, a na górze spać – w zimie spały na nim całe rodziny. System kanałów dymowych zapewniał równomierną dystrybucję ciepła. Do powszechnego użytku wszedł w XV wieku.

Ruś – Rusią rządziły pierwotnie ludy skandynawskie. W IX wieku, na prośbę zwaśnionych słowiańskich i fińskich plemion, ustanowili rządzącą dynastię Rurykowiczów. Ostatecznie w skład Rusi weszły tereny obecnej Ukrainy, Białorusi i zachodniej Rosji. Słowo „Ruś” przetrwało do obecnych czasów, co możemy zaobserwować chociażby w nazwach Rosja czy Białoruś.

Rosja – od XII aż do końca XV wieku nie istniało jednolite państwo zwane Rosją. Natomiast Rusią rządzili rywalizujący ze sobą książęta, którzy winni byli posłuszeństwo mongolskim suwerenom. Słowo „Rosja” weszło do powszechnego użycia dopiero w XVII wieku. Opisując średniowiecze, używa się raczej pojęcia „kraina Rusinów” lub po prostu Ruś.

Podziękowania

Pisanie pierwszej powieści jest trochę jak walka z wiatrakami, bo a nuż któryś okaże się olbrzymem. Nie potrafię wyrazić mojej wdzięczności dla wszystkich osób, które zechciały odegrać rolę Sancho Pansy podczas tej długiej i dziwnej szarży.

Innymi słowy, dziękuję wszystkim za wiarę. To była szalona jazda.

Tato i Beth, dziękuję Wam za to, że byliście pierwszymi czytelnikami, za wiele pysznych obiadów, za to, że zechcieliście dać schronienie na poddaszu Waszej wariatce. Mamie dziękuję za to, że widziała sens mojego pisania, kiedy dosłownie nikt (ze mną włącznie) go nie dostrzegał. Carol Dawson dziękuję za lekturę, akceptację i pomoc na długo przed tym, nim uczynił to ktokolwiek inny, poza moimi rodzicami. Abhay Morrisey – za wyciągnięcie mnie na słońce, kiedy zanosilo się na to, że będę tkwiła przy laptopie, aż zapuszczę korzenie. Chrisowi Johnsonowi i R.J. Adlerowi, pierwszemu za filmy, drugiemu za piosenki, a obu Wam za okropne wegańskie dowcipy. Phylowi Castowi za surową czekoladę i zakulisowe informacje wydawnicze. Kaitlin Maxfield za taszczenie się wszędzie ze stosem kartek, aż przeczytała coś przypominającego zarys tej historii. Erin Haywood za naprawdę niesamowite godziny spędzone na wymyślaniu różnych rzeczy – jeśli kiedykolwiek będzie brakowało mi pomysłu, zgłoszę się do Ciebie. Robin Rice za wzruszenia i wzmocnienie mojej słabnącej pewności siebie.

Tatiana Smorodińska, Sergej Dawidow i cały wydział języka rosyjskiego w Middlebury College niech zechcą przyjąć podziękowania za niesamowite wykształcenie, którego, mam nadzieję, tak do końca nie zhańbiłam. Carl Sieber, Konstantin, Anton i cała ekipa Carbon 12 Creative – za najwspanialszą stronę internetową, o jakiej może marzyć dziewczyna. Deverie Fernandez – za gotowość robienia zdjęć w deszczu. Chrisowi

Archerowi dziękuję za robienie zdjęć w słońcu i dodanie do tego godzin spędzonych na obłądnych sztuczkach z Photoshopem. Pauli Hartman za miłe słowa na początkowym etapie, które pozwoliły mi przebrnąć przez trudne chwile. Ann Dubinet za pyszne kolacje i rady późną nocą. Całej ekipie Random House, począwszy od genialnej redaktorki Jennifer Hershey, mającej smykałkę do prostych rozwiązań, które ogromnie poprawiły tekst. Dziękuję także Anne Speyer, Vincentowi La Scali oraz Emily DeHuff. Mojemu niesamowitemu agentowi, Paulowi Lucasowi, który wciągnął mnie z powrotem do gry, gdy już chciałam zrezygnować, a następnie udowodnił, że jego pewność ma mocne podstawy. Nigdy nie zdołam wystarczająco Ci podziękować. Dziękuję również Dorothy Vincent, Brennie English-Loeb, Michaelowi Stegerowi oraz wszystkim w Janklow & Nesbit.

Jestem Wam niewypowiedzianie wdzięczna.

- [1] Sarafan – sukienka, która przypomina trochę bezrękawnik czy fartuch, na ramiączkach, noszona na bluzkę z długim rękawem. Strój ten wszedł do powszechnego użycia dopiero na początku XV w. Umieściłam go w tej książce nieco przed jego czasem, ponieważ zachodnim czytelnikom ten rodzaj ubrania kojarzy się z rosyjskimi bajkami (przyp. tłum.).
- [2] Prosfora – w Cerkwi i Kościołach katolickich obrządku wschodniego pieczywo z mąki, wody, soli i zakwasu używane w obrzędzie przeistoczenia (przyp. red.).
- [3] Określenie to spopularyzowali autorzy rosyjscy i polscy, by podkreślić sakralny i liturgiczny charakter ikony. Słowo „pisanie” oznacza proces jej powstawania. Być może jednak określenie to pochodzi od greckiego słowa γραφω (podobnie jak писать w rosyjskim), które oznacza zarówno „pisać”, jak i „malować”, stąd rosyjski *ikonopisiec* – od greckiego *ikonographos* (przyp. red.).
- [4] Maforion – wierzchnia szata, długi kobiecy szal sięgający od głowy do stóp; na ikonach Matka Boska przedstawiana jest w maforionie purpurowym lub niebieskim, czasem obrzeżonym złotą krajką i ozdobionym trzema gwiazdami (przyp. red.).
- [5] Riażenka – tzw. pieczone mleko; mleko trzyma się w piekarniku przez kilka godzin, w niezbyt wysokiej temperaturze, aż nabierze karmelowego koloru, a na wierzchu utworzy się brązowy kożuszek (przyp. red.).

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz